

„Uroczą, barwną historią... To będzie nasz dom ma swój własny, niepowtarzalny rytm, bardzo zabawny i pełen emocji”.

MERYL STREEP

TO BĘDZIE MÓJ DOM

Zrujnowana posiadłość i małżeństwo w kłopotach

niezwykła opowieść o tym, jak znaleźć swój dom

DON WALLACE

Pascali

DON WALLACE

TO BĘDZIE
MÓJ DOM

Tłumaczenie
Katarzyna Bieńkowska

Pascal

Copyright © Don Wallace 2014

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal. Wszelkie prawa zastrzeżone

Tytuł oryginalny: *The French House*

Tytuł: *To będzie mój dom*

Autor: *Don Wallace*

Tłumaczenie: *Katarzyna Bieńkowska*

Konsultacja językowa: *Monika Motkowicz*

Redakcja: *Ewa Ressel*

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Projekt graficzny okładki: *Studio KARAN DASZ*

Projekt okładki oryginalnej: *Jennifer K. Beal Davis, jennykate.com; Tom Hallman*

Zdjęcia na okładce:

Dreamstime.com: *Aleksandar Radovanovic; iStock Tweetyclaw, DigiClicks, Elenathewise, Tree4Two, kaetana_istock*

Mapa: *Jacek Majerczak*

Redaktor prowadząca: *Agnieszka Górecka*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

www.pascal.pl

Bielsko-Biała 2015

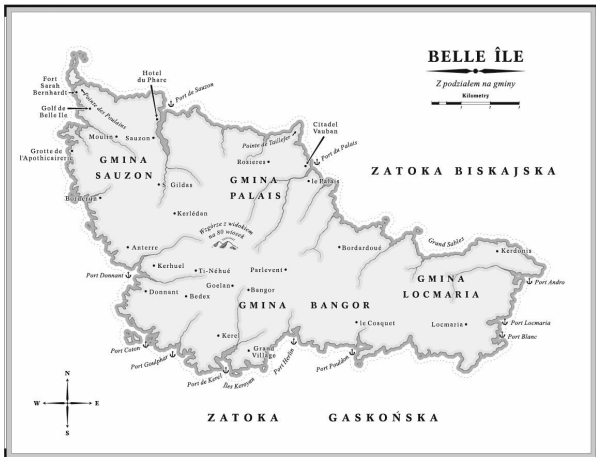
ISBN 978-83-7642-592-4

eBook maîtrisé par [Atelier Du Châteaux](#)

Dla Mindy i Rory'ego

*Każde z nas
może opowiedzieć własną historię,
odwołując się do losu,
szczęścia lub wyboru,
i nigdy nie będziemy
wiedzieć z całą pewnością,
co właściwie kieruje naszym życiem.*

*Sheena Iyengar, *The Art of Choosing*
(Sztuka wyboru)*



Dziesięć najważniejszych faktów dotyczących Belle-Île

1. Leży z dala od lądu niczym usmażona na maśle tłusta sola, ale szkielet ma z błękitnozielonego granitu.
2. Znajduje się na Oceanie Atlantyckim, dziesięć mil od wybrzeży Bretanii, w Zatoce Biskajskiej.
3. Twarde klify o ostrych zębach unoszą ku górze jej złociste pola niczym ofiarę dla dawnych bogów.
4. Sto pięćdziesiąt dwie małe wioski, z których większość liczy zaledwie po kilka domów, wygrzewają się w słońcu w dolinach przecinanych przez szemrzące potoki albo kulą się pod osłoną niskich pagórków.
5. Każda osada ma własny charakter, harmonogram i historię. Każda ma też swoją krowę. I tajemnicę. (*Do kogo należy ta krowa?*).
6. Każda wioska współdzieli rytm dnia ze wszystkim innym, ponieważ życie wyspy regulują pływy oceanu. Farmy, plaże, skaliste wybrzeże, zwodzone mosty, łodzie rybackie, małże zarzebane w mule, roztańczone sardynki, które wkrótce staną się daniem dnia wypisanym kredą na tablicy przed naleśnikarnią Guerveur, nawet sznury rozchybotanych turystów na rowerach blokujących drogi na wyspie – wszystko zdaje się wzmagać i słabnąć, unosić i opaść, zgodnie z odpływami i przyptywami, które nadchodzą dwa razy w ciągu dnia i dwa razy w ciągu nocy.
7. Jest tu pięknie, często dramatycznie pięknie.
8. Ale jak zawsze, piękno ma swoją cenę. W lipcu i sierpniu jest tu za dużo turystów, chociaż są błogosławieństwem dla lokalnej gospodarki. Istnieje presja, by odsprzedawać pola uprawne pod nowe inwestycje. Problem stanowi zanieczyszczenie środowiska, głównie z powodu przestarzałych szamb. Młodzi ludzie nie mogą znaleźć pracy na miarę swojego wykształcenia i muszą przenosić się na stały ląd. Moja żona Mindy, która opuściła swoje rodzinne Hawaje, wie, że to może być bolesne: gdy człowiek raz wyjedzie, jego życie zmienia się bezpowrotnie.
9. Wyspa targana jest starym i wciąż niezażegnany dramat. Gdy przybywa się do Le Palais, otoczonego murem portu po osłoniętej stronie wychodzącej na francuskie wybrzeże, naszym oczom otwiera się widok śliczny jak z pocztówki. Na zachodnim brzegu, trafnie nazwanym Côte Sauvage, Dzikim Wybrzeżem, wyspa również prezentuje waleczne oblicze, ale pozostaje uwięziona w burzliwym związku ze zdraziecką Zatoką Biskajską i boleśnie odczuwa zmienne nastroje morza. Klify się kruszą, ciemne zwały wodorostów zaścielają plaże, walą się całe rzędy cyprysów, rozdzierając ziemię korzeniami. Rybacy i turyści zostają zabrani przez wodę, by stać się przynętą dla krabów. Po sztormie wczesnym rankiem wyspa próbuje przekonać, że jej sińce nic nie znaczą, mydląc wam oczy rozświetlonymi słońcem mgłami i wyższymi od człowieka hałdami piany gromadzącymi się w zatoczkach i potokach. Ale cień przemocy w jej oczach nie daje wam spokoju. *Nigdy nie odwracajcie się tyłem do morza.*

10. Równocześnie klimat wyspy łagodzi przyjemne lechtanie koniuszka Gólfstromu. Jest tu mnóstwo słońca, mniej deszczu niż na stałym lądzie, zdarzają się też okresy roziskrzanej szklistej ciszy, która latem przynosi czasami coś, co miejscowi nazywają *beau temps*, piękną pogodą: dzień lub dwa ciepłej, bezwietrznej jasności i spokoju o psychodelicznym niemalże charakterze, kiedy to krzyżaki tkają wysadzone diamentami rosy arrasy wzdłuż ścieżek w dolinie, pod nogami śmigają lśniące zielone jaszczurki, a ludzie rozmawiają szeptem pełni instynktownego lęku i czci.

Innymi słowy, ta wyspa nie bez powodu nosi nazwę Belle-Île, czyli Piękna Wyspa.

PO OTWARCIU DOMU

Bonjour et bienvenue, Witajcie!

Jest kilka rzeczy, które trzeba zrobić natychmiast po otwarciu domu. Przeczytajcie proszę uważnie WSZYSTKIE poniższe wskazówki. Po pierwsze, przepraszam, jeśli ocean był wzburzony podczas przeprawy promem. Mamy nadzieję, że nikt nie cierpiał na chorobę morską. Jeśli kogoś jednak dopadła, proszę sprawdzić i oczyścić podeszwy jego (oby nie waszych) butów.

Uwaga: Nie zaczynajcie się rozpakowywać ani pić tego mocnego drinka, choć jest jak najbardziej zasłużony, ani uganiać się za kotami, jaszczurkami czy gwiazdkami filmowymi, żeby nie wiem jak były urocze, dopóki nie wykonacie wszystkich wstępnych zadań. W przeciwnym razie może dojść do małej katastrofy, takiej jak brak gorącej wody do kąpieli, albo i większej, w rodzaju odkręconych kranów zalewających piętro.

Ale być może jeszcze nie dotarliście na miejsce. Może czytacie z wyprzedzeniem (zalecane) albo też, jak my przed trzydziestu laty, przyjechaliście i oto stoicie w samym środku małej wioski, nie mając pojęcia, gdzie jesteście ani gdzie znajduje się chata, którą musicie odszukać, nie widząc nigdzie żadnej nazwy ulicy ani numeru domu. Jeśli jesteście w tej drugiej sytuacji, należy mieć nadzieję, że schowaliście te wskazówki w takie miejsce, skąd będzie je łatwo wyjąć. Bo się wam przydadzą.

Jak znaleźć dom

Wyobraźcie sobie wioskę jako rower leżący na boku wśród pól. Nasze pierwsze pyliste skrzyżowanie to piasta tylnego koła, której szprychy wyznaczają cztery cieniste drogi. Należy wybrać tę po prawej, biegnącą pod górę.

Pierwszy dom, który miniecie, sprawia wrażenie prawie zawalonego lub opuszczonego. W oknach nie ma szyb, a kamienne ściany bez zaprawy murarskiej porasta winorośl, która

zdaje się jedynym, co je przytrzymuje. Może zobaczycie damską bieliznę suszącą się tu i ówdzie na krzakach. Albo małe kotki. Prawdopodobnie nie uda się wam dostrzec Suzanne, zwłaszcza jeśli przeczuła wasz przyjazd czy też w ogóle przybycie kogoś obcego, ale to jej dom.

Następny, w środku naszego szeregu trzech budynków, jest mały wąski domek, pomalowany lśniącą białą farbą, z różowymi i zielonymi zdobieniami pod okapem oraz wokół okien i drzwi. Wszyscy wykrzykują, jaki to on jest śliczny i doskonały, więc śmiało, wy też piszczyć: „Jaki słodki!”. Przywykliśmy już do tego.

Data jego budowy została wryta na nadprożu: MDCCCXLII. Pewnie ta chełpliwa paraantycyzność podoba się turystom, ale do waszej wiadomości: to nie jest nasz dom.

Nasz dom to ten następny, idąc ścieżką w górę, ku niebu i zachodowi słońca. Jest starszy od tego ślicznego z datą – właściwie w całej wiosce zachował się tylko jeden budynek starszy od naszego – ale tym, co robi największe wrażenie na miejscowych, jest fakt, że nigdy nie trzymano w nim zwierząt gospodarskich. Na Belle-Île to świadectwo najwyższej klasy.

Jakby was to ciekawiło, dom został zbudowany ponad sto osiemdziesiąt lat temu, a przez cały ten czas trzeba było jedynie wymienić deski podłogowe i łupkowe dachówki – jedno i drugie raz. Kamienne ściany i większość belek są oryginalne.

Mamy nadzieję, że to wszystko wywrze na was wystarczająco duże wrażenie, żeby odwrócić waszą uwagę od luszczącej się farby, odkrytych kabli i pociętych gwoździ, od popękanych szyb szafki, koślawych mebli, które wyglądają tak, jakby w każdej chwili miały się rozlecieć, od poplamionych smołą zielonych nylonowych sieci rybackich zawieszonych między krokwiami jak hamaki, poczerńiałego komina i tak dalej. Ale mamy świadomość, że sprawa jest beznadziejna. Nic nie zatrze faktu, że właściwie kupiliśmy ruinę, która nadal, po tylu latach, czeka na remont. Dobrze chociaż, że nas tam nie ma i nie widzimy waszych min.

To miał być żart, jakby co. Więc śmiało, śmieJCie się – z tego dowcipu, z tego domu, z nas. Przywykliśmy do tego.

Klucz...

...jest u Suzanne. Tak, właścicielki tej drugiej ruiny w naszym szeregu domów. Ta starsza pani jest naszą bretońską przyjaciółką i była pasterką, zawsze szykownie ubraną w niebieską sukienkę i niebieski fartuch w kwiatki. Jej czarne włosy mogą sprawiać wrażenie, jakby nigdy nie widziały wnętrza salonu fryzjerskiego Elle-Lui Salon du Coiffeur w Le Palais, ale to nieprawda. Suzanne chodzi do fryzjera jakieś cztery razy w roku. Jest koło osiemdziesiątki. To wspaniała ogrodniczka – w całej wiosce rosną jej kwiaty. Chodzi po okolicy z sadzonkami w kieszeniach niebieskiego fartucha i wsuwa je w szczeliny w kamiennych murach i w luki w zaroślach. Myślę, że nimi rozmawia. (W każdym razie porusza wargami).

Jesteśmy prawie pewni, że Suzanne to sekretna druidka, wywodząca się z Wenetów, Celtów czy jak tam nazywa się ta kultura sięgająca czasów przedchrześcijańskich. Wtedy to Rzy-

mianie pod wodzą Juliusza Cezara podbili Galię oraz Brytanię i zepchnęli wszystkich uciekających celtyckich Brytów i Bretończyków do ślepego zaułka, jakim był półwysep zwany Bretanią. Suzanne ma takich właśnie niezwykłych przodków i spędziła całe życie na obszarze o promieniu trzech mil od naszej wioski. Wybrzeże Bretanii znajduje się w odległości zaledwie dziesięciu mil i łatwo przeprawić się tam z Belle-Île promem, ale dla Suzanne równie dobrze mogłoby to być dziesięć tysięcy, jeśli wziąć pod uwagę liczbę jej odwiedzin na stałym lądzie.

Wioska Kerbordardoué zawsze była piękna, ale gdy zjawiliśmy się w niej po raz pierwszy, jej uroda pozostawała w ukryciu. Natomiast odkąd Suzanne wprowadziła się tu przed dwudziestu laty, główna droga prowadząca od jej kamiennej szopy do naszego domu stała się miniaturowym Wiszącym Ogrodem Babilonu, pełnym kiwających wielkimi głowami hortensji, drobnych czerwonych i żółtych azalii, zuchwale rumianych róż, fioletowych hiacyntów, stokrotek, a ostatnio dzięki rozmokłej ziemi w miejscach, gdzie co wieczór płuczemy nasze deski surfingowe i kombinezony piankowe, także delikatnych fioletowo-białych lilii, które Suzanne przesadza tu z odwiedzanych przez siebie bagiennych okolic i ukrytych źródełek.

Jeśli chodzi o samą Suzanne, to jest nieśmiała. Porozumiewa się za pośrednictwem swoich kwiatów, delikatnego jednozębnego uśmiechu i koronek. Kiedy spotkaliśmy ją (a raczej dostrześliśmy) po raz pierwszy, dosłownie przed nami uciekała. Przemykała po wiosce tu i tam, zbyt szybko, by ją dogonić, a co dopiero zatrzymać na chwilę rozmowy. Przez jakiś czas wszyscy nazywali ją *La Femme Sauvage*, Dzika Kobieta.

Zgadzam się, to niefortunne przezwisko. Przestaliśmy go używać po tym, jak dostrześliśmy Suzanne, siedząc przy ogrodowym stole przed domem Gwened, kawalek dalej przy tej samej uliczce. Wśród gości było paru dość nadętych paryżan, wynajmujących dom z datą MDCCCLXII, sąsiadujący z naszym. Ktoś z nich postanowił dla draki zakraść się od tyłu i z zasadzki wyskoczyć na Suzanne, zaglądając nieśmiało przez żywopłot. „*La Femme Sauvage!*” – zaśmiewali się, patrząc, jak z rozwianą spódnicą i fartuchem przeskakuje przez rów niby wielki podstarzały króliczek i ucieka gdzieś w pola. Nie sądzę, by kiedykolwiek było mi bardziej wstyd niż wtedy, bo siedziałem tam i nic nie powiedziałem.

Jestem przekonany, że to przez tych paryżan trzeba było przez cały rok namawiać Suzanne, by wróciła do wioskowego życia. Zajął się tym *le vicomte*, wicehrabia, stary gburowaty patriarcha naszej wioski. Mam nadzieję, że będziecie mieli okazję go poznać. Arystokratyczny, acz demokratyczny w swoim postrzępionym czarnym swetrze. „*Le Vic*” prycha pogardliwie: „*trop snob*”, „co za snoby”, ilekroć jego bardziej wykwinтни goście zadzierają nosa – a wielu robi to w poczuciu, że tego właśnie wicehrabia oczekuje.

Le Vic traktuje Suzanne z pobłażliwą, lecz serdeczną uwagą, zdając sobie, jak sądzę, sprawę, że oboje są przedstawicielami ginącego gatunku – wioskowy hrabia i pasterka – więc mają więcej wspólnego ze sobą nawzajem niż z późniejszymi przybyszami. Jego dom znajduje się na samym początku naszej ulicy, obok ruin, których malowniczą rujnację pieczołowicie podtrzymuje sam *Le Vic*, jego żona Yvonne oraz ich dzieci, Thierry i Philippe, podczas gdy ich własny bielo-ny wapnem dom jest bardzo zadbane.

Nawiasem mówiąc, to właśnie Suzanne wydzierała koronkowe firanki, które zdobią nasze okna, prawdziwe cudowniki. Kiedy ją pozdrowić, rumieni się niczym osiemdziesięcioletnia nastolatka. Więc jeśli niezbyt pewnie czujecie się we francuszczyźnie albo jesteście zdenerwowani lub zmęczeni po długiej podróży, a nadszedł już późny wieczór, nie przejmujcie się. Sama będąc nieśmiała, Suzanne jest biegła w dukaniu.

Ale podczas gdy ona sama unika towarzystwa, zazwyczaj nietrudno ją znaleźć. Na ogół kręci się gdzieś w pobliżu. Jeśli nie ma jej w szopie u szczytu naszej uliczki, sprawdźcie w gospodarstwie, do którego prowadzi droga odchodząca od środka pierwszego tunelu z drzew, którym tu jechaliście. Suzanne regularnie odwiedza tam Madame Morgane, swoją najlepszą przyjaciółkę jeszcze z dzieciństwa.

Madame Morgane stanowi kamień węgielny naszej wioski, nie tyle z powodu aktywności, jak Le Vic doglądający ruin czy Suzanne kwiatów, ale ze względu na status ostatniej mieszkanki osady, która urodziła się tutaj, mieszkała tu i pracowała przez całe życie (nie licząc czterech lat na stałym lądzie podczas hitlerowskiej okupacji). Liczymy się z jej słowami. Jej obecność nadaje wagę przypadkowemu spotkaniu, jej aprobata ma znaczenie. Słowo ostrzeżenia: jej dezaprobata jest druzgocząca.

Ta wdowa po rolniku nosi popularne oraz wpływowe nazwisko i stanowi, wraz z Suzanne, ostatnie ogniwo łączące Kerbordardoué z bretońską tradycją agrarną. (Brzmi to dość pretensjonalnie, wiem, ale oklepane określenie „chłopstwo” byłoby obraźliwe i nieścisłe. Ci ludzie są właścicielami i kowalami własnego losu). Do Madame Morgane należą okoliczne pola, a kiedy tu przyjechaliśmy, posiadała także tuzin krów. W przeciwieństwie do Suzanne wyszła za mąż oraz ma dzieci i wnuki. Z tego powodu zawsze mówi się o niej *madame*, pani, a o Suzanne *mademoiselle*, panna.

Żeby znaleźć klucz do naszego domu, trzeba powiedzieć po francusku: „*Je cherche à Suzanne pour la clé du maison Wallace*”. Dosłownie znaczy to: „Szukam Suzanne dla klucza do domu Wallace’ów”.

Dalej, spróbujcie to powiedzieć: „*Ży szersz. La kle. Dju mezą Łolas*” (Wall-Ass). I proszę, stajcie się nie chichotać¹⁾.

1) Nazwisko Wallace w angielskiej transkrypcji francuskiej wymowy (wall-ass) znaczy „ścienny dureń” lub „ścienna dupa” (przyp. tłum.).

Och, Mindy mówi, że mój francuski znowu jest niepoprawny. Właściwe zdanie brzmi... Super, teraz nie chce mi powiedzieć!

Między sobą lubimy nazywać nasz dom Chez Jeannie, na cześć ostatniej przedstawicielki pierwszej rodziny, która tu mieszkała. Jeannie (Guer'ch) Morgane była ciotką, matką albo babką wielu mieszkańców wioski, w tym również Madame Morgane. Podobno tryskała energią i radością życia. Ale tubylcy, niesentymentalni, jak to wieśniacy na całym świecie (w każdym razie tak czytałem w książkach pisanych przez sentymentalnych miastowych), ku naszemu zdziwieniu nie docenili tego gestu, choć mieliśmy najlepsze intencje. Dla nich ten dom jest nasz i mówią o nim jako o „dju mezą Wall-Ass”. Niezbyt to dla nas pochlebne, zgadzam się.

No dobra, dotarliście na miejsce. Oto dalsze wskazówki:

Elektryka. Kiedy otworzycie drzwi, po prawej stronie zobaczycie oszkloną szafkę. Tam znajdują się włączniki elektryczne i zawory wody.

Woda. W tej samej szafce, na dole, są rury instalacji wodnej wraz z zaworem odcinającym. Otwórzcie zawór do końca. Uwaga: na zimę zostawiamy odkręcone krany, żeby rury nie popękały. Proszę, idźcie od razu na górę i sprawdźcie kurki przy wannie i umywalce, jeśli jesteście pierwszymi użytkownikami w tym roku, bo wtedy krany prychną, a chwilę potem tryska z nich woda.

Bojler. Żeby podłączyć wodę do bojlera, podejście do szafy ściennej naprzeciwko oszklonej szafki. Jest pełna sprzętu sportowego (rakiet tenisowych, kijów golfowych, pletw, masek i fajek do nurkowania, kuszy, kostiumów piankowych, frisbee, kul do gry; możecie z tego wszystkiego korzystać po tym, jak już wykonacie wszystkie kroki tych wskazówek).

Chcicie dopuścić wodę do bojlera. W tym celu zajrzyjcie za zbiornik wody – u jego podstawy przy ścianie zobaczycie czarny przełącznik. Ustawcie go równoległe do podłogi. Powiniście usłyszeć pstryknięcie. **Uwaga: nie dotykajcie czerwonego kurka.** Nikt nie wie, do czego on służy. Sądzimy, że jest połączony z tajemnym rdzeniem gorącej magmy, która znajduje się pod wyspą, a po włączeniu spowoduje światową katastrofę.

Za jakieś trzy, cztery godziny będziecie mieli gorącą wodę. I będzie naprawdę gorąca. Bardzo! Uważajcie, żeby się nie poparzyć. Jeśli jest was więcej, bierzcie prysznic – trzymając w rękę tę końcówkę w kształcie słuchawki telefonicznej połączonej z kranem za pomocą węża. Na pewno dostrzeżecie brak zaslonki prysznicowej, więc proszę, korzystajcie z natrysku, siedząc w wannie. W przeciwnym razie woda, którą rozpryskacie po całej łazience, z całą pewnością przeniknie przez szparę w podłodze, zbierze się na suficie poniżej i wreszcie kapnie – plusk! – na stół w jadalni akurat w momencie, gdy postawicie na nim przed głodnymi gośćmi salatkę, *sole meunière* i tartę cytrynową.

Zazwyczaj wody w zbiorniku wystarcza na jakieś trzy i pół porządnym pryszniców z rzędu pod koniec dnia, po plaży, kiedy najbardziej ich potrzebujecie. Poza tym woda szybko nagrzewa się ponownie. Mimo to ten, komu przypadnie owo ostatnie pół prysznica, będzie się czuł wystawiony do wiatru, więc uważamy, że pomocna okaże się rotacja „pierwszej kąpiel” – przykła-

dowo: „Dziś jako pierwszy bierze prysznic David! Wczoraj rundę rozpoczynał Rory”. W ten sposób nikt nie zamierza, a osoba z upodobaniem okupująca łazienkę – a niewątpliwie taka się trafi – szybko nauczy się umiarkowania.

(Uwaga do rodzeństwa, kuzynów i rodziców takich łazienkowych okupantów: kiedy usłyszycie, że w łazience leje się woda z kranu, możecie uznać za wskazane rozpoczęcie zmywania przy użyciu ogromnych ilości gorącej wody).

Łazienka. Znajduje się na górze. Obok sedesu zobaczycie pudełka z chemikaliami do szamba, które nadadzą wszystkiemu słodki zapach. Należy umieścić dwa opakowania w muszli klozetowej i splukać.

Mimo to czasami da się wyczuć charakterystyczny mdlący zapach, jakby wyciewy unoszące się nocą, kiedy cała wioska żyje za zamkniętymi drzwiami, a okna pokrywają się mgiełką od tych wszystkich kolejnych kąpeli. Należy ignorować ten odór, bo zwracanie na niego uwagi tylko go zachęca.

Tylko dla kobiet: zauważcie, że w łazience znajduje się tylko jedno małe lusterko oraz w całym domu nie ma żadnych innych. Jest to celowe działanie dla waszego własnego dobra. Możecie oczywiście myć twarz oraz czesać włosy rano i po plaży, poza tym jednak zalecamy pielęgnowanie typowego dla Belle-Île wyglądu swobodnego sportowo-nadmorskiego zanie dbania, pasującego do opalenizny Coco Chanel, nad którą pracujecie. To samo tyczy się ubrań.

Nigdy nie przebijecie Francuzek w Paryżu, ale tutaj wszyscy robią sobie przerwę od nadmiernych starań. Te kurortowe nawyki – przebieranie się w nową kreację trzy razy dziennie – możecie spokojnie zawiesić na kołku aż do powrotu na stały ląd. I proszę, zapomnijcie o obcasach. Tradycyjne Bretonki nie bez powodu nosiły drewniane saboty. Nie chcecie przecież ugrzęznąć w błocie z powodu szpilek od Manolo Blahnika. Takie zanie dbanie stanowi osobny styl: *le sportif*.

Och, Mindy mówi, że chyba zglupiałem, jeśli sądzę, że Francuzki się tu nie starają. A niech to... A teraz podkreśla, że nie zapomniała tamtego lata, kiedy to nasza sąsiadka, gwiazdka filmowa, położyła swój ręcznik tuż obok mojego, zdjęła punkrockowy T-shirt i odsłoniła to okropne czarne bikini. Dobra, dobra – nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje, dopóki, no wiecie, się nie stało... (No i nie miałem pojęcia, że patrzysz, skarbie).

Tylko dla mężczyzn: jeśli macie dzieci płci męskiej, dobrze by było, gdyby tatuś zademonstrował, jak działa kłapa od sedesu czy też jak nie działa, kiedy usiłujecie wysikać się na stojąco. W momencie, kiedy akurat najmniej się tego spodziewacie – łup! – kłapa opada jak gilotyina.

Nie przejmujcie się, jeśli spartaczyliście tę prezentację. Nawet jeśli wasz syn zacznie moczyć się w nocy, bo omal nie amputowaliście sobie własnego członka, macie szczęście – nie bez powodu Belle-Île bywa nazywana „wyspą psychiatrów”. W Karbordardoué jest dwóch, kolejni trzech mieszkają w sąsiednich wioskach, a na plaży wszyscy siadają razem, co ułatwia zasięgnięcie nieformalnej porady.

Kuchenka/piekarnik. We Francji używa się propanu do gotowania, co jest ciekawe, jeśli pomyśleć o jego znakomitym kucharskim rodowodzie i o tym, że w Ameryce zbiornik z propanem kojarzy się z grillem w ogrodzie lub z piknikiem na parkingu przed meczem futbolowym.

Pod zlewem znajduje się niebieska butla z płaskim okrągłym zaworem na szczycie. Należy go odkręcić do końca. Oczekajcie minutkę i włączcie palnik, po czym przyłóżcie do niego na próbę zapaloną zapalną. Uwaga: na noc zakręcamy butlę gazową. (Pewnie to już takie neurotyczne amerykańskie podejście, ale kiedy przeczytacie o piekarniku, zrozumiecie nasz punkt widzenia).

Ważna uwaga odnośnie piekarnika: niestety, stał się on tak nieprzewidywalny, że musimy powiedzieć: starajcie się unikać używania go. Pokręta nic nie znaczą, więc możecie sądzić, że go wyłączyliście, a on radośnie napełnia się gazem.

Istnieje przyczyna, dla której te gałki są zawodne. Pewnego popołudnia Devo, starszy kuzyn naszego syna Rory'ego, napełnił kuchenkę gazem, zanim zapalił piekarnik. Wybuch, który w wyniku tego nastąpił, pozbawił go brwi i zapuszczanej właśnie małej bródki. Wyrzucił także pokręta na całą kuchnię. Na obronę Deva trzeba powiedzieć, że próbował tylko zaimprovizować pizzę na cieście francuskim, której zażądał Rory.

Rory wiedział, jak się włączyć kuchenkę, ale był zbyt leniwy, żeby się zwlec z „pe-efa” (jest to skrót, który przyjęliśmy dla „pieprzonego fotela”, czyli dla małej kanapki jak dla lalek, o którą chłopcy biją się każdego dnia). Tak więc Rory dyktował Devowi stosowne wskazówki, wylegając się na pe-efie niby jakiś młodociany Kaligula, tak się jednak złożyło, że ominął część mówiącą o natychmiastowym zapaleniu zapalnej, aż upłynęło parę minut.

Mindy i ja zostaliśmy potem rzecz jasna oskarżeni przez chłopców o to, że poszliśmy surfować zamiast gotować, jak powinniśmy byli na mocy Uniwersalnego Rodzicielskiego Kodeksu Karnego. Zdaje mi się, że jedno pokrętko wciąż jest gdzieś wbite w ścianę. Pozostałe dyndają na kuchence i tylko udają, że działają.

(Słuchajcie, usiłujemy naprawić ten piekarnik od trzech lat, ale fachowcy jakoś zawsze mają co innego na głowie – chociażby tę gwiazdkę filmową, słynną z mordowania twardzieli i noszenia gatek z czarnego błyszczącego winylu, która straszy w tym upiornie białym zamku za wioską).

Aha, przepis na pizzę z kielbasą chorizo z wykorzystaniem gotowego ciasta z supermarketu (nie ciasta francuskiego – Devo improwizował) znajduje się w szufladzie z nożami. Z kolei przepisy na słynną czekoladową piłkę futbolową Mindy i na naleśniki Madame Morgane są w szufladzie z folią aluminiową i korkociągiem. Uwaga: ta nieznośnie gorąca, trzęsąca się i rozpadająca kolejka, którą jechaliście dzisiaj na czubek półwyspu, gdzie znajduje się przystań dla promów, nazywa się *le tire-bouchon*. Korkociąg. Sprytnie, co?

Innych przepisów nie ma, książki kucharskiej też nie. Po prostu kupujcie dobre lokalne produkty i gotujcie. Używajcie masła do jajek i soli, a oliwy do wszystkiego innego, nieważne, czy to zwierzę, roślina czy minerał. A jeśli znajdziecie torbę świeżych sardynek pod drzwiami, nie zadawajcie żadnych pytań – pędźcie prosto do grilla.

Kominek. Działa sprawnie. Kiedy kupowaliśmy ten dom, był to bodaj jedyny pozytywny aspekt w oczach naszego sąsiada Francka. Tak czy owak, nie dokładajcie za dużo do ognia, zwłaszcza na początku, żeby dym zdążył polecieć w górę komina i wysuszyć go po długiej zimie. Ogień w kominku po całym dniu na płazy to miła sprawa. Nie bójcie się przekonać o tym na własnej skórze. W przeciwieństwie do propanu, drewno pali się bez niespodzianek, w przewidywalnym tempie.

P.S. Grill należy wystawić z kominka na prawą stronę domu, tam, gdzie biała ściana styka się z szorstkim kamiennym murem szopy. W tym miejscu właśnie przez całe lato grillujemy te sardynki, które znaleźliście na progu, podobnie jak kotlety jagnięce z mięsa lokalnych jagniąt, pasiaste bassy, makrele, kielbaski merguez i chipolata. Wy też możecie to zrobić!

P.P.S. Rower też należy wydstać z komina, zanim zaczniecie rozpalać. Jeśli uda wam się umocować łańcuch tak, żeby nie spadał, możecie śmiało na nim jeździć. Nie pytajcie, dlaczego tam go trzymamy. To opowieść na inną okazję.

Ryzykowne atrakcje

To dzika i surowa wyspa, co stanowi część jej uroku. Nie jesteście bojącymi dudkami, ale pewne miejsca, sytuacje, pływy i warunki oceaniczne omijamy szerokim łukiem. Na przykład tę piękną rozległą plażę: na Donnant przyplływ sięga siedmiu metrów, a kiedy woda wzbiera, pojawiają się ogromne grzywacze, którym stawić czoła zdołają tylko mistrzowie – dziecko lub słaby pływak mogą mieć kłopoty. Ludzie tam toną. A jeśli chodzi o tę gigantyczną, głęboką na trzydzieści metrów podmorską jaskinię zaznaczoną na wszystkich mapach turystycznych, Grotte de L'Apothicaire, zyskała pocztówkową renomę ze względu na wyjątkowe piękno – a także na to, że co roku pochłania paru turystów.

Na wrzosowiskach nie brakuje kolcolistów i ostów, które mogą porwać wam kostki na strzępy. Zupełnie jak w *Psie Baskerville'ów* jest tu parę skalnych otworów odpływowych, w tym jeden głęboki na trzydzieści metrów, Le Trou de Vazen. Klify od strony Côte Sauvage, Dzikiego Wybrzeża, są bardzo strome i ostre. Ponieważ jest tam tyle zatoczek i grot kuszących was z góry, łatwo można sobie wyobrazić, że wystarczy zejść na dół po tych skalistych żeberkach i zrobić sobie romantyczny piknik na odludziu. No cóż, gdzieś tam to się może udać, gdzie indziej nie. Więc pilnujcie swoich dzieci na skraju Côte Sauvage. I nie traćcie zdrowego rozsądku, zachwycając się tymi oszalamiającymi widokami z góry; tu jest naprawdę wysoko i bardzo łatwo o upadek.

Jakie inne ryzykowne atrakcje czekają tu na was? Żony, zrozumieliście aluzję do gwiazdki filmowej? Chłopy, na przód patrz! Nie rozdziawiać ust i wciągnąć brzuchy. Nie proponujcie jej pomocy domowej. Kobitki, jeśli marzy wam się mała zemsta, spróbujcie flirtu *à la française*. Podobno przyjeżdża tutaj Johnny Depp, a jego dziewczyna na pewno odwróci wzrok. (W końcu jest Francuzką, prawda?). O romantyczne rady możecie poprosić kobietę o wyglądzie Cyganki,

która krąży po wiosce o zmierzchu, cała w pastelowych woalach niczym emerytowana wersja Stevie Nicks. Była kochanką Marlona Brando. Serio.

Powiniem także wspomnieć o bykach. Wygląda na to, że we francuskich rolników wstąpił duch rywalizacji lub też poczuli się zagrożeni w swym statusie i zaczęli kupować byki rozplodowe, zamiast polegać na sztucznym zapłodnieniu. Rzecz w tym, że owi rolnicy bywają cokolwiek niefrasobliwi, jeśli chodzi o dbałość o swoje łagodnie naelektryzowane ogrodzenia; często są to zresztą słabe pojedyncze druty, ładowane akumulatorem samochodowym.

Wiem, że ta przestroga może się wam wydać mocno na wyrost, ale jeśli zauważycie, że wielkie prychnące bydle z ostrymi rogami wykazuje czynne zainteresowanie wami lub waszą czerwoną wiatrówką, jak to się kiedyś przydarzyło mnie, najrozsądniej byłoby wiać w te pędy, zdejmując równocześnie wyżej wspomnianą wiatrówkę i rzucając ją na jakiś krzak, samemu zaś skoczyć do głębokiego wąwozu pełnego kolczastych jeżyn. Ja przeżyłem tę przygodę, więc może i wam się uda.

Zobaczmy... Czy o czymś nie zapomniałem?

A, tak... Za naszym domem droga skręca w lewo i przechodzi w tunel drzew oraz usiany liśćmi podjazd. Gdy będziecie iść pod górę pomiędzy wysokimi przerywanymi żywoplotami, niewątpliwie nieco oszołomieni podróżą i nadmiarem wrażeń, przyciągani zachodem słońca lub też, wczesnym rankiem, popychani łagodnie w plecy ciepłą migotliwą dłonią wschodzącego słońca, uważajcie na czerwony sznurek. Jeśli zobaczycie, że coś takiego zagradza wam drogę, nie idźcie ani kroku dalej.

Gdzieś w pobliżu znajduje się łuczniczka zen, mierząca właśnie z trzymetrowego klejonego warstwowo łuku kyudo. Jest cała ubrana na biało, ma czarną szarfę i czerwoną opaskę na głowę. Przed każdym strzałem medytuje czterdzieści minut. Nie widzi was ani nie słyszy, wpa-
trzona jest w małą białą papierową tarczę, przypiętą w odległości czterdziestu metrów.

Czekajcie.

Czekajcie.

Czekajcie na stukot trafienia. Albo na świst przelatującej strzały.

Potem możecie iść dalej. Nie zatrzymujcie się, żeby się przedstawić. Gwened właśnie toczy wojnę z rakiem, a to poważna sprawa, dosłownie kwestia życia i śmierci. Ma jeszcze jedną strzałę do wyciągnięcia i wystrzelenia tego dnia, waszego pierwszego w Kerbordardoué. Wierzcie mi, nie chcecie wejść Gwened w drogę.

Nagle wypadki

Policja. To nie do końca prawda, że na Belle-Île nie ma policji. Latem dwóch czy trzech żandar-mów zawsze śmiga po rondzie w Le Palais w niebieskich land roverach, wypisując mandaty i sprawdzając plakietki z normami emisji spalin oraz dowody rejestracyjne pojazdów. Pamiętajcie o zapięciu pasów bezpieczeństwa – ich brak to gwarantowany mandat. W Kodeksie Napoleo-na nie ma litości dla tych, którzy nie zapinają pasów.

Na Belle-Île policja naprawdę jest niepotrzebna, bo nie ma tu przestępczości. No dobra, parę lat temu jakiś podstępny złodziej buchnął mi węgiel do grilla i to nie raz, a dwa razy. To dopiero intryga na miarę Agathy Christie!

Ale prawdziwa przestępczość? Bardzo niewiele. Och, oczywiście wszyscy mamy swoje opowieści o ulubionych morderstwach, zarówno tych wyjaśnionych, jak i niewyjaśnionych, ale to są tylko opowieści i wyspiarskie plotki. (Nieudowodniona pozostaje zwłaszcza pogłoska o turystach przyjeżdżających tu, żeby zamordować swoje matki. Cała masa psychiatrów spędzających lato na wyspie uważa za bardziej prawdopodobne, że ta myśl pojawia się dopiero po przybyciu, naj-pewniej po przejrzeniu menu na zamku nad morzem i zorientowaniu się, że nie mogą sobie oboje pozwolić na homara).

Istnieje także niewidzialna, ale ponoć bardzo aktywna siatka przemytnicza, wykorzystująca szybkie łodzie motorowe, które kursują wzdłuż wybrzeża od Portugalii po Kornwalię i wy-mieniają ładunki ekstazy, haszyszu i kokainy, przewożąc jednocześnie nielegalnych imigran-tów z północnej Afryki. To, co i skąd o tym wiem, lepiej zachować na inną okazję i opowiedzieć nad kuflem piwa w hałaśliwym barze dla marynarzy na nabrzeżu Le Palais. (A potem, gdy chwiejnym krokiem będziemy wracać do domu, rozplyniemy się we mgle. Przypadkowi świad-kowie usłyszą głośny plusk, ale niczego nie zobaczą, a nasze ciała nigdy nie zostaną odnalezio-ne). Ogólnie rzecz biorąc, nie będziecie potrzebowali policji. Teoretycznie.

Straż pożarna. Natomiast jeśli zdarzy się wam jakiś nagły wypadek, dzwońcie do straży pożarnej, czyli *Les Pompiers*. Oni zajmują się wszystkim, w tym również wzywaniem pogotowia, ra-towników czy helikoptera ratunkowego. Jeśli ktoś wysadzi dom w powietrze, używając piekar-nika na propan, wpadnie do studni, złamie nogę albo uwięźnie w wąwozie pełnym jeżyn, niech wzywa *Les Pompiers*.

Czy mam ich numer? Nie. My w ogóle nie mamy telefonu.

Otelefonach. Pamiętajcie, że przyjechaliście tu na wakacje, ale jeśli naprawdę musicie zadzwo-nić gdzieś z komórki, będziecie musieli podjechać samochodem, rowerem albo pójść piechotą do głównej drogi, ustawić się przy dwóch menhirach, tych stojących głazach sprzed pięciu i pół tysią-ca lat, i wymachiwać pięścią (trzymającą komórkę, ma się rozumieć) w kierunku nieba, przekli-nając przy tym siarczyście. To w każdym razie najwyraźniej działa w przypadku paryżan.

Och, i pamiętajcie, żeby stać twarzą w kierunku wschodnim – nie z jakichś mistycznych czy religijnych powodów, ale dlatego, że tam właśnie znajduje się najbliższy przekaźnik.

Kwestie zdrowotne. Pani doktor Pleybien, którą możemy polecić w głównym mieście, Le Palais, to energiczna, pełna werwy osoba, o dużym apetycie intelektualnym i erotycznym, który tak mała wyspa może trochę ograniczać. Wspominam o tym dlatego, że niestety rzuciła praktykę lekarską w diabły i popłynęła w rejs mierzącym dwadzieścia metrów słupem z całym harem potencjalnych chłopaków. Podejrzewam, że zostawia za sobą kilwater złamanych serc i rozbitych małżeństw.

A tak w ogóle, jeśli będziecie potrzebowali konsultacji lekarskiej, zapytajcie w aptece w mieście. Myślę, że mogę was zapewnić, iż uznacie francuski system opieki zdrowotnej za rewelację.

Och, a jeśli będziecie potrzebowali psychiatry? Po prostu zapukajcie do którychkolwiek drzwi w wiosce. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jakiegoś znajdziecie. Albo jeszcze lepiej znajdziecie jakiegoś mieszkańca, który tylko czeka na to, żeby zaprosić kogoś na kawę i miłą długą pogawędkę. To może być bardzo krzepiące, nawet jeśli nie mówicie po francusku. Ja nie mówiłem, w każdym razie niewiele, przez długi czas – i spójrzcie na mnie teraz. No, w każdym razie minęło ładnych parę lat, odkąd zaproponowałem komuś, że obetnę mu penisa, będąc święcie przekonany, że proponuję skoszenie trawnika...

A teraz, gdy to wszystko zostało powiedziane, witajcie w Kerbordardoué, najpiękniejszej wiosce na magicznej Belle-Île! Tylko nie dotykajcie tej czerwonej rączki na bojlerze z gorącą wodą.

FAR BRETON

Dzień jak co dzień w Kerbordardoué

Wstaję o ósmej, przed innymi. Latem na tej szerokości geograficznej słońce nie zachodzi przed wpół do dziesiątej albo i dziesiątą, więc mam poczucie, że jest jeszcze wcześniej. Rozkoszując się ciszą i poruszając się niczym bretoński ninja, nastawiam wodę, zapalam kuchenkę gazową, po cichu myję kieliszki do wina, talerzyki deserowe i puste butelki z ubiegłego wieczoru. Ostrożnie otwieram okno na przeciwko jadalnego stołu. Olbrzymi kwitnący krzew ładuje się do środka. Co wieczór trzeba go wypychać na zewnątrz, niczym ostatniego nietrzeźwego gościa. Wdycham przesycone zapachem ziół powietrze, słucham bzyczenia pszczół. Placyk jest pusty, wioska milcząca, niebo różowe od słońca przenikającego przez puszystą nadmorską mgiełkę.

Delikatny chrzęst zwiru pod nogami sygnalizuje pojawienie się Suzanne. Idzie z rękami splecionymi za plecami, a za nią biegnie mały kotek. Kobieta ma na sobie zwykły niebieski fartuch na zwykłej niebiesko-czarnej szmizjerce, ten sam strój, który nosiła codziennie przez ostatnie dziesięć lat, a pewnie w ogóle przez całe swoje dorosłe życie. Kociak doskakuje jej do pięt i trąca brzeg sukienki.

Suzanne podchodzi do wglębienia w murze. Dzięki odnóżkom, które umieściła w wilgotnych szczelinach między nierównymi kamieniami, powstał prawdziwy Wiszący Ogród Babilonu. Jej palce ciągle mają jakieś zajęcie, upychają i poprawiają sadzonki. Suzanne wrywa kilka pędów, żeby schować je do kieszeni fartucha i przesadzić gdzie indziej. Potem znów splata dłonie za plecami i rusza dalej w górę uliczki, mija nasz dom, omiata wzrokiem kwiaty i krzewy rosnące na wąskim skrawku naszego ogrodu, w większości zasadzone i dogłądane przez nią pod naszą nieobecność, kiedy byliśmy w Stanach. Gdyby podniosła wzrok, zobaczyłaby mnie. Ale Suzanne, jak większość starszych mieszkańców wyspy, stara się nie zaglądać w okna ani otwarte drzwi. A w każdym razie, jeśli już to robi, uważa, żeby nie dać się przyłapać.

Syk wody wypływanej przez czajnik wrywa mnie z zapatrzenia i przywołuje z powrotem do kuchenki. Suzanne pewnie i tak wie, że na nią patrzę.

Stuk-stuk-stuk. Gdzieś zaczyna się praca. Wyglądam przez wydziergane przez Suzanne ko-ronkowe firanki w okienku drzwi i dostrzegam krótko ostrzyżoną głowę unoszącą się nad linią spadzistego, krytego dachówką dachu wysokiej obory po drugiej stronie placyku. Trzymając w ustach z tuzin gwoździ, Loup kładzie na miejsce kolejne łupkowe dachówki i stuka *stuk-stuk-stuk*. Kolejna dachówka położona, dziewięć tysięcy wciąż czeka.

Loup, umięśniony facet z ogromnym tatuażem przedstawiającym jego owczarka niemiec-kiego na bicepsie, samodzielnie remontuje długi wąski budynek. Przywrócił kamiennym, budo-wanym bez zaprawy murarskiej ścianom zewnętrznym dawne proste piękno. Sam musiał się nauczyć tej siedemnastowiecznej techniki. Usunął przegrody dla bydła i położył podłogę ze sta-rych, ocalonych skądś dębowych desek, a potem tam, gdzie kiedyś gnieździły się i srały jaskółki, zrobił pięterko. Prorokuję tej oborze świetlaną przyszłość: budynek, który przez czterdzieści lat stał zapomniany i popadał w ruinę, wkrótce będzie można uznać za elegancką zabytkową cha-tę. Paryżanki będą zastawiać sidła na Loupa, ale pomiesza im szyki i przechytrzy je jego pierw-sza miłość, praca. Tymczasem jeszcze jeden szerniały ząb w krzywym uśmiechu Kerbordardo-ué zostanie zrekonstruowany.

Odziana w stylowe bladoniebieskie ciuchy do biegania blondwłosa żona z Zawziętej Pary wychodzi na placyk i robi szybki zestaw skłonów oraz ćwiczeń rozciągających. Piętnaście lat temu para ta kupiła pustą parcelę naprzeciwko nas, pole chwastów poszatkowane zardzewiały-mi żelaznymi przęsłami, które kiedyś podtrzymywały dach jakiegoś budynku gospodarczego. Przyjęliśmy z Mindy utratę naszego widoku – błękitnego pasa morza – ze stoickim spokojem. Sądziiliśmy, że pewnego dnia te przęsła mogłyby stanowić zagrożenie dla naszego syna i in-nych dzieci z wioski.

Ale zanim mieliśmy okazję poznać ową parę, złożyła ona w Mairie de Sauzon, czyli w me-rostwie, urzędzie miejskim, plany budowy ogromnej trzypiętrowej rezydencji. Kiedy wystar-czająca liczba osób rzuciła okiem i je zatkało, Gwened Łuczniczka przeszła do ofensywy z wyko-rzystaniem swego uroku osobistego. Para zmiotła ją w proch. Gwened przedstawiła nasz pro-test w merostwie, ale została odprawiona jako właścicielka jedynie letniego domu, mimo że jej dziadek pochodził z Belle-Île, a ona przyjeżdżała tu przez całe życie.

Kiedy poinformowała mera o przepisach zakazujących wznoszenia trzypiętrowych budyn-ków, potraktował ją protekcyjnie. To przebrało miarkę. Gwened przeszła od domu do domu z petycją, pierwszą, jak mówiono, w historii wyspy. Petycję podpisała mniej więcej połowa wła-ścicieli letnich domów, ale nie my – Gwened miała poczucie, że udział *un étranger Américain*, cu-dzoziemca Amerykanina, przyniesie odwrotny skutek. Rodowici mieszkańcy postanowili nie składać podpisów, tak silna jest tutaj niechęć do narzucania innym swojego zdania. Kiedy Gwe-ned wróciła do merostwa, mer wzruszył ramionami. „Madame, nigdy jeszcze nie przedstawi-no nam petycji i to nie jest moment, żeby wprowadzać takie pomysły”.

Los tej parceli pozostał więc w rękach owdowiałej matriarchini naszej wioski, właścicielki okolicznych pól. Mowy nie było, żeby surowa i powściągliwa Madame Morgane podpisała coś równie nachalnego jak petycja, zgodziła się jednak udać na pocztę, sąsiadującą z Mairie de Sau-

zon, a mer był akurat w urzędzie, którego szeroko otwarte drzwi wychodziły na ulicę. Oczywiście przywitał się z nią. Wdali się w pogawędkę. Właściwie nie poruszali tego tematu. W pewnym momencie on wspomniął drwiąco „o tych wszystkich głupstwach”. Ona odparła, że nowy dom będzie „za wysoki”.

Za wysoki? Mer zmarszczył brwi. Pierwszy plan został odrzucony. Drugi obejmował dwa piętra – ale również ogromne szklane ściany. To akurat było dla mera łatwiejsze do odrzucenia. Rzeczywiście, istnieją przepisy zabraniające takich rzeczy. Belle-Île cieszy się statusem dziedzictwa narodowego, który szczególnie określa kwestię budowy i renowacji budynków.

W odwecie para wybudowała dom bez żadnych okien wychodzących na placyk, co nam całkiem odpowiada, odkąd puste białe ściany porosły nieco bluszczem. Nie pamiętam, żeby w ciągu tych piętnastu lat któreś z nich choć raz pomachało nam na powitanie. Szkoda.

No cóż. Oni nie są stąd. Oni nie są nawet od kogoś, jak powiadają kolesie od maszyny politycznej w Chicago.

My przynajmniej jesteśmy od „kogoś” – i chwala Bogu. Od Gwened. To ona nas tu zwabiła – zaprosiła nas na Belle-Île, gdy przed piętnastu laty wałęsaliśmy się po Europie, po tym jak rozwinęło się nasze marzenie o tym, żeby mieszkać i pisać w Paryżu. Dawno temu Mindy była jej studentką w ramach międzynarodowego programu wymiany uniwersyteckiej. Gwened udostępniła nam swój dom, a w rezultacie zmieniła całe nasze życie.

Żona odbiega seksownym truchcikiem, w klasycznym stylu *le jogging*. Nabieram łyżeczką czarne kopczyki taniej kawy z supermarketu, równie dobrej i aromatycznej co którekolwiek z tych drogich ziaren, jakie hałaśliwie mielę w naszej nowojorskiej kuchni, i nalewam wrzątku do stożkowatego filtra kolebiącego się na czubku brązowego czajniczka modelowanego ręcznie przez naszego skandynawskiego sąsiada garnkarza. Nagle w głowie rozbrzmiewa mi głos: „Mojego własnego jurnego Duńczyka z sąsiedztwa...”.

To żart mojej siostry z jej odwiedzin sprzed roku, trochę nie fair – chociaż garnkarz rzeczywiście laził za Anne po swojej pracowni wśród pól. Ależ miał widoki na to uwodzenie: dorodne żółte główki gryki chylące się na wietrze, dalej ciemny, gęsty, zielony pas cyprysów chroniących od wiatru, a jeszcze dalej bezkresne roziskrzzone stalowoniebieskie morze. Atlantyck. Czysty horyzont.

Jego opalone palce ugniatyły ramię Anne, a znalazłszy więcej mięśni, niż się spodziewał, wykrzyknął po angielsku: „Ale jesteś silna!”. Podniecony, jakby wyobrażał ją sobie ubijającą masło w jego gospodarstwie wikinga albo idącą za pługiem, z niemowlakiem w zgięciu każdego łokcia.

– *Merci* – odparła, przywołując cały swój francuski. Wyrwała mu się, trzepocząc rzęsami. – Niestety naprawdę musimy już iść.

– I pomyśleć tylko – westchnęła Anne tamtego dnia, gdy odjeżdżaliśmy na rozchwianych rowerach, a garnkarz machał żałośnie do naszych pleców. – Gdybym z nim uciekła, moglibyśmy mieszkać w sąsiednich wioskach i odwiedzać się nawzajem w porze podwieczorku.

– Byłoby miło – stwierdziła Mindy.

– Moglibyśmy pić earl greya w filiżankach robionych przez mojego własnego jurnego Duńczyka z sąsiedztwa.

– Anne! – wykrzyknęła Mindy ze śmiechem. *Et voilà!* Ten żart przylgnął do garnkarza jak uszko do filiżanki.

Mindy zawsze mówi, że Anne jest dla niej jak siostra, której nigdy nie miała. Śmieją się razem, żartują, razem surfują w Huntington Beach. Tyle że nie dość często ją widzujemy. Ponieważ w różnych porach dnia Anne jest matką, żoną, macochą, córką, nauczycielką w szkole, trenerką golfa i pisarką, jestem pewien, że nikt nie widuje jej dość często. Mieszkanie na przeciwnych wybrzeżach Ameryki też nie pomaga, co jest naszą winą, bo przeprowadziliśmy się do Nowego Jorku.

Gdy tak tu siedziałem, patrząc, jak kawa kapie do brązowych filiżanek garnkarza, tęskniłem za siostrą i myślałem o tym, jak trudny musiał być dla niej ten wyjazd. Ściągnięcie tu Anne to nasz szalony plan. Złości się, że przez całe życie mieszkała w naszym rodzinnym mieście. Parę razy omal z niego nie wyjechała, ale z jakiegoś powodu przy granicach miasta zawsze zawracała.

Gdy za pierwszym razem już miała uciec z Long Beach na roczne surfingowe safari po Meksyku i Ameryce Południowej ze swoim chłopakiem, ich samochód zepsuł się przy wjeździe na autostradę. Nasi rodzice ostro naskoczyli na chłopaka i młodzi zerwali. Zanim w ogóle o tym wszystkim usłyszałem, Anne była już zaręczona z synem partnera w interesach naszego ojca – facet, o ile wiem, oświadczył się na polu golfowym. Anne urodziła dwoje dzieci, a małżeństwo zaczęło się sypać. Może i wyjechałaby na południe, żeby zacząć wszystko od początku, ale w tym samym tygodniu stwierdzono u niej raka gardła IV stopnia. Rozwiedziona i wyleczona po cudownej operacji i radioterapii, znalazła sobie faceta. Ale on nie chciał się angażować.

Potem pojawił się jej aktualny mężczyzna, stolarz, który surfował i czytał „New Yorkera”. Ideal, prawda? Wyszła za niego. Ale już pojawiły się pewne napięcia. Nastoletnia córka Anne robiła jej straszne numery. A poza tym wszystkim pewność siebie mojej siostry podkopywała inna, głębsza udręka. Zwierzyła mi się, że dostrzegła schemat rządzący jej życiem, i przysięgła, że zwieje któregoś dnia, żeby nie wiem co, choćby tylko do Seal Beach, tuż poza granicami hrabstwa.

Kiedy pomagałem Anne zorganizować ucieczkę na Belle-Île, podsuwałem jej rozkłady lotów i plany przyjazdu całej rodziny. Okoliczności sprzysięgły się, by zredukować liczbę osób tylko do niej i jej syna. Gdy się wahała, dostarczałem racjonalne uzasadnienia wakacji od wybuchowej córki, pracy nauczycielki, od starego psa, kota i roślin, i... ach, tak, od trojga dzieci jej męża w co drugi weekend. Zdecydowanie potrzebowała chwili wytchnienia, argumentowałem. Jak się okazało, skutecznie.

Nie zdawałem sobie natomiast sprawy, jakie to było samolubne z mojej strony. Wszyscy ci ludzie kochali ją i mieli do niej słuszną prawa. Zaczynałem rozumieć, że tak naprawdę chciałem, by potwierdziła mi ważność Belle-Île. Chciałem zobaczyć Belle-Île jej oczami. I obserwoać, jak zakochuje się w tej wyspie. Po tylu krytycznych uwagach naszej rodziny na temat wy-

boru akurat tego miejsca, a nie czegoś bliżej rodzinnej Kalifornii, chciałem, żeby dostrzegła, jak bardzo ta wyspa jest podobna do wszystkich tych idyllicznych zatoczek i plaż Pacyfiku, które znaleźliśmy jako dzieci, zanim pojawiły się buldożery i nowe osiedla. Tu było tak jak wtedy tam, tylko jeszcze lepiej. Chciałem ofiarować to Anne, a potem z pewnością będzie robić tak jak my – starać się tu wracać co roku.

Traktowałem już z Mindy Belle-Île jako nasz wspólny drugi dom, ustanowiony wbrew protestom naszych rodzin. Teraz, jak każda dysydencka republika, werbowaliśmy nowych członków, a ponieważ Anna była jaśniejącym światelkiem, promyczkiem wśród Wallace'ów, postawiłem ją w obliczu konfliktu lojalności, każąc jej wybierać pomiędzy nami a resztą rodziny. Ona to widziała. Ja do tej pory nie.

Kiedy już dopiąłem swego i Anne przyjechała, oczywiście była sobą. Trzeciego dnia pobytu zeszłego lata patrzyła, jak przygotowuję wszystko na piknik w Ukrytej Grocie Pływających Jaszczurek, dokąd wybieraliśmy się z chłopakami. „Chcę zagrać na tym trzynastodołkowym polu golfowym – oznajmiła. – Na polu golfowym Sarah Bernhardt. Pierwszym założonym przez kobietę. Mogłabym potem sprzedać relację magazynowi »Golf for Women« i zwróciłaby mi się większość kosztów podróży”. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się, jakby już czuła dotyk wiatru we włosach. „Ty też możesz o tym napisać, Donny. I ty, Mindy. Możemy zarobić tyle forsy, że starczy nam na codzienne obiady w Hôtel du Fart”.

– Du Phare – poprawiła ją Mindy, śmiejąc się z przekornej wymowy Anne, zniekształcającej nazwę najbardziej malowniczej restauracji na naszej wyspie²⁾. – Wymawia się „far”, a to znaczy latarnia morska.

2) Po angielsku *fart* to dość niecenzuralne słowo, oznaczające pierdzenie, puszczanie bąków (przyp. tłum.).

- Zaraz! A jak się nazywa ten deser, który jedliśmy w Hôtel du Pharrrrt?
- Far Breton.
- Bretońskie ciastko z latarni morskiej?
- Nieceee...

Anne bawiła się tak dobrze, zniekształcając język francuski, że poczułem wręcz zazdrość. Normalnie to była moja rola. Na obiedzie w Hôtel du Phare udawała, że każda pozycja w menu wprawia ją w zakłopotanie, *fruits de mer* stawały się „owocami klaczy”³⁾, a nie owocami morza i tak dalej, aż doszliśmy do gumiatego deseru z jajek i suszonych śliwek, zwanego „Far Breton”.

3) Po angielsku słowo *mare* – klacz, wymawia się podobnie jak francuskie *mer* – morze (przyp. tłum.).

- Zaraz, jak to możliwe, że *phare* oznacza latarnię morską, a *far* ciastko?
- Pierwsze z tych słów jest francuskie, a drugie bretońskie – wyjaśniłem.
- No, myślę, że dla was *Far Breton* oznacza „słodką odległość”⁴⁾ – rzuciła ostrym tonem.

4) Po angielsku słowo *far* znaczy daleko, daleki, odległy (przyp. tłum.).

Kąśliwość ze strony Anne zaskoczyła mnie.

- Jak to?

- Nie wystarczyło wam *Far Breton* – odparła żartobliwie oskarżycielskim tonem. – Musieliście wybrać *Far*, *Far Breton*, daleko, daleko.

- Słuchaj, ja lubię *Long Beach*. – Nasze rodzinne miasto.

- Okazujesz to w dość dziwny sposób, wyjeżdżając dziesięć tysięcy mil stamtąd.

- Tylko pięć. Popatrz na *Mindy*. Hawaje leżą jeszcze dalej.

- Daleko, daleko, daleko. – Anne kręciła głową. Zrozumiałem aluzję: byliśmy za daleko.

Chociaż wciąż nie wiedziałem od kogo, mogłem się domyślić: od mamy.

Jednak Anne nie byłaby sobą, gdyby natychmiast nie skierowała ostrza złośliwości przeciwko sobie samej.

- A ja wciąż nie mogę się wyrwać z *Long Beach*.

To akurat wywołało we mnie wyrzuty sumienia. Miałem poczucie, że czyta mi w myślach, sądzi, że moim zdaniem nie dość korzysta z życia. Tkwi w rodzinnym mieście, skazana na ciągłą powtarzalność. Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

Moje poranne zamyślenie dobiega końca, gdy nasz jedenastoletni syn Rory i syn Anne, David, zbiegają na dół i kłócą się chwilę, w którym z wiklinowych foteli który z nich ma usiąść. Nie ma żadnej różnicy, nie licząc ich ustawienia. Najbardziej upragniony jest odległy kraniec stołu. Mamrocą „dzień dobry”, po czym rzucają się na czekające na nich kubki z gorącym kakao i chrupiące kromki *suedoise* – rodzaju szwedzkiego chleba.

„Ależ tutaj też wszystko jest ciąglą powtarzalnością” – powinienem był odpowiedzieć Anne. Gdyby tylko przyjechała również w tym roku – ale ona zamiast tego przysłała tylko swojego ogromnego nastolatka, żeby nas tu objadał. Na szczęście Kochamy Deva, tego mierzącego metr dziewięćdziesiąt licealistę. Co więcej, przywiózł ze sobą kopertę z pieniędzmi i z napisem „Dajcie mi jeść” na wierzchu.

Mindy była jeszcze na górze i pisała w dzienniku. Teraz schodzi po schodach na kawę i chrupki chleb. Została nam jedynie reszka dżemu jeżynowego w słoiku, ale mamy mnóstwo masła. Tylko we Francji smarujemy chleb masłem. Nie ma sensu robić tego w Stanach; próbowałem, ale smak w niczym nie przypominał niezrównanego francuskiego *beurre*.

Chrupiąc i siorbiąc, chłopcy pochylają się nad szachownicą i zaczynają ustawiać figury.

– Nie! – wykrzykuje Mindy. – Żadnych szachów, dopóki nie sprawdzicie, czy są grzywacze.

Mindy nie może zaplanować sobie dnia, jeśli nie wie, czy są fale.

– Hmm – odpowiada Devo. – Żadnego latania nad wodę, dopóki nie dam mu mata.

Przesuwa swój pionek.

– Nie dostaniecie lunchu, jeśli nie sprawdzicie fal. Hop-hop! Już! – Mindy głośno klaszcze w dłonie. Wczoraj chłopcy zaczęli grać w szachy i nie wyszli z domu aż do późnego popołudnia. To zupełnie rozwala nasz plan dnia, jakkolwiek by on był. Groźba braku lunchu zazwyczaj działa. W przeciwnym razie, jeśli zostawiamy chłopców samym sobie, istnieje poważne ryzyko, że po powrocie w wyniku połączenia apetytu Deva i naszej kuchenki po kilku wybuchach pozabawionej pokręteł nie zastaniemy domu.

– Twój ruch.

– Zrobię wam omlet, jeśli sprawdzicie teraz fale – błaga Mindy.

– Hmm. Z czym?

– Z chorizo, pomidorami i serem gruyère.

– Dobra. – Devo spogląda na Rory'ego. Następnie obaj z łoskotem odsuwają fotele i pędzą do drzwi. Przy klamce dochodzi do szamotaniny, którą Rory przegrywa, będąc o trzydzieści centymetrów niższym i czterdzieści kilo lżejszym od swego starszego kuzyna. Ale jest szybszy i pierwszy dobiega do rowerów opartych o stołółkę Gwened. Z jednego spada łańcuch, z drugiego nie. Dochodzi do kolejnej przepychanki.

– Wreszcie spokój – mruzcę. – Jeszcze kawy?

– Jasne. I omlet.

– Hej!

– Chcę trochę popisać, kiedy jest cicho. Tutaj zawsze panuje taki hałas.

Trochę przesadza, zważywszy, że w Nowym Jorku stękają śmieciarki, śpiewają pijacy, awanturują się bywalcy klubów, prostytutki zaczepiają przechodniów, a potem wyzywają się nawzajem pod naszymi oknami od północy do świtu. Ale wszystko jest względne. Rozumiem to.

Przez okno widzę, jak chłopcy śmigają w dół porytą koleinami drogą. Zaciskam zęby i czekam na łoskot kraksy na zakręcie na dole. Nic się nie dzieje. Dobrze.

Sprawdzanie fal oznacza, że mamy przynajmniej dwadzieścia cztery minuty spokoju – dziesięć minut chłopcy pedałują jak szaleni główną drogą, jadą skrótem przez pola, zjeżdżają w dół zdradzieczą piaszczystą drogą do szosy, znów pedałują jak szaleni aż do skrętu do wioski Kerhuel, przejeżdżają przez Kerhuel, omijając biegające swobodnie kury, śpiące psy i jednookie koty, a potem pedałują jak szaleni aż do klifu i punktu widokowego. Nie da się należycie ocenić fal z końca drogi, więc będą musieli pobiec aż na krawędź klifu, co zajmie im trzy minuty. Wy-magamy od nich szczegółowych odpowiedzi na wszystkie nasze pytania, co oznacza obserwo-wanie fal co najmniej przez dwie minuty, chociaż wolelibyśmy dziesięć. Droga powrotna trwa trochę krócej, bo jest mniej jazdy pod górkę.

– Może zdążymy? – Mindy kiwa głową w stronę schodów i unosi jedną brew.

– No... – Patrzę na zegarek. – Dwadzieścia minut.

Spoglądamy na siebie, odliczając sekundy. Kiedyś chłopcy obrócili w dziewiętnaście. Wymieniamy spojrzenia: Zbyt ryzykowne. Mało odprężające.

– Dobra – mówi Mindy. – Przypilnuj, żeby opłukali nogi przed wejściem do domu.

Wracam do kuchenki. Siekam czosnek i cebulę, kroję plasterki twardej hiszpańskiej kiełbasy chorizo, odmianę Don Moroni, którą co roku szmugluję do Stanów. Na patelni łądają także pokrojone w kostkę zielone papryki i pomidory. Gdy się podsmażają, rozbijam do miseczki sześć jajek, dodaję trochę mleka i mieszam.

Z łopatką w dłoni podchodzę do frontowych drzwi, otwieram je i stoję boso na betonowym schodku, noszącym ślady deszczu i wakacyjnych stóp. Przez skłębione hortensje zasłaniające jej podwórko przed domem i frontowe wejście od strony placyku przedziera się Gwened, trzymając wysoko w górze jakiś papier.

– Och, Don! Mam list od Daniela! – Ma na sobie prostą sukienkę w kwiaty, z głębokim okrągłym dekoltem odsłaniającym intensywną opalenizną i złotą kulkę na łańcuszku wiszącą między piersiami. Na nogach nosi sznurkowe espadryle, które rozślawili Gene Kelly i Brigitte Bardot. Na Gwened zawsze można polegać, jeśli chodzi o efektowne wejście.

Przechodzi na francuski ze względu na mój codzienny trening gramatyczny. Rozmawiamy o Danielu, jej synu, który mieszka w Stanach Zjednoczonych. Znalazł pracę w szpitalu jako specjalista od terapii poprzez sztukę. Życie jest dobre. Jego żona próbuje swoich sił w pisaniu artykułów do gazet. Czy napiszę do niej, żeby przekazać jakieś rady i słowa zachęty? Oczywiście.

Przypominając sobie o kuchennych obowiązkach, rzucam się, żeby zsunąć podsmażone jajzyny na talerz i wlać na patelnię ubite jajka. Gwened macha mi i idzie dalej drogą, z listem w dłoni. Podejrzewam, że zatrzyma się przy prostym kamiennym domku Suzanne. A potem, jeśli Le Vic opala się, a jego synowie i żona pracują w ogrodzie, Gwened przystanie przy białych sztachetkach jego płotu na krótką pogawędkę, po czym ruszy dalej do Madame Morgane.

To znaczy, jeśli nie skręci do domu Wybitnych Uczonych. Tak, chyba do nich zajdzie. Ich córki mają wielki talent muzyczny, wszyscy wróżą im wspaniałą karierę, a skrzypce jednej i altówka drugiej umilają nam wszystkim czas przez całe lato. Potem kolej na Céleste i Henry'ego, wioskowych psychiatrów (Freudystów). Tak, Kerbordardoué to plotkarski raj dla wszystkich, ale szczególnie dla rodziców z syndromem pustego gniazda, takich jak Gwened. Mamy tu wszystko, czego nam trzeba.

Gdy Gwened odchodzi, trzymając w górze list niczym flagę, uśmiecham się. Gdyby tylko moja Anne mogła zobaczyć ją teraz, nie byłaby wobec niej taka podejrzliwa.

– Powiedz mi coś więcej o Gwened – zażądała Anne na początku wizyty. – To jej dom tam, nad naszym? To właśnie ona? Powód, dla którego tu jesteście? Mówiłeś, że jest profesorem.

A poza tym?

– Czarownicą? – odparłem.

– Nie! Chyba nie naprawdę?

– Mama uważa, że próbowała uwieść tatę za pomocą jakiegoś eliksiru.

– Co? Nie wierzę! Mindy, Donny zmyśla, prawda?

– Odprawiała jakieś czary – potwierdziła Mindy. – Na oczach waszej matki rzucała urok na waszego ojca. I to naprawdę na niego podziałało.

– Nie do wiary! Co za dziwaczna historia! Jak niby rzuciła ten urok?

– Pod koniec pobytu wasz ojciec skaleczył się w nogę w hotelowym basenie i rana uległa zakażeniu. Gwened zauważyła to, kiedy piliśmy razem *apéritif*. Więc poszła do swojej studni, wyjęła garść takiego oślizgłego zielonego mchu i zrobiła z niego okład. Przyłożyła mu go do gołeni.

– Opowiadasz jakieś bajki. Oboje zmyślicie. Donny? Czy to prawda, co mówi Mindy?

– Mogę tylko powiedzieć, że to było naprawdę dziwne. Sam nie wierzyłem własnym oczom. Gwened przemawiała do niego kojącym głosem, a tata miał na twarzy błogi uśmiech. Nie potrafił oderwać od niej wzroku.

– Chcesz powiedzieć, że nie potrafił oderwać wzroku od jej cycków – sprostowała Mindy. – Wciąż pochylała się tuż przed nim. Udało jej się jakoś niepostrzeżenie rozpiąć górny guzik.

– I chcesz powiedzieć, że on się dał na to nabrać? Tata? Nieeeee!

– Kobiety mają swoje sposoby. – Mindy przybrała mądrą minę. – A zwłaszcza Francuzki.

– Zdaje mi się, że ona mnie trochę przeraża. – Anne wzdrygnęła się nieco. – I... nie mogę się już doczekać, kiedy jutro przyjdzie do nas na obiad. – Wybuchnęła śmiechem. – Co szykuje?

– *Lotte*, czyli miętusa, pomidory, fasolkę szparagową, chorizo, cukinię, sałatę i kozi ser.

– Ooooh. Donny, gdzie nauczyłeś się gotować?

– Zawsze gotowałem. Jako skaut, w college'u.

– Ale nie tak. Próbowałam twojej kuchni w Santa Cruz. To gdzie?

– Tutaj.

– Kto cię nauczył? Gwened?

– Nie... – Anne wpatrywała się we mnie uporczywie, więc poprawiłem się na krześle i rozpocząłem: – Chyba zacząłem smakować jedzenie, tak naprawdę smakować, kiedy Mindy pierwszy raz zabrała mnie do Francji. Najpierw syciłem się smakiem, później zacząłem zwracać uwagę na składniki, a potem zacząłem praktykować w Nowym Jorku. Miesiąc na Belle-Île, a potem przez resztę roku usiłuję odtwarzać przepisy i smaki. W Nowym Jorku można zdobyć wszystko. No, prawie. Od lat nie jadłem dobrej amerykańskiej brzoskwinii.

– Niesamowite – stwierdziła Anne. – Wiesz, macie tu cały osobny świat. Chcę tu spędzać więcej czasu. Mogę przyjechać w przyszłym roku?

– No chyba! – Ale już wtedy miałem pewne wątpliwości.

Chłopcy wrócili, podjeżdżają na rowerach pod dom i wrzeszczą przez okno.

– Nie ma fal!

– Jesteście pewni? – pytam. – Kto był w wodzie?

– Nie było nikogo.

– Możecie być ciszej z łaski swojej?! – woła Mindy przez mansardowe okno na górze.

– Przepraszamy.

– Myślałam, że oszaleję, słuchając twojej zniekształconej francuszczyzny przez cały ranek.

Musielicie omawiać te wszystkie niemożliwe banały akurat pod moim oknem?

– Pora nakarmić mamusię – mówię do chłopców na tyle głośno, żeby Mindy usłyszała.

Nakarmienie jej oznacza podzielenie omletu – ku zgrozie Deva – oraz pokrojenie chleba i wyłożenie małych kozich serków od znajomej sprzedawczynie serów, która docenia mój francuski. Pomidory, sałata, oliwa i ocet. U dołu schodów wołam: „Lunch!”. Jest dopiero jedenasta, ale jedzenie podsyca dobry humor i wszelki ruch.

A my potrzebujemy ruchu.

Chłopcy wyciągają kusze, maski i kostiumy piankowe i rozmawiają o rybach, które dziś upolują, kiedy wreszcie wyruszymy. Jedzą, po czym wracają do swojej partyjki szachów. Czas staje w miejscu. Chwytam książkę i siadam na cienkim betonowym gzymsie, który biegnie wokół fundamentów domu; przebieram palcami w trawie. Wokół bzyczą pszczoły. Jaskółki zniżają lot i połykają owady. Mija godzina. Król został osaczony, partia poddana.

– Chodźmy! – woła Rory. Ładujemy jaskrawą reklamówkę ze sklepu wolnocłowego i pasiaste torby Lancôme, cuchnące teraz słonymi rybami wnętrzościami i piaskiem, pakujemy do słomkowego kosza ręczniki, termos z gorącą kawą, ciasteczka, piłkę i kij do Wiffle’a oraz „Herald Tribune”.

W ostatniej sekundzie dołącza do nas Mindy, upierając się, żebyśmy przypięli jej deskę surfingową do bagażnika na dachu samochodu. Stary renault zapala, dymiąc i dygocząc. Gdy ja walczę z krztuszącym się gaźnikiem, dodając po trochu gazu, spomiędzy żywoplotów wyłania się jaskrawy samochód gwiazdki filmowej, która mieszka na samej górze naszej uliczki. Gwiazdka ma na sobie okulary w stylu Greta Garbo, a na głowie chustkę japońskiej czerwonej armii, prosto z filmu Godarda (w którym nie grała). Jej jasnowłosej córki, w wieku Rory’ego, nie widać nigdzie, dzięki Bogu. Chociaż może to niedobrze – powinniśmy mieć na nią oko. Dora stała w Hollywood, a w jej wybuchowej naturze jest coś z Lindsay Lohan.

Gdy gwiazdka filmowa przejeżdża, mogę wycofać wóz i wykierować go w dół porytej koleinami drogi. Kołysząc się i buchając niebieskim dymem, przeciskamy się między zbitymi w masę hortensjami Suzanne. Głównki kwiatów uderzające o szyby przypominają mi cheerleaderki wymachujące pomponami ku piłkarzom wychodzącym z tunelu na stadion.

Sześć metrów dalej silnik gaśnie przed domem Le Vicomte’a. „Rick” i Yvonne siedzą w kardiganach i flanelowych spodniach pod parasolem i grają w karty, podczas gdy jeden z ich synów, Thierry, rozebrany do pasa, pali papierosa i ładuje chwasty do otwartego paleniska w pozbawio-

nej dachu szesnastowiecznej ruinie. Wszyscy machają i pozdrawiają nas, gdy usiłuję ponownie uruchomić samochód.

Wreszcie ruszamy pod górę tunelem z drzew. Madame Morgane umyka podjazdem, jej synowa idzie w przeciwną stronę do własnego domu. Witamy się skinieniem głowy. Wreszcie wyjeżdżamy na otwarte pola. Ale tu z przeciwka jedzie inny samochód. To Pierre-Louis i Sidonie, kolejna para psychiatrów – lakanieści – którzy mieszkają dziesięć wiosek od nas. Zatrzymujemy się obok siebie i gawędzimy przez otwarte okna, podając sobie dłonie; umawiamy się na *apéritif* na następną dzień i jedziemy dalej. Jesteśmy prawie na miejscu.

– Boże, tyle czasu zajmuje tutaj zrobienie czegokolwiek! – Mindy wierci się z rozdrażnieniem obok mnie.

Skracamy w lewo i mijamy dawny sklep surferski, przywrócony z powrotem do roli wiejskiej chaty, nie ma też rampy, na której deskorolkowcy ćwiczyli zawrotne ewolucje. Chwilę później przejeżdżamy obok ukrytego za gęstą palisadą z prostych wysokich araukarii domu prawnika pracującego dla Ważnej Gazety.

Po serii serpentynowych zakrętów oraz zjeżdżania z piaszkowych dróg na asfaltowe i odwrotnie, po minięciu posiadłości Majestatycznej Madame, Która Walczyła w Ruchu Oporu i Przeżyła Auschwitz, docieramy do surowej „Village de Merde”, czyli „Gównianej Wioski”, jak na własny użytek nazywamy to chłostane wiatrem skupisko domów, i toczyliśmy się powolnym slalomem pomiędzy kotami, kaczkami, kurami, świnia, grupką małych dzieci w kaloszach, chlapiących się w jeziorach zwierzęcych kup, a wreszcie między końmi i kucami szetlandzkimi, osiodłanymi i gotowymi do jazdy. *Poney Bleu à votre service, Monsieur et Madame! Stages, randonnées, promenades...* Stajnia Poney Bleu do usług, Panowie i Panie! Jazdy na maneżu, jazdy terenowe, spacery...

– Sprawdźmy fale – mówi Mindy na następnym rozdrożu. Chłopcy narzekają, ale wyraźnie mają poczucie winy. Pewnie dziś rano nawalili. Ale też chłopcy zawsze mają poczucie winy.

Mijamy przycupnięte bielone domy, znów wyjeżdżamy na otwarte pola, ostrożnie wyprzedzamy rowerzystów i nieliczne, półprzysłone pary, pchające wózki z dziećmi w szczerym polu. Jest i Dédé, pedałuający na swoim starym gracie. To właściciel ziemski, potężny facet w niebieskim kombinezonie i kaloszach, na wielkiej głowie ma cyklistówkę, w dłoni trzyma blaszane wiaderko, wybiera się na jeżyny podczas przerwy na lunch. „Co jest na lunch?” – pyta Devo. Bo, choć to się wydaje niewiarygodne, nadeszła już pora lunchu.

Droga kończy się pod starym wałem obronnym fortu, rzymskiego albo celtyckiego, wykorzystanego później przez Napoleona, a jeszcze później przez Niemców podczas okupacji. Teraz to tylko porośnięty trawą krąg przy zwirowanym parkingu. Ze skraju klifu spoglądamy na Donnant, najbardziej zmienną plażę pod słońcem. Po jakiejś minucie Mindy podejmuje decyzję, że zostaje, by się przekonać, czy przyływ nie wzburzy choć trochę słabych szklitych fal. Odczepia swoją żółtą deskę i zarzuca na ramiona plecak z ręcznikiem, kombinezonem piankowym i drugim lunchem. Schodzi w dół klifu po wąskim występie skalnym, stąpając pewnie na płaskich stopach z szeroko rozstawionymi palcami – na Hawajach to się nazywa stopy luau. Na

dole paru naszych znajomych surferów unosi się na deskach na lśniącem zielonym morzu i gada.

Skoro mama poszła, atmosfera w samochodzie staje się plemienna. Devo bierze kuszę i wsuwa wiekową kasetę do odtwarzacza. Jest tylko jedna piosenka, która nadaje się na wyprawę z kuszą na ryby: *Stand!* grupy Sly and the Family Stone. Zjeżdżając w dół karbowaną piaszczystą drogą i wzniciając tumany kurzu, śpiewamy na całe gardło, po czym hamuję w samą porę.

Dzisiejsze miejsce do nurkowania to skalisty fiord z plażą pełną okrągłych kamyczków. Kilka metrów od brzegu podziemny strumień tworzy podwodne źródło słodkiej wody na piaszczystym podłożu. Grube łodygi wodorostów kołyszają się w wolnym rytmie fal. Gdy chłopcy dają mi znak, że woda jest w porządku, ruszam pieszo wąską ścieżką pod górę i wracam poszarpanym skrajem klifu Côte Sauvage ku Donnant. Biorę ze sobą pletwy, na wypadek, gdyby była fala, ale jedno spojrzenie na Mindy i resztę, unoszących się leniwie na deskach, wystarcza, żebym wolał zostać sam, ale suchy.

Wracając znów ścieżką nad zatoczkę, czuję, że słońce przybliży się i wydziela potężne fale ciepła nad wrzosowiskiem. Gąbczaste kępki mchu pod moimi stopami wypuszczają maleńkie czerwone, niebieskie i białe kwiatuszki, a kolcolist błyska żółto. Nawet kolce skrzą się zachęcająco. Kiedy docieram na wznoszący się nad fiordem klif, chłopcy znajdują się dokładnie przede mną i pływają powoli jakieś sto metrów od kamienistej plaży. Nurkują głęboko i wynurzają się na powierzchnię, tryskając wodą z fajek do nurkowania.

Idę na dół i sadowię się na płaskiej skalnej półce, która jest w miarę wygodna, kładę się na ręczniku i otwieram gazetę. Co kilka minut dobiega mnie krzyk, Rory i Devo obmyślają strategię, jak wywabić swoje ofiary na otwarte wody. Ucinam sobie drzemkę. Gdy znów otwieram oczy, widzę tłustą żółtawozieloną rybę nabitą na kuszę, którą mierzy we mnie szczękający zębami stwór w szklanej masce i o sinych wargach. Ryba i chłopiec wyglądają uderzająco podobnie.

Na razie nurkowanie na fiordzie zaowocowało pojedynczą *vieille*, wargaczem o miękkim mięsie bez specjalnego smaku. Trzeba uzupełnić go jeszcze jedną rybą, więc wskazana będzie wizyta w Sauzon, najbliższym mieście. Będę musiał tłoczyć się w tłumie na nabrzeżu, kiedy przyplynie łódź. Ta perspektywa sprawia, że delektuję się lekturą „Herald Tribune”, wyciskając do ostatniej kropli wszystkie nieprzydatne informacje z dwudziestu dwóch stron gazety. Tabele finansowe, wiadomości o europejskiej piłce nożnej, włoskiej polityce – jeśli piszą o tym po angielsku, przeczytam wszystko.

Wreszcie chłopcy są zmęczeni, ściągają kombinezony piankowe i kładą się na gorących skałach. Potem ładujemy sprzęt do samochodu i jedziemy piaszczystą drogą, podskakując na koleinach wielkości małych kanionów. Podjeżdżam z powrotem pod stary wał obronny i schodzimy

po skałach, gdzie zastajemy Mindy zmarzniętą i gotową do powrotu. Herbata z termosu i kromka chleba z serem stawiają ją na nogi. Postanawia wrócić do wioski piechotą przez dolinę, żeby się rozgrzać i nacieszyć spokojem w domu. Chłopcy dołączają do gromadki innych dzieciaków grających w nogę na długim mokrym pasie piasku, pozostawionym przez odpływ. Zaczyna się mecz.

Minęła już francuska pora lunchu. W przerwie między piaszczystymi wydmami, tam gdzie *Les Sauveteurs en Mer*, ratownicy, ustawili drewniane schodki pojawiają się plażowicze. Całe rodziny niosą składane krzesła, namioty, parawany, parasole i dmuchane łódki. Małe dzieci płaczą, młodzież biega, sypiąc wokół piaskiem. Zaczyna się stukot niekończących się rozgrywek paddleballa. Ratownicy przechadzają się tam i z powrotem po plaży w jaskrawopomarańczowych kamizelkach ratunkowych i kombinezonach firmy Speedo, nosząc pod pachą wodoodporne krótkofalówki i pletwy do pływania. Ta elegancja sama w sobie jest uspokajająca.

Dla mnie nastał moment: teraz albo nigdy, więc chwytam pletwy i ruszam w stronę wody, żalując, że Rory, Devo i ja nie zastanowiliśmy się lepiej, zanim zawarliśmy nasz pakt, żeby nigdy nie wkładać kombinezonów piankowych do surfowania bez deski. Temperatura wody wynosi szesnaście stopni! Och, czego się nie robi, żeby zaimponować dzieciakom i pokazać im, co to prawdziwa tężyzna i wytrzymałość...

Oczywiście, choć równieź zaimponować Francuzom. Pokazać im, że jesteśmy prawdziwymi Amerykanami, Kalifornijczykami, Hawajczykami, obdarzonymi przez stwórcę nadludzkim wyczuciem oceanu i jądrami, które w lodowatych temperaturach kurczą się do rozmiarów rodzynek. Nie mogę zawieść mojej drużyny. Przeszywa mnie dreszcz, ale zanurzam się w pierwsze sięgające kostek fale i rozpoczynam heroiczną wędrówkę do strefy uderzeniowej oddalonej sto metrów od brzegu.

Czterdzieści pięć minut później wynurzam się i zastaję pół wioski wylegującej się na gorącym piasku. Ludzie podrywają się na nogi i całują mnie w policzki (wzdrygając się, jakie są zimne): Céleste i Henry, psychiatry z naszej wioski; Sidonie i Pierre-Louis, psychiatry mieszkający dziesięć wiosek dalej; Yvonne, żona Le Vicomte'a; i jeszcze garstka znajomych z innych wiosek albo wręcz z Paryża. Gwened leży na ręczniku w dyskretnej odległości trzydziestu metrów – podobnie jak Mindy woli spokój i ciszę, a mniej zgiełku i zamieszania. Określające ów zgiełk i zamieszanie dziwaczne angielskie słowo *rhubarb*, które oznacza również rabarbar, nigdy nie straciło zdolności wywoływania we Francji śmiechu.

Mecz piłki nożnej zostaje zakończony i chłopcy z kilku wiosek układają w kręgu ręczniki, po czym rzucają się na opakowania ciasteczek: Le Petit Ecolier, Sables Beurre Nantais i prawoślazowe pianki w polewie z czekolady i skórki pomarańczowej, których nazwę wypowiadamy z niesłabnącym entuzjazmem: „Gooters”⁵⁾. Dziewczyny przysuwają bliżej ręczniki, przyłączając się do kręgu. Para starszych nastolatek zapala papierosy, wywołując tym zgorzzone spojrzenia dorosłych – nie licząc Sidonie, która zwraca się do jednej z dziewcząt:

5) Słowo to ma w amerykańskim slangu wiele znaczeń, od zwalów tłuszczu na brzuchu przez cipkę po... sraczkę (przyp. tłum.).

– Kopsniesz szluga? *May I bum a smoke?* – pyta po angielsku z kamienną twarzą. Spogląda na mnie? *Bum* jest poprawne, Don? To nie to samo, co *ass*, dupa, prawda⁶⁾?

6) Po angielsku *bum* znaczy wyżebrać, wyludzić, ale także tylek; *ass* to dupa w amerykańskim angielskim; w brytyjskim angielskim *ass* oznacza osła, dupa natomiast to *arse* (przyp. tłum.).

Przytakuje, ale mąż Céleste, Henry, kiwa palcem.

– Nie, *bum* to dupa, ale tylko dla Anglików. Tak, Don?

– Nie, Henry – odpowiadam. – Nie należy zapominać, że dla Anglików, *pour les Anglais* dupa to *arse*.

Mąż Sidonie, Pierre-Louis, uderza się w czoło.

– Och, ależ oczywiście! Słynna angielska dupa.

Dzieciaki czerwienią się, starają się nie okazywać szoku, ale są bardzo zmieszane. Paczka papierosów łąduje z powrotem w torebce. Punkt dla psychiatrów. Wszyscy chichoczą, wymieniając dwuznaczne uwagi i następną godziną mija w plażowej wieży Babel: Francuzi usiłują mówić po angielsku, francuskie nastolatki ćwiczą slang amerykańskich raperów z amerykańskimi chłopcami, a samotny dorosły Amerykanin zwraca się do mężczyzn jako do kobiet, do kobiet jako do mężczyzn, a o samym sobie mówi na przemian w obydwu rodzajach – dla psychiatrów to z pewnością wizja raj.

Znow pojawia się piłka i chłopcy zaczynają rzucać ją do siebie, coraz bardziej przybliżając się do morza. Na ich znak dzwignam się z ręcznika i dołączam do nich – ruch, potrzebujemy więcej ruchu! Bieganie przywraca ciepło moim kończynom. Mija kolejna godzina.

O czwartej słońce wciąż jasno świeci i znajduje się wysoko na niebie, ale według francuskich reguł robi się późno. Ludzie zbierają się i drepczą między wydrami w stronę parkingu. Właśnie kiedy zastanawiam się, co wykombinować na obiad (przegapiłem łódź rybacką w Sauzon), dostrzegam Mindy idącą po piasku ze słomkowym koszem pełnym salami, jabłek, bagietek, buraków z sosem winegret i świeżo upieczonym owalnym ciastem.

– Hmm – mówi Devo, mierząc ciasto wzrokiem. – Czekoladowa piłka futbolowa.

Mija kolejna godzina. Przy Mindy rozmowa przechodzi z powrotem na francuski, zbyt szybka i subtelna jak dla mnie, więc mogę tylko przytakiwać i uśmiechać się.

Tłum na plaży rzednie. Tych dwadzieścia albo trzydzieści osób, które pozostały rozproszone na pół mili piasku i w skalistych zaułkach, należą do specyficznej kategorii plażowiczów: to za-

kochani, zbieracze skarbów wyrzuconych przez morze i kilkoro rdzennych mieszkańców wyspy, którzy przyszli popływać po pracy. Wielu z nich znamy. Wszyscy jesteśmy wdzięczni, że o tej porze dyskretne machnięcia dłonią mogą zastąpić zwyczajowe wstawanie, podchodzenie i całowanie się w policzki.

Głośny gwizd oznacza, że *Les Sauveteurs en Mer* kończą dyżur. Prawdziwi królowie plaży – wszyscy ich pozdrawiają, gdy wolnym krokiem zmierzają do swojej szopy. Henry, Céleste, Sidonie i Pierre-Louis mówią, że też muszą już iść. Nie przyjmujemy propozycji, by dołączyć do nich na *apéritif*, a oni nie nalegają, wiedząc z długiego doświadczenia i z zaskakująco szczerą rozmową, że przy pewnych stanach morza po prostu nie schodzimy z plaży.

Nasza wioska podnosi się jak jeden mąż, wszyscy zbierają ręczniki i ruszają przez wydmy w stronę trawiastej doliny. Wychodząc z plaży, mijają się z kolejną zmianą: to miejscowi surferzy liczący na wieczorną falę. Soliści schodzą po klifach niczym kozy, trzymając deski pod pachą i już ubrani w piankowe kombinezony. Inni wraz z rodzinami przekraczają piaszczystą gardziel kanionu, objuczeni niczym beduińskie karawany.

Jest siódma, a więc przebywamy na dworze od pięciu godzin. Ale dopiero teraz zaczyna się prawdziwa akcja. Nadchodzi przyływ, poranne falki zamieniły się we wzburzone morze z dwiema wyraźnymi liniami pośrodku, załamaniem po obu stronach spowodowanymi skalistymi wysepkami obramiającymi plażę, a nawet porządną płyczną, gdzie szaleją dzieci pod okiem opiekunów. Surferzy to głównie mieszkańcy Belle-Île, ale jest też kilku stałych wakacyjnych gości. Ratownicy schodzą i przyłączają się do nas, zdejmując pomarańczowe kamizelki. Wszyscy są w wodzie!

Dołączam do Rory’ego, Davida i Marca, syna Céleste i Henry’ego, tworząc wraz z nimi brygadę bodysurferów z odkrytą piersią. Skaczymy na główkę i kopujemy nogami w rozpędzonej pianie. Osiem minut później jesteśmy za linią grzywaczy, unosząc się na rozkołysanym Atlantyku i spoglądając na klify oraz złociste piaszczyste wydmy lśniące w wieczornym słońcu. Godzinę później nadal tam jesteśmy, plus minusz kilku przyjaciół, którzy przyszli lub poszli, i szalejemy na falach.

Słońce powoli zachodzi, ale mógłbym przysiąc, że woda jest teraz cieplejsza. To z powodu fal oczywiście – nasze maszynownie są zasilane nieustającym przebieganiem nogami, nurkowaniem, machaniem rękami, a co najważniejsze przyływem adrenaliny przy zjeżdżaniu ze stromego czoła fali, pluskaniu się we wgłębieniu zielonej morskiej rampy oraz pokonywaniu kolejnych odcinków, mijając przyjaciół pływających obok i słysząc ich pełne uznania gwizdy.

Wspinam się na grzbiet wielkiej fali, gdy zaczyna się przewracać, zsuwam się z niej na pierś i kieruję w sam środek wodnej tuby. W środku przez chwilę panuje sycząca cisza, po czym ściany wody implodują. Załamujące się fale wciągają mnie w podwodny świat, który przechodzi od jasności do ciemności, tocząc mnie i obracając. Moje stopy uderzają o piaszczyste dno na głębokości przynajmniej trzech metrów, a fala przewala się nade mną w ciszy niczym wodospad! Mocne przytrzymanie na dnie, po czym zostaję gwałtownie wypuszczony ze zwojów oceanu, który mówi: „No dobra, tym razem cię oszczędzę. Ale nie próbuj tego więcej”.

Daleko na brzegu, na plaży wśród narastających cieni, widzę maleńkie punkciki ludzi idących po piasku. Przybył poobiedni kontyngent. A my wciąż ociągamy się z wyjściem z wody.

LE GRAND DETOUR (ROK ZEROWY)

Nie zawsze tak było. Prawdę powiedziawszy, piętnaście lat temu nie wiedzieliśmy, że Belle-Île w ogóle istnieje. Wtedy jednak, po tym, jak nasza wymarzona podróż do Paryża okazała się niewypałem, Gwened zarzuciła na nas sieć swych czarów. Niczym Kirke w *Odysei* uwięziła nas w królestwie na wyspie. I zanim zorientowaliśmy się, co się święci, było już za późno.

.

Belle-Île ukazała się na horyzoncie: niska, ciemna linia brzegowa pod bezksiężycowym nocnym niebem i szybko przesuającym się szkwałem. Gdy podstarzały, napędzany silnikiem wysokoprężnym prom unosił się na wzburzonych falach i opadał gwałtownie po drugiej stronie, a ściany zielonej wody zalewały zaryglowane okna na głównym pokładzie, Mindy i ja z niepokojem wytrzymałyśmy wzrok, usiłując wypatrzyć jasne światła, które mogłyby oznaczać hotel, kawiarnię na wolnym powietrzu, cokolwiek świadczącego o życiu. Ale zdołaliśmy dojrzeć jedynie parę znaków nawigacyjnych na długim kamiennym falochronie, o który fale rozbijały się na białe koronkowe firanki.

Było po dziewiątej wieczorem w piątkowy wieczór w połowie mroźnego stycznia. Nikt nie miał na nas czekać na nabrzeżu. Gwened uprzedziła też, że po sezonie nie ma żadnych taksówek ani autobusów.

Kiedy poprzedniego dnia zataszczyliśmy nasze plecaki i sponiewierane psychiki na próg domu Gwened w Tours, średniowiecznego miasta, słynącego jako wrota do doliny Loary i jej zamków, sądziliśmy, że pod jej matczyną pieczę spędzimy tam weekend na miłych rozmowach, rozkoszowaniu się boskim jedzeniem i wyśmienitym winem. Nasz objazd Europy, na który oszczędzaliśmy przez ponad pięć lat, okazał się pasmem nieszczęść: Londyn był kosztownym rozczarowaniem, Paryż katastrofą, w panice poleciliśmy do Aten, a następnie z powodu strasznego mistralu odwołano promy i zostaliśmy uwięzieni na greckiej wyspie Santorini – na sześć tygodni! Sześć tygodni tkwiliśmy w białej jaskini, jedząc fetę i kapustę...

Mieliśmy więc kryzys. Okazało się jednak, że Gwened jest w środku własnego kryzysu. Tego wieczoru, gdy przyjechalśmy, jej nastoletni syn Daniel wyrzucił maszynę do pisania z okna sypialni, po czym jej mąż – księgowy z elegancką bródką – wstał nagle od stołu i zszedł do piwnicy na wina podliczać rachunki z całego tygodnia. Rano Gwened po prostu wręczyła nam kartkę ze wskazówkami, jak dotrzeć do jej bretońskiego wiejskiego domu na wyspie, na której urodził się jej dziadek. Poszliśmy na dworzec kolejowy i niczym zombie wyruszyliśmy nad zimne atlantyckie wybrzeże Bretanii.

Roztargniona i szorstka Gwened nie dała nam mapy wyspy ani nawet sensownego opisu położenia wioski. Na szczęście papierowa podkładka pod talerz z kafejki w porcie, gdzie piliśmy ostatnią kawę przed wejściem na pokład promu, ujawniła nam kształt wyspy. Wyglądała jak sola albo flądra leżąca na boku, a to wyobrażenie sprawiło tylko, że zgłodzieliśmy. Ślaniając się pod ciężarem plecaków, zeszliśmy z trapu na mokre kamienne nabrzeże. Wykorzystaliśmy podkładkę, pisząc na niej „Donnant”, nazwę dużej plaży, która – jak sądziliśmy – powinna znajdować się blisko wioski Gwened, i ustawiliśmy się przy szosie z wystawionymi kciukami. Nieliczne auta z promu szybko odjechały. Było wietrznie, zimno, ciemno. Już mieliśmy dać za wygraną, gdy nagle jeden z samochodów, który już nas minął, zawrócił i zatrzymał się przy nas. Brat i siostra, starsi od naszych rodziców, jechali do rodzinnego domu.

– Donnant to nasza wioska, ale my was nie znamy – zwrócił się mężczyzna do Mindy. – A znamy tu wszystkich. Dokąd naprawdę zmierzacie?

Dokąd naprawdę zmierzacie?

Dobre pytanie. Gdyby Mindy trzymała się wytyczonego dla niej kursu, pewnie prowadziłyby praktykę adwokacką w Honolulu, a nie włóczyłyby się z wystawionym kciukiem po francuskiej wyspie. A gdybym ja trzymał się mego przyrodzonego prawa jako Kalifornijczyk w trzecim pokoleniu, również podążałbym inną ścieżką – pewnie miałbym jakąś posesję w gazecie, co by mnie w skrytości ducha nudziło, i zamęczałbym innych przechwałkami, jak to wołałbym wyprawić się do Meksyku, żeby pić mezcal i śpiewać z mariachi.

Zabawne, jak Belle-Île wszystko to zmieniła. Ale najpierw trzeba było tam dotrzeć. A zanim to mogło się zdarzyć, Mindy i ja musieliśmy się spotkać, pobrać i wpakować w ślepy zaułek, z którego nie widzieliśmy ucieczki. To wszystko tak łatwo nam się udało dzięki decyzji, że zostaniemy pisarzami. Podczas gdy nasze uniwersytety dzieliło od siebie siedemdziesiąt mil, kiedy już wkroczyliśmy na ten pisarski szlak, nie mieliśmy innego wyjścia: musieliśmy wylądować w Iowa City, gdzie było właściwie nieuniknione, że jako dwoje mieszkańców Zachodu na warsztatach dla pisarzy wejdziemy do baru, zmierzmy się wzrokiem, wymienimy obelgi i zakochamy się w sobie.

Byliśmy parą lekkomyślnych dzieciaków z wiatrem we włosach, którym się wydawało, że podbiją świat za pomocą przenośnych elektrycznych maszyn do pisania, a teraz zawieźliśmy nasze promienne uśmiechy i irytującą pewność siebie z powrotem w rodzinne strony. Pierwotnie zamierzaliśmy się pobrać w gmachu sądu okręgowego w Iowa City, w końcu jednak przystaliśmy na prawdziwy hawajski ślub w Honolulu.

Zatrzymaliśmy się na weekend w Long Beach, gdzie moi rodzice zarezerwowali duży stół w country clubie, żeby się nami pochwalić. Jeden z najstarszych przyjaciół naszej rodziny podszedł do nas, położył ręce na obrusie i obrzucił Mindy przeciągłym spojrzeniem. „No – odezwał się. – Dzięki Bogu nie jest czarna!”.

To był bezpośredni przytyk do mnie i mego ojca. Kiedy byłem w szkole średniej, w duchu walk o prawa obywatelskie przyprowadziłem czarnoskórego kolegę, Michaela, na grilla do klubu, który nie uznawał dotychczas integracji rasowej. Potem tata zaproponował ciemnoskórego przyjaciela rodziny, Billa, na członka klubu. Kandydatura została odrzucona, a ojca przez jakiś czas unikano i nękanio. Ktoś ukradł mu wręcz buty do golfa z szafki, a co gorsza jego firma prawnicza straciła klientów. Podobnie traktowano mamę, gdy jako przewodnicząca komisji szkolnej narzuciła dowóz dzieci do szkoły autobusem w całym okręgu w ramach równoważenia statystyk rasowych w szkołach średnich.

Przez chwilę byłem zbyt osłupiały, żeby zareagować na tę uwagę na temat Mindy. Potem wstałem i zacząłem wymachiwać pięścią (teraz nie bardzo już pamiętam, jak to się robi), ale na szczęście moi krewni nas rozdzielili. Odwróciłem się do Mindy, która wyglądała na wstrząśniętą. „Witaj w Long Beach, skarbie”.

W Honolulu przyjęto nas znacznie serdeczniej. Na przyjęciu w The Willows kolejni goście podnosili się z miejsc, żeby wykonać na naszą cześć improwizowany taniec hula przy muzyce Irmgard Aluli Trio. To była duża i piękna chaotyczna impreza – Koreańczycy, Hawajczycy, biali Angloamerykanie, Japończycy, surferzy, hipisi i szef policji Honolulu – a potem spędziliśmy resztę lata, pisząc, surfując i grillując z rodziną na Diamond Head.

Jednak i tam były napięcia. Matka Mindy to filigranowa koreańska piękność, zanurzona w pikantnym papykowym sosie *gojujang*, wychowane na plantacji ananasów niegdysiejsze cudowne dziecko, geniusz pianistyczny i seryjna małżonka nieodpowiednich mężczyzn. W miarę jak zbliżał się nasz wyjazd, zaczęła szemrać i chodzić za Mindy po domu. Kilkakrotnie rozmowy przy kolacji koncentrowały się na jej samej lub jej synów żartobliwych opowieściach o „wcirach, jakie dawała mama” – a najgorzej zawsze obrywała Mindy. Gdy zapytałem o to później, usłyszałem, że „mama taka już jest”.

No cóż, mnie tam moja teściowa wyglądała na poważny przypadek doktora Jekylla i pana Hyde'a. Zaczęliśmy wychodzić z domu na całe dnie, a w nocy barykadować się w naszym pokoju. Ostatniego wieczoru przysła do nas o północy, waliła w drzwi i krzyczała, żebym ją wpuścił, bo musi rozprawić się z Mindy i „tą jej śmierdzącą miną” raz na zawsze. Głos miała lodowaty i naprawdę przerażający. Wróciła z kluczem i otworzyła drzwi, ale zasłoniłem własnym ciałem

moją nowo poślubioną małżonkę. Chęć czynienia przemocy była od niej niczym jakieś egzotyczne perfumy.

Uciekliśmy następnego dnia, dotarliśmy do domu późno i spaliśmy spokojnie, bezpieczni i pełni wdzięczności, w mojej dziecięcej sypialni. Rano zesłiśmy na śniadanie zbyt późno, żeby je zjeść z rodziną, bo trochę się poprzytulaliśmy. Na długim stole w jadalni leżał nowy obrus, stały kwiaty i ładne włoskie talerze ze świeżym melonem. Niosłem właśnie Mindy kawę z kuchni, gdzie pocałowałem mamę na dzień dobry, gdy spostrzegłem, że jeden z domowych kotów liże melona Mindy. „Hej! Zmykaj!” – krzyknąłem i zepchnąłem zwierzaka ze stołu.

Trzy minuty później byliśmy już zapakowani i wyjeżdżaliśmy, wyrzuceni przez moją filigranową rudowłosą piękną matkę, grającą na fortepianie, kształconą na elitarnym uniwersytecie córkę plantatorów bawełny z Południa, której arystokratyczne maniery zawsze wydawały mi się równie napuszone jak wata cukrowa. Mama nie była nas, gdy dorastaliśmy, tak jak Dolly Mindy, ale porażający słowny wybuch, jaki wymierzyła w nas, kiedy uciekaliśmy z domu tamtego dnia, przerastał wszystko, czego kiedykolwiek i gdziekolwiek doświadczyłem. A to wszystko z powodu kulki białego puchu imieniem Skarbulek.

Co się takiego stało, że w ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin obie nasze matki niezależnie od siebie osiągnęły tę samą temperaturę wrzenia? W przypadku Dolly można było podejrzewać rozżalenie, że jej jedyna córka wreszcie wyrwała się z domu, by żyć takim życiem, jakiego chciała, zamiast zostać i wspierać rodzicielkę. Dolly także zakończyła swoją edukację muzyczną w Iowa, a nawet była wolnym słuchaczem na zajęciach w ramach warsztatów dla pisarzy. Ale nigdy nic nie zrobiła ze swoim wykształceniem i żyła na koszt rodziców oraz z alimentów na dziecko. A teraz, według jej prymitywnych finansowych kalkulacji, nasze małżeństwo stanowiło zagrożenie dla jej głównego źródła przyszłych dochodów, czyli przypuszczalnie bitej-aż-stanie-się-miękka-jak-glina Mindy, którą ja byłem zdeterminowany wyrwać z jej szponów na zawsze.

W przypadku mojej mamy pewne symptomy również pojawiały się od lat. Nie była urodzonym politykiem, jak tego wymagała jej praca, ani nie zachowywała się naturalnie i swobodnie poza ścisłym kręgiem rodziny. Wzięcie na siebie roli figurantki w walce o prawa obywatelskie w mieście i w szkole, którymi targały zamieszki, stanowiło oczywiście nie lada wyczyn. Ale była to również deklaracja niepodległości wobec jej własnej filigranowej, ognistej, południowej, grającej na fortepianie matki. Jak przekonuje się o tym większość z nas, nie sposób całkiem się wyrwać z matczynego uścisku. Myślę, że nie doceniała także – albo w ogóle nie chciała przyjąć do wiadomości – neurotycznego napięcia wynikającego z jej pochodzenia z południowej rodziny, w której w jej wychowaniu pomagały czarne służące, a później z życia towarzyskiego skupionego wokół country klubu nieprzyjmującego ani czarnych, ani Żydów. Kiedy mama się postawiła – w dniu, gdy klub poprosił ją o wyprowadzenie żydowskiej przyjaciółki z lunchu dla komitetu rodzicielskiego – prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy, że będzie musiała robić to raz po raz przez resztę życia. Gdy poparła szkolne autobusy, naraziła siebie i nas na ponad piętnaście lat obscenicznych telefonów i gróźb śmierci, potraktowanych na tyle poważnie, że

otrzymaliśmy ochronę policyjną. Jestem dumny z mamy: nigdy się nie wycofała. Ale gdy czwórka jej dzieci wyjechała na studia, myślę, że przeniosła trochę za dużo uczuć na koty. Teraz, gdy walka o prawa obywatelskie należała szczęśliwie do przeszłości, nie mogła się doczekać emerytury i życia spędzanego na grze w golfa i brydża. A tu ja naraziłem na szwank jej pozycję towarzyską, grożąc, że dam w mordę staremu rasiście, a do tego strąciłem ze stołu jej ukochanego Skarbulka.

Wyjechaliśmy więc z Mindy. Dobrze jest być młodym, utalentowanym i ratować się ucieczką, ale przydałby się jeszcze jakiś plan. My go nie mieliśmy. W rezultacie parę lat po ślubie znaleźliśmy się w Ivy Towne, w liczącym czterysta lokali kompleksie mieszkalnym w bydłym miasteczku z jednymi światłami ulicznymi w Kalifornijskiej Dolinie Centralnej. Podczas gdy Mindy studiowała na wydziale prawa, ja wiodłem życie tymczasowego pomocnika biurowego, wędrując po różnych specjalistycznych biurach charakterystycznych dla uniwersytetu rolniczego, z których najbardziej pamiętny był Wydział Wiedzy o Mięsie. Minęły długie dwa lata, zanim podłapałem posadę dziennikarza sportowego w lokalnej gazecie „Woodland-Davis Daily Democrat” (nakład dwanaście tysięcy egzemplarzy).

Pewnego ranka, w kolejny deszczowy zimowy dzień, podnieśliśmy głowy znad owsianki i rozejrzeliśmy się dookoła.

„To nie jest mój piękny dom. To nie jest moje piękne życie. I człowiek zadaje sobie pytanie...”.

Mówi się, że Amerykanie mają jedną odpowiedź na wszystkie życiowe problemy, a mianowicie – przeprowadzkę. W naszym przypadku postanowiliśmy pójść na całość i wrócić do naszych pierwszych narzeczeńskich marzeń. Mindy, będąc na studiach prawniczych, dostała stypendium literackie i bardzo chciała zrobić jeszcze jedno podejście do pisarskiego życia. Gdy tylko skończy studia i zda kończący aplikację egzamin, wykonamy naprawdę śmiały ruch i przeprowadzimy się do Nowego Jorku. Tam wciśniemy nasze powieści pierwszemu agentowi, który nie zatrzaśnie nam drzwi przed nosem. A potem ruszymy w dalszą drogę, do Paryża bez biletu powrotnego.

Chociaż finansowaliśmy tę wyprawę z pieniędzy, które dostaliśmy po ślubie na chińską porcelanę, a nie francuską eskapadę, cieszyłem się na myśl, że wynajmiemy w Paryżu przytulne mieszkancko i będziemy pisać przy sąsiednich kawiarnianych stolikach z marmurowym blatem na bulwarze St. Germain. Dobrze będzie strząsnąć z siebie pestycydowy osad z farm pomidorów, otaczających Ivy Town, poczuć, jak to jest wędrować, myśleć i spacerować razem w obcym miejscu, a na granicy poddać kontroli nasze bagaże i nasze amerykańskie troski. Właśnie skończyłem dwadzieścia siedem lat i byłem w stanie przedwczesnego wypalenia trwającą szesnaście godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu harówką jedyne go dziennikarza sportowego w gazecie. Obsługiwałem całą skalę od ośmiolatek z Małej Ligi aż po osiemdziesięcioośmioletniego gracza w kręgle, który właśnie zaliczył swoje pierwsze zbiecie. („Czas do stracenia” – tak zatytułowałem artykuł o tym ostatnim, co z jakiegoś powodu nasz wydawca uznał za obraźliwe).

Nasze rodziny miały oczywiście inne zdanie. Usłyszeliśmy, że nam odbiło, gorzej – że całe życie będziemy żebrakami – takim właśnie prorocstwem obrzuciła nas Dolly, kiedy powiadomili-śmy ją o naszym wyjeździe. Ale nie musieliśmy przed nikim się tłumaczyć: to były nasze pieniądze i nasze życie. Fakt, że znajdowaliśmy się w epicentrum miążdżącej recesji w pewnym sensie okazał się pomocny. Nikt nie chciał zatrudnić świeżo upieczonych prawniczek ani dziennikarzy sportowych z małego miasteczka, zwłaszcza takich, którzy woleliby pisać długie liryczne powieści, jak Mindy, czy też luźne, rozciągnięte powieściśdła, jak ja. I gdybyśmy naprawdę oddali nasze cenne maszynopisy w ręce agentów, może pewnego pięknego poranka obudzilibyśmy się w Paryżu i odkryli, że jesteśmy wielkimi sławami emigracji, jak Fitzgerald, Hemingway i Mailer. Później próbowaliśmy racjonalizować naszego pecha, stwierdzając, że po tym, jak Mindy zdała egzamin kończący aplikację, bujaliśmy trochę w obłokach. Natychmiast zamknęliśmy nasze kalifornijskie życie, oddając wszystko do magazynu albo zawożąc do moich rodziców, a potem zaszyliśmy się w górskiej chatce, żeby dokończyć nasze książki. Tak naprawdę nie było pośpiechu, ale z jakiegoś powodu uparliśmy się przy terminie, który sami sobie narzuciliśmy, żeby we wrześniu móc jechać do Europy. Śpiesząc się ze skończeniem właśnie tego, od czego uzależnialiśmy naszą przyszłość – czyli książek – sprawiliśmy jedynie, że owa wymarzona przyszłość stała się mniej prawdopodobna. Tymczasem, zamiast wyruszyć latem, nasze spóźnienie oznaczało, że przemierzemy Atlantyk w obliczu wczesnej i ostrej zimy. Ale i tak się zdecydowaliśmy.

Pierwszy rozdział tego, co miało być rokiem spędzonym w Paryżu, rozpoczął się w uroczym mieszkanku przy rue Mouffetard, *pittoresque et vivant*, malowniczej i żywej, wciśniętym od góry i od dołu pomiędzy głuchych i wściekłych emerytów, którzy tupali drewniakami, puszczały na cały regulator radio od rana do nocy i wieszali na ścianach kultowe plakietki Waffen SS. Uciekły przed tą społecznością emerytowanych nazistowskich kolaborantów – skórzane szorty powinny były dać nam do myślenia – ledwie zdążyliśmy się wprowadzić do drugiego mieszkanka, gdy jego okna i świetlik w dachu zostały zasłonięte impregnowanym brezentem i robotnicy zaczęły ciąć cienką blachę elektrycznymi piłami i zaglądać do naszej sypialni codziennie o szóstej rano, żeby zobaczyć, czy dobrze się bawimy.

Rozpoczął się właśnie planowany na rok remont budynku, o którym nasz gospodarz zapomniał nas poinformować. Mrok, deszcz, śnieg, pisk elektrycznych pił i stukot nitownic: to nie był Paryż naszych marzeń. Kolejne druzgoczące odkrycie – przyjechalibyśmy o sześćdziesiąt lat za późno, żeby poznać Gertrudę Stein! – pogarszał jeszcze fakt, że co chwila wpadaliśmy na bandy Amerykanów o takich samych udręczonych spojrzeniach.

Gdybym miał wskazać jeden szczegół, który przekuł mój mały balonik pewności siebie – przekonanie, że robimy coś oryginalnego – byłaby to liczba przebywających na emigracji Amerykanów, którzy sprowadzali z ojczyzny papier toaletowy. Możecie mi wierzyć, nic nie zetrze waszych marzeń w drobny mak tak skutecznie jak kolacja w towarzystwie rodaków w szesnastej dzielnicy, podczas której pan domu bierze was na bok i proponuje dobrą cenę za sześciorolkowe opakowanie papieru toaletowego Charmin.

Pewnego zimnego i ciemnego grudniowego dnia pękliśmy i uciekliśmy z Paryża. Następnym przystankiem była Sofia, gdzie przywitała nas zamieć śnieżna, potem Ateny, gdzie ścigała nas ta sama śnieżnica, więc udaliśmy się dalej na Kretę, a w końcu na Santorini. Zanim znów dopadły nas grad, śnieg i wichura, zdążyliśmy wynająć jaskinię zawieszoną na skraju trzystumetrowego klifu nad dymiącą wulkaniczną kalderą. Jaskinia była chłodna, ale miła, otynkowana od wewnątrz, a od zewnątrz bielona wapnem. Zbiornik na deszczówkę na dachu dostarczał wody do kranu i prysznic.

Chociaż dowiedzieliśmy się tego dopiero później, wioska opustoszała po straszliwym trzęsieniu ziemi przed trzydziestu laty – jak znalazł dla pary pisarzy zwiewającej przed wścibskimi i krytycznymi rodzinami, jak również obróconymi wstydliwie wniwecz marzeniami. Gdyby nasza mieszkalna półka skalna wpadła do morza którejś burzowej nocy, zabierając nas ze sobą, nikt by się o tym nie dowiedział.

Bez względu na to, co pisaliśmy w naszej jaskini, dzień po dniu, mieliśmy poważną konkurencję ze strony widoku z łoża na tłący się wulkan, który sprawiał, że mimo najgorszej od dwudziestu lat pogody w Europie, siedzieliśmy z nosami przyciśniętymi do szyby. Żeby nie trząść się z zimna, owijaliśmy się we wszystkie ubrania i co pół godziny piliśmy kawę rozpuszczalną. Żywiliśmy się kapustą, fetą, jogurtem, sardynkami w puszcze i okrągłymi bochenkami chleba.

Mieliśmy jedną jedyną książkę, *Ulisses*, którego pocieliśmy na części do czytania, ręczną maszynę do pisania, którą się dzieliliśmy, i ryżę papieru. Kiedy chodziliśmy na długie wycieczki wzdłuż wybrzeża, z wyrw i szczelin, strzaskanych po trzęsieniu ziemi stoków lypały na nas szkielety, którym zniszczono sarkofagi. W dwóch zadymionych kafejkach na wyspie zamawialiśmy na zmianę góry makaronu albo stosy smażonych stynek podawanych w zatłuszczonym brązowym papierze.

Musieliśmy przyznać, że był to kiepski moment w naszym życiu. Nasze marzenia okazały się śmiechu warte. Nasze powieści odrzucono. Nie mieliśmy pojęcia, co dalej robić. Myśl o powrocie do domu wydawała się wstrętą. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Pamiętam najgorszą dla mnie chwilę. Rozpaczliwie pragnąc dotrzeć jakoś do Mindy, znaleźć coś, co mogłoby ją zainspirować, zainspirować nas, rozłożyłem mapy turystyczne na zimnej podłodze i czytałem na głos nazwy wysp rozrzuconych po całym Morzu Egejskim, Jońskim, Adriatyku. Nic, nic... Mindy milczała zawzięcie. „Moglibyśmy wrócić do Aten... – Zawiesiłem głos, widząc jej minę. – Słyszałem, że na Rodos jest miło. Ale to bardzo blisko Turcji, więc chyba nie chcemy tam jechać”.

– A ty chcesz? – naskoczyła na mnie.

– Nie.

– Więc czego chcesz?

– Chcę, żebyś była szczęśliwa, po pierwsze.

– Dlaczego ja jestem taka ważna? A ty?

– Myślę, że byłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, że ty jesteś.

Wbiła we mnie wzrok.

– Nie mogę uwierzyć, że w ogóle to powiedziałeś.

Powlekliśmy się do tej samej starej kafejki. Na lunch jedliśmy makaron, więc na kolację będą małe smażone rybki. A przecież te małe rybki były cholernie smaczne. Nazywały się *merides*. Jadło się je palcami, jak popcorn.

W jaskini na górze mieszkali nasi jedyni sąsiedzi, którzy mówili trochę po angielsku, włączając w to codzienne pozdrowienie: „Dzień dobry, Ameryko!” wykrzykiwane nam do kominia. Podobnie jak my byli zbiegłymi artystami: Raili eteryczną starszą fińską malarką, a Michele – szwajcarskim rzeźbiarzem uchylającym się od służby wojskowej (paradoksalnie w neutralnej Szwajcarii jest to bardzo poważne przestępstwo). Mieliśmy także władczego młodego gospodarza imieniem Yanni, swego rodzaju oszusta, który wynajmuje niczego niepodejrzewającym turystom jaskinie niezdatne do zamieszkania po trzęsieniu ziemi. Mówił trochę po angielsku i przyniósł nam komplet białych jak kość żłobionych filiżanek ze spodeczkami, w których mieliśmy podawać popołudniową Nescafé jemu i jego przyjaciółom. Yanni wypytywał nas także codziennie o nasze „nowoczesne” małżeństwo: „Uprawiacie seks? W Grecji mężczyzna uprawia seks z żoną tylko raz, w noc poślubną. Potem nie ma seksu”. „Uprawialiście dziś seks?”. „Ile razy uprawialiście dziś seks?”. „Niemka uprawia seks z mężczyzną, a jej mąż nie dba o to. A twój mąż?”.

Doszedłem do wniosku, że musiało być oczywiste, iż nie uprawiamy seksu. Byliśmy zbyt zmarznęci i przygnębieni. Musiał obserwować to każdej zimy. Owszem, uznałem, każdej zimy Yanni doskonalił swoją gadkę i tak długo grał na nerwach nowo pojmanej pary, aż pęknie. I na ogół pękały, rozpadały się, tak jak to ukazują różne opowiadania i zagraniczne filmy – żona szła do owłosionego, pełnego wigoru, zionącego czosnkiem gospodarza-prostaka, który w tej ponurej okolicy uosabia życie, a mąż zabierał swoją zranioną dumę i upokorzoną męskość do tawerny, żeby pić ouzo.

Takie oto przypało nam towarzystwo. Zamiast Hemingwaya, Stein i Fitzgeralda wymieniających *bon moty* w Café Les Deux Magots mieliśmy Yanniego i jego przyjaciół, jego ojca i matkę, w których salonie musieliśmy składać niedzielne popołudniowe wizyty – w ramach rewanżu za pożyczenie nam cennego (jak się okazało) ślubnego serwisu do kawy. My z kolei podejmowaliśmy nocą zwariowaną parę podstarzałych angielskich emigrantów, którzy zarzucali sobie na ramiona plastikową amforę z *nektari* i mówili pijackimi zagadkami. Przyjechali, żeby zobaczyć świeżo odkopane ruiny w Akrotiri, i zostali tak długo, aż sami obrócili się w ruinę.

My nie zatrzymaliśmy się tam na aż tak długo. I nie pękliśmy. Nasłuchaliśmy się dość piosek Joni Mitchell, żeby rozpoznać zagrożenie. W końcu otrząsnęliśmy się z naszych zmartwień i wyszliśmy z tego doświadczenia ze świeżymi głowami i cuchnącymi lanoliną swetrami z szorstkiej wełny. Znów zaczęliśmy chodzić na spacer w deszczu i gradzie, zaglądając do minojskich grobów i prawosławnych kapliczek ze lśniącego marmuru wetkniętych w wąskie górskie koleiny. Słuchaliśmy nawet ze współczuciem, kiedy Yanni oplakiwał swoją utraconą miłość, Niemkę, która przyjechała na lato, a potem ani razu nawet nie napisała. A w rozmowach usiłowaliśmy określić miejsca, które kojarzyły nam się z najbardziej transcendentnymi chwilami naszego życia, żeby stwierdzić, gdzie naprawdę chcemy się znaleźć. Wyglądało na to, że to albo

małe wioski, albo ukryte zakątki większych miast, począwszy od Tonggs, rajy dla surferów, gdzie Mindy dorastała w Honolulu, Idyllwild, górskiej chatki mojej rodziny w Kalifornii, aż po kreteńskie osady, które mijaliśmy w drodze na Santorini: Agios Nikolaos, Kritsia, Lato. W tej maleńkiej wiosce Imerovigli, liczącej czworo mieszkańców, gdzie sięgnęliśmy dna, zaczęliśmy także stawać na nogi. Sądziliśmy, że będzie to ostatni przystanek naszej europejskiej wyprawy, ale ten miesiąc w białej jaskini był tak naprawdę początkiem.

Kreta i Santorini czegoś nas nauczyły: lubiliśmy wyspy. Lubiliśmy ludzi, których przyciągały, i lubiliśmy ich rodowitych mieszkańców. Oraz izolację. Nie przeszkadzały nam sztormy i surowe warunki, jeśli byliśmy na samym skraju. To w Paryżu kompletnie się rozsyпалиśmy. Wyglądało na to, że cywilizacja nam nie służy. Może tak jak zagubiona nowoczesna para z filmu katastroficznego klasy B musieliśmy stanąć nad przepaścią wychodzącą na wulkan, żeby się otrząsnąć.

W Boże Narodzenie szliśmy przez rynek Thiry, miasteczka położonego w centrum wyspy, gdy jakiś mężczyzna wybiegł z gmachu poczty. „Telefon do państwa!” – pokazywał na migi i krzyczał. Niesamowite, ale dziadek Mindy z Honolulu, Peepaw, przez kilka godzin czekał na linii, płacąc za międzynarodowe połączenie, na wypadek gdyby jego ulubiona wnuczka akurat przechodziła obok. A miał ważne wieści. Mindy zdała egzamin kończący aplikację: była prawniczką i mogła otworzyć własną praktykę.

Gdy wszystko przegadaliliśmy, Mindy zadzwoniła do pani profesor, u której zostawiliśmy na strychu namiot i sprzęt kempingowy, żeby umówić się na odebranie naszych rzeczy w drodze powrotnej. Bo wracaliśmy do domu. Przeżyliśmy naszą przygodę. Sen się skończył. I, wiecie, właściwie poczuliśmy ulgę, że wreszcie się obudziliśmy.

Pani profesor mieszkała w Tours, gdzie Mindy spędziła rok jako studentka Uniwersytetu Stanforda. Jak wielu z nas, którzy chcą zostać pisarzami, Mindy trochę szalała na studiach. My, młodzież z Zachodu, lubiliśmy ręcznie skręcane papierosy albo przynajmniej bez filtra, a whisky czystą. Mieliśmy zdecydowane poglądy: potrafiliśmy wyklócać się o wyższość pisania ręcznie nad pisaniem na maszynie! Pijani resztkami lat sześćdziesiątych potrafiliśmy także w bardziej szalone noce kołysać się w upojeniu w obskurnych salach koncertowych, takich jak Fillmore i Winterland, słuchając The Grateful Dead, Jefferson Airplane i Quicksilver Messenger Service.

Oczywiście w głębi duszy byliśmy dobrymi, grzecznymi dzieciakami z wykształconych mieszczańskich rodzin, niemniej jednak w tamtym roku w Tours Mindy obracała się w środowisku znacznie od siebie starszych i bardziej wytwornych osób, usiłujących opanować reguły francuskiego życia i języka, wykładane przez budzącą respekt Madame Guedel.

Gdy Mindy podjęła wyzwanie, Madame G przekonała się do niej, a po zakończeniu semestru zaprosiła ją, żeby została dłużej i doświadczyła życia w prawdziwym francuskim domu ze wspaniałą atmosferą słodkiej cywilizacji, sztywnymi zasadami, ustalonymi porami, formalno-

ścią męża o szpiczastej bródce, który zasiadał u szczytu stołu, zarządzał piwnicą na wina, a w środy i soboty śpiewał w średniowiecznym chórze, groźnym napięciem niczym z Truffauta bijącym od jej nastoletniego syna Daniela marzącego o karierze pisarskiej, no i z samą Gwened, z którą teraz mówiły sobie po imieniu i która na progu swego domu zamieniała się z pani profesor w symbol żeńskiej Francji, strażniczkę domowego ogniska oraz kapłankę kuchni, dobrych manier, kultury, a zwłaszcza rozmowy. Można powiedzieć, że Gwened opanowała chaos, jaki pozostawiła po sobie Dolly, i dała Mindy matkę, która zachowywała się jak matka, mogła wiele ją nauczyć, a przy tym miała cierpliwość i stanowczość, by tego dokonać, matkę zdolną odwołać się do lepszego wcielenia Mindy – które byłoby *n'est-ce pas?*, francuskim wcieleniem – i nigdy, przenigdy nie podniosłaby na nią ręki. No więc zostało to powiedziane.

Dzwoniąc z budki telefonicznej w Thirze, Mindy wybuchnęła płaczem, gdy usłyszała głos swojej nauczycielki. „Wydajesz się zmęczona, Mindy – powiedziała Gwened po chwili taktownego milczenia. – Myślę, że po powrocie powinniście pojechać do mojego domu na wyspie, żeby odpocząć i dojść do siebie”.

„Mój dom na wyspie”.

A gdzie to jest? – spytała Mindy, pociągając nosem. Bo na pewno nie na Hawajach, gdzie matka pewnie rzuciłaby w nią zastawą stołową. Na Belle-Île, skąd pochodził dziadek Gwened. W Kerbordardoué, gdzie Gwened kupiła stary wiejski dom i powoli, stopniowo, zgromadziła kawałki ziemi i budynki gospodarcze, żeby stworzyć sobie schronienie.

Teraz to mógł być nasz azyl.

Musieliśmy popatrzeć na mapę, żeby w ogóle znaleźć Bretanię, a potem Zatokę Biskajską. Sama wyspa nie została uznana za wystarczająco dużą, żeby ją zaznaczyć – była to pewnie jedna z kropek rozrzuconych na głębokim błękitnym morzu. Ale przyjrzeliliśmy się okolicy i usiłowaliśmy mniej więcej określić jej położenie na podstawie posiadanej wiedzy. Wreszcie popatrzyliśmy na siebie i zadaliśmy sobie pytanie: dlaczego po miesiącu spędzonym na tak odludnej wyspie jak Santorini mielibyśmy od razu wyruszać na inną wyspę, niemal równie odludną, do wioski, która wydawała się tak odizolowana od świata jak Imerovigli, w dodatku w środku zimy? Dlaczego po prostu nie spakować plecaków i nie wrócić do domu?

„Więc czego chcesz?” – spytała Mindy w chwili naszego najgorszego kryzysu na Santorini. Pozornie nic się nie zmieniło. Żadne z nas nie potrafiło odpowiedzieć na to pytanie. Ale i tak się zgodziliśmy. Zupełnie, jakbyśmy musieli przemierzyć cały świat w poszukiwaniu tej właściwej wyspy i nie mogli spocząć, póki jej nie znajdziemy.

TRZECIA WYSPA

Trzy lata później nasza druga zima w Nowym Jorku była najgorsza w całej dekadzie. Zbyt wiele razy tłoczyliśmy się z Mindy w zbitym tłumie na przystanku autobusowym, brodząc w zaspach rozmokłego brudnego śniegu i gapiąc się na jakiś plakat biura podróży, umieszczonego tam, żeby nas kusić. Na zdjęciach prawie zawsze znajdowała się jakaś karaibska albo grecka wyspa – jak na złość, często nasze własne Santorini. Wraz z innymi *misérables*, nieszczęśnikami, wpatrywaliśmy się w te plakaty bezwstydnie, półprzytomni z tęsknoty. Też chcieliśmy takiej wyspy. Kto by nie chciał?

Pewnego zimowego dnia, kiedy stałem na korytarzu przed naszym ciasnym, nielegalnie podnajętym mieszkankiem, ściągając przemoczone buty, Mindy podeszła do drzwi, trzymając w ręku kartkę złożoną na troje: list. Z chwilą gdy zaczęła czytać go na głos, uderzył piorun. Nagle przemówili bogowie. Wybrali ludzki głos, żeby nas nie odstraszyć – głos kobiety mówiącej z francuskim akcentem. Znajomy głos. Gwened Guedel pisała, żeby „przekazać nam pewną wieść”, jak to oryginalnie ujęła. Usłyszeliśmy ją wśród grzmotów – chyba że to moje serce tak waliło:

„Mały domek, w dość marnym stanie, został wystawiony na sprzedaż w wiosce”.

Gwened Guedel nie była tak naprawdę boginią, ale za to pierwszą Francuzką, jaką kiedykolwiek spotkałem. A na podstawie opowieści Mindy stworzyłem sobie jej imponujący wizerunek, zanim jeszcze poznałem ją osobiście. Wrażenia, jakie zgromadziłem przez lata – od tamtej pierwszej zimy jeszcze parę razy odwiedziliśmy Belle-Île – uszkładały się na błyskotliwą, lecz surową postać dobrej wróżki, bajkowej matki chrzestnej: swoją różdżką mogła wyczarować nam złote pantofelki, ale także przemienić nas w osły.

Ponieważ Mindy zawsze chodziła wokół Gwened na paluszkach, mnie też się to udzieliło. Jej intelektualna energia była wyczerpująca. Nawet w kuchni skakała i dźgała, lekka i zwinna, jakby brała udział w walce na noże, w której rolę arbitra pełnił *Larousse Gastronomique*: „Uważaj, cielaku! *En garde, ma tête de veau!*”. Drobną i modną, bardziej zmysłową niż inne znane mi pa-

nie profesor, zdawała się wabić mężczyzn, by skupiali się wokół niej, cały czas twierdząc, że interesuje ją jedynie ich umysł.

Przede wszystkim jednak Gwened bawiła się w nauczycielkę. Przy każdej okazji korygowała akcent i gramatykę Mindy. Analogicznie, obniżając poprzeczkę o dobrych kilka stopni, zadawała sobie trud, by uświadomić mi moje edukacyjne i kulturalne braki. Oczywiście nieumyślnie. Chociaż może jednak. Dla Gwened umysł był wszystkim. Wszelkie braki należało rozpoznać i rozprawić się z nimi sumiennie i niezwłocznie. Liczyła się wiedza. I kultura. *Sans blague*, bez żartów, ależ ta Gwened była kulturalna! Co nie przeszkadzało jej zastawić na nas sieć z bezwzględnością godną agenta nieruchomości.

„... w dość marnym stanie...” – powtórzyła Mindy, trzymając list w dłoni i patrząc na mnie. Uśmiechała się. Ja też. „Marny stan” mógł oznaczać tylko jedno: tanio.

Czy byliśmy stuknięci?

Może lepszym słowem byłoby: oczarowani. Chociaż żartowaliśmy sobie z tego, w Gwened Guedel naprawdę kryło się coś z czarownicy – w nowoczesnym, szykownym sensie, jak z Updike’a. Chociaż nie potrzebowała jasnowidzenia, żeby się domyślić, że ta konkretna wioska na wyspie zapadła nam w pamięć.

Mimo to fakt, że napisała do nas ni z tego, ni z owego, był bezprecedensowy. Minęły trzy lata, odkąd stanęliśmy przed jej domem – a ona następnego ranka pokazała nam drzwi, wykrzykując tylko za nami: „Jestem pewna, że wyspa wam się spodoba!”.

Nasza wizyta miała potrwać tydzień albo dwa, ale przeciągnęła się do miesiąca, a potem do dwóch. Odzyskaliśmy z Mindy radość życia, po czym nabraliśmy jej jeszcze trochę, aż dokonaliśmy nowego odkrycia na własny temat: nie potrafiliśmy stamtąd wyjechać. Nasze rodziny w Stanach, a nawet sama Gwened dawali nam do zrozumienia, że pora wracać i stawić czoło rzeczywistości, ale my niczym para Piotrusiów Panów nie chcieliśmy dorosnąć. Głupio mi to przyznać, ale Gwened musiała nas wyrzucić.

Ale ta nasza niechęć do wyjazdu musiała zrobić na niej wrażenie, bo napisała do nas tak, jakby to było wczoraj. Bo też dla nas właściwie było. Jako niewolnicy codziennej nowojorskiej harówki spoglądaliśmy wstecz na „czas na wyspie” jak na okno, przez które pewnego dnia znów będziemy mogli wyjść na zieleńszy, zdrowszy świat.

Mysleliśmy o Belle-Île podczas ciemnych nocy, kiedy musieliśmy dość do siebie po jakimś niepowodzeniu, na przykład wtedy, gdy zostałem zaproszony na drugą rozmowę w sprawie pracy do „New Yorkera” tylko po to, żeby być świadkiem, jak redaktor bierze telefon i umawia mnie na spotkanie w czymś zwanym „MotorBoating & Sailing”, gdzie będę „bardziej pasował”. Albo wtedy, kiedy agent Mindy zadzwonił z informacją, że niechący zapodział gdzieś maszynopis jej powieści na cały rok, przez cały czas zwracając się do niej „Penny”. Albo z kolei taki

drobiazg, jak znalezienie utopionego i ugotowanego karalucha w sietczku do herbaty po tym, jak skończyliśmy już rozkoszować się earl greyem.

Po takich nowojorskich chwilach pocieszaliśmy się sielskimi wiejskimi scenami, naszymi skarbami, które mogliśmy w każdej chwili wyjąć i potrząsnąć nimi, żeby je ożywić, niczym widoczki w kryształowych przyciskach do papieru. W słoneczniejsze dni, kiedy nabieraliśmy na tyle śmiałości, żeby snuć plany na przyszłość, jedno z nas rzucało czasem pytanie – w rodzaju: „Moim marzeniem byłby mały domek w takim miejscu jak Kerbordardoué. A twoim?”. „Też”.

Więc oczywiście propozycja Gwened pochlebiła nam, co bez wątpienia było zgodne z jej intencją. Co jednak nie zmieniało faktu, że ten pomysł zakrawał na szaleństwo. Kiedy człowiek żyje za siedemnaście tysięcy dolarów rocznie, kupowanie wiejskich domów na wyspie nie należy do pierwszej dziesiątki priorytetów finansowych.

Poza tym już zamieszkaliśmy na wyspie – tej dużej, zwanej Manhattanem – choć muszę przyznać, że robiła co mogła, by nas z siebie strząsnąć, tak jak pies otrząsa się z pcheł. Trzymaliśmy się resztkami sił, pracując na posadach dla świeżych absolwentów w wieku trzydziestu lat. No i były Hawaje, gdzie Mindy urodziła się i wychowała. Jeśli potrzebowaliśmy wakacji na wyspie, zawsze mogliśmy zatrzymać się u jej mamy w eleganckim, starym, opanowanym przez termity domu przy Diamond Head, żeby tłoczyć się w nim z jej czterema braćmi i dawać odpór chłopakom mamy, jeść koreańskie resztki i surfować praktycznie tuż za progiem. Ale oto objawiła się Gwened, z pałającymi oczami, oznajmiając nam, że potrzebujemy jeszcze jednej – trzeciej – wyspy oddalonej o trzy tysiące mil. I stało się coś, czego nie rozumiem do dziś, po tylu latach: posłuchaliśmy jej.

– Nie zaszkodzi chyba zapytać, ile kosztuje – powiedziałem.

Mindy kiwnęła głową, myśląc to samo, co ja: tanio.

– Odpiszę jej.

– Dom w Kerbordardoué. Ciekawe który to.

– Zadzwońię do niej.

Mindy położyła dłoń na czarnym bakelitowym telefonie ściennym, jednym z reliktyw z lat czterdziestych w naszym mieszkaniu, które składały się na duszną atmosferę kapsuły czasu. To było oczywiście wyzwanie. Czy nadal byliśmy szaleni? Lekkomyślni? Nieskrępowani? Czy naprawdę sądziliśmy, że jest jakikolwiek sens podążać tą ślepą uliczką, poza tym, że umocnimy w ten sposób wcześniejsze złe decyzje i będziemy podsycać marzenia, które doprowadziły nas do tego, że żyliśmy w podziemiu, korzystając z czarnego rynku mieszkaniowego, co wymagało od nas ciągłej czujności, pilnowania, żeby nie rzucać się w oczy niczym uciekinierzy przed wy-miarem sprawiedliwości?

Innymi słowy, czy to nadal byliśmy my?

Minął miesiąc, dwa, trzy. Temat ciągle powracał. Ulubionym środkiem komunikacji Gwened był odręcznie napisany list w dumnej angielszczyźnie, którego ułożenie niewątpliwie przedłużało cały proces. Każdy musiał przemierzyć Atlantycką, zostać przeczytany i przedyskutowany, po czym Mindy odpowiadała staranną francuszczyzną, trzymając słownik pod ręką. Wszystko to ciągnęło się jak dziewiętnastowieczna powieść epistolarna. Wreszcie jednak Gwened zdobyła klucz i mogła obejrzeć wnętrze. Poinformowała nas: „Z żalem donoszę, iż dom nie jest w dobrym stanie”. Najbardziej jednak zmartwił ją brak ogrodu. Żeby nie mieć nawet tarasu, gdzie można by siedzieć po południu, ani miejsca na zasadzenie kwiatów – to nie do pomyslenia. Nic dziwnego, że dom tak długo czekał na nabywcę. „Nie mogę w dobrej wierze doradzać wam jego kupna – napisała Gwened. – Dopóki nie przepatrzę nieruchomości w innych wioskach”.

Byliśmy rozczarowani. Przyzwyczailiśmy się już do myśli, że to nasz dom, w naszej wiosce, na naszej wyspie. Zaczęliśmy już oszczędzać pieniądze, na wszelki wypadek.

Przez długi czas Gwened nie pisała. Rozumieliśmy to. Miała swoje nauczanie, rodzinę w Tours, presję wynikającą z bycia przedstawicielką *La France Féminine* zajmującą się mężem, jego piwnicą z winami i nastolatkiem, który rzucił maszynami do pisania. Wiedzieliśmy, że może odwiedzać Belle-Île tylko podczas wakacji szkolnych. Ale po paru miesiącach my napisaliśmy do niej. Odpowiedź przyszła miesiąc później, z informacją, że rozejrzy się po wyspie latem. Minęły kolejne miesiące.

Zanim znowu napisała, upłynął prawie rok.

Drodzy przyjaciele,

załączam listę dostępnych domów na Belle-Île. Jak widzicie, ten dom w sąsiedztwie jest najtańszy. Oglądałam jeszcze inny za 120 000 franków, ale to ruina, wilgotna, pozbawiona słońca. Słońce jest dużą zaletą domu w Kerbordardoué. Oczywiście, twierdząc, że w lipcu i sierpniu nie jest zbyt przyjemnie, bo wszyscy tam parkują.

Cena wynosi obecnie 300 000 franków. Nie sądzę, żeby było możliwe jej obniżenie. Należy doliczyć podatki (+12,5%) oraz przynajmniej 200 000 franków na to, by móc tam zamieszkać. Dach jest pełen dziur i trzeba go wymienić. W środku jest jeden kran z zimną wodą, ale nie ma umywalki.

...Po rozważeniu wszystkiego, jestem przekonana, że to nie jest zły interes. Byłam w środku i zaskoczyło mnie, że dom jest całkiem suchy i zdrowy. Na górze możecie urządzić dwie albo trzy sypialnie, na dole ładną, dużą kuchnię, mniej więcej wielkości mojego średniego pokoju, sypialnię i mały pokójek. Za jakieś 550 000 franków – w sumie – możecie mieć ładny dom. Oczywiście wszystko trzeba odbudować.

...Byłabym szczęśliwa, mając Was jako sąsiadów. Pomogłabym Wam, jak tylko zdołam, jeśli chodzi o doradzenie dobrych firm budowlanych na Belle-Île. Na Wasze szczęście jeden dolar jest teraz wart z 10 000 franków.

*Przesyłam serdeczności dla Was obojga
Gwened*

Wróciliśmy do punktu wyjścia. Dom nadal nie miał żadnego terenu na ogród, wyglądało na to, że coś nieprzyjemnego dzieje się z parkowaniem w okresie letnim, a dach miał dziury. Można by pomyśleć, że coś z tego (albo i wszystko razem) powinno skłonić nas do zastanowienia.

A jednak ta myśl nie chciała umrzeć. Co sprawiało, że tamtej drugiej zimy wciąż pisaliśmy listy i rozmawialiśmy przez telefon z Gwened Guedel? Nie mieliśmy na to ani czasu, ani pieniędzy, w ogóle nie powinniśmy myśleć o wypach, wioskach i domach. Nawet teraz naprawdę tego nie rozumiem – ani nas. Wiem tylko, że oboje bardzo chcieliśmy się wyrwać. Z tego świata, z naszego życia, z wykonywanej pracy, z czasów, w jakich żyliśmy.

Im dłużej Gwened do nas mówiła, tym szerzej otwierały się nasze umysły. Może myślenie o niej jako o czarownicy nie było zbyt uprzejme z naszej strony, zważywszy na jej wcześniejszą szczodrość, dobre manieri i surową profesorską postawę. Ale nie było też całkowicie bezpodstawne.

Bo kiedy Gwened mówiła, my naprawdę widzieliśmy.

Bo to mogło być nasze.

W każdym razie tak nam podszeptywali bogowie.

Słyszeliśmy. Widzieliśmy. Teraz, kiedy zamykaliśmy wieczorem oczy, kiedy budziliśmy się rano, kiedy kołysaliśmy się w rytm metra szarpiącego na zakręcie i kiedy się krzywiiliśmy, słysząc przeraźliwy pisk hamulców, widzieliśmy naszą wyspę.

Kiedy szliśmy na północ od Hell's Kitchen w West Fifties i nagle znaleźliśmy się w małej zaniedbanej dzielnicy francuskich pralni chemicznych i restauracji o brudnych szybach, z *escargots à la Bourguignonne* i *crêpes Suzette* w menu, widzieliśmy naszą wyspę.

Kiedy poszliśmy zobaczyć zagraniczny film w starej Thalii i okazało się, że to *Biznesmen i gwiazdy*, dziwna, oszałamiająca opowieść o małej wiosce na północy Szkocji, widzieliśmy naszą wyspę. Można powiedzieć, że widzieliśmy wyspę wszędzie i we wszystkim.

Tak naprawdę postrzegaliśmy ją przez pryzmat zawodnej pamięci. Podczas naszej pierwszej wizyty przypominaliśmy rozbitków, wdrapujących się na ląd i usiłujących się rozeznać w obcym miejscu, którego język i obyczaje są dla nich niezrozumiałe. Byliśmy oszołomieni, niezdarzni i niepewni, przede wszystkim jednak wdzięczni za to, że żyjemy, i pełni nabożnej czci dla miejsca, które nas ocaliło. Wszystko, co tam napotykałymiśmy – każda muszla, cienista dróżka, kamienna chata i mieszkaniec wioski – było dla nas pierwsze w swoim rodzaju i stanowiło archetyp dla wszystkich innych.

Trzy lata później wyspa, o której marzyliśmy i którą wyczarowała dla nas Gwened, była głównie zmieniającym kształt odbiciem naszej prywatnej mitologii. Jeśli chodzi o niepodważalne fakty, wszystko, co o niej wiedzieliśmy, zmieściłoby się pewnie na pojedynczej kartce papieru. Ale mieliśmy poczucie, że rozpoczęła się następna faza naszej podróży. Nie mieliśmy już nad nią kontroli.

Gdybyśmy się teraz zatrzymali, musielibyśmy żyć z goryczą wobec naszych poronionych marzeń, wiedząc, że oblałymi swego rodzaju sprawdzian – sprawdzian Gwened. Tak, w pewnym sensie to wszystko sprowadzało się do niej. Kto inny miałby czelność pisać do pary zagu-

bionych Amerykanów, przyzywać nas, chwytac nas za metaforyczne karki i obwieszczać wcale nie tak oczywistą prawdę z nieprzejednaniem wieszczki:

POTRZEBUJECIE. TEJ. WYSPY.

PIERWSZY RZUT OKA

Z zewnątrz dom był plamistoszary, biała farba dawno wyblakła, pod okapami widniały plamy, a gdzieś tam strupy odkruszonego tynku. Popękany i podziurawiony dach zapadał się niczym grzbiet starej szkapy. Odrapane okiennice wisiały krzywo na zawiasach, część listewek była wylamana. Szyby były popękane albo całkiem powybijane; w dziurach rozciągały się pajęczyny, gęste od kurzu i zwłok atakujących tłumnie owadów.

Należał do szeregu budynków, z których żaden nie wyglądał na zamieszkania. Na północnym krańcu z tego, co paręset lat temu mogło być czyimś domem, pozostał jedynie stos kamieni. Na końcu południowym, u dołu wąskiej, porytej koleinami drogi stała surowa, pozbawiona okien kamienna szopa. Były dwie kandydatury na nieruchomość, która miała być nasza: pierwszą stanowił mały kwadratowy, kanciasty budynek z dwójgiem okien i datą wrytą nad drzwiami, kryjący w sobie pewien potencjał, no a drugą... o rety... czy to naprawdę może być ten?

Dwa lata później, po długiej i wyczerpującej przeprawie – podróż tutaj, ściśle biorąc, zajęła nam dwa dni: najpierw samolotem, potem wynajętym samochodem i statkiem – wreszcie staliśmy przed naszym domem. Oto był, po dziewięciu latach wynajmowania bungalów i mieszkań, pierwszy dom, który mogliśmy naprawdę nazwać naszym własnym, znajdujący się dogodnie dwa i pół tysiąca mil od miejsca, gdzie rzeczywiście mieszkaliśmy. Serce podeszło mi do gardła. To szaleństwo było całkowicie moją winą. Usiłując nie patrzeć, jak Mindy wymiotuje, mogłem myśleć tylko o jednym: „O mój Boże, co ja narobiłem?!“.

Mindy tak naprawdę widziała to po raz pierwszy w tej właśnie chwili, bo chociaż oboje wyjeżdżaliśmy pamięć po tym, jak Gwened poinformowała nas, że dom wystawiono na sprzedaż, za nic nie mogliśmy sobie przypomnieć, jak właściwie wygląda. Mimo że podczas tamtego zimowego pobytu przechodziliśmy tuż obok niego codziennie przez trzy miesiące, nie potrafiliśmy wskazać go wśród innych. Pewnie odruchowo odwracaliśmy wzrok. Co powinno dać nam do myślenia. Warto było także wcisnąć pauzę, kiedy szef Mindy nie zgodził się dać jej urlopu,

żeby mogła polecieć i obejrzeć dom. Mnie udało się wywalczyć pozwolenie na podróż zagraniczną, ale miałem tylko dwadzieścia cztery godziny na Belle-Île, podczas których musiałem dokonać oceny i podjąć decyzję. Mindy nalegała, żebym leciał sam, chociaż mój mówiony francuski z trudem nadawał się nawet do zamówienia *un grand café*. Zasięgnąwszy porady francuskiego prawnika na Manhattanie, zapisała mały notesik wyrażeniami i pytaniami, po czym wepchnęła mnie do samolotu. *Bon voyage!*

A teraz pomimo tego, co zobaczyłem i czego pożałowałem podczas mojej bohaterkiej wyprawy, trzymałem w garści ciężki klucz z kutego żelaza. Nasz klucz. Tymczasem Gwened i jeszcze jeden sąsiad, Franck, czekali grzecznie, aż Mindy skończy wymiotować. Jak gdyby można się było spodziewać takiej reakcji podczas oględzin swego świeżo kupionego domu.

Mindy była w ciąży, co odkryliśmy kilka tygodni po tym, jak powiedziałem: *oui, oui, oui* naszej nowiutkiej ruinie. Jej długie włosy opadły ku ziemi, kiedy zgięła się w pół, blada, nie tylko od porannych mdłości, lecz również po naszej wczorajszej wizycie w jednogwiazdkowej restauracji w drodze na prom. Mindy po raz pierwszy od miesiąca pozwoliła tam sobie na drinka i musiała pójść na górę do toalety. Olśniona widokiem kwitnącej gruszy w ogrodzie na tyłach lokalu, szarpnęła zamknięte okno, żeby poczuć także zapach.

Okno nie otworzyło się jednak do środka, tylko na zewnątrz, a moja biedna dziewczyna została uderzona w tył głowy. Kiedy się ocknęła, wisiała za oknem, z rękami w powietrzu i tyłkiem w górze, zupełnie nie pamiętając, jak się tam znalazła. Zeszła na salę dopiero po półgodzinie. Kelnerzy, którzy ze stoickim spokojem zabrali nasze przystawki z powrotem do kuchni, podali je ponownie pod srebrnymi kloszowymi przykrywkami, w żaden sposób nie okazując, że coś jest nie tak. Ponieważ tamtego dnia było tam tylko dwoje innych gości, być może naprawdę uważali, że nic się nie stało.

Mindy potrafi zachować kamienną twarz, kiedy chce. Nie przyznała się, co zaszło w Chez Melanie, dopóki nie skończyliśmy jeść, nie zapłaciliśmy i nie ruszyliśmy w dalszą drogę – podobnie teraz: wyprostowała się, otarła usta, rozejrzała się dookoła i spytała radośnie: „Czy drzwi już otwarte? Możemy wejść do środka? To na co czekamy?”

Nie próbowałem interpretować wyrazu twarzy Mindy ani czytać jej w myślach. Miałem jedynie przytłaczające poczucie pomyłki i wyczerpania. Bo to nie był dom. Miał podobno sto pięćdziesiąt pięć lat, ale wydawał się znacznie starszy. Wyglądał jak kompletna rudera.

– Widzicie kamienie użyte do budowy ścian i fundamentów? A dachówki? – zagadnęła Gwened pogodnym profesorskim tonem. – Pochodzą z kamieniołomu w wąwozie za moim polem.

Widzieliśmy ten kamieniołom, teraz porosły drzewami i krzakami jeżyn. Szkoda, że dachówki były popękane, połamane i poplamione pomarańczowym liszajem, tak że nadawały się tylko do wyrzucenia. Nie minęło pięć minut, odkąd złożyłem podpis na umowie kupna, gdy notariusz poinformował mnie, że jeśli przed zimą nie położymy nowego dachu, dom się zawali. Z pewnością była to pochopna ocena. Czekaliśmy na drugą opinię, z ust prawdziwego eksperta, który właśnie jechał spotkać się z nami, architekta i przedsiębiorcy budowlanego, nazwiskiem Denis LeReveur.

Wymieniliśmy pełne niedowierzania uśmiechy, kiedy po raz pierwszy usłyszeliśmy, jak się nazywa: Denis Marzyciel?

Stanęliśmy pod frontowymi drzwiami i obaj z Franckiem wspólnymi siłami pchnęliśmy je delikatnie, acz zdecydowanie, aż otwarły się ze skrzypieniem. Stare deski uginały nam się pod nogami, gdy zaczęliśmy iść przez kuchnię, ale nie zaszliśmy daleko, bo nagle Franck zapadł się prawie po kolana. „O-la-la! *Quel désastre!* Co za katastrofa!” – wykrzyknął, wpatrując się w zaginione łydki i stopy. Nasza ulga, kiedy się roześmiał, ograniczyła z histerią.

Od tej chwili stąpaliśmy ostrożnie jedynie w miejscach, gdzie belki podtrzymywały podłogę od spodu. Chwyciłem Mindy za łokieć, gdy oboje wpatrywaliśmy się w kominek, w nagą czarną dziurę paleniska, skąd rozchodziły się po ścianach wąsy sadzy. Wyglądały jak macki ośmiornicy. Brzydkie dziury obrysowane czarną puszystą pleśnią wskazywały miejsca, gdzie kiedyś znajdowały się kuchenka, zlew i blat. Kuchenne ściany były całe w plamach i żółtym nalocie – śladach starego, liczącego sto pięćdziesiąt pięć lat tłuszczu, przyskającego naokoło. Po lewej stronie widniały drzwi. „Czy tam jest sypialnia?”. W progu Mindy stanęła jak wryta na widok wilgotnego odpadającego tynku i wiszących pourywanych kabli elektrycznych. Zupełnie jakby pokój wyciągał do niej gnijące trupie ramiona. Patrzyłem, jak rozgląda się po izbie. Gdy zacisnęła wargi, uświadomiłem sobie nagle, że ta mroczna jak grobowiec przestrzeń, z jednym tylko oknem wychodzącym na placyk, przypominała układ naszego nowojorskiego mieszkania. Mindy uwielbiała otwierać okna na przestrzał i kochała naturalne światło. Nienawidziła naszego mieszkania. Dlaczego wcześniej nie dostrzegłem tego niefortunnego podobieństwa?

– Wiem, to wymaga pracy. Ale mówiłaś, że jeśli...

– Czuję pleśń.

Co za rozczarowanie. Gdy usłyszeliśmy o nim po raz pierwszy – „mały domek w wiosce!” – wyobraziliśmy sobie, że będzie jak chata Gwened po drugiej stronie drogi. Zakochaliśmy się w tych ciemnych niskich belkach stropu, w oknach z koronkowymi firankami, w białych, ręcznie tynkowanych ścianach obwieszonych miedzianymi rondlami i talerzami z Quimper. Gwened opowiadała nam co prawda o latach pracy, którą musiała włożyć w odremontowanie swojej chaty, ale nie słuchaliśmy jej.

Głupio przyznać, ale mieliśmy niejasne wrażenie, że nasz dom będzie podobny do jej. Że stał pusty, ale nienaruszony, niczym chatka z piernika z baśni braci Grimm, gotowa do natychmiastowego zamieszkania, gdy tylko usunie się Babę Jagę stojącą przy drzwiach pieca.

Ale nie. To była ruina, prawdziwa katastrofa. To nawet nie był dom – już nie. To kiedyś był dom i może znów nim będzie. Ale na razie mogliśmy powiedzieć najwyżej, że wymagany będzie: remont ekstremalny. Okruszki ciasta sypane przez Gwened doprowadziły nas do ruin domu. Co powinienem był przewidzieć, ale byłem zbyt ślepy, żeby to zobaczyć, zanim złożyłem podpis na wykropkowanej linii.

– To był zawsze najbardziej słoneczny dom w całej wsi – powiedziała Gwened, jak zawsze nieprzejednana. Słyszałem zgrzyt stali w jej głosie. To nie moment na wahanie. Przyjechali-

śmy tu po to, żeby nakreślić plan ataku. – Wyschnie, kiedy usunie się stary tynk. Ściany są z kamienia. Teraz nie buduje się już takich domów.

– Nie mogę oddychać! – Wstrząsana atakiem kaszlu, Mindy szarpała torebkę. Gwened zmarszczyła brwi. – Duszę się!

Mindy na osłep przepchnęła się obok niej i popędziła do drzwi po skrzypiących i trzeszczących deskach podłogi, które na szczęście wytrzymały. Wyszedłem za nią i przytrzymałem jej torebkę, żeby mogła wygrzebać inhalator. Z wytrzeszczonymi oczami wciągnęła dawkę albuterolu, odczekała pół minuty i zaaplikowała sobie jeszcze jedną.

Sapiąc z oburzeniem, potrząsnęła rdzawą grzywą.

– Super, ten dom uaktywnia moją astmę. – Znałem już ten szybki, paniczny oddech i przewracanie oczami z wypraw na pogotowie. Nagle chwyciła mnie za przedramię. – Dziecko! Myślisz, że to zaszkodzi dziecku?

Otoczyłem ją ramieniem, nie dotykając jej jednak, bo wiedziałem, że to tylko nasili jej klaustrofobię.

– Nie martw się. Dziecku nic nie będzie. Dom też przetrwa. Wszystko się ułoży. Słyszałaś Gwened. I pamiętaj, że stał zamknięty przez pięć lat. Potrzebuje tylko trochę słońca i świeżej farby. Zobaczysz...

Byłem prawie przekonany. Ale przez otwarte drzwi widziałem, że Gwened i Franck są pograżeni w rozmowie i mają bardzo poważne miny. Franck wykonał większość prac stolarskich w domu Gwened, żeby dorobić sobie do tych marnych groszy, jakie zarabiał na czarterowaniu żagłówek. Był w naszym wieku, pracował jako nauczyciel w liceum, zanim przeniósł się na Belle-Île wraz z żoną, Ines. Bardzo się z nimi zaprzyjaźniliśmy podczas tamtej zimy w wiosce i cieszyli się z naszego powrotu. Ale wyraz twarzy Francka był posępny.

– Skąd weźmiemy pieniądze? – spytała Mindy.

– Nie musimy z niczym się śpieszyć – odparłem. – Możemy poczekać do przyszłego roku z rozpoczęciem remontu. A do tej pory dostanę awans i podwyżkę...

– Ale dolar spada teraz.

Wśród wielu ciekawych rzeczy, jakich Mindy nauczyła mnie o Francji, obsesja dotycząca kursów walut była chyba najbardziej ezoteryczna, tuż obok umiejętności odróżnienia obdartego ze skóry królika od obdartego ze skóry kota na stoisku mięsnym przy rue Mouffetard. Ale szybko zaskoczyłem, kiedy 3,41 franka w stosunku do dolara przełożyło się na: „Nie będzie croissantów na śniadanie, *mon amour*”.

Tak działo się podczas mojego pierwszego pobytu we Francji, wtedy kiedy Ameryka była słaba. W ostatnim roku, pomiędzy pierwszym listem Gwened w sprawie domu a moją wizytą na Belle-Île dwa miesiące temu, ta proporcja zmieniła się na 10 do 1, w efekcie obniżając cenę niemal o dwie trzecie. W tym roku także, mając na celu kupno tego domu – wciąż niewidzianego, za to wyobrażanego – Mindy podłapała pracę w magazynie „*Glamour*”, a ja dostałem podwyżkę w „*MotorBoating & Sailing*”. Obciążliśmy wydatki i oszczędzaliśmy każdy grosz. Braliśmy dodatkowe zlecenia, ubiegaliśmy się o stypendia literackie, startowaliśmy w konkursach.

I niesamowitym trafem nasze wysiłki opłaciły się. Obie powieści, nad którymi pracowaliśmy, dostały nagrodę James Michener's Copernicus Society w wysokości siedmiu i pół tysiąca dolarów. Ja otrzymałem także nagrodę Meksykańskiego Ministerstwa Turystyki w wysokości pięciuset dolarów za artykuł o Baja California i przywoziłem do domu komplet walizek od Amerykańskiego Stowarzyszenia Suwaków (nie zmyślam) za rysunek satyryczny przedstawiający namiot w Central Parku zaprojektowany po to, by pomieścić rosnące ego Donalda Trumpa.

Spotkało nas tyle dobrego, że oboje zaczęliśmy wierzyć, iż Belle-Île i Kerbordardoué przynoszą nam szczęście. Wyglądało na przykład na to, że nie mogłem wziąć udziału w lunchu prasowym albo konferencji i nie wygrać czegoś w loterii biletów wstępu. Zestaw noży do steków, darmowy pobyt w Ramada Inns na terenach fabrycznych, lot balonem. Trudno było oprzeć się poczuciu, że nieoczekiwanie żyjemy w krainie czarów, aczkolwiek dziwnie naszpikowanej nożami.

Akurat w momencie, gdy stan naszego konta wyniósł piętnaście i pół tysiąca dolarów, właściciele domu ugięli się. Okazało się, że to pięcioro kłócącego się rodzeństwa, z których nikt nie mieszkał nigdy w Kerbordardoué. Zmęczeni naszym półtorarocznym wahaniem, poddali się i obniżyli cenę o połowę, do stu pięćdziesięciu tysięcy franków, czyli dokładnie piętnastu tysięcy dolarów według obecnego przelicznika. Traktując to jako znak, znalazłem sposób, by połączyć zagraniczny reportaż dla mojego magazynu z krótkim wyskokiem na Belle-Île, poleciałem tam, spędziłem parę godzin na oględzinach domu z Gwened oraz Frankiem i... „O mój Boże, co ja narobiłem?!“.

Wydaliśmy wszystko, co mieliśmy, i jeszcze trochę – bo zapomnieliśmy o wliczeniu tego dwunastoipółprocentowego podatku na początek.

Gwened wyłoniła się teraz z frontowych drzwi i obdarzyła nas swoim charyzmatycznym uśmiechem. Biorąc głęboki wdech i rozpościerając ramiona, powiedziała:

– To wspaniały dom, Mindy. Będziecie tu bardzo szczęśliwi. Czuję to.

Nie chcąc okazać słabości przed dawną panią profesor, Mindy wyprostowała się i wypięła pierś niczym żołnierz na defiladzie.

– To co teraz? Czy ten człowiek przyjedzie?

– Denis LeReveur powinien być tu lada chwila. – Gwened odwróciła się na pięcie i raz jeszcze rzuciła okiem na dom. – To wrażliwy młody architekt, no i oczywiście jest miejscowy. To ważne przy renowacji takiego domu.

Wrażliwy, młody i miejscowy – Denis Marzyciel był także spóźniony. Okrążyliśmy placyk, popatrząc na dom, odmierzając krokami jego długość i zaglądając za niego na przyległą szepę, której nagie kamienne ściany zdradzały oznaki rozpadu.

– Czy to też należy do nas? – spytała Mindy.

– Nie – odrzekła Gwened.

– Boję się, że może pociągnąć za sobą naszą ścianę. Może moglibyśmy ją kupić?

Co? Oto staliśmy tutaj kompletnie splukani i czekał nas kosztowny remont, a Mindy chciała powiększyć nasze małe imperium. Nie wiedziałem tego jeszcze, ale to był pierwszy sygnał, że

moją żonę dopadła choroba francuskich wieśniaków: kompulsywne pragnienie powiększania swoich włosów, bez względu na powód czy potrzebę.

– Nie sądzę. – Zabrzmiało to szorstko i podejrzliwie. Czyżby miała poczucie winy w związku z tym, w co nas wpakowała?

Bardziej prawdopodobne było to, że słyszę po prostu nową Gwened. Podczas mojej brzemiennej w skutki wizyty przed paroma miesiącami byłem zaskoczony, że obcięła włosy. Przedtem miała je do ramion i upinała w luźny kok, a teraz były niemal brutalnie krótkie. Poza tym schudła dziesięć kilo albo i więcej. A przez te dwa miesiące zmizerniała jeszcze bardziej. Broda i policzki zaostrzyły jej się i nie było to zbyt korzystne. Mimowolnie zastanawiałem się teraz, na ile to skutki chemioterapii, a na ile rozwodu.

Dziś jak na razie Gwened niczego nam nie wyjaśniła. Opieraliśmy się na domysłach. Choć powtórzyłem Mindy, co usłyszałem i zauważyłem podczas tamtej wizyty, widziałem, że to do niej jeszcze nie dotarło albo też nie całkiem mi uwierzyła. Może sądziła, że to вина mojej ograniczonej francuszczyzny. Ale nawet po naszym przyjeździe, gdy przekonała się, że przynajmniej fizyczne zmiany w Gwened są prawdziwe, Mindy skrupulatnie unikała tego tematu. To była w końcu jej ukochana pani profesor, jej mentorka. Kiedy Gwened będzie gotowa, sama nam wszystko powie.

Ale taka anielska cierpliwość to nie dla mnie. Moja była już na wyczerpaniu, zwłaszcza że towarzyszyła jej absolutna panika co do słuszności podjętej decyzji. A skoro Mindy marzyła bez troski o kupnie nowych ruin, to pytanie wydawało się nieuchronne: „Czy Gwened – nasza mentorka, muza i matka chrzestna w Kerbordardoué – umiera?”.

W maju, już kiedy machałem do niej z górnego pokładu promu, wyczułem w Gwened jakąś zmianę. Potem były buziaki na powitanie, mały menuet naprzemiennych policzków: *un, deux, trois... quatre*. Ten czwarty pocałunek, wymieniany przez bardzo bliskich przyjaciół, z nieznacznym opóźnieniem, zawsze mnie zaskakiwał. Następnie Gwened uśmiechnęła się i zaczęła mówić po francusku, jakby chciała sprawdzić, czy przypadkiem jakimś cudem Don nie obudził się wreszcie dziś rano z umiejętnością biegłego posługiwania się jej ojczystym językiem.

Zerkając na nią ukradkiem z ukosa, gdy prowadziła samochód, uświadomiłem sobie, że obcięła włosy. Wyglądała nowocześnie, młodziej. No, fryzura tak działa. Zapytałem po francusku, czy jej mąż także przyjechał.

– Nie.

– Ma się dobrze?

– Dobrze.

– A twój syn, Daniel? – Byłem zadowolony, że odpowiada krótko, umożliwiając mi zachowanie rytmu.

– *Superbe! Wspaniale!* Co ja bym dała za to, żeby móc pożyć jeszcze dwadzieścia lat i zobaczyć, na kogo wyrosnie.

W moim procesie translacji nastąpił zgrzyt. Chyba się przesłyszałem? Zerknąłem na Gwened. Jechała dalej, pogodna, ale również czekała na moją odpowiedź z psotnym uśmiechem. Więc naprawdę to powiedziała, a w każdym razie coś w tym stylu. Usiłując sformułować jakąś sensowną wypowiedź, zanim upłynie zbyt dużo czasu, wypaliłem: „*Peut-être c'est nécessaire d'acheter un coeur artificiel*”. Może trzeba będzie kupić sztuczne serce. Cokolwiek to miało znaczyć.

W Kerbordardoué, nie tracąc czasu, razem z Frankiem pokazali mi nasz potencjalny dom. Z wyłączonym prądem sprawiał okropne pierwsze wrażenie. Ociągaliśmy się z odejściem niczym goście na źle zorganizowanym przyjęciu, usiłując podtrzymywać rozmowę, aż zapadł zmrok i przestaliśmy cokolwiek widzieć.

Pod swoim własnym domem Gwened zapytała mnie, czy medytuję. Nie? No cóż, w takim razie jeśli nie mam nic przeciwko temu, ona, Franek i jego żona Ines zamkną się w dojo. W dojo? Uśmiechnęła się. „W mojej starej oborze”.

To jeszcze nie koniec zagadek. Na obiad podała miniaturowe wegetariańskie danie, po którym ja, wygłodniały po podróży, leżałem w rozpaczy na łóżku z burczącym brzuchem. Gdzie się podziała moja Gwened, kuchenna torreadorka, pogromczyni cielęciny?

W głowie kłębiły mi się jeszcze inne myśli. Gwened zadała już sobie z naszego powodu tyle trudu, a przecież byłem pewien, że Mindy nie będzie chciała tego domu, kiedy go jej opiszę. A wtedy ja zostanę sam ze słynnym rozczarowanym uśmiechem Gwened. Ta perspektywa przepelniała mnie niemalże lękiem.

Następnego ranka, przechodząc obok sypialni Gwened, zobaczyłem na ścianie nowe czarno-białe zdjęcie, przedstawiające łysiejącego Japończyka w średnim wieku, ubranego w zwykłe białe kimono i siedzącego po turecku na słomianej macie. Czegoś takiego zupełnie bym się nie spodziewał po moim osobistym symbolu Francji. Byłem nie tylko rozczarowany, a wręcz porażony. Czy to karma, ironia losu, przejaw boskiego poczucia humoru? Miałem już brata w sikhij-skim turbanie, praktykującego oddech ognia, odkąd z prawnika zamienił się w jogina, dwie siostry laktoowegetarianki oraz matkę – zwolenniczkę nauki chrześcijańskiej i wyznawczynię królowej żywieniowych mód Adele Davis oraz bogini libertariańskiego kultu Ayn Rand. Ostatnie, czego się spodziewałem, to przemiana Kerbordardoué w komunę New Age.

Tego ranka raz jeszcze obejrzelśmy dom, robił równie przygnębiające wrażenie, a potem, po lunchu, poszliśmy na spacer przez naszą dolinę, cyprysową aleją na łąkę i bagna. Szliśmy dalej u podnóża trawiastych wydm, aż dotarliśmy na naszą rozległą, sierpowatą plażę, Donnant, obramioną stromymi klifami, gdzie z każdej skały popatrywało mądre i sensne oko: zakamuflo-wane stanowisko niemieckich dział.

Na szczycie wysokiej wydmy Gwened ułożyła się w dołku i gestem poleciła mi zrobić to samo obok.

– Teraz przebywałeś tu wystarczająco długo, żeby przypomnieć sobie, jak to jest. Widziałeś dom. I co zamierzasz?

– Jechać z powrotem, porozmawiać z Mindy, pokazać jej zdjęcia.

– Chciałbyś zadzwonić do niej dziś wieczorem?

Myśl, żeby skorzystać z zimnego czarnego telefonu Gwened, który dzwonił tak rzadko, że ani Mindy, ani ja nie rozpoznawaliśmy nawet jego dźwięku, nie przyszła mi jakoś do głowy.

– To chyba dobry pomysł.

– Bo notariusz nie sądzi, że dom będzie dłużej do kupienia przy tej cenie. Twierdzi, że teraz coraz rzadziej sprzedaje się stare nieruchomości. Tylko brak gruntu sprawił, że tego nikt wam jeszcze nie sprzątnął sprzed nosa. Jesteś w ogóle zainteresowany?

– Och, tak. Ale muszę porozmawiać z Mindy i...

– Oczywiście. Tak czy owak, jeśli jesteś zainteresowany, właściwie musisz spotkać się z notariuszem. Umówiłam się z nim na jutro, na dziesiątą rano.

Gwened z błogą miną patrzyła na morze. Miałam poczucie, jakbym został bezceremonialnie wyrwany z przyjemnego snu, i teraz marzyłem tylko o tym, żeby spać dalej. Ale nie mogłem, pomimo opalizujących piasków Donnant i fal jak z masy perłowej. Uświadomiłem sobie, że nie mam wyboru. Gwened chciała nas zmusić do podjęcia jednoznacznej decyzji, zanim stąd wyjadę. Znała mnie, nas za dobrze. Jeśli nam się zdawało, że możemy wiecznie żyć marzeniami, Gwened była zdeterminowana położyć temu kres.

Jak powiedział kiedyś poeta: „Odpowiedzialność zaczyna się w marzeniach”. Wyczerpaliśmy nasz przydział marzeń, teraz przyszła pora, by wziąć za nie odpowiedzialność. A na wypadek, gdyby to jeszcze do mnie nie dotarło, ledwie wróciliśmy do jej domu, Gwened podała mi telefon.

– Po pierwsze: gdzie to jest? Za domem Gwened? – spytała Mindy bez tchu.

– Nie uwierzysz. W samym środku wsi, przy placyku, w tym szeregu stojącym przodem do drogi. Nie wiem, jak mogliśmy go przeoczyć. Gwened twierdzi, że to najsuchsze miejsce w całej wsi i najstarszy z zachowanych budynków.

– W jakim jest stanie?

– W dość oplakanym.

– To oczywiste, skoro nikt w nim nie mieszkał od pięciu lat! Czy jest duży?

Słyszając podniecenie w jej głosie, zapragnąłem nagle zbagatelizować i tak już skromne uroki domu.

– Dwie izby, to wszystko.

– Taki jak nasze mieszkanie? Czy mniejszy?

Zdążyłem to wymierzyć krokami.

– Mniej więcej dwa razy taki.

– Czyli duży!

– Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie małego. Min, to tylko dwie izby. Nie ma łazienki, nie ma miejsca na *fosse septique*.

- Więc będziemy musieli chodzić w pole?
- Gwened mówi, że jest jakiś nowy rodzaj wymyślnego sedesu ze specjalną prasą termiczną, który moglibyśmy zainstalować. Jakaś pani w Le Palais podobno ma taki.
- Boże, i jak tu nie kochać Francuzów! A co z kuchenką? – Oboje marzyliśmy o tym, żeby odziedzycić stary bretoński piec kuchenny opalany drewnem, a także *lit clos*, swego rodzaju łóżko-szafę, a do tego może parę ręcznie rzeźbionych drewnianych sabotów i garść koronkowych firanek, najlepiej z takimi haftowanymi pawiami, jakie ma Gwened, ale niekoniecznie.
- Nie ma kuchenki, nie ma nawet zlewu. W ogóle nie ma bieżącej wody. Staruszka korzystała ze studni na placyku.

Mindy westchnęła.

- Więc trzeba będzie w to włożyć mnóstwo pracy.
- Min, to ruina.
- Czyli kapitalny remont?
- Gwened i Franck twierdzą, że trzeba będzie wymienić większą część podłogi i stropu, bo drewno zmurszało.
- Termity?
- Franck twierdzi, że nie.
- No nie wiem... – Mindy umilkła na chwilę, a w tle słyszałem przytłumiony gwar międzykontynentalnych fal radiowych pulsujący rytmicznie. – Ty jesteś na miejscu, powinniśmy go kupić?
- To nie fair. To musi być wspólna decyzja.
- No a czy Kerbordardoué wciąż jest takie samo?
- Nie zmieniło się.
- Więc uważam, że powinniśmy to zrobić.

Wziąłem głęboki oddech. Ostatnio czułem takie napięcie, kiedy oświadczyłem się Mindy, na parkiecie późnonocnej imprezy w Iowa City, gdy tańczyliśmy wolny taniec do muzyki Motown, otoczeni kręgiem innych studentów podyplomowych. Miałem wtedy poczucie, że kiedy taniec się skończy, stracę swoją szansę. Podobne objawy – ciarki na plecach i wypieki na twarzy – wystąpiły u mnie teraz. Ale tym razem nie miałem przed sobą twarzy Mindy i trochę panikowałem.

- Sprawdzales *cadastre*, kataster nieruchomości? A plany zagospodarowania gruntów wokół wioski? Pytales o *usages ruraux*?
- Jutro spotykam się z notariuszem w tych wszystkich sprawach.
- No cóż.

Odniosłem wrażenie, że z trudem oddycha. Nagle ten masywny czarny telefon wydał mi się jeszcze cięższy.

- To będzie nasz pierwszy poważny małżeński zakup. Czy my zwariowaliśmy? Nie mamy nawet samochodu – dodała ze śmiechem.
- Chyba już najwyższy czas. No wiesz, po dziewięciu latach.

Coraz trudniej było nam rozmawiać. Słyszeliśmy nawzajem swój oddech.

– Jak twój francuski? – zapytała nagle.

Wzruszyłem ramionami.

– Twój notesik ocalił mi życie.

– Jutro słuchaj uważnie. Zapisuj odpowiedzi na swoje pytania, a jeszcze lepiej niech notariusz zapisze ci je w notesie.

– Dobra, dobra... Boję się, że ten telefon będzie Gwened kosztować fortunę. Kocham cię.

– Ja też cię kocham. Dobrze się spisałeś, Młody Strudlu.

Klapnąłem bezwładnie na fotel. Młody Strudel – przezwisko Mindy dla niezdarnego, promiennego jasnowłosego młodzieńca w szortach, którego wszyscy w Europie, gdziekolwiek się zjawialiśmy, brali za Niemca – miał poczucie, że tym razem już się nie wywinie.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, poszedłem poszukać gospodyni. Chyląc głowę pod wierzbową altanką, znalazłem Gwened podlewającą ogród.

– Wygląda na to, że się zdecydujemy.

Kiwnęła głową i rozciągnęła usta w nieznacznym uśmiechu.

– Bardzo się cieszę. Chodź, pomożesz mi zebrać trochę tych pysznych małych marchewek na obiad.

Kiedy wnieśliśmy sałatę i warzywa do kuchni, Gwened spytała mnie, czy chciałbym pójść z nią w pewne wyjątkowe miejsce. Wychodząc z jej domu, skręciliśmy w drogę wychodzącą z wioski, omijając pole niedojrzałego zielonego zboża.

– Słyszałam o tym od lat – mówiła Gwened – ale ludzie tutaj są bardzo nieufni wobec obcych. Tak, uważają mnie za obcą – dodała – chociaż mój dziadek urodził się na Belle-Île. To dlatego, że nie mieszkam tu na stałe. W każdym razie pewnego dnia, kiedy byłam w lesie i zbierałam szyszki sosnowe do kominka, trzaskają z nich takie cudne iskry, przypadkiem zobaczyłam staruszkę wchodzącą w leśne poszycie w miejscu, gdzie nie ma żadnej ścieżki. W jednej chwili tam była, w następnej po prostu zniknęła. Musiałam się przekonać, dokąd poszła.

Teraz też byliśmy w lesie, pod baldachimem z gęstych gałęzi. Korony zasadzonych w sześciu rzędach araukarii połączyły się, tworząc przypominające tunele przejścia. Ziemia była całkowicie pokryta igłami i zdawała się sprężynować pod nogami.

– Rozpoznałam tę staruszkę – ciągnęła Gwened. – Pojawiła się w wiosce kilka miesięcy temu. Podobno przez całe życie mieszkała w gospodarstwie w Ti-ne-ue, gdzie była pasterką. Teraz zajmuje chatę na końcu waszego szeregu domów, bez prądu i wody. Może ją widziałeś. Jest odrobinę, jak wy to mówicie... pomyłona? Nie odzywa się do nikogo, rozmawia tylko z Madame Morgane, z którą pija kawę.

– Wydaje mi się, że nie tak dawno ją widziałem – odparłem. – Patrzyła zresztą na nasz dom. Ciemnowłosa, w niebieskiej sukience?

- To ona. Ostatnio dowiedziałam się o niej więcej, ale to opowieść na inną okazję.

Gwened wyprowadziła nas z lasu pod ogrodzenie z drutu kolczastego na skraju wyżyny. Wdzieliśmy stąd następną *vallon*, dolinkę, znajdującą się za naszą. Między nami a wąską drogą rozciągały się wzburzone fale jeżyn i rozległe oceaniczne płycizny paproci wirujących na wietrze i owijających się wokół pni poszarzałych od wichury sosen.

Niżej, na skraju drogi, trzepotały srebrzyste liście topoli. Droga wydawała się niedostępna, ale Gwened przeszła nad drutem kolczastym do wąskiej przecinki. Stroma błotnista ścieżka wiła się pod skalnym nawisem wśród olbrzymich paproci, omijając krzaczastą kopułę utworzoną przez kilka targanych wiatrem drzew, których gałęzie splotyły się ze sobą. Minęliśmy tę płataninę, gdy nagle Gwened rozgarnęła gałęzie, schyliła się i zniknęła w gąszczu. Poszedłem w jej ślady. Znaleźliśmy się w naturalnej niszy przypominającej kościelną nawę. Z tyłu zamykał ją kamienny mur, po części ręcznie ciosany, w większości jednak będący szaroczarным odsłoniętym podłożem skalnym. Wokół zewnętrznej krawędzi skarłowaciałe drzewka wiły się jak tancerze, wyciągając włochate, porośle mchem ramiona w ekstatycznym tańcu. Nieregularne kamienne bloki tworzyły siedziska wzdłuż muru. Ze szczelinki wśród mchów ciurkała woda, zbierając się w skalnym wgłębieniu. Kiedy zobaczyłem ten szemrzący strumyczek wypływający z ukrytego źródła, byłem załtwniony.

- To źródelko - powiedziała Gwened. - Ona wiedziała, że tu jest. Ale to coś więcej. Przepuszczam, że to miejsce kultu druidów. Ona wrywała tu zarośla.

- Ta staruszka?

- *La Femme Sauvage*. Tak ją nazywają. - Gwened usiadła na jednym z kamiennych bloków. - Nie wiadomo, kim byli druidzi. Wiemy tylko, że wznosili menhiry, jak te liczące dziesięć tysięcy lat kamienie w Carnac, budowla w Stonehenge, ale po co to robili, stanowi zagadkę. Podobno uważali źródła za święte. Mieszkańcy Belle-Île udają, że te kamienie zdumiewają ich tak jak wszystkich, ale potem człowiek widzi różne rzeczy i zaczyna się zastanawiać. Chociażby te stare krzyże w Lanno i Herlin. To druidzkie ołtarze, liczące ponad pięć tysięcy lat, w czternastym wieku przerobione przez chrześcijan. Nie zobaczysz ich nigdy bez wieńca ze świeżych kwiatów. - Gwened dotknęła czoła. - Wiesz, widziałam na własne oczy, jak *La Femme Sauvage* przemawia do waszej studni w wiosce.

Gwened zaproponowała, żebyśmy posiedzieli chwilę w milczeniu w tej alkwie. Po chwili wskazała przez dolinę ciemny brzeg skały.

- To kamieniołom, skąd siedemdziesiąt lat temu wydobyto łupkowe płytki na wasz dach. Nawiasem mówiąc, ta staruszka ma na imię Suzanne - dodała ze znaczącym uśmiechem, dając mi do zrozumienia, że jeśli kupimy tę ruinę, poznamy znacznie więcej tajemnic.

Kiwnąłem głową, ale tak naprawdę wystarczyły mi tamte słowa: „To źródelko”. Dorastałem na przedmieściach południowej Kalifornii, tak płaskich, że miejscami znajdowały się poniżej poziomu morza. Prawdę mówiąc, Long Beach zapadała się wręcz wskutek wypompowywania spod niej całej tej ropy naftowej. Mówiono nam, że przypominająca pasikonika, kiwająca się bez przerwy pompa wiertnicza wpompowywała wodę morską z powrotem pod ziemię, żebyśmy

wszyscy nie pogrążyli się w otchłani. To nas bynajmniej nie przerażyło ani nie strauumatyzowało, a jedynie przydało podniecenia rodem z filmu klasy B zabawom na pustych parcelach, które były naszymi rezerwatami jaszczurek, polami bitwy i jurajskimi sawannami. Ta ubita ziemia mogła się pod nami zawalić w każdej chwili!

Ale kiedy skończyłem dwanaście lat, ostatnia pusta parcela zniknęła. Jej przestrzeń fizyczną zajęła zabudowa szeregowa. To był szok – tajemnicza siła wchłonęła krajobrazy mego dzieciństwa równie szybko i nieodwołalnie, jak odkurzacz mojej matki wciągał kurzowe koty. Przez wszystkie lata uczęszczania do szkółki niedzielnej ani razu nie przeżyłem smutku tak głębokiego jak ten, który czułem po utracie ostatniej polaci targanych wiatrem dzikich traw.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ostatnia pusta parcela zamieniła się w kolejny wielopoziomowy dom, przyszedłem do kościoła z kieszeniami pełnymi ropuch, które ukryłem w koszyku na Biblię, kiedy wierni wstali, by odśpiewać jakąś pieśń. Sfera fizyczna, którą wiara mojej matki lekceważyła jako nieistotną, znalazła się nagle w centrum uwagi wszystkich. Nagle nie wiadomo skąd pojawił się gąbczasty dywan z żywych istot i nie całkiem zdając sobie z tego sprawę, zorganizowałem koniec zorganizowanej religii – przynajmniej dla mnie.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że podczas gdy inni wrzeszczeli, porażeni brzydotą tych istot, które wtargnęły do domu bożego, ja pozostawałem w stanie swego rodzaju nabożnego skupienia, podziwiając ich niesamowitą witalność.

Odejście z Kościoła nie spowodowało większych zmian w moim życiu. Bynajmniej nie szukałem złych wpływów, jako dwunastolatek wołałem po prostu przebywać na łonie natury – co w Long Beach nie było łatwe. Na szczęście mój ojciec był wielkim skautem (najdosłownie wielkim, kiedy stał w swoim dorosłym mundurze) i poświęcał wiele weekendów na to, żeby Drużyna 78 mogła jeździć na biwaki. Podczas jednej z takich wycieczek, w ostatnie wakacje przed pójściem do gimnazjum, doświadczyłem – jak sądzę – pierwszego prawdziwego przeżycia religijnego. Oddalwszy się od mojej drużyny w górach San Bernardino, cały dzień przeleżałem na kłodzie przerzuconej nad trawiastym wgłębieniem w górskiej łące, trzymając twarz kilka centymetrów nad ukrytym źródłem słodkiej wody i obserwując, jak wydobywa się na powierzchnię. Było to źródło rzeki San Jacinto. Patrząc, jak jasne ziarenka piasku przesypują się i wirują pod wpływem niewidzialnej siły, wreszcie poczułem łaskotanie objawienia, taki epifaniczny kuksaniec w zębra.

Coś podobnego przytrafiło mi się tamtego dnia z Gwened przy źródelku Suzanne. I nadal mi się zdarza w Kerbordardoué. Źródła są święte w każdej kulturze, a wiele z nich na Belle-Île ma podobno szczególną moc. Na jednej ze starych map, na które natrafiłem na wyspie, z drugiej połowy szesnastego wieku, wioska oznaczona jest szeregiem krótkich poziomych linii (wskazujących na to, że kiedyś rozciągały się tu bagna), przekreślonych trzema pionowymi kreskami. To wygląda jak zapis nutowy.

Te pionowe kreski pióro kartografa narysowało z rozmachem i lekkim zagięciem u góry, jakby ciężka czarna kropla atramentu miała spłynąć w dół. „*Puits et Chapelle*”, tak legenda wyjaśnia te oznaczenia, z typową dla map lakonicznością: „Źródła i Kaplica”.

„Puits et Chapelle” – w brzmieniu tych słów kryje się coś krzepiącego, cudownego wręcz. I te nasze wody podobno naprawdę mają szczególne właściwości, chociaż pozostaje przedmiotem sporu, jakie konkretnie. W najstarszej historii wyspy jedynie Kerbordardoué spośród stu pięćdziesięciu dwóch wiosek zasłużyło na zwięzły opis: „Mówi się, że to siedziba Diabła”. My?

Diabelska czy nie, cudowna moc wód Kerbordardoué i Belle-Île z pewnością zadziałała tamtego brzemiennego w skutki dnia – a także następnego, kiedy pojechaliliśmy spotkać się z notariuszem w Le Palais.

To było długie i ciekawe spotkanie. Monsieur Le Notaire upewnił się, czy na pewno rozumiem, że do domu nie przynależy żaden teren, że plac jest wspólny, a droga przebiegająca tuż pod oknami – publiczna. W tym miejscu Gwened poruszyła kwestię szamba. Notariusz wyraził ubolewanie, że niestety nie, nie ma na nie miejsca. Gwened kiwnęła głową i opisała, z narastającym entuzjazmem, słynny elektryczny sedes z prasą termiczną, zainstalowany przez pewną roztropną panią w Le Palais. Notariusz chwilę słuchał, po czym zaczął wyrzucać z siebie potoki słów. Też już o tym wiedział!

Urządzenie działało na zasadzie wykorzystujących zaawansowane technologie pieców używanych do wypalania ceramicznych elementów silników odrzutowych. Było to fascynujące: odchody zbierały się w komorze, gdzie po naciśnięciu guziczka poddawano je działaniu bardzo wysokich temperatur, które wysuszały je i prasowały w maleńką kosteczkę, gotową do wyrzucenia. Wspaniale! Co za wynalazek! Nie było przykrego zapachu, tylko dość znaczny rachunek za elektryczność. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy nasz system w akcji, gdy już go zainstalujemy. Kiwnąłem głową.

Skoro miałem przyzwolenie Mindy, nie pozostało mi nic innego, jak podpisać pojedynczą kartkę papieru, swego rodzaju przedwstępne zrzeczenie się wszystkich naszych pieniędzy, co do grosza. Następnie wróciliśmy do wioski na kolejny spartański lunch z Gwened (teraz nie burczało mi już w brzuchu, tylko popiskiwało). A jeśli liczyłem na drinka dla uczczenia moich niewątpliwych – zdawałoby się – zasług, nic z tego.

Ponieważ zamierzałem wyjechać nazajutrz wczesnym rankiem, Gwened zaproponowała pożegnalny spacer w stronę plaży. Znów szliśmy znajomą ścieżką, teraz już moją, naszą ścieżką. Wdrapaliśmy się na wysoką wydmnę i znaleźliśmy nasze dołki z widokiem na hulaśliwe morze.

– Jak się być może zorientowałaś, dokonuję rewizji mojego życia – oznajmiła Gwened, kiedy już się usadowiliśmy i patrzyliśmy, jak słońce zachodzi powoli nad spienionymi szeregami grzywaczy. Był to hipnotyzujący i uspokajający widok, przez co na chwilę zapomniałem o zmarnowanych stopach. – W tym roku musiałam dokonać dużej zmiany. Po prostu doszłam do wniosku, że nie mogę dłużej żyć jako swego rodzaju wyidealizowany wizerunek samej siebie, takiej, jaką chciałby we mnie widzieć inni. Francja to trudne miejsce dla kobiety.

Odparłem, że też czasami nachodziła mnie taka myśl – nie żebym był kobietą, rzecz jasna. Ale zorientowałem się, że ma bardzo dużo obciążeń: prowadzenie domu, zajęcia ze studentami, bycie matką, żoną...

– Mój mąż ma kochankę – przerwała mi.

– Och.

– Kiedy doprowadziłam do konfrontacji, powiedział, że z niej nie zrezygnuje. Przeprowadziłam się do osobnego mieszkania w Tours. W ramach zadośćuczynienia poprosiłam o ten dom na Belle-Île.

Jej mąż, miły, śpiewający w chórze księgowy ze schludnie przystrzyżoną bródką, z parką zastrzelonych przez siebie cietrzewi wiszącą na krokwiach ganku oraz piwnicą z winami, z której był taki dumny – ten człowiek, w moim wyobrażeniu wzór dżentelmena, w pełni zaangażowany w sprawy ducha, tradycji, lokalnej społeczności, dawnych rytuałów – był także typowym zdradzającym Francuzem? Jakie to smutne. Biedna Gwened. Co za palant, myślałem.

Wymamrotałem wyrazy współczucia. Skinęła głową, patrząc na morze, w swoim kaftanie w fioletowe paski, z nową krótką fryzurą, która przypomniła mi niejasno coś, co kiedyś przeczytałem: że kobiety obcinają włosy na krótko, kiedy wdają się w romans. Pewnie to był artykuł w którymś z tych z wiecznie młodych numerów „Elle” leżących na stosiku w toalecie Gwened.

– Jest jeszcze coś – powiedziała. – Otrzymałam dużą diagnozę.

– Dużą diagnozę? Otuliła się kaftanem, twarz pałała jej w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, tak silnych i skośnych, że piasek i splaszczony przez wiatr trawy wydawały się złote.

– To rak. W piersi. Dość poważny. Obawiam się, że nie żyję długo. To będzie bardzo trudne dla mojego syna. Biedny Daniel.

Nagle nasza rozmowa w samochodzie nabrała sensu. Ale w takim razie... Chwileczkę! A co z nami? Myśląc to, zdawałem sobie sprawę, jak podle to brzmi, nawet niewypowiedziane. Ale w tamtym momencie czułem, że muszę być uczciwy – brutalnie uczciwy, choćby tylko wobec siebie samego – skoro nikt inny nie był. Więc oni wszyscy wiedzieli: Gwened, Franck, Ines, notariusz... Wszyscy musieli być wtajemniczeni. Taki mały wioskowy spisek. Zamydlili oczy parze Amerykanów, żeby uwolniła ich od zgniętego jaja pod postacią walącego się domu.

„Zaraz. Spokojnie. Wiesz, jaki jest twój problem: za mało wiary w ludzi. To przekleństwo pisarza, dziennikarza, kogoś, kto widział z bliska trochę za dużo ludzkich problemów. Ważne, żeby dodatkowo nie pogorszyć sprawy: to nic nie pomoże. Dobra, dobra... Ale, cholera, stary, nie jest łatwo”.

Siedziałem w swoim dołku i patrzyłem w słońce, aż plamy zaczęły latać mi przed oczami i latały nadal, nawet kiedy już zamknąłem powieki. Trzeba przyznać, że Gwened wiedziała, kiedy zachować milczenie.

Oczywiście musiała zdawać sobie sprawę, że zastanawiam się, kiedy i ile powiedzieć Mindy.

„Kochanie? Wiem, że właśnie kupiliśmy ten zrujnowany dom, na który namówiła nas Gwened, w pewnym sensie licząc na to, że zwiążemy nasze życie z jej życiem. No więc okazuje się, że jest pewien problem, właściwie parę problemów. Po pierwsze, dom jest w gorszym stanie,

niż wszyscy dawali do zrozumienia, więc będziemy musieli władować w niego wszystkie pieniądze, jakie mamy, oraz te, których nie mamy. Po drugie – jakby tego było mało – ona umiera. To znaczy, Gwened. Tak, umiera. Wiem, teraz mi o tym mówi. Och, i wiem, że to szaleństwo, ale omal nie zapomniałem o czymś jeszcze. Do tego wszystkiego jeszcze się rozwdzi”.

Super.

Gwened poruszyła się.

– Wierzysz w reinkarnację?

Wzruszyłem ramionami, mimo wszystko nie chcąc urazić umierającej być może i mającej się wkrótce rozwieść dobrej wróżki siedzącej obok mnie. Pogrzebałem w worku z napisem New Age, szukając jakiejś adekwatnej odpowiedzi.

– Nie. Ale parę razy przeżyłem dość silne *déjà vu*.

Gwened wstała i otrzepała nogi z piasku.

– Musisz mi kiedyś o nich opowiedzieć. Wracam do domu, żeby pomedytować. – Zacząłem także się podnosić. – Nie, zostań. Myślę, że powinienesz popatrzeć, jak słońce zachodzi nad Donnant pierwszego wieczoru po tym, jak zostałeś *propriétaire*, właścicielem. Miłych wrażeń.

Uśmiechnęła się, odwróciła i zaczęła wspinać mozolnie na wydmy, niczym jakiś beduiński mędrzec w grubym fioletowym kaftanie. Nie po raz pierwszy trafnie odgadła; chciałem zostać sam z moją plażą i moimi myślami. „Z których większość dotyczy ciebie, Gwened, ciebie i twojej zagadkowej decyzji, by zwabić nas na wygnanie”.

Tego wieczoru Gwened wydała uroczystą kolację. Stanowiła ona dramatyczny kontrast z moim pierwszym posiłkiem we francuskim domu, który przed laty jadłem u niej pewnej niedzieli. Wtedy ołsnilo mnie, jak ściśle elegancja wiąże się z prostotą: miska żółtej zupy z dyni, jedwabistej od rozpuszczonego masła, zapiekanka z ziemniaków przekładana gruyère i parmezanem, jeden plasterzek wędzonej w domu szynki, która wisiała na strychu, a potem przygotowana na ostro salata, na deser zaś – co było dla mnie największym odkryciem – kawałek dojrzalego owocu. Tamten posiłek stanowił dowód na to, że najważniejsza jest jakość składników. Z kolei dzisiejszy wydawał się przeznaczony na strajk głodowy. Po zupie ze świeżych pomidorów Gwened nałożyła na każdy talerz maleńki kopczyk ryżu, plasterzek gotowanej na parze dyni, tartą marchewkę i kilka miniaturowych brukselek. Nie wiem, co mnie bardziej zdumiało: to, że dzieci Francka i Ines pałaszowały wszystko bez komentarza, czy to, że Franck i Ines co chwila wydawali okrzyki zachwytu – bo to było zwykle, najzwyczajniejsze jedzenie, jakie kiedykolwiek jadłem we Francji: podane bez żadnych przypraw, bez masła, prawie bez gotowania.

Przed laty, kiedy wróciłem do Kalifornii po mojej pierwszej wizycie we Francji, zaraz po przyjeździe najkrótszą drogą popędziłem do supermarketu i nakupiłem produktów, których przez całe życie unikałem, przede wszystkim masła, ale także śmietany i cielęciny. Dla mnie Francja oznaczała obfitość. Dzisiaj to nie była Francja, ale jakiś żart.

– *Tout directement du jardin!* Wszystko prosto z ogrodu – oznajmiła Gwened triumfująco. – *Tout biologique!* Wszystko naturalne.

– *Ça a un goût extraordinaire.* Smakuje wspaniale – poświadczyła Ines.

– *Superbe*. Znakomite – potwierdził Franck. – *Tout biologique!*

Dobra, kapuję, kapuję: jarzyny były z ogrodu i ekologiczne. Ale chyba nigdy nie zrozumieję, jak oni zdołali przeciągać ten posiłek przez dwadzieścia minut, a co dopiero przez godzinę. Żeby dotrzymać im tempa, musiałem skubać swój ryż po jednym ziarnku. A jeśli chodzi o rozmowę, która kiedyś stanowiła mocną stronę Gwened i przywodziła na myśl bieg z przeszkodami w postaci aktualnych wydarzeń i literackich aforyzmów, tym razem zdecydowanie kulała.

Ines zerknęła nieśmiało na Gwened.

– Mogę pomedytować z tobą jutro rano?

– Oczywiście.

Dzieci uśmiechnęły się promiennie do matki, jakby właśnie zdobyła bilety do zoo. Spojrzałem na Francka, spodziewając się z jego ust jakiejś dowcipnej uwagi. Ale nie, on też kiwał z uznaniem głową.

„Wszyscy zamienili się w warzywa – myślałem. – Zupełnie jak w *Żonach ze Stepford*. Stary, nie masz pojęcia, w co się wpakowałeś, taka jest prawda. A ile z tego ośmielisz się powiedzieć Mindy?”.

.

Co wiedziała Mindy? Setki razy próbowałem powiedzieć jej o Gwened i o stanie domu, ale ona jakby nie chciała słuchać. Jednak nawet teraz, stojąc na placu przed tą wałącą się ruiną, nie potrafiłem odgadnąć jej myśli. Co było nietypowe z jej strony i bardzo dla mnie nieprzyjemne. Nie umiałem stwierdzić, czy zdawała już sobie sprawę z rozmiarów bagna, w które wdepnęliśmy, czy aprobowała to jakoś, czy też po prostu nadrabiała miną. Może czekała na właściwy moment, kiedy będzie mogła naskoczyć na mnie na osobności. Zasłużyłem na to. Ale chciałem wiedzieć. Ta niepewność mnie dobijała.

Właśnie gdy miałem zacząć się kajać, Gwened odwróciła się gwałtownie. Z dołu drogi dał się słyszeć warkot silnika, a chwilę później wyłonił się zaokrąglony przód poobijanej furgonetki Citroena. Jechał w naszą stronę, przeciskając się powoli między hortensjami, kołysząc się na wybojach. Za kierownicą: Denis Marzyciel, który okazał się wysokim, poważnym facetem, w okularach bez oprawek, o przystojnej twarzy i zmierzwionych włosach. W dżinsach i grubym rozpinanym swetrze, spod którego wyglądała batystowa koszula, mógłby uchodzić za nowoczesnego angielskiego posiadacza ziemskiego, takiego co to jeździ po Londynie land roverem. Rozumiałem teraz, dlaczego Gwened opisała go jako miejscowego hulakę i chłopaka o szalonych pomysłach. Ale teraz ożenił się i ustatkował, zapewniła nas, i był jedynym mieszkańcem Belle-Île z uprawnieniami *maître d'œuvre en bâtiment*, czyli przedsiębiorcy budowlanego.

Gdy ścisaliśmy sobie dłonie na powitanie, Denis LeReveur z wyraźną ulgą przyjął fakt, że rozumie francuszczyznę Mindy. Moje nieskładne dukanie skwitował poważnym kiwnięciem głowy. Ale kiedy przyszła pora na przywitanie z Franckiem, dostrzegłem nagły chłód. Słyszeliśmy, jak Franck mówił, że miejscowi nie są zachwyceni tym, że na wyspę przyjeżdżają obcy

w poszukiwaniu pracy. Jako niewykwalifikowany stolarz, nawet jeśli podejmował jedynie drobne zlecenia, żeby wykarmić rodzinę, stanowił prawdziwe zagrożenie dla niektórych miejscowych.

Gdy Franck zrozumiał aluzję i wycofał się taktownie, LeReveur rozluźnił się nieco. Zgodnie z wstępnymi ustaleniami Gwened przejęła dowodzenie.

– Mindy i Don chcieliby poznać twoje zdanie na temat tego, ile pracy wymaga dom jeszcze przed zimą, a ile można przełożyć na później. Zechciałbyś zajrzeć do środka?

LeReveur rzucił nam obojgu poważne i jakby przepraszające spojrzenie, po czym odpowiedział z miną lekarza, który wyszedł do poczekalni, żeby poinformować krewnych o dramatycznym stanie pacjenta.

– Byłem już w środku dziś rano – powiedział po francusku, a Mindy szybko przetłumaczyła mi półgłosem jego słowa, jak zwykle to robiła. Wzruszył ramionami. – *C'est total. Le toit, le fond, le bois, les planches, tout est foutu.* To kompletna ruina. Dach, fundamenty, drewno, deski, wszystko zmarnowane.

Jego pociągła twarz wydłużyła się jeszcze bardziej, kiedy spojrzał na nas znad tych swoich okularów bez oprawek, żeby wyrazić najgłębsze współczucie.

Tym razem gwałtowny wdech Mindy nie był skutkiem astmy.

– *Merde!* – Gwened wzdrygnęła się z dezaprobatą. LeReveur kiwnął głową. – Czy naprawdę nie da się przełożyć prac?

LeReveur powoli pokręcił głową. Wskazując zapadniętą linię dachu, stulił dłonie, żeby zobrażać ściany, po czym rozwarł je nagle. Wydał policzki i dmuchnął: Puf! Ruchem głowy wskazując stertę kamieni i zwalonych ścian przy końcu drogi, ruinę, którą podziwiałem ze względu na jej malowniczość, powiedział coś, czego Mindy nie musiała mi tłumaczyć: następnej wiosny będziemy dumnymi właścicielami takiego właśnie stosu gruzów.

Mindy i ja popatrzyliśmy na siebie. Byłem w stanie myśleć jedynie o saldzie naszego konta wynoszącym pięćset dolarów. Zaraz potem zacząłem się zastanawiać, czy są może jeszcze jakieś konkursy, w których dotąd nie startowaliśmy.

Wiedziałem jednak, że to na nic. Takiej dziury nie mogły zapełnić żadne wygrane w loteriach biletów wstępu.

Mały domek we Francji. Tego właśnie chcieliśmy.

Ale czego chciała od nas Gwened?

Później – kiedy rozważaliśmy to wszystko wiele lat po tej pamiętnej wyprawie, która zaważyła na całym naszym życiu – zastanawiałem się, czy to nie był jakiś atawistyczny zew. Może sprawiło to obcięcie włosów, przypominając jej o Joannie d'Arc prowadzącej armię swoich wyznawców. Może chemioterapia obudziła w jej krwi coś, co objawiło Gwened, że jej powołaniem

jest stać się mistycznym centrum wioski, w której niekończące się letnie wieczory przechodziły w celytycki zmierzch, a życie toczyło się na wiecznej scenie.

Czy Gwened wcieliła się w kierowniczkę obsady realizowanej własnym sumptem produkcji, Prospero z bretońskiego Brigadoon, w ogóle nie myśląc o tym, co to oznacza dla nas? Z początku tak. W grę wchodziło myślenie magiczne, może narcyzm. Ale w kalkulacjach Gwened zawsze kryło się pewne dalekosiężne wyrachowanie. Odkrycie tego zajęło nam prawie trzydzieści lat, ale w pewnym sensie czyniła ona przygotowania nie tylko z powodu zmian swojej własnej, osobistej sytuacji, lecz także przez wzgląd na życie wioski już po jej śmierci.

Natomiast jedno przypuszczenie nasunęło nam się dość szybko, aczkolwiek za późno, żeby zapobiec losowi, który przypadł nam w udziale: że to wszystko było wynikiem nieporozumienia. Gwened sądziła, że jesteśmy bogaci. Jako mała dziewczynka latem 1944 roku widziała Amerykanów jadących na ratunek w swoich shermanach, rozdających polowe racje żywnościowe i czekoladę. Może liczyła na to, że wojska pancerne zjawią się i tym razem. Ocalą Kerbordardoué, po czym wycofają się z wdziękiem. Gwened nie mogła wiedzieć natomiast, jak ogromnym wysiłkiem było dla nas dotarcie tu, gdzie byliśmy, i wiązanie końca z końcem w naszym skromnym życiu na Manhattanie. Chociażby nasza sytuacja mieszkaniowa była w tamtym okresie śmiesznie niepewna i nielegalna. Gdybyśmy stracili to podnajęte mieszkanie, nie mielibyśmy żadnego punktu zaczepienia w tym mieście. Wszystko w Nowym Jorku było taką walką: znalezienie mieszkania, pracy, miejsca, gdzie da się robić pranie i nikt nie ukradnie naszych rzeczy z suszarki. Żywiliśmy się kawałkami pizzy i wodą mineralną Seltzer. Co się zaś tyczy kupowania domu za granicą: zgodnie z obowiązującymi w Ameryce neokalwińskimi normami biurowymi, miałem prawo do całych pięciu dni wolnych w roku plus dwa dni chorobowego do wykorzystania za zgodą pracodawcy. Zakładając, że nadal chcieliśmy widywać nasze rodziny na Zachodnim Wybrzeżu i w Honolulu przynajmniej raz w roku – a my z pewnością chcieliśmy – kiedy właściwie mielibyśmy jeździć do Francji?

Może Gwened nie potrafiła sobie wyobrazić, że jesteśmy biedni i nie mamy wakacji, ponieważ od ponad dziesięciu lat wykladała w ramach programu zagranicznych zajęć dla studentów Uniwersytetu Stanforda. W jej oczach „Młodzi Amerykanie” – jak z piosenki Davida Bowie – strywalizowali swoje dziedzictwo we Francji. Dużo piliśmy, nie uczyliśmy się języka i tęskniliśmy za porządnymi hamburgerami, profanując do tego najbardziej wyrafinowaną kuchnię świata zawijasami ketchupu. Chociaż czasami przejawialiśmy odrobinę wigoru, moralności i rozmachu Nowego Świata, ogólnie rzecz biorąc my, dzieci wyzwolicieli z roku 1944, rozczarowaliśmy ją.

To czyniło jej wiarę w nas tym bardziej wzruszającą, choć nie najlepiej ulokowaną. Jako studentka Mindy jak najbardziej zapamiętała adres jedynej restauracji w Tours, gdzie podawano hamburgery (i to z ketchupem, z prawdziwym Heinzem). Gwened nigdy się o tym nie dowiedziała.

Gwened zadęła więc w swój róg niczym Roland na pustkowiu, w poczuciu całkowitej bezradności. Czy odpowiemy na jej wezwanie? Skoro widzieliśmy Kerbordardoué, jak moglibyśmy od-

mówić?

Bez względu na to, jak mętne były jej pobudki, w jeszcze jednej kwestii Gwened wypowiedziała się całkiem jasno: serio uważała, że moglibyśmy pomóc ocalić osadę. Znaliśmy Kerbordardoué, kiedy było czynną wioską, to znaczy nie przeszło jeszcze na ciemną stronę – stronę turystyki. Ale zmiany, których wszyscy się bali, nadciągały szybko. Ostatnie stado krów zostało sprzedane, a ostatnia gospodyni wydzierżawiła swoje pola.

Moglibyśmy pomóc zachować duszę wioski w nienaruszonym stanie, wyjaśniła w jednym ze swoich listów. Na wyspę przyjeżdżało zbyt wielu obcych, szukających okazji. Gdyby pusty dom w centrum trafił w niewłaściwe ręce, mogłoby to oznaczać koniec Kerbordardoué. „I wiecie co? – dodała, kończąc z rozmachem ów zgubny pierwszy list. – Mieszkańcy wioski poddali to pod głosowanie. Chcą was, a nie kogoś obcego, nie kolejnego Niemca”.

Tak napisała Gwened, a my w to uwierzyliśmy.

Chcą nas?

Patrząc z perspektywy czasu, wiem, że nie mieliśmy żadnych szans.

DOM ZA GRANICĄ: CZTERY ŁATWE LISTY

Co jest potrzebne w domu:

- 4 krzesła
- stół
- łóżko
- pościel (?)
- łyżki, widelce, noże

– *Don, rok drugi*

Zawsze przywozić:

- pikantny sos Louisiana
- curry w proszku
- płetwy do pływania
- krople do uszu dla pływaków
- książki po angielsku
- lampki do czytania (2) i baterie
- płyn przeciw komarom
- suszarkę do włosów (?)
- whisky

– *Don, rok piąty*

Zawsze przywozić (uaktualnione):

- deskę surfingową
- kombinezon piankowy
- CIEPLEJSZE swetry

- książki PO ANGIELSKU
- moskitierę
- Monopoly, szachy
- piłkę i kij do wiffle'a – frisbee
- piłkę futbolową Nerf
- rakiety tenisowe
- kije golfowe
- odtwarzacz CD
- płyty CD
- konwerter prądu (bardzo ważne)
- suszarkę (!)

– *Don, rok ósmy*

Przywieźć:

- prezenty dla dzieci:
 - naklejki z Hawajów, wisiorki itd.
- prezenty dla surferów:
 - T-shirty z logo Local Motion, nalepki na tylny zderzak
- prezenty, dorośli:
 - pamiątki z Nowego Jorku
- Suzanne: apaszka
- Madame Morgane: apaszka
- Gwened: hawajski naszyjnik z muszelek
- buty do surfowania i wosk do surfowania w zimnej wodzie

– *Mindy, rok siedemnasty*

LETNIE PLANY

Po naszej katastrofalnej wizji lokalnej siedzieliśmy wraz z Denisem LeReveur wokół ogrodowego stołu Gwened i piliśmy drinki, których bardzo potrzebowaliśmy. Gwened nie uznaje mocnych trunków, ale w tym momencie nawet Kir Royale był błogosławieństwem. Pogryzaliśmy oliwki, a LeReveur tłumaczył, jakie kroki podejmie w naszej sprawie jako *maître d'oeuvre en bâtiment*. Najpierw przygotowuje plany, projekty architektoniczne, które przedstawi w Mairie de Sauzion, merostwie naszego okręgu. Zakładając, że zostaną tam zatwierdzone, zacznie także zbierać oferty podwykonawców i wykwalifikowanych robotników. Razem złożą się one na kosztorys, zwany po francusku *devis*, wymawia się „dej-vi”. Następnie siądziemy razem i przejrzymy poszczególne projekty, ich przewidywane koszty, wprowadzimy ewentualne zmiany, wybierzemy jakość materiałów i zaznajomimy się ze wszystkimi szczegółowymi wytycznymi. Kiedy już zaakceptujemy cały dokument, podpiszemy go. Od tej chwili umowa na wszystkie prace i koszty będzie prawnie obowiązująca. Czy zrozumieliśmy?

Tak.

Czy na pewno zrozumieliśmy? Kiwnęliśmy głowami.

LeReveur spojrział na Gwened.

– To znaczy – powiedziała Gwened swoją precyzyjną angielszczyzną – że będziecie zobowiązani do zapłaty, żeby nie wiem co. Francja ma inny kodeks prawny niż Stany Zjednoczone, jak Mindy wie. Jeśli nie zapłacicie, zostanieie uznani za winnych i możecie pójść do więzienia, zanim jeszcze sprawa zostanie rozpatrzona.

Ach, słynny *Code Napoléon*, Kodeks Napoleona. Jako studentka prawa Mindy zawsze lubiła dyskusje na temat reform cesarza dotyczących feudalnych obyczajów. Największą różnicą kodeksu w stosunku do angloamerykańskiego prawa było odrzucenie domniemania niewinności oraz *habeas corpus*. Tak jak powiedziała Gwened, można było zostać aresztowanym i wtrąconym do więzienia aż do procesu bez możliwości apelacji. To zawsze przyprawiało Mindy o dreszczyk rozkoszy. Ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że może to dotyczyć nas osobiście.

– Na razie nic nie podpisujecie – ciągnęła Gwened, nadal po angielsku. – Denis z radością przygotowuje *devis*, ale będzie musiał się spieszyć, żeby przedstawić go wam przed wyjazdem.

Obdarzyła go swoim najmiłym uśmiechem, gdy słuchał – uważny, acz bezradny. Uświadomiłem sobie, że podobnie jak ja w biurze notariusza, kiedy finalizowaliśmy umowę, był w zasadzie zdany na łaskę tłumacza Gwened. Przyszło mi natomiast do głowy, że Denis nie musiał trzymać nam nad głową topora pod postacią Kodeksu Napoleona. Miał coś lepszego: dezaprobata Gwened będzie trzymać nas w ryzach.

– No więc, Denis, mam do ciebie pytanie. – Mówiąc po francusku, Gwened manewrowała równie zręcznie jak prokurator maglujący niespodziewanego świadka. – Don i Mindy chcą mieć *maison saine*.

Denis LeReveur skinął głową.

– *Oui, une maison saine, c'est bon.*

Wpatrywałem się w nich zdezorientowany. Czy francuskie „*saine*” znaczy to samo co angielskie „*sane*”? Czy oni naprawdę mówili, że chcemy domu zdrowego na umyśle? Czy to była aluzja do stanu naszych psychik? A może jakieś freudowskie przejęzyczenie? Nic z tych rzeczy, wyjaśniła Mindy. „*Saine*” znaczy zdrowy, tylko w trochę innym sensie. Chodzi raczej o zdrowie duchowe. Ach tak, czyli jednak o psyche. Zdrowy w przeciwieństwie do zwariowany.

Rozmowa stała się jeszcze bardziej ezoteryczna, gdy Gwened znów zwróciła się do Denisa.

– Don i Mindy chcą mieć na górze dwie sypialnie. Czy będziesz przestrzegać zasady złotego środka?

Denis kiwnął głową.

– Oczywiście, dom zachowa właściwe proporcje.

– Więc to znaczy, że nie podniesiesz linii dachu wyżej niż w sąsiednim budynku. Zgadza się?

Mindy rzuciła mi zaskoczone spojrzenie. Te sypialnie traktowaliśmy jako pewnik; omówiliśmy już tę kwestię z Gwened, po raz pierwszy natomiast była mowa o linii dachu i zasadzie złotego środka. Wiedziałem, co myśli Mindy. Będziemy musieli uważać, żeby Gwened nie przejęła steru zbyt zdecydowanie. To był w końcu nasz dom. I nasze pieniądze. Wszystkie nasze pieniądze – których nie mieliśmy.

Denis siłił się na dyplomację:

– Linia dachu mogłaby być wyższa, ale to oczywiście nie wyglądałoby zbyt ładnie. Ale jeśli go nie podniesiemy, pokoje nie będą odpowiednio wysokie.

Moim zdaniem to zabrzmiało tak, jakby Denis dawał nam do zrozumienia, że nie tylko moglibyśmy mieć wyższy dach, ale wręcz powinniśmy. Nasz sąsiad – który nie mieszkał w swoim domu i którego nigdy nie poznaliśmy – nauczył się z tym żyć. Będzie musiał: mieliśmy wspólną ścianę. Mindy najwyraźniej pomyślała to samo, bo skwapliwie wychyliła się do przodu.

– No, jeśli naprawdę pan uważa, że pokoje będą za małe...

Gwened uderzyła młotkiem niczym licytator.

– Dach musi być tej samej wysokości co w sąsiednim domu. Bo musimy zachować proporcje i dlatego, że sąsiad nigdy nie wybaczy Donowi i Mindy i może nawet wnieść skargę w Mairie de Sauzon, a tam mogą uznać, że dach powinien zostać obniżony, co byłoby okropnie kosztowne. Jasne, Don i Mindy?

Ta nagła gwałtowność Gwened sprawiła, że wszyscy stchórzyliśmy. Przytaknęliśmy, a w naszych (wkrótce całych w guzach) głowach pojawiły się wizje chodzenia w kucki i walenia łbem w niski strop sypialni.

Denisowi wyraźnie ulżyło. Czy ukrywał swoje wątpliwości dotyczące podwyższenia linii dachu? Być może. Niełatwo było go rozszyfrować, tego Denisa Marzyciela.

Następną kwestią były okna sypialni na górze, co do których Gwened również miała zdecydowane poglądy.

– Okna nie mogą być za duże, jeśli mają przylegać do dachu.

Denis przytaknął.

– Duże okna w dachu to zły pomysł. Będą przeciekać. I zagrożą jego integralności.

– W takim razie może lepiej zamontować jedynie świetlik.

Kiedy Gwened popatrzyła na nas, czekając, aż wyrazimy zgodę, uświadomiłem sobie, że to także zaplanowała. Sypialnia bez okien, jedynie ze świetlikiem wpuszczającym do środka mętny promyczek? W takim razie będziemy mieszkać w niskiej norze zupełnie pozbawionej światła. Gdy już brałem drżący głęboki oddech, żeby wyrazić pierwszy w życiu sprzeciw wobec Gwened Guedel – wiedząc, że może to mieć nieopisane konsekwencje i to bynajmniej nie dobre – rozległ się gromki okrzyk Mindy:

– Musimy mieć okna!

Gwened spojrzała na nią zaskoczona, z dezaprobatą unosząc brwi.

– Ale u waszych sąsiadów ich nie ma. Montując okna, zaburzicie wygląd ich domu.

– Jestem artystką – oznajmiła Mindy po francusku. – Dziekiem słonecznych hawajskich wysp. I za długo cierpiałam w naszej ciemnej klitce w Nowym Jorku. Czasami mam poczucie, że zaraz oszaleję. Oszaleję! Kiedy jestem na Belle-Île, muszę mieć światło. Światło!

Szykowaliśmy się na gwałtowny protest, ale ani Gwened, ani Denis nie wydawali się zszokowani tym *cri de coeur*, głosem serca. Być może we Francji należy wyrażać swoje zdanie w dramatyczny sposób, żeby zostało potraktowane poważnie. W każdym razie w zatwierdzonej kolumnie wstępnej *devis* znalazło się jedno okno na górze. Najwyraźniej zdrowy na umyśle dom wymagał szaleńczej walki.

Miło było wygrać rundę, ale Gwened już przechodziła do następnej.

– Kolor płytek na linii dachu powinien być czarny, jak sądzisz, Denis?

– Sąsiadka wybrała czerwone – odparł Denis, wyciągając szyję. – Pewnie jej się zdaje, że mieszkamy na Côte d'Azur, Lazurowym Wybrzeżu, a nie na Côte Sauvage, Dzikim Wybrzeżu. – Roześmiał się. – Tradycyjnym kolorem jest czarny. A zatem czarny.

Gwened splotła dłonie na blacie stołu, jakby sprawa była przypieczętowana, niczym pokrzyta, który nie musi dobierać kart. Denis przyglądał się dachowi jeszcze chwilę, po czym nie-

znacznie wzruszył ramionami.

– Nie sądzicie, że to mogłoby wyglądać trochę dziwnie, gdyby czarne płytki zaczynały się tam, gdzie kończą się czerwone?

Gwened sądziła niewątpliwie, że jako rdzennemu mieszkańcowi Belle-Île spodoba mu się tradycyjny wybór, ale i teraz nie zdradziła żadnych emocji.

– Ciekawy punkt widzenia – przyznała. – Może Don i Mindy mogliby zaproponować, że wymienią jej płytki na czarne.

Mindy rozbłysły oczy, a ja omal nie zachłysnąłem się Kir Royale, ale Denis wyprzedził nas, zauważając, że płytki na linii dachu pobliskiej obory również były czerwone. Wobec czego Gwened zgodziła się, że w pewnych okolicznościach jednolitość koloru przebija tradycję.

Po tym kompromisie ustalili się pewien rytm. Gwened albo Denis rozdawali remontowe karty, następnie podbijali stawkę albo czekali, żeby zobaczyć, ile my postawimy, po czym sprawdzali. Było mnóstwo kwestii do rozważenia, wiele partii do rozegrania. Ale przynajmniej zaczęliśmy rozeznawać się w regułach gry.

Jednak w miarę trwania dyskusji z jakiegoś powodu zacząłem robić się oziębiały, rozkojarzony. Musiałem się upominać, że powinienem być w pełni zaangażowany w budowę naszego wymarzonego domu. To była w końcu jedyna szansa, a wybory, jakich dokonamy teraz, będą nas radować bądź dręczyć przez następnych pięćdziesiąt lat. Jednak zerkając na okoliczne domy i na plac, częściowo widoczne z podwórka Gwened, mrugałem oczami w jasnym świetle popołudnia i wypełniał mnie emocjonalny zamęt, przypominający strach. A przecież wokół panowała taka cisza i spokój. I nagle zrozumiałem.

To słońce.

Przedtem bywaliśmy tu tylko w okresie zimowego *Sturm und Drang*, burzy i naporu. Kochaliśmy atmosferę Côte Sauvage: szalejące sztormy, ścielące się mgły, bałwany atakujące brutalnie plaże i klify. Wpadaliśmy w prawdziwą euforię, gdy na chwilę przez chmury przebiło się słońce, świetliste złote strumienie padające na ziemię niczym światła reflektorów poszukiwawczych z granatowoczarnych chmur szybujących po niebie. Teraz wszystko się zmieniło. To było gorące odsłonięte słońce. Przez chwilę zastanawiałem się wręcz, czy nie chwycić Mindy za łokieć i nie zawołać: „Hej, widzisz? Świeci słońce! Chodźmy na plażę!”.

Ale mieliśmy kolejne strony *devis* do omówienia, zanim będziemy mogli odpocząć. To była ta przerażająca gorsza strona bycia właścicielem domu we Francji. Spoglądając na Mindy, widziałem, że ona ma taką samą ochotę uciec, jaka zawsze nas nachodziła, choćby po to, żeby przejść się na wrzosowisko. Tymczasem tkwiliśmy tutaj, omawiając kwestię „płytki czerwone kontra czarne”, zmuszeni siedzieć na krzesłach przez całą – jak się nam wydawało – wieczność. Ta gadanina była nie do zniesienia, skoro wokół nęciła nas cała wyspa. Wpadliśmy dokładnie w tę samą pułapkę, której staraliśmy się uniknąć.

Panikowałem w skrytości ducha i zostawiłem dalsze rozmowy na głowie Mindy.

Stopniowo wioska znów nabrała ostrości. Gdy przygnębień opadło, poczułem przypływ dumy z powodu naszej najlepszej i zadziwiająco stałej cechy jako pary: swego rodzaju rozmyśl-

nej lekkomyślności. W przeciwieństwie do wielu rówieśników albo naszego rodzeństwa daliśmy nogę, wyrwaliśmy się, poszliśmy własną drogą. Nie usatkwiliśmy się. I wyszliśmy z tego zwycięsko. Belle-Île połączy stałość, której tak się zawsze baliśmy, z naszym nowojorskim trybem życia, gdzie kombinowaliśmy jak się dało, a i tak zawsze z trudem wiąźaliśmy koniec z końcem. Kryła się w tym jakaś logika, równowaga, jakiej szukaliśmy przez całe życie. I może tym razem wreszcie ją osiągniemy.

A jeśli chodzi o ten ciągły lekki strach... „To jasne, że dziwnie się czujesz! Nigdy przedtem nie byłeś właścicielem ani nie remontowałeś domu! A co dopiero ruiny domu. Nie mówiąc już o ruinie domu we Francji. Nigdy nawet nie kupowałaś nowych mebli”. Nic dziwnego, że byliśmy skołowani i czuliśmy dyskomfort. Nigdy wcześniej nie siedzieliśmy tak z architektem ani nawet ze stolarzem. To cud, że Denis w ogóle nas słuchał. Czyżby nie wiedział, że jesteśmy idiotami?

Doszedłem do wniosku, że niezależnie od nowości doświadczenia oraz tego tłustego, obnażonego, leniwego słońca, tym, co potęgowało naszą dezorientację, był układ sił. Trójkątny, ale nie chcieliśmy się do tego przyznać. Zaczynaliśmy więc się denerwować.

Pora użyć mojej pisarskiej supermocy i zorientować się, co się, u diabła, dzieje. Na szczycie trójkąta znajdowała się Gwened. Wykorzystywała swój autorytet moralny jako samozwańcza strażniczka wioski i nasza matka chrzestna. Biorąc pod uwagę rozległe remonty, jakich sama dokonała, swoje miejscowe korzenie oraz niepodważalną francuskość, uzurpowała sobie przywództwo, zwabiając nas tutaj, wybierając dom, a nawet architekta. Stawiła się na to spotkanie w pełni przekonana, że przejmie nad nim kontrolę, a tę jej potrzebę władzy potęgowało jeszcze tykanie śmiertelności. Z jakiegoś powodu robiła wszystko, by pozwolić na jak najmniej zmian w naszym domu.

Drugi wierzchołek trójkąta stanowił Denis LeReveur. Jako młody architekt na początku kariery zawodowej, a także miejscowy rywalizujący o klientów z paryskimi fachowcami był w rozterce. Potrzebował naszego zlecenia, ale takiego, które wywrze dobre wrażenie na *les autres*, „innych”, jak określano osoby spoza wyspy. Renowacja bretońskiej chaty bez okien na piętrze mogła nie wystarczyć. Gwened spodziewała się być może, że Denis przystanie na wszystkie jej żądania, ale on miał własną wizję. Czekał jednak, aż przyjedziemy i usiądziemy wraz z nim przy stole, zanim ją wyjawi. Tak właśnie widziałem układ sił. Denis kibicował nam i mógł okazać się dużo bardziej elastyczny, niż zakładała Gwened. Był w podobnym wieku co my, a w oczach miał łobuzerskie iskierki. Okazał też zarówno zakłopotanie, jak i autentyczne współczucie wobec naszej sytuacji – bo i czemu miałby tego nie robić? To my byliśmy klientami, a nie Gwened.

Oczywiście nie mogliśmy tak po prostu przekazać steru Denisowi. Bez wątplenia chętnie by wykorzystał do cna to zlecenie od pary Amerykanów o wypchanych kieszeniach, dzieci niegdyśszych Jankesów. Musieliśmy liczyć się z wzajemnymi ustępstwami i być czujni, żeby nie ustępować za bardzo. Ale przynajmniej Denis zgodził się zachować zasadę złotego środka i zapewnić nam dom zdrowy na umyśle. Wszystko mogło więc pójść dobrze. Prawda?

Kiedy spojrzałem na Mindy, uśmiechnęła się do mnie. Mógłbym przysiąc, że doskonale wiedziała, co myślę. Nie musieliśmy zostać idiotami na zawsze. Po raz pierwszy w naszym upartym życiu znaleźliśmy coś, co mogło sprawić, że odpowiedzialność stanie się porywająca.

ZOBACZYĆ I UWIERZYĆ

– Dobrze się spisaliście – oznajmiła Gwened, kiedy Denis pojechał, a my zjedliśmy lunch. Porcje były nie mniej skromne niż tamte sprzed paru miesięcy, poza tym nie było chleba, rzecz niemalże nie do pomyslenia we francuskim domu. Prawdopodobnie Gwened zobaczyła moją minę, bo ze zmarszczonym czołem zapytała, czy to możliwe, żebym jakimś cudem nadal był głodny.

– Och, nie. – Duch rywalizacji, obudzony podczas omawiania *devis*, nie pozwalał mi przyznać się do słabości.

– Miło mi to słyszeć – odparła. – Daniel, kiedy ostatnio przyjechał do domu, dostał szału! Człowiek zapomina, ile tacy chłopcy muszą jeść, zwłaszcza Amerykanie.

Nieco urażony tym porównaniem w skrytości ducha kibicowałem Danielowi, którego ostatnio widziałem pięć lat temu, jak wyrzucał przez okno maszynę do pisania. Gdy się ma tak kontrolującą matkę jak Gwened, odrobina buntu tylko wychodzi człowiekowi na zdrowie.

Gwened klasnęła w dłoń.

– Może byśmy wzięli rowery i pojechali na plażę? – spytała, wywołując tym westchnienia ulgi z naszej strony. W końcu po to właśnie tu przyjechaliśmy. Wreszcie szczegóły remontu mogły trochę poczekać. Wyciągnęliśmy z szopy Gwened trzybiegowce, wskoczyliśmy na nie i pomknęliśmy w dół, lawirując między wybojami, hamując na zakręcie, po czym stając na pedałach, żeby pokonać pierwsze wzgórze.

Kiedy mijaliśmy stare gospodarstwo za naszym domem, zobaczyliśmy jego właścicielkę, Madame Morgane, w znajomym jasnoniebieskim fartuchu zarzuconym na ciemniejszą błękitną szmizjerkę. Gdy zahamowaliśmy z piskiem, żeby się przywitać, kobieta cofnęła się gwałtownie, chowając się w ciemnym tunelu tworzących luk wiązków. Mamrocząc coś i kręcąc głową, zniknęła za drzwiami swego domu.

– Nie poznała was. Myśli, że jesteście turystami – powiedziała Gwened. – Nienawidzi lata i tych wszystkich obcych. Wpadniemy do niej wieczorem, żeby was jej przypomnieć.

Wzruszając ramionami, pojechaliśmy dalej. Żałowałem jednak, że się nie zatrzymaliśmy. Madame Morgane była nie tylko naszą sąsiadką od tyłu, ale sercem i duszą Kerbordardoué. To pod jej drzwi skierowaliśmy się w pierwszej kolejności tamtego późnego styczniowego wieczoru, szukając klucza do domu Gwened. Podeszliśmy cichutko, na paluszkach, wzięliśmy głęboki wdech i zapukaliśmy. Usłyszeliśmy jakiś łoskot w głębi domu i pytające wołanie, Mindy odkrzyknęła coś w odpowiedzi. Odsunięto rygiel, drzwi uchyliły się i w szparze ukazała się głowa o rozczochranych włosach i z wytrzeszczonymi z oburzenia oczami.

„Nam również miło panią poznać, Madame”.

Następnego ranka, naszego pierwszego na Belle-Île, leżeliśmy w łóżku, dygocząc z zimna i przez ledwie odemknięte powieki oraz koronkowe firanki patrzyliśmy na Madame Morgane, która wołała i gwizdała pod naszym oknem. Z początku myśleliśmy, że to zemsta za wczorajszą wieczorną wizytę. Powoli jednak za oknem przeszedł sznur krów, wlekąc się w stronę ogromnego stogu siana. Madame Morgane uniosła widły na tle wchodzącego słońca i zaczęła nad swoim ramieniem rozrzucać krowom kępy siana. W pewnym momencie odwróciła się i popatrzyła prosto w nasze okno. Sposób, w jaki spojrzenie jej błękitnych oczu przeniknęło przez cieniutkie koronkowe firanki, jakby wypatrywała naszych twarzy, był trudny do zniesienia o tak wczesnej porze. Przewróciliśmy się na drugi bok i spaliśmy dalej, ale kiedy obudziliśmy się jakiś czas potem, zobaczyliśmy, że Madame nadal stoi przy stogu z widłami w dłoni i znów wpatruje się w nas przez okno. Jej twarz pozostawała w cieniu, a wyrazista smuga porannego słońca przecinała skośnie jej pierś niby szarfa.

– Wygląda jak Śmierć przebrana za Skautkę – wyszeptalem.

– To się robi upiorne – jęknęła Mindy. – Nie możemy czegoś zrobić?

Wstałem i podszedłem do okna, usiłując zaciągnąć sztywne aksamitne zasłony.

– Czekaj! – krzyknęła Mindy. – Włóż coś na siebie!

Ale Madame Morgane nie poruszyła się. Niczym nie zdradziła świadomości faktu, że po drugiej stronie szyby stoi nagi Amerykanin. Skonsternowany zasunąłem zasłony.

Trochę później tego samego dnia Mindy bez tchu wpadła do domu po rozmowie z żoną Francka na ulicy.

– Trochę to trwało, ale w końcu to z niej wyciągnęłam. Madame ma kataraktę.

– No to co?

– Wpatruje się w nasz dom nie dlatego, że nas widzi, ale dlatego, że nie widzi.

Przez resztę zimowego pobytu na Belle-Île od czasu do czasu coś czuliśmy, odwracaliśmy się i widzieliśmy ją stojącą gdzieś tam, kawał od nas, na nagim zaoranym polu ziemniaków – małeńka figurka, ledwie widoczna na tle wiatrochronnego pasa ciemnych, wilgotnych cyprysów, przesywająca nas swoim niewidzącym spojrzeniem.

Przyzwyczailiśmy się do tego. Ale nie potrafiliśmy się zmusić, żeby zejść do jej gospodarstwa, zgodnie ze wskazówkami Gwened, i kupić masła albo jajek. Wyraz twarzy Madame Morgane był tak surowy, jej panika i szok tamtego wieczoru, kiedy przyjechalśmy, tak gwałtowne, że prawdę powiedziawszy, zaczęliśmy się jej trochę bać. Uznaliśmy, że mniej kłopotliwe będzie

przejechać rowerem pięć mil do Le Palais i tam zrobić zakupy. Ale pewnego dnia, gdy jedna ze sprzedawczyń nabijała nam właśnie w kasie cenę jajek, do sklepu weszła, uruchamiając dzwoneczek przy drzwiach, Madame M. we własnej osobie.

Zabawne, jak bystry stawał się jej wzrok, kiedy tego naprawdę potrzebowała.

– Co, czyżby moje jajka nie były dość dobre? – burknęła.

Wyjąkawszy przeprosiny, uciekliśmy ze sklepu, ale zdążyliśmy jeszcze usłyszeć, jak Madame Morgane zwraca się do jednej ze sklepikarek i stwierdza z pogardliwym prychnięciem, że Mindy mówi po francusku jak imigrantka. Droga powrotna trwała długą godzinę i cali się spociliśmy, pedałując to w górę, to w dół, a nasze upokorzenie jeszcze się wzmogło, gdy minęła nas siwowłosa awanturka na motorowerze, wioząca w obu torbach przy siodełku sterzące do polowy masztu bagietki. Znowu Madame M.!

Gdy wraz z zapadnięciem zmroku dotarliśmy do wioski, rozpakowaliśmy łapczywie zakupy, by odkryć, że przez moje szaleńcze pedałowanie jajka się zbiły. Cały plecak mi przesiąkł. W efekcie na kolację mieliśmy jedynie ciekawą zakupkę. Rozsądnie byłoby dokupić więcej jajek od Madame Morgane. Ale jednocześnie był to najgorszy z możliwych scenariuszy, więc oczywiście Mindy wysłała tam mnie. Czy legendarny urok Młodego Strudla, a zwłaszcza jego zniekształcona wymowa i malownicze mieszanie rodzajów i mylenie zaimków osobowych, wzbudzą liłość zamiast pogardy?

Kiedy wróciłem, schylając się w niskich kuchennych drzwiach i podając Mindy jedno jajko, wywiązała się łatwa do przewidzenia rozmowa.

– Tylko jedno? Jak to? I nic powiedziałaś?

Przypomniałem jej znaczące spojrzenie Madame na dwanaście jajek, które kupiliśmy w Le Palais. Mindy zastanowiła się, po czym wstała z westchnieniem i wzięła kurtkę z wieszaka.

– Chodź, przejdziemy się tam.

– Po co? Dopiero stamtąd wróciłem.

– Bo ją obraziliśmy. – Mindy zdjęła z gwoźdźca na ścianie wiklinowy kosz na zakupy, zawała się, po czym sięgnęła po samotne jajko i wręczyła mi je.

– Gwened mnie ostrzegęła. Mieszkańcy Belle-Île są bardzo drażliwi. Łatwo się obrażają i długo żywią urazę. Nie chcemy, żeby Madame Morgane poskarżyła się na nas Gwened, tak jak na tego chłopaka od Neila Younga. – Czyli młodzieńca, który przyjechał razem z paroma innymi amerykańskimi studentami, grał na gitarze i organizował zbiorowe śpiewanie, przeciągające się do późna w nocy. Mieszkańcy wioski nigdy wcześniej nie słyszeli Neila Younga i cierpieli katusze. Jeśli wierzyć Gwened, nieustanny refren: „Niech to cię nie pokona. To tylko zamki płoną” sprawił, że krowom skwaśniało mleko, a kury przestały znosić jajka na kilka tygodni.

– Ale skoro wiedziałaś o tym wcześniej? – spytałem.

– Nie chcę jeść brudnych wiejskich jajek! Można od nich dostać salmonelli.

Pokręciłem głową na takie rozumowanie. Mieliśmy do wyboru zaryzykować chorobę albo umrzeć z głodu. Nasze żołądki ostatecznie zwyciężyły i Mindy zapukała do drzwi sąsiedniego gospodarstwa. Usłyszeliśmy szuranie krzesła i drzwi się otworzyły. Przybierając możliwie naj-

bardziej potulną minę i słodki akcent rodem z Tours, Mindy czarowała Madame Morgane so-
lennymi wyrazami skruchy i wstydu, cofając się aż do naszego późnego przybycia pierwszego
wieczoru i zaniedbania w złożeniu wizyty od tamtej pory. Niezmiennie gniewne spojrzenie
kobiety złagodniało – dopóki nie został poruszony temat jajek.

Działając ostrożnie, Mindy podziękowała za to jedno jajko i spytała, czy ofiarowanie go nie
sprawiło jej kłopotu, a może uniemożliwiło Madame Morgane upieczenie ciasta albo usmażenie
naleśników? Bo jeśli tak, zawsze możemy je zwrócić. Na znak Mindy wyjąłem jajko z kieszeni
koszuli i trzymałem je w górze.

„*Non, non, non* – odparła Madame. – Jutro kury zniosą nowe”. No cóż, Mindy wypuściła po-
wietrze, w takim razie może to rzeczywiście prawda, jak zdaje się wspominała Madame Gu-
edel, że da się tu dostać jajka? Może nawet tyle, że wystarczy ich do wykarmienia tego wielkie-
go tępawego Amerykanina, który szwenda się po okolicy i mówi po francusku gorzej niż kaczk-
ka? Zgromiłem Mindy wzrokiem, ale ona wpatrywała się błagalnie w Madame M.

– *Beurre aussi*. – I masło, dodała Madame Morgane. – *Entrez*.

Odsunęła się na bok, a my schyliliśmy głowy w niskich drzwiach i weszliśmy do dusznej za-
graconej izby. Była wąska, a jej niegdyś żółte ściany pokrywał lepki brunatny osad starości,
dymu, masła, papierosów, kociej sierści, rybich łusek i kto wie czego jeszcze. Pod jedną ścianą
stał niczym nienakryty stół, pod drugą ogromna ciemna szafa.

Palenisko było małe, poczerniała dziura wyłożona zadymionymi płytkami. Dwupalnikową
kuchenkę podłączono do butli gazowej. Poczulem drażniący nozdrza zapach amoniaku. Przy
stole siedział mężczyzna: bardzo stary, chudy, o wąskiej głowie, wąsaty, niegolony od wielu dni,
ze stojącym dęba wiechciem włosów, o głęboko osadzonych oczach, zaszłych mgłą i wpatroz-
nych w przestrzeń przed sobą.

Madame Morgane wskazała nam krzesła po naszej stronie stołu. „*Café?*” – spytała. To aku-
rat zrozumiałem, jako że „*café*” było pierwszym słowem, jakie wydobywało się z moich ust
w wiele poranków w lodowatym Paryżu. Jej propozycja o siódmej wieczorem wzruszyła mnie.
Wygłądało na to, że odbędziemy prawdziwą wizytę towarzyską.

Mindy przywołała swoje najlepsze maniery, doskonalone w rozmowach z Gwened i jej ro-
dziną, ale również wpojone przez jej Grammy Nez, bezkompromisową i – trzeba to powiedzieć
– oneśmielającą osobę, która mieszkała sama w lasach Connecticut i ubijała zwierzęce skóry
ogromnymi młotami (w celach introligatorskich) niczym jakaś postać z bajki.

Podczas gdy starzec i ja unikaliśmy swego wzroku, spoglądając pod kątem prostym w sto-
sunku do siebie nawzajem, Mindy i Madame Morgane rozmawiały w miarowym rytmie: nie-
śpiesznym, odmierzanym przez czas potrzebny do zagotowania wody i zaparzenia kawy. Każ-
dą kolejną uwagę przerywało mieszanie łyżeczką i wrzucanie kostek cukru do filiżanek, a za-
sadniczym tematem pozostawała pogoda i jej wpływ na rośliny i zwierzęta.

– *Le temps n'est pas beau, oui?*

– *Non, mais c'est très beau pour les fleurs, n'est-ce pas?*

– *Qui, pour les fleurs, il n'est pas trop mauvais.*

Nagle znalazłem analogię dla tego irytującego walca podwójnych przeczeń: proszone herbatki z dzieciństwa uwielbiane przez moją południową babkę, Gigi. Te wszystkie godziny nudy po szkółce niedzielnej w końcu się opłaciły. Jak się o tym wcześniej przekonałem w Imerovigli, w pokoju dziennym Greka Yanniego i jego rodziców, zasadniczą różnicę między miejską a wiejską psychologią najlepiej da się wyjaśnić na przykładzie podejścia do czasu.

Rozmowa pęzła w sposób zadowolający Madame. Dopiero po dwudziestu minutach odezwał się starzec: wymamrotał jakieś pytanie.

Madame Morgane odparła:

– *Lui? Américain.*

– *Américain?* – W końcu skierował na mnie wzrok.

– *Oui.* – Kiwnąłem głową na potwierdzenie. On też kiwnął.

– *Américain* – powtórzył. – *Pas Allemand.*

Nagle szafa zaczęła trząść się i stukotać. Dał się słyszeć wysoki i gdaczący dźwięk – jakby wydała go kura. Co tam było? Czy to stamtąd Madame brała swoje jajka? Drzwi szafy otworzyły się i wyłoniła się zza nich głowa drobnej staruszki o ustach otwartych szeroko jak u pisklaka, skórze białej i pomarszczonej, upstrzonej maleńkimi czerwonymi kropeczkami na obu policzkach. Mówiła coś, a w każdym razie usiłowała, tymczasem Madame Morgane wstała, podeszła do półki i wyjęła ze szklanki z wodą maleńką sztuczną szczękę.

Włożywszy zęby, staruszczenka świergotała w podnieceniu, z błyszczącymi oczami. To była zdecydowanie najstarsza osoba, jaką kiedykolwiek widziałem, prawdopodobnie również najdrobniejsza. Puszysta pościel wewnątrz szafy przypominała watę wyścielającą tekturowe pudełko. Wstaliśmy, żeby złożyć wyrazy uszanowania – kiedy świergocząca ptaszyna wyciągnęła ręce, Mindy ujęła je delikatnie w swoje dłonie, żeby je ogrzać. Wróciła woń amoniaku, jeszcze silniejsza.

Minął kolejny kwadrans, zanim Madame Morgane zasugerowała, że może już pora spać. W końcu krowy już posnęły. Maleńkiej ptaszynie w klatce powiedziała, że jutro zajdziemy wcześniej.

„*Bien sûr*” – zapewniła Mindy tonem najczystszej czułości, jakby przemawiała do porcelanowego aniołka, który mógłby się rozbić od jednego fałszywego tonu.

Dopiero na sam koniec, kiedy Mere Morgane została już z powrotem zapakowana do swojego *lit clos*, zamkniętego łóżka, Mindy uczyniła aluzję do prawdziwego powodu naszego najścia: żeby zdobyć więcej jajek. Bezceremonialny gest pod moim adresem wywołał pierwszy śmiech Madame, gwałtowny haust powietrza. Wiedziałem, że rozbite jajka w moim plecaku będą jutro przedmiotem kpin w całej wsi. Tak rodzi się reputacja, rozpowszechniana przez bogów.

Madame podeszła do półki i wróciła z bryłką masła, po czym bez skrępowania ustaliła cenę. Powiedzieliśmy sobie dobranoc.

W drodze powrotnej do domu w ciemności, przelamanej jedynie przez gwiazdy i cykliczny błysk światła latarni, Mindy wyjaśniła mi wszystko: Madame nie ma dziś więcej jajek, ale jutro

sprawdzi. Część kur droczyła się z nią i chowała swoją produkcję. No, już ona im pokaże! A co do masła, mogliśmy brać trochę co jakiś czas. Natomiast mleka nie – trafiało w całości do stalowych baniek i było zabierane przez spółdzielnię.

– I chwała Bogu – dodała Mindy. – Nie wydaje mi się, żebym mogła pić niepasteryzowane.
I jeszcze jedno:

– Ten starzec? Nie odzywał się tak długo, bo myślał, że jesteś Niemcem.

– Pewnie tu też mają złe wspomnienia. – Przekonaliśmy się, że na wsi wojna wciąż pozostawała w pamięci Francuzów świeżą sprawą.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że on myślał, że Niemcy wrócili.

Zastanowiłem się, jakie to musiało być uczucie. Czy tak właśnie to się odbywało podczas wojny? Stukanie do drzwi, żołnierze wpadający bez zapowiedzi, żeby kupić – czy też bardziej prawdopodobne: skonfiskować – jajka i masło? Czy zatrzymywali się na chwilę i zagadywali kobiety? Co jeszcze robili? Czy to dlatego ta mała ptaszyna siedziała tak cicho w swoim gniazdku w szafie?

– No, to tłumaczy wyraz jego twarzy – powiedziałem, wzdrygając się lekko. Tego wieczoru było zimno. Ale nie tak bardzo jak podczas pierwszych kilku minut w towarzystwie tego starca.

Dwie minuty później dotarliśmy do domu Gwened. Rzucając ostatnie spojrzenie na nocne niebo z jego pośpieszными chmurami, odryglowaliśmy drzwi, schyliliśmy głowy i przekroczyliśmy próg. Mindy bez słowa zdjęła z gwoździa na ścianie czarną żeliwną patelnię. Następnie przystąpiliśmy do robienia kolacji: omelet dla dwojga z jednego tylko jajka.

Niezbyt obiecujące początki pierwszego pobytu w wiosce. Ale podczas następnych trzech miesięcy nasze pozdrowienia przez drogę i machanie przez pole przerodziły się w dłuższe pogawędki. Wkrótce nie było już prawie dnia bez odwiedzin w domu Madame Morgane. To od niej dowiedzieliśmy się prawdy o życiu na wsi: że polega na wielokrotnym spotykaniu tych samych ludzi każdego dnia.

Wszystko inne miało drugorzędne znaczenie wobec wpadania na siebie to tu, to tam, i znowu tu, i znowu tam – kilkanaście razy dziennie – i to nie licząc zaglądania, zerkania, odwracania się za kimsz z opóźnieniem, a nawet szpiegowania z okien, drzwi, wrót obory, stanowisk dla bydła, zza krzaków i zza zakrętów.

Piszę to wszystko, żeby wyjaśnić, dlaczego czułem się trochę nie w porządku, pedałując dalej z Gwened oraz Mindy i zostawiając Madame Morgane w tumanach kurzu wzniesionych przez nasze toporne trzybiegowce. Powinniśmy byli rzucić wszystko, nawet wyprawę na plażę, żeby złożyć jej wyrazy szanowania. Ale Gwened bez wątplenia wiedziała najlepiej.

Wszelkie żale związane z Madame Morgane wyparowały, kiedy nasze rowery wspięły się na szczyt niewielkiego wzgórza za Kerbordardoué i ujrzelśmy płaski jak stół płaskowyz wyspy,

łśniący złościście w pełnym blasku środka lata. Raj! Jeszcze nigdy nie widzieliśmy Belle-Île w takim wydaniu. Nigdy nawet nie wyobrażaliśmy jej sobie takiej.

Tam gdzie droga rozchodzi się na północ i południe, Gwened zaskoczyła nas, skręcając w odnogę biegnącą w przeciwną stronę niż plaża.

– Nie jedziemy na Donnant!?! – zawołała Mindy.

– Za dużo turystów! To koszmar, te tłumy! Cały ten hałas i smród! – Przyśpieszyła. – Donnant jest okropne! Nie jeźdźcie tam nigdy, jedynie zimą!

Pedałując w ślad za nią, wymieniliśmy z Mindy zawiedzione spojrzenia. Od pierwszej wizyty marzyliśmy o długiej, pustej, wygiętej w łuk plaży Donnant. Od lat rozmawialiśmy o tym, żeby tam popływać, ale ponieważ podczas naszych kolejnych wizyt zawsze była zima albo wczesna wiosna, pomysł ten wciąż pozostawał niezrealizowany. Byliśmy ludźmi wody i mieliśmy wielkie nadzieje, rozpalone przed pięćmi laty, kiedy Mindy wykrzyknęła, patrząc na kolejne szkliste fale przewalające się z hukiem i bezwzględną nieodwołalnością, zupełnie jak na północnym wybrzeżu Hawajów: „Rany, one są ogromne! Przypominają mi Pupukeę. Wiesz, myślę, że nadają się do surfowania!”.

Wyspa miała jeszcze sto innych plaż, w tym miłą zatoczkę pół mili od Donnant. Ale Gwened prowadziła nas wzdłuż centralnego płaskowyzu, a następnie w dół doliny, na jej drugą stronę i dalej przez całą sieć rozgałęziających się nieustannie drózek. Mijając pola i kępy drzew, zachwycaliśmy się ich pięknem i spokojem, poza jednym miejscem, skrzyżowaniem dróg, gdzie zostaliśmy bezceremonialnie zaznajomieni z pojęciem ruchu turystycznego przez bandę rozpedzonych peugeotów, renaultów i citroenów, zataczających się, gdy śmigały obok nas, trąbiąc metalicznymi klaksonami. Znów umknęliśmy w płataninę bocznych dróg i pomykaliśmy wzdłuż kamiennych murków uliczkami wiosek o takich nazwach, jak: Goelan, Bangor, Kervagoen, Calastren, Herlin... Dokąd zmierzaliśmy?

Wreszcie Gwened zatrzymała się. Zostawiwszy rowery w rowie, gdzie świeżo wymłócone pole kończyło się pod jednym z ostrych klifów Belle-Île, zeszliśmy parowem wzdłuż wąskich niebieskozielonych teras z łupków, aż poczuliśmy piasek pod nogami. Rozłożyliśmy ręczniki w skalnym zakątku, po czym Mindy i ja poszliśmy nad brzeg morza i po raz pierwszy zamoczyliśmy stopy na naszej wyspie.

Spieniona woda obmyła nam kostki. Wskoczyliśmy jak oparzeni. Brrrrr... Ciepła nie była, to pewne, nawet w upale lata. Spodziewaliśmy się tego w sferze rozumu – w końcu wyspa leżała na tej samej szerokości geograficznej co Labrador – ale rzeczywistość była trudna do przełknięcia. Druga fala lodowatej wody dosięgła naszych stóp. Ja twardo stałem w miejscu, ale Mindy, Hawajka, wycofała się.

– To taka sama temperatura jak w Kalifornii – zachęcałem.

– Południowej?

– Północnej. Jak w Santa Cruz. – Tam, gdzie chodziłem do college’u. Co było przyznaniem, że woda jest cholernie zimna, niewiele ponad szesnaście stopni Celsjusza. Ale biorąc głęboki oddech i zaciskając zęby, zdołalibyśmy jakoś to znieść, a może nawet mieć z tego przyjemność.

Niczym astronauta testujący atmosferę na nowej planecie, ostrożnie weszliśmy do wody, dygocząc i pokrzykując. Wreszcie zanurzyliśmy się po szyję i zaczęliśmy przebierać rękami i nogami, zachłystując się z zimna. Lodowaty ogień morza kontrastował z palącym słońcem nad naszymi głowami, wysyłając sprzeczne alarmy memu układowi nerwowemu. Już i tak mrużyłem oczy od jaskrawych lustrzanych błysków słońca na powierzchni wody, gdy nagle, obracając się wkoło, żeby ogarnąć pełen widok, dostrzegłem podświetloną od tyłu kobiecą sylwetkę, falistym ruchem sunącą po piasku aż na skraj wody. Zmysłowa niczym bogini, kroczyła ze swobodną dumą nagiej Afrodyty, która właśnie wyloniła się z muszli i brodzi w różowej morskiej pianie.

– Uhm... Mindy?

– Widzę.

Prując fale, płynęła do nas żabką jej dawna pani profesor, nasza mentorka, muza i źródło wszelkiej inspiracji – Gwened Guedel. Ależ inna stawała się ta Belle-Île. Nigdy jeszcze nie byliśmy tu latem, nigdy nie czuliśmy takiego upału, nigdy nie widzieliśmy, żeby ktokolwiek tu pływał, a co dopiero nago. A oto teraz: Gwened Godiva.

Rzecz jasna, nie byliśmy tym aż tak zszokowani. Nie my. Nie mieliśmy nic przeciwko nudyzmowi, dokuczliwe było jedynie to, że obliżował do przyłączenia się, w przeciwnym razie człowiek wychodził na źle wychowanego albo co gorsza pruderyjnego. Mimo to kontrast między tą nimfą a Gwened – dawniej zapiętą na ostatni guzik obrończynią kultury, dobrego smaku i gramatyki – był porażający.

Gdy wróciliśmy na piasek po lodowatych dziesięciu minutach, zostaliśmy w kostiumach, chociaż Mindy zdjęła górę w ramach siostrzanej solidarności. Słońce rozgrzewało nas powoli, inne niż nasze północne słońce w domu. Prawdę mówiąc, jego żar sprawiał, że miałem ochotę rozebrać się na trochę, jak, powiedzmy, Szwed.

– Don? Mindy? – zagadnęła Gwened.

W jej tonie kryło się coś takiego, co nagle wzbudziło moją czujność. Z nudystami w Kalifornii, zwłaszcza tymi spod znaku jacuzzi, zdarza się czasami taki delikatny moment, kiedy ktoś zadaje To Pytanie, zwykle po tym, jak człowiek uchylał się przed ukradkowymi pieszczołami ich stóp pod wodą. Modliłem się, żeby nie dotyczyło to tej sytuacji z Gwened. Ale ona była panią profesor z college'u, a życie wśród profesorów w Kalifornii i Iowa nauczyło mnie rozmaitych rzeczy, które – z perspektywy czasu – miały niewiele wspólnego z podręcznikową wiedzą.

– Hrrrruummm... aooooo... – Mindy udawała, że śpi, tchórz jeden.

– Owi, Gwened? – Kuląc się w duchu w obliczu tego, co miało za chwilę nastąpić, upominałem się jednocześnie, żeby jej nie urazić. Zważywszy na jej raka, postaram się okazać zrozumienie dla wszystkiego, co tylko mogłaby uznać za krzepiące.

– Czy zastanawialiście się już, jak rozwiązać kwestię waszej *fosse septique*?

Naszego szamba? Niech Bóg błogosławi Francuzów! Z tego, co dowiedziałem się w maju, kiedy przyjechałem obejrzeć dom i podjąć wielką decyzję, niewiele jest rzeczy bliższych ich sercu niż rozprawianie na temat instalacji sanitarnych.

Na dowód tej tezy Mindy otworzyła nagle jedno oko i spytała grobowym tonem:

– A co?

Następnie obie *demoiselles* topless wdały się w dyskusję, która bez wątpienia osłabiłaby wszelkie erotyczne zapędy jakiegokolwiek podsłuchującego nudysty czy podglądacza.

Podczas gdy Denis DeReveur rysował plany i pozyskiwał wykonawców, my przyjęliśmy rozkład dnia Gwened. Po wczesnoporannej medytacji wyruszaliśmy na rowerową albo pieszą wycieczkę, urządzaliśmy piknik na plaży, nad zatoczką albo w dolinie, odwiedzaliśmy najbliższe miasteczko Sauzon, żeby sprawdzić, jakie ryby przywozła łódź, wykonywaliśmy jakieś prace ogrodowe albo domowe, a potem udawaliśmy się na popołudniową sjęstę, szliśmy do ogrodu po warzywa, jedliśmy lekką kolację i znów wychodziliśmy w bezkres wieczoru.

Przestrzegaliśmy nowej diety Gwened: żadnej kawy, mało tłuszczów, żadnej wołowiny, dużo produktów ekologicznych. Chociaż kręciło mi się od tego w głowie, stosowaliśmy się nawet do kalorycznych ograniczeń (na długo zanim termin „dieta niskokaloryczna” stał się powszechnie znany). Gwened wyjaśniła nam – przy jedynej okazji, kiedy w ogóle poruszyła temat swojej choroby – że nie zgodziła się na radykalną mastektomię. Po prostu nie była w stanie jej się poddać. *En France les seins sont sacrés*. We Francji piersi są święte. Więc zamiast tego usiłowała załodzić raka.

Ale po ożywieniu podczas pierwszych paru dni naszego pobytu Gwened popadła w melancholię. Jej powieki zdawały się ciężkie, jej uśmiech *triste*, smutny. Ale Gwened tłumiała swoje prawdziwe uczucia albo z kolei mówiła o swoim synu Danielu – o jego talencie, potencjale. Nie pasował do sztywnego francuskiego systemu edukacji; w college’u nie szło mu zbyt dobrze. Może powinna go wysłać na studia do Stanów. Z rzewną nadzieją mówiła o tym, że moglibyśmy zostać jego mentorami. Czy zechcielibyśmy się tego podjąć? Czy uważaliśmy życie pisarzy za satysfakcjonujące? We Francji tak trudno się wybić. W Ameryce na pewno dużo łatwiej być pisarzem. Odpowiadaliśmy najlepiej, jak potrafiliśmy, zdając sobie sprawę, że chodzi o to, by dać Gwened nadzieję, a nie o praktyczne rady. To było trochę śmieszne – ta konieczność udawania, że odnieśliśmy sukces w dziedzinie literatury. Przede wszystkim jednak te rozmowy o Danielu sprawiały, że jego nieobecność stawała się jeszcze bardziej rażąca. Gdzie on był? Jego paryski college dzieliły od Belle-Île zaledwie cztery godziny drogi. Nie mieliśmy nic przeciwko spędzaniu czasu z Gwened, ale wspieranie jej stanowiło ciężkie brzemie, no i nie byliśmy przeciw jej rodziną. Gdyby u którejś z naszych matek stwierdzono raka, po czym przeszłaby ona chemioterapię i odmówiła poddania się operacji, wybierając własne sposoby leczenia i zmniejszając w ten sposób szanse na wyzdrowienie, czyż nie pojechalibyśmy do domu na lato?

W końcu, żeby porozmawiać o tym i o innych sprawach, wymknęliśmy się na kawę do naszych sąsiadów, Francka i Ines, którzy remontowali swój własny chaotyczny zestaw szop i chat po drugiej stronie drogi w stosunku do nas. Wymienili spojrzenia. Żmudnie dobierając słowa

i przerywając je chwilami dojmującego milczenia, dali nam do zrozumienia, że doszło do pewnego rozłamu. Daniel bardzo przeżył rozpad małżeństwa Gwened i jej męża. Stał po stronie ojca, być może bojąc się, że i tak straci matkę. Dla nastolatków często jedynym dostępnym uczuciem jest gniew, powiedziała Ines. Ale w tym wypadku gniew syna głęboko ranił i tak już wyniszczoną nowotworem Gwened.

Przyjmując do wiadomości, że sytuacja jest bardzo trudna, westchnęliśmy i zgodziliśmy się, że najlepsze, co możemy zrobić dla Gwened, to po prostu iść za jej przykładem i wspierać ją, jak tylko zdołamy. Jej zawodem było nauczanie – wygłaszanie wykładów przychodziło jej naturalnie. Zaczęliśmy więc zadawać pytania. Mieliśmy już jakieś pojęcie o kulturze i historii wyspy. Ale, poprosiliśmy, czy mogłaby nam powiedzieć coś więcej? Gwened miała żyłkę teatralną i gdy już zaczęła zsywać dla nas kawałeczki historii Belle-Île, stała się wyraźnie szczęśliwsza, zwłaszcza kiedy niczym magik odsłaniała jakąś sekretną grotę albo opisywała mało znany zwyczaj.

Wyjawiła nam także sekrety swojego ewoluującego życia duchowego. Stała się buddystką, wyjaśniła, ale nie odeszła z Kościoła, nawet mimo rozwodu. (Bóg i Francja dawno doszli do porozumienia, że dusza jest zbyt cenna, by ją marnować na przejmowanie się dogmatami). Oczywiście nie mogła się oprzeć temu, by uświadamiać nam co chwila celowość każdego naszego działania. Słuchaliśmy z szacunkiem. W końcu my też byliśmy obłąkani – na potwierdzenie naszej niepoczytalności mieliśmy akt notarialny czyniący nas posiadaczami ruiny domu.

Czuliśmy, jak na Belle-Île sfery duchowa i fizyczna łączą się w wielu miejscach – na rozdrożu zaznaczonym czternastowiecznym kamiennym krzyżem, na zakręcie, gdzie dwa wielkie stojące kamienie trzymały straż niczym celtyccy wartownicy, a także wewnątrz którejkolwiek z grot na Côte Sauvage. Ale Gwened pomogła nam zobaczyć to przenikanie bliżej domu, kiedy oprowadzała nas po swojej chacie i pokazywała podstawy bretońskiego *maison saine*: drzwi frontowe otwierające się bezpośrednio na kuchnię połączoną ze wspólną izbą rozmieszczoną między piecem kuchennym a kominkiem, długi prostokątny stół z ławami do siedzenia stojący prostopadle do drzwi, dwie szafy po przeciwnych stronach, jedna na naczynia, druga na bieliznę. Piło się wodę albo cydr z brązowych glinianych misek i jadło placki oraz naleśniki z brązowych talerzy. Delikatne, pochodzące z Quimper półmiski z biało-żółtym zdobieniem spoczywały zazwyczaj w szafie, wystawione na pokaz i korzystano z nich jedynie przy wyjątkowych okazjach.

To było życie ograniczone do minimum, skupione wokół pracy w rodzinnym gospodarstwie, ale takie, w którym nigdy nie brakowało miejsca na piękno. Czy to po śniadaniu, po obiedzie, po podwieczorku, czy po kolacji, kiedy już wszystko zostało pozmywane i pochowane, na stole kładziono kawałek ręcznie dzierganej koronki, a na niej stawiano dzbanek lub miskę z bukietem, nieuchronnie zawierającym duży i jasny kwiat w kolorze lawendy obcięty z krzewu hortensji rosnącej przy frontowych drzwiach. Taki zdrowy dom, *maison saine*, miał sens. Jeśli człowiek mieszkał w dwóch lub trzech pokojach, jak wiele bretońskich rodzin, potrzebny był mu dom ułatwiający gotowanie, sprzątanie i inne prace domowe. A także taki, który na pierwszy

rzut oka sprawiał wrażenie porządku i ładu, czyli nie był przesadnie zagracony ani ozdobiony zbyt frymuśnie czy ekscentrycznie. A zatem żadnych cacuszek i błyskotek. *Maison saine* za punkt honoru stawia sobie zachęcający wygląd już od progu – odzwierciedlający gotowość jego mieszkańców do tego, by zaproponować każdemu, kto zajdzie z wizytą, miejsce przy stole, filiżankę kawy i kawałek maślanego ciasta, *houign amann*.

Nie zważając na poczucie winy z powodu naszego bałaganiarskiego, nieco desperackiego życia w Nowym Jorku, zapewniliśmy Gwened, że jest to również naszym celem. My także pragnęliśmy zdrowia psychicznego i obiecaliśmy, że nasz dom będzie miał taką właśnie zdrową i przyjazną atmosferę. Ale jeśli sądziliśmy, że to zadowoli Gwened, byliśmy w błędzie. Bo ona zamierzała zapewnić nam edukację sentymentalną jeszcze innego rodzaju: wpoić nam podstawy moralnego domu.

Żeby dom był moralny, musiał pasować do otoczenia, być taki, jak należy. A żeby był taki, jak należy, musiał znać swoje miejsce, co w rozumieniu Gwened oznaczało postawienie charakteru i urody wioski oraz całej wyspy ponad jakiegokolwiek osobiste wymagania czy architektoniczne pretensje. To właśnie kryło się pod jej obawami o linię naszego dachu, okna na piętrze, czerwone płytki dachowe i... *fosse septique*. To był prawdziwy Styl Życia Wyspy, którego zrozumieniem musieliśmy dopiero się wykazać.

FRANCUSKI STYL REGULACYJNY

Dla pary dzieciaków wychowanych w melodramatycznych pejzażach Hawajów i Kalifornii Belle-Île była subtelna niczym woń dzikiego rozmarynu po letnim deszczu, poemat muzyczny otwartych pól, wiatrochronnych pasów cyprysów i schludnych skupisk domów w wioskach, a wszystko to otoczone fraktalnymi frędzlami zatoczek, klifów i plaż. Zamiast wywołującej burzę oklasków operowej arii, jak *Mauna Kea*, *Yosemite* czy *Golden Gate Bridge*, wyspa proponowała delikatną melodię, która potem wciąż rozbrzmiewała w uszach.

Nie oferowała natomiast wielkomiejskiego rytmu ani blichtru rodem z Lazurowego Wybrzeża. Może całorocznym mieszkańcom Le Palais, których było w sumie ponad dwa tysiące, wydawało się, że są lepsi od innych, żyjąc w cieniu wyniosłych wałów obronnych siedemnastowiecznej twierdzy, Citadelle Vauban. Jednak tym, co robiło największe wrażenie na Belle-Île i co uderzało nas na nowo każdego dnia, był wszechobecny i zdumiewający brak turystycznych willi stłoczonych na skraju wybrzeża i osiedli jak spod sztancy, w przeciwieństwie do wszystkich innych miejsc na świecie w krajach rozwiniętych, czy to na Krecie, Santorini, Hawajach, Long Island czy w Kalifornii.

Aż do chwili, gdy przystąpiliśmy do zakupu domu, sądziliśmy, że to cudowny przypadek, że ludzie po prostu za bardzo kochali Belle-Île, żeby ją profanować. Ale najpierw Sylvie, nasza bretońska prawniczka, a potem Gwened, nasza wielobranżowa mentorka i architektoniczna muza, wyprowadziły nas z błędu. Nie było żadnej niewidzialnej ręki chroniącej wyspę, a jedynie żelazna dłoń regulacji rządowych narzuconych przez lokalny podział gruntów na strefy zagospodarowania.

Wybrzeże było niedostępne – budowę dopuszczano tylko w granicach wiosek, a od roku 1765 niemal każdy nowy dom w stu pięćdziesięciu dwóch osadach miał białe ściany, dach kryty łupkowymi płytkami i taki sam plan pomieszczeń. Rzadkie wyjątki – jak elegancko wysmukłe ratusze z początku osiemnastego wieku, stojące na nabrzeżu w Le Palais i Sauzon – powstały wcześniej niż regulacje prawne. Późniejszy wyjątek stanowiły jedynie trzy duże hotele. Bezcelne,

acz niewysokie, stały schowane i nie rzucały się w oczy, w przeciwieństwie chociażby do krzykliwych budynków wyrastających w bliskim sercu Mindy Waikiki.

Fascynował nas proces ochrony, który zdołał przetrwać dwa wieki. Stare Waikiki zniknęło w ciągu dziesięciu lat: budowa hoteli zniszczyła linię brzegową, rafę i życie morskich zwierząt. Grecja, jaką widzieliśmy, stanowiła katastrofę pozbawionych jakichkolwiek regulacji inwestycji budowlanych: przybudówki z taniego żużlobetonu, betoniarki na każdym podwórku i ścieki płynące prosto do morza. Ja z kolei dorastałem podczas eksplozji budownictwa szeregowego w Los Angeles, które na moich oczach pokryło zmierzwionym dywanem jednolitych domów tereny wzdłuż plaży i pustynie na obszarach rozciągających się na sto mil.

Później, pracując w Centralnej Kalifornii, widziałem, jak to się odbywa: domy sklecone w tydzień, następnie nałożona sprejem warstwa farby i filigranowe prefabrykowane zdobienia wyciskane z kawałka sklejki. Pewnego dnia, malując iluzoryczne fasady gołębników, które miały się znaleźć pod okapami szeregowców, doznałem objawienia, że dzieci dorastające w tym domu będą całe dzieciństwo czekać na ptaki, a one nigdy, przenigdy nie przylecą. Uznałem, że wykrecono im paskudny numer, i zastanawiałem się, kto za tym stoi. Z pewnością ktoś pozbawiony duszy. Ale czy ja byłem lepszy, zarabiając 11,25 dolara za godzinę, wracając do przyczepy, jedząc pizzę z pudełka i popijając budweisera z sześciopaka?

Kiedy zakończyłem tę robotę, nigdy więcej nie pracowałem na budowie. Ale potem wszędzie widziałem te domki dla ptaków, a także ogromne billboardy: „Witajcie w Highland Castle Park, Regency Uptown Estates, Alta Huntington Arms...”.

Jak więc Belle-Île zdołała uchronić się przed podobnym losem, przed przeinwestowaniem, przeludnieniem, przed samochodowym szaleństwem, jakie ogarnęło Saint-Tropez i Cannes na południu oraz wyspy Jersey i Guernsey na północy? Skąd się wzięły te wszystkie moralne domy? Czy też raczej, jak, dla czego i kiedy zdecydowano się tutaj obrać inną drogę niż ta oczywista, spod znaku: więcej, taniej, brzydziej?

Odpowiedź, jeśli pominąć pierwsze trzydzieści tysięcy nieudokumentowanych lat, wypływa z niepowtarzalnej mieszanki wojen, sardynek, walecznej i niszczącej fantazji, literackiej i artystycznej sławy, a przede wszystkim z położenia, położenia, położenia – no i tak się złożyło, że tu właśnie pewne pierwsze ikony celebryckiej kultury zyskały medialny rozgłos.

Belle-Île od początku była jedną z tych wysp-Helen Trojańskich, zawsze przez kogoś pożądanym i zawsze wszczynającym wojny. Zamieszкана przez posługujące się narzędziami ludy mezolityczne, a następnie neolityczne od 7000 lat p.n.e. – kiedy to być może łączyła się ze stałym lądem podczas odpływu – zawsze stanowiła przystanek między Morzem Śródziemnym a północną Europą. Fenicjanie zatrzymywali się tu, by zdobyć wodę i zapasy żywności, gdy transportowali ładunki cyny z kornwalijskich złóż – to oni byli prawdopodobnie pierwszymi *étrangers*, cudzoziemcami.

Baskijscy wielorybnicy, piraci, mnisi w łodziach wiosłowych: wszyscy podróżujący drogą morską wiedzieli, że Belle-Île jest bezpiecznym portem, zlokalizowanym z dala od groźnych nurków i skalistych brzegów stałego lądu. Ale po raz pierwszy wyspa zapisała się w historii około 56

roku n.e. jako miejsce morskiej bitwy, którą zwyciężył Brutus, podczas gdy jego zwierzchnik Juliusz Cezar przyglądał się bezczynnie. Kiedy w piątym wieku upadło cesarstwo rzymskie, wyspa okazała gościnność Bretończykom ze stałego łądu oraz mnichom z Redonu, ale też niestety miała zbyt dogodne położenie dla obcych flot, wikingów i innych piratów.

Około roku 1000 wyspę przejęli benedyktyni i rozpoczęli uprawę ziemi. W szesnastym wieku w ramach przetargów politycznych król wypędził mnichów z wyspy wobec ich nieumiejętności powstrzymania piractwa, a także w ramach nagrody dla sprawdzonego w bojach partnera Medyceuszy, Alberta de Gondi, który tego samego dnia w roku 1573 otrzymał również Prowansję. (To był naprawdę dobry dzień dla Gondich). Dopiero po stu latach panowania rodziny Gondich Nicolas Fouquet, ekstrawagancki francuski minister finansów w stylu Donalda Trumpa, złożył Włochom propozycję nie do odrzucenia.

Zakon benedyktynów traktował Belle-Île niczym przymusowy obóz pracy, zaprzęgając ludzi do pługów i każąc im spać w barakach. Gondi rozwinęli rzemiosło i rybołówstwo. Fouquet miał inną wizję: uczynić z Belle-Île Wyspę Marzeń, po której będą przechadzać się muzycy brzdąkający na mandolinach. W ciągu trzech lat jego wizja mogła się równać z Wersalem. Jednak Ludwik XIV, Król Słońce, był zazdrosny i podejrzliwy wobec ogromnych wydatków. Fouquet został aresztowany i przywieziony z powrotem do Paryża, a jak powiadają, uczynił to nie kto inny, jak tylko d'Artagnan i trzej muszkietierowie. Nie należy konkurować ze Słońcem.

Minęło sto lat. Zbliżało się najważniejsze wydarzenie dla mieszkańców Belle-Île: zdobycie wyspy przez Brytyjczyków w 1761 roku. Francja przegrała wojnę z Anglią, a kiedy dwa lata później żołnierze brytyjscy odpływali z Le Palais, rolnicy i wieśniacy otrzymali prawa do swojej ziemi i domów. Wyobraźcie sobie, że monarchia daje ludowi środki produkcji. Albo demokratyczną redystrybucję majątku, o dekadę wcześniej, zanim rozpoczęła się amerykańska rewolucja czy jeszcze trochę później rewolucja francuska.

Przegranie wojny oznaczało także, że Francja straciła Amerykę Północną, a w roku 1765 minister obrony wpadł na pomysł, żeby wysłać trochę Akadian, wydalonych z Maine, Cape Breton i Wyspy Księcia Edwarda, dla wzmocnienia Belle-Île. W wyniku *Le Grand Dérangement*, Wielkiego Przesiedlenia, jak to nazywano, na wyspie osiedliło się siedemdziesiąt osiem rodzin. Wiele z nich zostało rozdzielonych z krewnymi, z których część wylądowała w Luizjanie, gdzie stała się znana jako *Cajuns*. Akadianie z Belle-Île otrzymali dom, konia, krowę i trzydzieści miar ziemi – tyle, ile rolnik mógł zaorać w ciągu jednego dnia. Żaden z nich nie osiedlił się w naszej wiosce, Kerbordardoué.

Niektórzy twierdzą, że rdzenni mieszkańcy Belle-Île, których liczba w tamtym czasie wynosiła około pięciu tysięcy, nie byli zachwyceni tym, że umieszczono wśród nich obcych i jeszcze ofiarowano im na początek gospodarstwo wraz ze zwierzętami. Ale paradoksalnie rząd francuski wcale nie usiłował okazywać Akadianom względów. Bynajmniej. Nowo przybyli mieli służyć za mięso armatnie na wypadek inwazji i zostali ulokowani w specjalnie zaprojektowanych kamiennych domach stojących w rzędach i wychodzących na morze, bez tylnych drzwi i okien. Zupełnie jakby mieszkali na strzelnicy, ze świadomością, że jeśli przyplyną żołnierze brytyjscy,

komendant z Cytadeli rozda im muszkiety i wszyscy mają tkwić na posterunku oraz walczyć, póki nie zostaną wybici co do jednego.

Na szczęście ani Akadianie, ani rdzenni mieszkańcy wyspy nie mieli czasu na to, by siedzieć i czekać na kolejną wojnę. I chociaż być może pielęgnowali urazy przez kolejnych dwadzieścia lat, nie przeszkadzało im to w nawiązywaniu kontaktów towarzyskich, tańczeniu two-stepa na *fest-noz* i zawieraniu związków małżeńskich. Wykorzystali także akadiański zwyczaj dekorowania budynków od zewnątrz w nowym bretońskim stylu domów. Na ogół przybierało to formę cienkiego kolorowego paska wokół okien – różowego lub jasnoniebieskiego, rzadziej żółtego. Do tego dochodziły malowane drewniane okiennice – jasnozielone dla rolników i błękitne dla marynarzy.

Kiedy nadeszła kolejna inwazja – niemiecka w roku 1940 – nawet nie brano pod uwagę pomysłu wykorzystania domów jako bunkrów. Miło byłoby myśleć, że były po prostu zbyt ładne, żeby używać ich do walki, ale tak naprawdę masowe zniszczenia, które dotknęły stały ląd, ominęły Belle-Île. Nie miała już strategicznego znaczenia.

Stała się natomiast ważnym ośrodkiem rybołówstwa, jeszcze w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Po przelotnej koniunkturze na wysyłanie homarów do Paryża nową linią kolejową wyspa stała się jednym z pierwszych ośrodków eksportu sardynek w puszkach. Udoskonalenie bezpiecznej metody puszkowania żywności – przez Francuza, Nicolasa Apperta – wywołało prawdziwą gorączkę złota na punkcie tej małej rybki, do tej pory rzadkiej i cenionej głównie przez smakoszy.

Wyspa służyła jako baza dla tysięcy *chaloupes*, słupów obwieszonych sieciami, których wsparte na wspornikach maszty zamieniały każdą zatoczkę w las. Kiedy ta flotylla wpływała do portu po złowieniu w sieci jednej z olbrzymich ławic sardynek, od jakich roiła się Zatoka Biskajska, cała ludność wyspy gromadziła się w fabryce konserw w Le Palais i pracowała tak długo, aż ostatnia puszka nie została zamknięta.

Bogactwo sardynek ustabilizowało zmienne koleje losu Belle-Île w okresie zamieszek i industrializacji w innych rejonach. Wielu mieszkańców wyspy posiadało *chaloupes* albo czerpało zyski z połowów, a reszta zarabiała na puszkowaniu. Te pieniądze trafiały do kieszeni oszczędnych z natury tubylców, podnosząc ich standard życia i pozwalając zatrzymać gospodarstwa i domy. Nawet kiedy sardynki w tajemniczy sposób zniknęły w roku 1911 – w tym samym roku wyparowały z Monterey, miasteczka upamiętnionego przez Johna Steinbecka w *Ulicy Nadbrzeżnej* – Belle-Île zachowała poczucie dumy z ich powodu. I szczęśliwie po roku 1900 wyspa znalazła nową „rybę” do usmażenia: turystów.

Wszędzie indziej turystyka była równoznaczna z gwałtowną rozbudową i śmiercią kultury regionalnej. Belle-Île miała to szczęście, że dzieli ją od lądu dwadzieścia mil wody oraz że pierwsi turyści przyjechali w ślad za poetami i malarzami, a zwłaszcza za Claudem Monetem i Johnem Peterem Russellem. W roku 1900 wyspę odwiedziła najsłynniejsza osoba na świecie – Sarah Bernhardt, która była jednocześnie Muhammadem Alim i Lady Gagą swoich czasów – a Belle-Île podbiła jej serce.

Bernhardt kupiła ustronną twierdzę w najposępniejszym miejscu wybrzeża i uczyniła wyspę swoim domem w przerwach pomiędzy światowymi tourné. Sprawiała, że Belle-Île stała się tematem wielu reportaży, z powodu takich głośnych wydarzeń, jak strzelanie do ptaków morskich, leżąc w łóżku i pijąc poranną kawę, oraz przyjęcie księcia Walii na miłosną noc i symboliczne „pożegnanie z tym wszystkim” w drodze na koronację.

Kiedy ogólnokrajowa sieć usług kolejowych zaczęła siłą wprawiać masy w ruch turystyczny, Belle-Île pod wieloma względami była idealnie przygotowana do tego, żeby skorzystać na tym, nie tracąc jednocześnie duszy. Po pierwsze, większość przybyszów wołała pozostać na stałym lądzie, w pobliżu stacji końcowej, dzięki czemu Belle-Île stała się celem jednodniowych wycieczek. Najbliższe miasta na stałym lądzie, Quiberon i Carnac, miały do zaoferowania hotele z epoki edwardiańskiej, pasażerów handlowe i sale taneczne, promenady wzdłuż plaż z niekończącymi się kawiarenkami i paniami w rozkloszowanych spódniczkach, z parasolkami i ujadającymi pudłami.

Na Belle-Île jeździło się po to, żeby odetchnąć od całej tej piany i podniecenia, zaczerpnąć świeżego powietrza i za przykładem tylu sławnych ludzi rozkoszować się naturą niczym wyrefinowanym spektaklem. Człowiek przyjeżdżał, omdlewał z zachwytu, opalał się i wracał do domu. W Le Palais sprzedawano mnóstwo bibelotów, nadmorskich łakoci i pocztówek, ale piękne widoki i przyprawiające o zawrót głowy nadbrzeżne urwiska pozostawiano w spokoju – i nadal są nietknięte.

Jak jednak mieszkańcy wyspy zdołali w tym wszystkim kierować własnym losem, a w każdym razie zachować godność i ziemię? Dlaczego nie schlebiali turystycznym gustom, nie ulegli pokusie, by wziąć forszę i w nogi? Może byli po prostu uparci i woleli żyć w swoich gospodarstwach tak jak ich przodkowie. W książce *Dawny ustrój i rewolucja* Alexis de Tocqueville (autor słynnego dzieła *O demokracji w Ameryce*, równie trafnie postrzegający ojczysty kraj) pisze o sile przywiązania wieśniaków do ziemi. Poza tym może mieszkańcy Belle-Île nigdy nie zostali wystawieni na ciężką próbę podatkową przez opanowane przez inwestorów rady miejskie, jak to się stało w Kalifornii.

W ramach odnawiania francuskiego dziedzictwa architektonicznego po drugiej wojnie światowej ktoś w rządzie centralnym musiał zdać sobie sprawę, że naturalne piękno wymaga ochrony – prawdopodobnie ktoś, kto miał drugi dom na Belle-Île i po wyprawie do Saint-Tropez na nowo docenił jej harmonię. Zobaczył, jak łatwo mogłaby zostać utracona, i w roku 1975 zdołał przeforsować podział na strefy zagospodarowania, który będzie chronić wybrzeże przed inwestycjami budowlanymi. Wkrótce wprowadzono również ustawy zakazujące odstępstw od prostego stylu bretońskiego budownictwa.

Nie wszyscy byli zadowoleni z takich ograniczeń – w każdej rodzinie posiadającej ziemię trafiał się ktoś, kto chętnie za dolary użyłby buldożera. W każdym dziesięcioleciu zdarzały się spory o rozszerzenie granic wiosek, aby umożliwić rozbudowę. Dzisiaj jednak wyraźnie widać, że ten regulacyjny eksperyment się opłacił: wystarczy pojechać samochodem albo pociągiem na półwysp Quiberon na przystań promów w Port Marie i zobaczyć chaotyczną mozaikę stłocz-

nych domów, osiedli i wiosek – nadęte budowle, potworkowate, schlebiające turystycznym gustom, groteskowo wypaczone, zepsute nieograniczoną swobodą spełniania żelbetonowych zachcianek małych, kiczowatych umysłów.

Taki był francuski styl regulacyjny na Belle-Île i dlatego właśnie zatrudniliśmy Denisa LeReveur. Bo gdybyśmy poprosili o niespełniający swojej roli, czysto dekoracyjny domek dla ptaków pod okapem, odmówiłby nam z miejsca. On musiał tu żyć. Podczas gdy paryżanin czy jakikolwiek inny najemnik ze stałego ładu zatarłby ręce i zapytał: „Ile pokoików dla ptaszka?”.

Nasz pobyt dobiegał końca, ale jakoś to do nas nie docierało. Kiedy przyjechaliśmy w sierpniu, słońce zachodziło na tej północnej szerokości geograficznej tak późno – o dziesiątej, a teraz zanurzało się w lustrzanej tafli Atlantyku o wpół do dziewiątej – że zmyliło to nasze wewnętrzne zegary.

Często wędrowaliśmy po wrzosowiskach niczym laponscy pasterze renów, wiele godzin po kolacji w przedłużającym się zmierzchu. W głębi ducha wiedzieliśmy, że to ostatnie lato przed burzą remontu, ostatnia mydlana bańka niewinności, która wkrótce pęknie. Gwened zachęcała nas do tej niefrasobliwości, świadoma, co będzie potem. Ona urodziła dziecko. Odremontowała dom. Wiedziała.

Tyle że nikt nie wiedział. Tego, co miało nastąpić potem, nie była w stanie odgadnąć nawet taka wieszczka jak Gwened.

Przez te dwa tygodnie, kiedy Gwened spokojnie, acz nieustępliwie przekazywała nam całą swoją wiedzę, dając z siebie wszystko i organizując nam całe dnie, Mindy i ja zgodnie ignorowaliśmy wszelkie sugestie, że to już „ostatnie wskazówki”, symboliczne przekazanie nam paleczki – na wszelki wypadek. Nie mogliśmy jednak nic poradzić na zbliżającą się jesień, na elegiijny pejzaż Belle-Île, na suche wymłócone pola i bele siana, na stada owiec przenoszące się na nowe pastwiska.

Żebyśmy nie wiem jak starali się ją ignorować, ta metafora była wszędzie. Mając nasz biedny zrujnowany dom w centrum uwagi, mogliśmy rozmawiać o tym, co inaczej pozostałoby niewypowiedziane: przywrócimy go z martwych. A jeśli zachowamy wiarę w nasz dom, może w ten sposób ocalimy również Gwened, powstrzymamy to, co nieuchronne, zawrócimy z wyznaczonej trasy cień taszczy kosę.

Ostatniego dnia znów piliśmy w południe drinki z Denisem LeReveur na żwirowanym podwórzu przed domem Gwened, skąd, gdy wyciągnęliśmy szyję, mogliśmy dojrzeć zapadnięty dach naszej smętnej ruiny. Denis Marzyciel wyglądał tak, jakby ostatnio się nie wysypiał, ale zdołał zgromadzić plik kosztorysów i szkiców, chociaż przepraszał nas za ich niedopracowanie. Nam

wydały się całkiem w porządku, były czytelne i fachowe. Bardziej niż w porządku: wydały nam się magiczne, a dom został wskrzeszony i wyglądał lepiej niż kiedykolwiek.

– Och, spójrz! – wykrzyknęła Mindy. – To okno mansardowe!

Denis promieniał. Jedna sypialnia miała wychodzące na plac zgrabne okno ze spadzistym daszkiem, wystające niczym balkon. Spojrzawszy na rysunek, Gwened odsunęła się z uprzejmym uśmiechem, który nie zdołał jednak ukryć jej rozczarowania.

– Czy mamy już teraz podpisać? – spytała Mindy.

– Nie, nie – odparł Denis.

Musiał jeszcze dopracować kosztorys, bo część ofert nadal nie została potwierdzona. Ale jedno mogliśmy zrobić. Podniósł się z krzesła, uśmiechając się szeroko.

– Teraz zrobimy uścisk dłoni. – Roześmiał się, widząc nasze miny, dumny ze swojej angielszczyzny, i wyciągnął rękę.

Popatrzyliśmy z Mindy na siebie. Ona kiwnęła głową. Wstaliśmy równocześnie. Nasze trzy dłonie zderzyły się pośrodku stołu. Śmiech, po czym wymiana trzech mocnych uścisków.

– *Bon*, dobrze – powtarzaliśmy raz po raz.

– Doskonale – powiedział Denis po angielsku. – Bardzo dobrze.

Kolejny wybuch śmiechu. I pocałunki, trzy między Denisem i mną, a dotyk naszych szorstkich jak papier ścierny policzków stanowił wstęp do prac budowlanych.

Przy pożegnaniu nastąpiły kolejne uściski dłoni. A potem powiedzieliśmy sobie do widzenia.

– *Non, pas au revoir* – zbeształ nas Denis. – *A bientôt*.

Nie „do widzenia” – „do zobaczenia wkrótce”.

Kiedy zostaliśmy sami, Gwened wzmogła swoją promiennność.

– W przyszłym roku będziecie mieli piękny dom. Gwarantuję wam to.

Wymieniliśmy z Mindy zaszyfrowane spojrzenia. „Chyba że nie zdołamy za to zapłacić”.

– Może na razie zrobilibyśmy tylko dach – powiedziała Mindy.

– A z resztą byśmy się wstrzymali – dodałem.

– Nie wydaje mi się – odparła Gwened.

Nagle we troje wróciliśmy do wcześniejszej pokerowej rozgrywki. Ja sprawdzałem swoje karty. Mindy wyłożyła swoje na stół:

– Możemy poczekać na *devis*, a potem podpisać jedynie umowę na wykonanie minimalnej ilości prac.

Gwened pokręciła głową.

– Mindy, jest tylko jedna okazja do tego, żeby przerobić poddasze na pokoje mieszkalne, właśnie w momencie wymiany dachu. Trzeba od razu zrobić jak najwięcej. Robotnicy mają mnóstwo zleceń. Nie będą na was czekać. Wszystko trzeba wykonać od razu i tak to zaplanować, żeby ledwie skończy się jedno, zaczynać następne. Jak już ruszy, robota idzie bardzo szybko. Zobaczycie.

– Gwened, martwimy się o pieniądze – powiedziała Mindy. – Nie sądziliśmy, że zajdę w ciążę.

To niezupełnie była prawda. Kiedy ja oglądałem dom i przyklepywałem umowę na Belle-Île, Mindy zbierała materiały do artykułu na temat statystyk porodowych dla „Glamour”. Kiedy wróciłem do domu, miała w głowie konkretną liczbę. Tamtej nocy zrezygnowaliśmy z antykoncepcji. Cięża ujawniła się w lipcu, gdy stan naszego konta wyniósł zero.

– Myślę, że *devis* będzie dość rozsądny – odparła Gwened z niezachwianym przekonaniem. – Denis zachowa się fair i wybierze tylko najlepszych, najuczciwszych wykonawców. Nie okantują was, jak by mogło się zdarzyć, gdybyście zaangażowali jednego z tych paryskich architektów, którzy przyjeżdżają tu i wydaje im się, że mogą wszystko robić po swojemu, nie zatrudniać miejscowych i nie okazywać szacunku dla lokalnej architektury.

Słyszeliśmy już tę gadkę.

– To okno mansardowe było dla mnie zaskoczeniem – dodała. – Denis musiał się porozumieć z właścicielem sąsiedniego domu i uzyskać jego zgodę. Jestem pewna, że rozmawiał także z Madame Morgane. Mieszkańcy wyspy nie podchodzą lekko do zmian. Dlatego właśnie to było takie ważne, żebyście wybrali miejscowego architekta.

Znów spojrzała na rysunek mansardowego okna. Dach nad drugą sypialnią miał tylko małeńki kwadracik pośrodku: świetlik. Gwened patrzyła nań z takim rozrzewnieniem, że prawie zrobiło mi się jej żal.

.

Wkrótce po powrocie do Nowego Jorku poszliśmy na drinka z naszą bretońską prawniczką, Sylvie, żeby opowiedzieć jej o najnowszych wrażeniach i pokazać *devis*. Spojrzała na rysunek domu od frontu. Kiwnęła głową i oświadczyła:

– Dwa okna mansardowe. Bez dyskusji. Każda sypialnia musi mieć okno, które będzie wpuszczać światło i powietrze, a dzięki wysunięciu poza dach zwiększy powierzchnię pokoju. Zrozumiano?

Napisałiśmy list z prośbą o dokonanie zmiany, jedynej z naszej strony.

Upłyną dwa lata, zanim znów postawimy stopę na wyspie, i osiem, zanim spędzimy pierwszą noc w naszym ukończonym domu.

CZARNA KSIĘGA

Zanim wyjechaliśmy na Belle-Île, właściciele naszego budynku na Manhattanie przysłali nam list z informacją, że zamierzają przekształcić go na spółdzielnię i sprzedawać mieszkania na wolnym rynku. W takim wypadku zgodnie z obowiązującym prawem stanowym wynajmujący otrzymywali możliwość wykupienia mieszkania za pół ceny, jeśli tylko podpiszą umowę wstępną. W Nowym Jorku tego rodzaju operacje nabierały wymiaru szaleństwa.

Wybuchła prawdziwa nieruchomościowa gorączka złota. W całym mieście ludzie modlili się o nadejście „czarnej księgi”, jak nazywano broszurę informacyjną dotyczącą nowych warunków najmu. Dla wielu starszych lokatorów wejście do spółdzielni było jak wygrana na loterii. Mogli wykupić swoje mieszkania, natychmiast je odsprzedać, zgarnąć kilkadziesiąt tysięcy i zafundować sobie tani apartament na Florydzie.

Po powrocie z Francji, prosto z lotniska, zawlekliśmy bagaże na górę i stanęliśmy jak wryci, wytrzeszczając oczy. Na naszej wystrzępionej wycieracze leżało grube tomiszczce. To nie była nowa książka telefoniczna, ale „czarna księga”. Tego, na co liczyli wszyscy nowojorczyści, my baliśmy się jak ognia. Dla nas – podnajmujących, i to nielegalnie – oznaczało to koniec zabawy. Nie mieliśmy praw stałych lokatorów. Będziemy musieli się wyprowadzić.

Sama utrata mieszkania to wystarczający cios, ale potem dotarło do nas, że skończy się także niski czynsz, który pozwalał nam oszczędzać na Belle-Île. Liczyliśmy na niego, kiedy podpisywaliśmy *devis* Denisa LeReveur. Skąd teraz weźmiemy pieniądze?

Gdybyśmy przynajmniej zdołali wytrwać tu jeszcze z rok, może udałoby nam się odłożyć trochę pieniędzy – chociaż znaczna część musiałaby pójść na stworzenie awaryjnego funduszu w związku ze znalezieniem nowego lokum. Przeprowadzka w Nowym Jorku często pochłania połowę albo i całe oszczędności, bez względu na to, ile by człowiek odłożył. Ale nawet ta nadzieja przepadła, kiedy nasi sąsiedzi, jedyni mieszkańcy London Terrace, którym zwierzyliśmy się z naszego nielegalnego statusu, zaprosili nas do siebie.

– Zamierzają wszystkich wykurzyć albo zmusić do wykupienia mieszkań – powiedział Bob. – Zatrudnili firmę, która specjalizuje się w usuwaniu lokatorów. Nie uda wam się ukryć przed tymi ludźmi, właśnie z nimi rozmawiałem. Przykro mi.

Nie po to jednak zaszedliśmy tak daleko, żeby teraz się poddać, zwłaszcza że spodziewaliśmy się dziecka. Mindy zadzwoniła do oficjalnej lokatorki, zrzędlivej staruszki, która kiedyś była niezłą laską i umawiała się z jej dziadkiem. Swego czasu Irene jasno dała nam do zrozumienia, że nie chce mieć nic wspólnego z mieszkaniem; było nasze tak długo, jak długo damy radę mydlić oczy portierom i zarządowi. Wytrwaliśmy prawie trzy lata, dzięki temu, że dawaliśmy portierom hojne napiwki i staraliśmy się nie rzucać w oczy – nigdy nie pokazywaliśmy się razem ani nawet nie jeździliśmy windą na nasze piętro.

Mindy poprosiła Irene, żeby podpisała umowę wstępną, co uspokoiłoby sytuację, bo zarząd dostałby to, czego chciał, czyli kupującego.

– Posłuchaj, proszę – powiedziała Mindy. – Zawsze będziesz mogła się wycofać, ale w toku sprawy może się okazać, że złożą ci propozycję nie do odrzucenia, żeby tylko odzyskać lokum. Zarobiłabyś mnóstwo pieniędzy.

Na Irene nie zrobiło to większego wrażenia. Ostatecznie zgodziła się z nami spotkać i omówić sprawę. Ale chciała, żeby dziadek Mindy też przy tym był. Czy moglibyśmy przywieźć go na lunch w pobliże jej małego domku w wiejskiej części Connecticut? Uznaliśmy, że chce po raz ostatni spojrzeć na tego, który jej się wymknął.

W zimnym zacinającym listopadowym deszczu, który odebrał jesiennemu listowiu cały wyblakły przepych, dwoje stetryczalnych Jankesów, byłych kochanków, obecnie po osiemdziesiątce, zjadło opiekane kanapki z tuńczykiem w taniej restauracyjce w Darien. Następnie wróciliśmy wraz z Irene do jej skromnego, pomalowanego na biało domku ze spadzistym dachem, który dziadek Mindy obszedł naokoło, sprawdzając rynny i upewniając się, czy nic nie murszeje. W środku Irene podpisała papiery przy swoim sekretarzyku.

– No dobra, dzieciaki, mam nadzieję, że jesteście szczęśliwi.

Spojrzała na dziadka Mindy.

– A ty jesteś szczęśliwy?

– Nie bądź niemądra – prychnął.

Później Mindy powiedziała mi, że po tej właśnie wymianie zdań coś ją tknęło, a gdy odjeżdżaliśmy w strugach deszczu, dziadek Mindy potwierdził pośrednio jej domysły.

– Kupiłem jej ten dom – powiedział. – Kiedy ożeniłem się powtórnie.

Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce z głośnym pstryknięciem. W pociągu, w drodze powrotnej do miasta, Mindy opisała mi niejasne wspomnienia odwiedzin na Hawajach dziadka i „cioci Irene”, kiedy była małą dziewczynką, a dziadek wciąż był mężem babci.

– Irene musiała być jego kochanką. To wtedy właśnie obiecał mi kucyka – dodała ni z tego, ni z owego chwilę później.

Umilaliśmy sobie życie, jak to pisarze, wyobrażając sobie, że ten nieoczekiwany zwrot akcji, godny francuskiego *film noir*, pozwoli nam zyskać na czasie. Jeśli zarząd nie wyrzuci nas w przyszłym roku, może nawet zdołamy zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby przeprowadzić remont na Belle-Île. Ale na razie brakowało nam środków na rozebranie starej podłogi, położenie nowej i zbudowanie schodów. Wszelkie prace remontowe na dole będą musiały poczekać.

Mindy napisała do Denisa, żeby dokończył tylko dach, dwa bliźniacze pokoje na górze z oknami mansardowymi i łazienkę.

Zrobiliśmy dokładnie to, przed czym ostrzegęła nas Gwened: nie zleciliśmy wykonania wszystkich prac naraz. Zawarte z robotnikami umowy i ustalone terminy wezmą teraz w łeb, bez żadnej gwarancji ani zobowiązań z ich strony, że w ogóle wrócą i dokończą robotę. Nie mieliśmy jednak wyboru, bo wszystkie nasze pieniądze przepadły.

.

- Przyj.
- Boli.
- Przyj.
- Boże!
- Spójrz na falę!

Już podczas pierwszego zwiedzania szpitala Columbia Presbyterian zauważyłem, że w skromnej białej sali porodowej naprzeciwko nóg łóżka znajdowała się duża pusta ściana. Myśląc o tym, jakie to uczucie przeżywać najgorszy ból, nie licząc umierania, jak nasz nauczyciel ze szkoły rodzenia opisał poród – na pewno po to, aby nam pomóc – zapakowałem do torby szpitalnej plakat z Hawajów i zaraz po przyjeździe powiesiłem go na ścianie.

Pielęgniarki i lekarz byli skonsternowani, ale ja wiedziałem, że Mindy zainspiruje widok idealnej, sięgającej pięć metrów beczki Banzai Pipeline, o wywiniętym, mierzącym trzysta sześćdziesiąt stopni brzegu, ze spiralną tubą, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, im dłużej człowiek się w nią wpatrywał. Doszedłem do wniosku, że będzie ona przypominać Mindy kanał rodny i doda jej otuchy.

- Spójrz tylko na tę falę.
- Nie chcę patrzeć na żadną falę! Au! Au! Au!

Brązowe palce u nóg Mindy rozwierały się i zaciskały spazmatycznie. Jak dotąd wszyscy w szpitalu zauważyli i komentowali jej stopy. Ta położna, która kontrolowała także rozwarcie szyjki macicy Mindy, nie była wyjątkiem. Wykrzyknęła z niejakim opóźnieniem:

- Wielkie nieba, pani palce u nóg, są tak szeroko rozstawione jak u rąk!
- To stopy Luau – wyjaśniłem. – Na Hawajach dzieci dorastają, chodząc boso na piasku.
- Zamknij się! To boli! Kurwa!

Pielęgniarka wyglądała na wstrząśniętą.

- Au! Boli! O Boże, jak mnie boli! Zrób coś! Nie wytrzymam tego!

Pielęgniarka nachyliła się nad nią.

– Chce pani znieczulenie?

– Nie. Żadnych zastrzyków.

– No dobrze. Więc zostawię was samych... – I poszła.

– Au! Au. O Boże!

Wskazałem Pipeline.

– Dobra, patrz na falę. Popatrz na tę falę na ścianie. Popatrz na tę tubę. Jesteś wewnątrz tuby.

– O Boże, o Boże, o Boże... Nie chcę być wewnątrz tuby. Pieprzyć tubę. Och, och, och... To mi nie pomaga. Tuba-nie-po-maga!

– Dobra, pójdziemy na spacer...

– Na spacer? Ja umieram! Jak mogę iść na spacer?

– Ciii... To taki spacer w wyobraźni. Musisz oderwać myśli od bólu. No to chodźmy.

– Nie-chcę-iść-na-spa-cer, cholera jasna!

– Jesteśmy na Belle-Île. Latem. Wszystko ma złocisty kolor. Stoimy u szczytu drogi prowadzącej do doliny. Tej która biegnie poniżej Kerbordardoué. Właśnie wyruszyliśmy z placu pośrodku wioski, a pamiętasz, jak się zaczyna ten spacer, od tych wysokich wiązków i rzędu kwitnących krzewów, które przypominają głęboki chłodny tunel, a potem są trybule leśne, zwane koronką królowej Anny, rosnące w rowach z wodą i...

– Ta woda w rowach zawsze śmierdzi. To ten cholerny odór szamba.

– Tak, masz rację. Naprawdę cuchnie.

– Właściwie dlaczego? Czyje szambo jest temu winne? Nienawidzę tego smrodu.

– Już dobrze. Minęliśmy rowy. Nic nie śmierdzi. Idźmy dalej.

– Gdy w tym roku pojedziemy na Belle-Île, musimy jakoś to rozwiązać.

– Dobrze, dobrze. Ale teraz minęliśmy już te rowy, przechodzimy obok zбочa porośniętego ciernistymi krzakami jeżyn, wszystkie owoce są dojrzałe, więc w drodze powrotnej możemy się zatrzymać i nazbierać trochę. Spójrz, wszędzie jest pełno pajęczyn! Przypatrz im się tylko, dobrze? Lśniąc od rosy, a te ogromne pająki o żółtych brzuchach podskakują na wietrze...

– Dolina jest taka ładna.

– Tak, i spójrz: nad nami krąży jastrząb. Szuka królików.

– Na pastwisku zawsze są króliki.

– Tak! – Poczulem, że nasze wyobraźnie łączą się ze sobą. – A kawałek dalej w dół, o teraz, patrz, mijamy po prawej wiatrochronny pas wysokich cyprysów. Widzisz, jak ich wierzchołki chylą się na wietrze, niczym czubeczki pędzli przesuwające się po niebie jak po płótnie...

Trzy godziny później, po dwóch czy trzech wycieczkach w górę i w dół doliny oraz po długim spacerze wzdłuż plaży Donnant, przyszedł na świat nasz syn.

W miarę jak życie nam się komplikowało, możliwości się zawężały. Kup ruinę, spraw sobie dziecko, podpisz papier, przekup portiera, żeby przymykał oko na spacerówkę na korytarzu. I teraz żona nie jest w stanie zostawić małego, żeby wrócić do pracy, co wydaje się zresztą całkowicie zrozumiałe w świetle dziesięciu dni, jakie spędził na oddziale intensywnej terapii. To znaczyło jednak, że przyszła pora, by mąż poszukał prawdziwej pracy, a nie takiej w piśmie o łodziach, z nieregularnymi wyjazdami i ryzykownymi, wręcz zwariowanymi tematami.

Jeśli chodzi o Belle-Île, po pojawieniu się Rory'ego nastąpiła dziwna przemiana. Nagle zapragnęliśmy częściej widywać nasze rodziny. Zrozumieliśmy, dlaczego nasi rodzice ciągle podkreślali, jak daleko jest ta Francja, tysiące mil w niewłaściwym kierunku. Zupełnie jakby nasze stosunki osiągnęły punkt zwrotny czy też punkt graniczny i gumka przywiązania rozciągnęła się maksymalnie, po czym strzeliła, przyciągając nas z powrotem do domu.

Uświadomiliśmy sobie także, że oni potrzebują nas i naszego wsparcia. Parę lat wcześniej moi rodzice znaleźli się na skraju bankructwa z powodu chybionej inwestycji. Père Wallace doznał także lekkiego ataku serca, chociaż nikt nie chciał o tym rozmawiać. Czas nie był już po naszej stronie. Zdawało nam się jednak, że mamy na to rozwiązanie: podobnie jak wszyscy świeżo upieczeni rodzice sądziliśmy, że nasze dziecko zdoła wszystkim przywrócić radość życia i morale. I Rory nas nie zawiódł.

Zabawne, jak szybko płynie czas przy takiej małej istotce: minął maj, czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień, zanim w ogóle się zorientowaliśmy, że w tym roku nie pojedziemy na Belle-Île. Tymczasem spędziłem mnóstwo czasu w jednym z najdziwniejszych dziennikarskich rytmów: jednocześnie zajmowałem się przygotowaniem do zbliżających się regat o Puchar Ameryki w Australii i wyskokami ścigających się motorówkami, szmuglujących kokainę królów kolumbijskich karteli. Trochę śmieszne, że arystokraci w mokasynach z frędzlami i *jefes* w białych dresach mogą pragnąć tego samego: zdjęcia na okładce pisma o łodziach. Przeróżające było natomiast to, jak daleko potrafili się posunąć, żeby osiągnąć cel. Początek 1987 roku spędziłem na relacjonowaniu America's Cup w Perth, podczas gdy Mindy z Rorym przebywała ze swoją matką i dziadkiem w Honolulu. Właśnie na nowo zadomowiliśmy się w Nowym Jorku, kiedy spadło na nas nowe nieszczęście: u mojej siostry Anny stwierdzono terminalną fazę raka. Taka diagnoza zawsze stanowi szok, a w przypadku osoby tak pełnej życia i wspaniałomyślniej jak Anna zaowocowała dodatkowo kryzysem moralnym: gdzie ja byłem? Popędziliśmy do niej, jak tylko się dowiedzieliśmy. Nie spodobała nam się fatalistyczna postawa i plan leczenia zachowawczego proponowany przez jej lekarzy, więc namówiliśmy ją, żeby pojechała na konsultację do najlepszego centrum leczenia nowotworów przy Uniwersytecie Kalifornijskim. W efekcie przeprowadzono ryzykowną i eksperymentalną operację szyi i szczęki. Anna przeżyła. Ale jej mąż wystąpił o rozwód. Od tej chwili musiałem stać się lepszym bratem i być obecny w życiu Anny, na ile tylko zdołam.

Ledwie wróciliśmy do Nowego Jorku, nastąpiła kolejna faza przemiany budynku w spółdzielnię, w formie żądania niepodlegającego zwrotowi zadatku w wysokości tysiąca dolarów.

Taki był wymóg przyszłej umowy kupna. Nie ma zadatku, nie ma mieszkania: dano nam trzydzieści dni na podpisanie albo opuszczenie lokalu.

Czyli stało się. Zyskaliśmy rok, teraz mieliśmy miesiąc. Nie dawało nam to zbyt wiele czasu na szukanie innego lokum ani mnie na znalezienie nowej pracy. Jakikolwiek szanse na wyjazd na Belle-Île w 1987 roku właśnie trafił szlag. Rzuciliśmy się do przeglądania ogłoszeń prasowych na obu frontach. Czysznz za mieszkanie z jedną sypialnią wynosił około tysiąca siedmiuset pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, a ja zarabiałem tylko trzydzieści tysięcy rocznie. Jak dotąd nikt się nie zainteresował moim CV. Sytuacja zaczęła wyglądać bardziej niż trochę beznadziejnie. I nagle doznaliśmy olśnienia. Być może zbyt długo mieszkaliśmy w tym samym mieście co Donald Trump. Ale wreszcie dotarło do nas, co będzie, jeśli Irene nie skorzysta z okazji wykupienia mieszkania. Nic nie mogło przeszkodzić w sfinalizowaniu umowy, jeśli tylko starczy nam odwagi. Było w tym planie coś mrocznego i trochę podejrzanego, co przemawiało do nowojorskiej strony naszych osobowości. Przemykaliśmy po mieście, żyjąc za grosze. A teraz zamierzaliśmy zrobić to, co bankierzy inwestycyjni, rekiny giełdowe z Wall Street i inni przebojowi ludzie robili przez ostatnie dziesięć lat koniunktury na rynku nieruchomości: pozyskać fundusze i się obłowić. W wyniku czego będziemy mogli kupić większe mieszkanie z pokojem dla dziecka. A może nawet zostanie coś na remonty na Belle-Île.

Wpłaciliśmy te tysiąc dolarów czekiem bankierskim, dogadawszy się na boku z Irene, która podpisała umowę wykupienia mieszkania w zamian za dziesięć tysięcy naszych przyszłych zysków (i jeszcze jedno nadzorowane odwiedziny dziadka Mindy). Teraz pozostało poszukać dla mnie nowej pracy, skombinować skądś pierwszą ratę, wziąć kredyt hipoteczny, doprowadzić do końca kupno mieszkania przez Irene i jeszcze tego samego dnia oficjalnie je od niej przejąć. Bułka z masłem.

Potem będziemy musieli się zakręcić, znaleźć kupca i znowu szybko odsprzedać lokum. Nawet jeśli uwiążemy się kredytem na większą kwotę, niż kiedykolwiek będziemy w stanie spłacić, uznaliśmy, że gra jest warta świeczki. Ze względu na Rory'ego, oczywiście. Przez parę tygodni, zanim odsprzedamy mieszkanie i się odkujemy, doświadczymy życia finansistów, śmiałego i ryzykownego. Co tam. I tak jesteśmy jak chomiki w kołowrotku. Po prostu będziemy musieli przebierać nogami trochę szybciej.

Kiedy dostałem pracę w wiecznie walczącym piśmie dla drobnych przedsiębiorców, kluczowy element układanki nie bez trudności trafił na swoje miejsce. Moja pensja miała się potroić, dzięki czemu, jeśli nasz podstęp się uda, uzyskamy (ledwo, ledwo) zdolność kredytową. Z przykrością odchodziłem z „MotorBoating & Sailing”. Pracowałem tam pod kierunkiem mojego pierwszego prawdziwego szefa, Petera Janssen, który nauczył mnie, jak redagować pismo, i z lekko drwiącym uśmiechem umożliwił nam wyjazdy na Belle-Île, pozwalając mi pisać reportaże z Bretanii i Europy.

Za pośrednictwem tego pisma zawarłem pierwsze znajomości w Nowym Jorku, a także wiele przyjaźni w terenie. Śledziłem przemytników kokainy i nikaraguańskich *contras* w Key West, kapitanów America's Cup w Perth, Richarda Bransona w jego próbach pokonania trans-

atlantyckiego rekordu szybkością łodzią motorową, uczestników samotnych wyścigów oceanicznych w Trinité-sur-Mer – miejscowości leżącej tak dogodnie po drugiej stronie zatoki w stosunku do Belle-Île.

Zamykałem ten rozdział życia z prawdziwym żalem. Dopiero odchodząc z „MB&S”, uświadomiłem sobie, jak właściwie dostałem tę pracę. A w każdym razie przypieczętowałem – bo kiedy oschły przedstawiciel nowojorskiego Yacht Clubu zażądał podczas rozmowy kwalifikacyjnej dowodów moich umiejętności i doświadczeń żeglarskich, zacząłem opowiadać o szalonej nocnej żegludze z naszym sąsiadem, a czasem kapitanem, Franckiem, u steru jego siedmiometrowego słupa. Tak, podczas tamtej przeprawy przez wzburzoną Zatokę Biskajską byliśmy o włos od śmierci. O północy wiatr sięgnął sześć w skali Beauforta i położył nas na boku w szaleńczo spienionym morzu... Zrobiliśmy zwrot i schroniliśmy się po zawietrznej stronie skalistej wysepki, żeby przeczekać do rana. Wkrótce po tym, jak rzuciliśmy kotwicę, przyplłynął jakiś wspaniały jacht, chcąc zrobić to samo. Szykowna kobieta w wieczorowej sukni i w butach na wysokich obcasach weszła do nadmuchiwanej szalupy. Patrzyliśmy, przemoczeni i oblepieni grubymi ubraniami, jak jej załoga, panowie również w strojach wieczorowych, podaje jej butelkę szampana i kieliszki. I nagle straszliwy poryw wiatru porwał ją na morze, w ciemną noc, stojącą samotnie w szalupie, z rozpostartymi ramionami i butelką w ręce. Mężczyźni rzucili się, żeby podnieść kotwicę i ruszyć w pościg, kierując reflektor na błyskawicznie znikający ponton, aż... no cóż...

- I co się stało z tą kobietą? – zapytał przedstawiciel nowojorskiego Yacht Clubu.
- Nigdy nie zobaczyłem jej już na tym jachcie.
- Co to była za wyspa? – spytał, niczym policjant żądający okazania prawa jazdy.
- Houat.
- Jak?
- Houat – odparłem. – Spała jak dziecko.

A kiedy przedstawiciel nowojorskiego Yacht Clubu się wzdygnął, wiedziałem, że mam tę pracę.

„Dziękuję, Belle-Île”.

Mojej nowej posadzie towarzyszyła inna historia. Dwa tygodnie zanim zacząłem pracę w magazynie „Success!” i miesiąc przed planowaną finalizacją sprzedaży mieszkania, nastąpił krach na giełdzie. To był największy do tej pory kryzys: 19 października, „czarny poniedziałek”. Staliśmy z Mindy przed naszym wiekowym czarno-białym telewizorem, wpatrując się w przesuwające się na ekranie liczby. Co to będzie dla nas znaczyło? Odpowiedź przyszła w ciągu najbliższych miesięcy. Bańka na rynku nieruchomości pękła, a tysiące pracowników na Wall Street straciło posadę. Zanim jednak stało się to dobitnie jasne, sfinalizowaliśmy wykup mieszkania, mechanicznie jak roboty, bo nie mieliśmy innego wyjścia. Oczywiście wszystko poszło gładko. Tyle że później potencjalni kupcy nie ustawiali się w kolejce pod naszymi drzwiami. No i zostaliśmy uwięzieni w obskurnym mieszkanku, kupionym za cenę sprzed krachu, w budynku pełnym świeżo odremontowanych modelowych lokali, na które też nie było chętnych.

Tymczasem zamieniłem pracę polegającą na podążaniu za kapryсами wyniosłego morza na taką, w której musiałem podążać za coraz mniej wszechmocnym dolarem. Tego samego ranka, gdy po raz pierwszy stawilem się w redakcji magazynu „Success!”, robotnicy na drabinach właśnie zdejmowali wykrzyknik. Gdy wsadziłem głowę do środka, usłyszałem pokrzykiwania. Recepcjonistka, jak mi powiedziano, w tej chwili została zwolniona. Wydawca prowadził handel wymienny, udostępniając powierzchnię reklamową w zamian za rozmaite towary, w tym paletę napojów gazowanych.

„Napijesz się coli, Don?”

Kiedy działał na wolnych obrotach, czas staje w miejscu. W domu tłoczyliśmy się w dwóch ciemnych pokojach ze składaną kuchnią w przedpokoju. Każdego wieczoru jedliśmy we trójkę kolację przy stole wciśniętym między dwa biurka, a Rory rzucał radośnie jedzeniem i wrzeszczał jak opętany. (Opętany wesołością, gwoli ścisłości). Każdego wieczoru rozkładaliśmy kanapę na podłodze, bo do maleńkiej sypialni wstawiliśmy dziecięce łóżeczko.

Na korytarzu przy drzwiach do łazienki powiesiliśmy mapę Belle-Île. Na półce postawiliśmy popękany dzban z Quimper, który znaleźliśmy w sklepie z antykami w Greenwich Village – trzymaliśmy w nim kwiaty, żeby przypominał nam o hortensjach z naszej wioski i o *maison saine*.

Czasem, żeby się pocieszyć, wyciągaliśmy marzenia i delikatnie dmuchaliśmy na dogasający żar, by znów zapłonęły pełnym blaskiem. Czasem przywoływaliśmy wspomnienia z pierwszej zimy w Kerbordardoué, potrząsając nimi i wprawiając je w ruch niby płatki śniegu uwięzione w szklanej kuli.

FRANCUSKI IMPAS

Minął drugi rok, a my oglądaliśmy Belle-Île jedynie w marzeniach. Według planu powinniśmy teraz być po sprzedaży mieszkania i przeprowadzić się do większego z dwiema sypialniami. Tymczasem jako więźniowie kredytu hipotecznego i recesji nie mogliśmy wykonać żadnego ruchu. Wiele osób w Nowym Jorku znalazło się w równie trudnym położeniu. Ale nikt nie tkwił dodatkowo we francuskim impasie jak my. Jak nie omieszkiał wypomnieć nam tego mój ojciec, przynajmniej udało nam się osiągnąć najwyższy poziom pretensjonalności: „Po co wam dom we Francji, skoro i tak tam nie jeździecie”.

Nasze matki rwały włosy z głów. Już i tak rywalizowały o to, która spędzi więcej czasu z dzieckiem, a Belle-Île traktowały jak intruza z krwi i kości. *La jalousie!* Zazdrość! Nasi bardziej sardoniczni przyjaciele też wracali do tego tematu: ciekawe, że wybraliśmy miejsce najodleglejsze od naszych matek, w przypadku Mindy oddalone o całe pół kuli ziemskiej w stosunku do Hawajów. Trafność uwagi mojego ojca dotarła do nas w całej pełni, kiedy skontaktował się z nami znajomy, asystent Adama Smitha, słynącego z zapożyczonego nazwiska oraz felietonów finansowych, beztrudno promujących to samo rynkowe szaleństwo, którego ofiarą padliśmy. Czy chcielibyśmy zostać przedstawieni w jego następnym artykule? Miała to być swego rodzaju opowieść ku przestrodze, he, he, ale taki rozgłos mógłby nam pomóc w karierze zawodowej.

Ja gotów byłem ulec pokusie, ale Mindy natychmiast przejrzała ten plan: „Nie ma mowy, żebyśmy zrobili z siebie pośmiewisko na oczach całego świata”. Nie potrzebowaliśmy takiego rozgłosu. Powinniśmy natomiast codziennie brać się w garść i dziękować przy tym, że mamy takiego cudownego syna, który odwraca nasze myśli od naszej własnej głupoty.

Rory z całą pewnością był bystry i ciekawski, promienna istotka. Mimo drobnej postury w niczym nie ustępował karmionym mlekiem kolosom z sąsiedztwa w Chelsea. Siła jego woli była zaiste porażająca. Dwie pierwsze opiekunki zrezygnowały, zniechęcone jego herkulesowy-

mi popisami: mały Rory z upodobaniem pchał kolejno wszystkie meble na środek pokoju dziennego, po czym triumfalnie gramolił się na szczyt stosu.

Tymczasem recesja spowodowała obniżenie statusu naszej dzielnicy. Pod nogami chrzęściły ampulki po cracku, na uszłych krzakach zakwitały zużyte kondomy, a w taniej knajpie Empire Diner przysypiały na stolkach barowych dziwki transwestytki z różnobarwnymi fryzurami afro. Uwielbiały Rory'ego. Ale chociaż mieliśmy pięknego syna, to nie było piękne życie. Nie mieszkaliśmy w *maison saine*. Byliśmy właścicielami ruiny w wiosce, do której nie mogliśmy pojechać, i wielkowiejskiej nory, której nie mogliśmy opuścić. Zadłużyliśmy się po uszy i nic nie wskazywało na to, że w ogóle wyjdziemy na prostą w bliższej czy dalszej przyszłości.

Jeśli o nas chodziło, z Belle-Île i Kerbordardoué pozostały nam jedynie wspomnienia.

.

„Hej, a pamiętasz...?” – pytało jedno z nas. Leżeliśmy na plecach w ciemności i szeptaaliśmy, żeby nie obudzić dziecka. „Jasne, jasne...” I zasypialiśmy ukojeni wspomnieniami.

Pewnego ranka tamtej pierwszej zimy obudził nas huk fal rozlegający się echem po placyku w wiosce. Zachwyceni akustyką, bo dźwięk docierał aż z dołu, z odległości wielu mil, wyruszyliśmy opadającą w dół doliny drogą, żeby sprawdzić źródło tych odgłosów. Był kolejny szary zimowy dzień, ale bezwietrzny.

W dole, tam, gdzie poryta koleinami droga przecina płytki strumień, stało stado krów, skubiąc chwasty i pokrzywy. Omal nie przeoczyliśmy mężczyzny znajdującego się z boku, ubranego w zakurzony kombinezon i podkoszulek z długimi rękawami. Był wysoki i tęgi, o walcowatej głowie zwieńczonej za dużą gawroszką.

– *Bonjour* – mówi Mindy. On kiwa głową i unosi czapkę na dwa centymetry, odsłaniając nagą czaszkę, na skórze w takim samym złotawobrazowym odcieniu co sierść jego bydła.

Kiedy Mindy próbuje nawiązać rozmowę, mężczyzna mruży oczy i przygląda jej się z rozchylonymi ustami, jakby w zdumieniu, więc Mindy zwalnia. Krowy kroczą między nami, przeżuając. Mindy cofa się o krok, żeby przepuścić jedną. „On myśli, że jestem paryżanką – mówi mi na stronie. – Ma na imię Dédé”. Na dźwięk swego imienia mężczyzna zwiesza głowę i odwraca wzrok nieśmiało. Ale kiedy się zegnamy, na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

Przeskakujemy przez strumień, a następnie idziemy wzdłuż niego po bujnej łące, pełnej dzikich traw i pałek. Z boku mamy wzgórze, tak zarośnięte kolcolistami, wyką i ciernistymi krzakami jeżyn, że trzeba dobrej chwili, by dostrzec, że tak naprawdę to ogromna piaszczysta wydma. Po naszej prawej stronie przeciwległy stok doliny zwiesza się nad łąką jak ciemna fala, przerywana tam, gdzie białe wapienne granie wystają spomiędzy jeżyn. Pod każdą granią znajduje się grotta, zwrócona w stronę morza niczym ślepy oczodół. Natychmiast ogarnia mnie pragnienie, żeby wspiąć się na te stoki, zbadać jaskinie, aż Mindy musi złapać mnie za rękaw. „Spokojnie, dzieciaku”.

Idziemy dalej wzdłuż strumienia, wokół wydmy, i słyszymy ryk oceanu, nie widząc jeszcze wody. Natomiast kiedy pokonujemy ostatnią wydmy, morze szaleje z wściekłości, całe rzędy spienionych ścian wybuchają i pędzą naprzód niczym kawaleria. Ten dziwny amfiteatralny efekt, który zauważyliśmy wcześniej, teraz jest jeszcze wyrazistszy: ostre zimowe światło na morzu, rozbryzg i biały piasek rażą w oczy. Mindy odwraca się do mnie i krzyczy: „To jak *Szarża lekkiej brygady!*”.

Po długim spacerze nad linią przyplwyu zawracamy i kierujemy się w górę doliny. Czujemy prawdziwą ulgę, kiedy huk przewalających się grzywaczy cichnie i znów możemy rozmawiać, nie krzycząc. Ale ocean istotnie wpływa na nasz nastrój. Stąpamy w uniesieniu, gdy nagle trochę dalej nad strumieniem naszym oczom znów ukazuje się stado krów.

Tym razem Dédé, pasterz w kombinezonie i gawroszce, jest bardziej towarzyski. Pierwszy nas wita: „*Bonjour!*”. Uśmiecha się i uchyla czapki. Wygląda na to, że mając czterdzieści minut do namysłu, uznał, że jesteśmy już starymi znajomymi.

Cóż to za wspaniały, uroczy facet! Ze swoim nieśmiałym uśmiechem wypada znacznie lepiej niż jego amerykańscy odpowiednicy w tych wszystkich miejscach, gdzie mieszkałem przez większą część ostatniej dekady: w kalifornijskiej Dolinie Centralnej, w Sanoma County, Nipomo, Long Beach, nawet w Iowa City, gdzie Grant Wood namalował *Amerykański gotyki*. Pochopny osąd? Jasne. Może robię się sentymentalny. Ta dolina jest taka piękna, a światło takie czyste, że człowiek wszystko widzi w jasnych barwach. W końcu to tylko pasterz. Ale przynajmniej przyjazny, bo do tej pory we wszystkich moich pracach – w rolnictwie, na budowie, na polach naftowych, w nauczaniu, a ostatnio jako dziennikarz sportowy – spotkałem wystarczająco dużo szczerkaczy, pieniaczy i bufonów, żeby mi starczyło na całe życie.

Gdy ja oddaję się tym niezyczliwym wobec rodzimego chłopstwa rozmyślaniami, Mindy i Dédé gawędzą sobie jak para sąsiadów, tyle że rozmawiają nie przez płot, a przez grzbiety byłda krążącego z wolna między nimi. Wyras niedowierzania na twarzy Mindy stopniowo przechodzi w lekkie zaniepokojenie, a następnie w prawdziwy popłoch, bo wygląda na to, że Dédé w jakiś sposób zachęca bydło do paradowania przed nią tam i z powrotem, sądząc po krtańowym kląskaniu, cichym rzeniu, gwizdaniu i parsaniu, jakie wydobywają się z kącika jego ust, chociaż przez cały czas prowadzi towarzyską rozmowę z moją żoną.

Mindy zaczyna wycofywać się stopniowo, pomimo nasilającego się potoku słów Dédé. Staje blisko mnie. „Czas na nas” – mówi dobitnie; to nasz stary sygnał, że coś albo ktoś wymyka się spod kontroli. Ponieważ mężczyzna Dédé uśmiecha się, nieśmiało, lecz dumnie, wnioskuję, że chodzi jedynie o krowy.

W duchu przyjaźni francusko-amerykańskiej robię krok do przodu, osmielając się wślizgnąć pomiędzy dwa poruszające się jak na zwolnionych obrotach krówska – choć mierzę wzrokiem ich przycięte rogi – i wyciągam rękę do Dédé. Wydaje się spłoszony, onieśmielony, odwraca wzrok, ściskając moją dłoń. „*Bonsoir*” – mówię. On kiwa głową i mamrocze coś pod nosem.

– Don. – Mindy rzuca mi znaczące spojrzenie do pary z tamtym starym sygnałem. – On właśnie mnie spytał, czy za niego wyjdę.

– Aha.

– Mówi, że jest właścicielem dwudziestu krow, domu i obory. Zapewnia, że krowy nie śpią z nim w domu, tylko w oborze z jego siostrą.

– Rozumiem.

– Więc czy moglibyśmy sobie stąd pójść?

– Jasne. No chyba. Czas na nas. – Odwracam się i macham do Dédé. – *Au revoir.*

Gdy znów zrównuję się z Mindy i zbieramy się do odejścia, Dédé przykłada palce do ust. Obchodzimy bydło naokoło, usiłując dotrzeć do ścieżki, ale z powodu błota, krowich placków i podeptanych pałek idzie nam to powoli, zwłaszcza że podłoże jest śliskie i wonne. Dédé wydaje ostry przeciągły gwizd, głośny i władczy. Stado przestaje żuć i podnosi głowy. Mężczyzna gwizdzie ponownie – rozlega się przesywający dźwięk. Następuje chwila narastającego napięcia. I nagle wszystkie krowy jednocześnie opróżniają pęcherze. Rozlega się huk cieczy uderzającej o błoto, coś jak ulewny deszcz w monsunowym klimacie. Wokół unosi się para. Otaczają nas przygruntowe wiszące zwaly oparów moczu.

Rzucamy się do uciezki, może nie tyle, żeby ratować życie, ale żeby oddalić się od Dédé, najbardziej jak zdołamy na jednym oddechu.

Kiedy jesteśmy już bezpieczni w górze stromej drogi i poza zasięgiem wzroku pastucha, zaczynamy sapać, a potem chichotać.

– Niezła sztuczka! – wzdryga się Mindy. – Myślisz, że powinno mi to pochlebiać?

– Absolutnie. To czarodziej. Jak Merlin. Zna stare zaklęcia i w ogóle.

– Dlaczego ty nigdy czegoś takiego dla mnie nie zrobisz?

– Nic straconego...

Udaję, że sięgam do rozporka. Mindy piszczy rozbawiona.

– No, popatrz na to w ten sposób – ciągnę, przybierając ton kogoś, kto ma szerokie spojrzenie, spojrzenie światowca, tolerancyjne spojrzenie Francuza na tę próbę uwiedzenia mi żony tuż pod moim nosem. – Przynajmniej twój akcent musi być dobry, skoro on myślał, że jesteś z Paryża. No i miał uczciwe zamiary, bo zaproponował ci małżeństwo.

– Myślę, że proponuje to wszystkim dziewczynom.

– Aha.

– Nie, ale serio. Żał mi go. Z taką dumą opowiadał mi o swoich krowach i domu. Myślę, że naprawdę jest bardzo samotny.

Gdy w grę wchodzi współczucie, cała ochota na najłagodniejsze nawet docinki znika. W milczeniu idziemy dalej, wsłuchując się w nawoływanie ptaków i szum wiatru w koronach drzew. Droga prowadząca pod górę do wioski przechodzi w aleję powyginanych od wiatru cyprysów o gęstych zielonych koronach, czerwawoszarych zniszczonych pniach, naznaczonych starymi i nowymi bliznami, tam, gdzie gałęzie zostały powykęcane i połamane przez sztormy Côte Sauvage. Słońce padające od tyłu oświetla środkowy pas trawy, wyznaczając nam czerwonozłoty szlak. Gdzieś za nami, daleko w dole, któraś krowa wydaje smętny samotny ryk.

Czasami wspomnienia nie wystarczały i ogarniały nas wątpliwości i rozpacz. Czy popełniliśmy błąd? Czy w ogóle jeszcze kiedyś tam pojedziemy?

Jednak najbardziej niepokojące było to, że czasami, kiedy potrząsaliśmy tym wyimaginowanym przyciskiem do papieru, by obudzić wspomnienia, nic się nie działo. Gdy nie udawało nam się przywołać ducha Belle-Île, byliśmy niepokieszeni. Oto pytanie dla filozofów: czy coś, czego nie możesz sobie przypomnieć, w ogóle się zdarzyło? To, co – jak nam się zdawało – mieliśmy na Belle-Île, to, kim tam byliśmy, znikalo.

Oboje z Mindy, każde z nas na swój sposób, dręczyło się tym, jak źle pokierowaliśmy naszym życiem. Mieszkanie wysysało nas do ostatniej kropli. Moja praca w „Success” była piekłem, ciężką szkołą dla marzyciela o literackich aspiracjach. Kilkoro spośród moich współpracowników znajdowało się w podobnej sytuacji, przykutych łańcuchem do kredytów hipotecznych i małych dzieci niczym galernicy na statku głupców. Pocieszailiśmy się nawzajem i knuliśmy plany uciezki. Mieliśmy jednak dwóch kolegów zatruwających innym życie, intryganckich, bezwzględnych. Fanów anglofilskiego klubu o nazwie „Wredne Typy”, nawiązującej do tytułu powieści Evelynna Waugha *Vile Bodies*, którzy robili, co w ich mocy, by zasłużyć na to określenie, w nadziei, że będą mogli wstąpić do klubu.

Redaktor naczelny był nadętym tyranem, błyskotliwym, strzelającym z szelek oratorem ze skłonnością do wyzywania się na podwładnych. Uwielbiał doprowadzać dziewczyny do płaczu. Wśród nas, chłopaków, prowokował kłótnie, wybierając sobie faworytów, a potem zachęcając, żebyśmy „wynieśli nasze pretensje na zewnątrz” i rozstrzygnęli spory „jak mężczyźni”. Na telewizyjne reality show trzeba było poczekać jeszcze dwadzieścia lat, ale to był zwiastun.

Zdarzały się dni, kiedy czułem, że staję się jeszcze jednym anonimowym pionkiem w takim garniturze, zdzierającym buty na nowojorskich chodnikach, ale co wieczór, po położeniu Rory’ego spać, emigrowałem do wolnego mieszkania na górze i pisałem. Nie zamierzałem pozwolić, żeby zgaszono moje marzenia. Swego czasu, kiedy potrzebowaliśmy zmiany na lepsze, jakiegos przełomu, Belle-Île zadziałała jak zakłęcie. Pora wyczarować to szczęśliwe oddziaływanie wyspy.

Tymczasem zadzwoniła do nas znajoma, która podpisała umowę na realizację filmu na podstawie swojej pierwszej powieści, i oznajmiła, że chce nam pomóc z domem. Była to szczerza i taktowna propozycja, ale ubodło nas kryjące się za nią w gruncie rzeczy pytanie: „Chcecie sprzedać?”. Oczywiście zawsze będziemy mogli przyjechać w odwiedziny.

A potem dostaliśmy list od Gwened, w którym pisała, że martwi się o nas, ale, co ważniejsze, jeszcze bardziej się martwi – czuje się wręcz osobiście urażona – tym, że nie zapłaciliśmy Denisowi DeReveur, by on z kolei mógł zapłacić wykonawcom.

Co? Był jakiś rachunek, który przeoczyliśmy? Przejrzeliśmy wszystkie teczki, przetrząsnęliśmy szuflady. Nic od Denisa Marzyciela od ponad dwóch lat, co rzeczywiście było trochę dziw-

ne. A fakt, że nie zwróciliśmy na to uwagi, stanowił pewne zaniedbanie z naszej strony. Może pomylił adres?

Mindy napisała osobno do Denisa i Gwened, obojgu przekazując tę samą wiadomość:
„Tego lata wracamy na Belle-Île”.

Łatwo obiecać, ale czy naprawdę mogłem liczyć na to, że przekonam szefa, faceta, który przechwalał się, że wystarczają mu cztery godziny snu? Kiedyś przyznał z dumą, że od trzydziestu lat nie był na wakacjach – ani razu. („Żona uważa mnie za dupka” – dodał z rozbijającą szczerością). Aż do dzisiaj unikałem go jak mogłem.

Ale jutro wybiorę się do jaskini lwa.

PODOPIECZNI WIOSKI

„Cóż za czarowny kraj! Istny ogródek! Kilometry soczystej murawy, czyszczonej, szczotkowanej i podlewanej każdego dnia, a przycina ją pewnie fryzjer. (...) Szpalery topoli, dzielące uroczy krajobraz na równe jak szachownica kwadraty, wskazują, że pion i poziomnica musiały być w użyciu, że nie wspomnę o linijce. (...) Wierzyć się nie chce. Ani śladu zmurszałych murków i rozsypujących się płotów, ani śladu niechlujstwa, zapuszczenia, śmiecia; ani śladu lenistwa i niedbalstwa. Gdzie okiem sięgnąć, porządek walczy z pięknem o lepsze”⁷⁾.

⁷⁾ Tłum. Andrzeja Keyhy (przytłum.).

W każdym razie tak pisał o Francji Mark Twain w swojej pierwszej książce, *Prostaczkowie za granicą*. Dla nas natomiast...

Kurz, brud, pleśń – wszędzie. Okiennice tak zniszczone, tak zmurszałe, tak rozkoszne w swoim rozkładzie, że ktoś zrobił im zdjęcie i wykorzystał na sprzedawanym turystom plakacie: *Fenêtres rustiques paysannes*. Tuż po zejściu z promu stajemy jak wryci na ulicy w Le Palais i wpatrujemy się w wystawę sklepiku z pamiątkami.

– Czy to nie nasze okno?

– Co takiego?

– Rustykalne okna?

Śmiejemy się i ruszamy, żeby zobaczyć je na żywo.

Na dole cuchnie stęchlizną, jest brudno i przygnębiająco. Ale czarne płytki nowego dachu lśnią w słońcu. Dwa okna mansardowe wpuszczają światło do sypialni na górze, opromieniając

panele z jasnożółtego sosnowego drewna. Szkoda, że z braku schodów możemy to zobaczyć jedynie z dołu, stojąc na wyboistym klepisku. Nie ma mowy, żebyśmy tu zamieszkali, nawet gdybyśmy mieli wdrapywać się na górę, korzystając ze starej przeżartej przez termity drabiny, którą znaleźliśmy wśród chwastów za domem. Rory jest na takim etapie, że nic go nie przeraża, a na górze nie ma balustrady.

Mamy jednak farta. Możemy wynająć zieloną *cabane* Madame Morgane, drewnianą chatkę otuloną cyprysowym pasem wiatrochronnym. Jest przytulna i solidna, chociaż maleńka jak domek dla lalek. Podobno kiedyś dawała schronienie rodzinie ze stałego łądu, która przyjeżdżała pomagać przy żniwach. Nie idzie na żadne ustępstwa wobec nowoczesności: nie ma toalety, prysznic, prądu ani ogrzewania. Jest za to mnóstwo komarów. Za dnia chodzimy do naszego domu, żeby skorzystać z łazienki przy użyciu pięćdziesięcioletniej drabiny. (Rory wciąż nosi pieluchy i czasem mu zazdroszczę). W nocy chodzimy w pole za pasem cyprysów.

Kiedyś wyszedłem w nocy za potrzebą na pole. Stojąc w deszczu, ubrany w pelerynę, kalosze i nic poza tym, widzę jakiś duży kształt zbliżający się w ciemności. Pewien, że atakuje mnie byk, podnoszę pelerynę nad kolana, gotów do ucieczki...

– Don? – woła Mindy, bo to ona, w swojej pelerynie, wyszła za tą samą potrzebą.

Jeszcze inny, radośniejszy rytuał wiąże się z kąpaniem Rory'ego w wielkiej blaszanej balii na podwórzu wśród kur Madame Morgane. Grzejemy wodę na kuchence, a potem pozwalamy małemu parować w słońcu, podczas gdy zgorszone koguty cmokają z dezabrobata.

Przyjechalśmy na początku września, w porze rozległych przyplływów i odpływów. Na plaży Donnant, *la grande marée*, wielki odpływ, odsłania pół mili pofalowanego złocistego piasku, który marszczy się zupełnie jak fale, które dopiero co go opuściły. Codziennie w czasie odpływu budujemy z Rorym dziesiątki połączonych kanałów i grobli, kierując odpływającą wodę do lagun i umacniając wały, które ciągle wyrzuszają się i puszczają. Szukając przecieków, Rory truchta po labiryncie, krzycząc: „Trzymać wodę! Trzymać wodę!”.

Drugiego czy trzeciego dnia *grande marée* ekipa francuskich inżynierów plażowych – to znaczy, ojciec i syn, ten ostatni mniej więcej dziewięcioletni, obaj w kombinezonach Speedo – przez całe popołudnie budują imponujący zamek nieco poniżej, bliżej wody. Odnoszę wrażenie, że rozpoznają go z naszych dawnych odwiedzin w Dolinie Loary: Blois? Chenonceau? Nie, to mój ulubiony, Azay-le-Rideau. Trzeba im przyznać, że naprawdę robią go, jak trzeba.

Ale Rory wydaje się nieco zniechęcony, i nic dziwnego. Nasze wały i fosy nie wyglądają jakoś szczególnie, chociaż znakomicie trzymają wodę. Tymczasem nasi rywale przechwalają się i pokrzykują, konstruując wały obronne, drążąc fosy, wykapując strzeliste wieże z mokrego piasku. Używają nawet narzędzi i spierają się zażarcie o szczegóły. Prawdopodobnie nim dzień dobiegnie końca, stworzą cały plik przepisów.

Staram się jak mogę, ale trudno nie zważać na ich hałaśliwe samozadowolenie i pychę. W końcu zaczynają mnie to wkurzać. „Po prostu budujcie swój zamek, dobra? Nie musicie się popisywać przed innymi. I nie myślście, że nie widzę, jak zerkacie na nas ukradkiem”. Jako ojciec

Rory'ego siłą rzeczy czuję się urażony, chociaż w porównaniu z ich konstrukcją nasza forteca wydaje się neolityczna.

Jest późne popołudnie, długie cienie przesuwają się po faldzistym piasku niczym zjawy. Morze cofnęło się przynajmniej o pół mili. Teraz woda ledwie już ciurka. Ale w naszej strefie budowlanej, oddalonej od brzegu i położonej dużo wyżej, stworzyliśmy sieć tam i sztucznych zbiorników. Na moje oko zatrzymaliśmy dobre trzydzieści albo i czterdzieści galonów wody.

Zastanawiam się, czy mój dziadek inżynier, Charlie Wailes, byłby ze mnie zadowolony. Zabawne, jeśli pomyśleć, że po drugiej wojnie światowej został zaproszony przez rząd francuski do pomocy w kierowaniu odbudową Paryża... A oto teraz ja muszę znosić tę marsową minę à la de Gaulle i wrogie spojrzenia rzucane na nasz wielki staw. O, znowu patrzy i wreszcie wskazuje suchą fosę swojego zamku, mierząc mnie niechętnym wzrokiem pedantycznego *fonctionnaire*, urzędnika.

– Chyba zabraliśmy całą wodę – mówię Rory'emu. – Widzisz, coś nam się jednak udało lepiej.

Jaka zawzięta mina. Oho!

– Damy im trochę? Żeby napelnili swoją fosę?

– Nie!

No, on ma dopiero dwa i pół roku.

– *S'il vous plait!* Proszę pana! – Ojciec gestykuje niecierpliwie. – *L'eau! L'eau!* Woda! Woda!

Wykonuje ruchy kopania i już prawie widzę myśl, jaka tworzy się za jego grubymi okularami: „Hej, amerykański debilu, nie widzisz, co jest stawką w tej grze? Francuskie dziedzictwo narodowe!”.

– Powinniśmy podzielić się wodą, Rory – mówię łagodnie.

Mój syn się dąsa.

– Ale coś ci powiem. I tak musimy zaraz wracać do wioski na kolację. Oddajmy im całą wodę.

Najpierw oczy mu pochmurnieją, ale po chwili, kiedy propozycja dociera do niego, buzię Rory'ego rozjaśnia uśmiech. Przyjmujemy odpowiednie pozycje, rozstawiamy szeroko nogi, zginyamy się w pasie, przygotowujemy ręce do kopania. Robimy wyłom w wale tuż nad naturalnym przelewem spływowym, który prowadzi prosto do zamku z piasku dziesięć metrów poniżej.

Wydając okrzyki rozpacz, mężczyzna i jego syn miotają się i rzucają garście piasku, żeby zagrozić powodzi drogę. Wszystko na próżno. W ciągu paru minut Azay-le-Rideau przestaje istnieć.

Tłum, przyciągnięty wrzaskami chłopca, wydaje potężne wspólne westchnienie: „Ach!”. Głowy zwracają się oskarżycielsko w naszą stronę, po czym znów kierują ku ojcu, żeby zobaczyć, co on zrobi. Nie ma wątpliwości co do tego, po czyjej stronie leży sympatia.

Ze znużeniem, jakby trochę bolały go plecy, mężczyzna podnosi się z piasku. Kładzie dłoń na ramieniu syna, żeby go pocieszyć. Następnie odwraca się, wypina pierś i grozi mi palcem.

Jego brwi tworzą na czole czarne V. Stara się jak może odegrać oburzenie naszym lajdactwem, wydaje mi się jednak, że wyczuwam teatralną pozę i leciutki błysk w jego oku.

Ściągam łopatkę, opieram ręce na biodrach i odpowiadam mu równie kosym spojrzeniem.

Wypręża się jak struna.

– *À demain*. Do jutra. – Wyciąga rękę w stronę zniszczonego zamku. – *Ici*. Tutaj. *Pour la satisfaction d'honneur*. Dla honorowej satysfakcji.

Kiwam głową.

– *Avec plaisir, monsieur. À demain!*

Tłum chichocze zachwycony, a kiedy idziemy w dół plaży przywitać się z nowymi znajomymi, rozlegają się oklaski.

Rory łatwo zawiera znajomości na plaży, a życie w *cabane* podoba nam się coraz bardziej. Gotujemy na kuchence turystycznej. Nasz syn chodzi za kogutami i kurami, głośno analizując ich życie wewnętrzne. Żeby oszukać komary, gdy zapada noc, nauczyliśmy się zamykać drzwi i okna i opowiadać sobie różne historie po ciemku. Po jakiejś godzinie możemy już bezpiecznie zapalić zasilane bateriami lampki do czytania i pogrążyć się w lekturze.

Wioska wydaje się spokojnie zaabsorbowana swoimi sprawami i tak samo wypsiarska jak poprzednio. Widujemy niewiele osób, ale czujemy ich obecność – wieszają pranie za żywoplotami, pobrzękują naczyniami w kuchniach. Kim są? Krewnymi ze stałego lądu, którzy przyjechali na wakacje po sezonie. W domach – ciemnych zimą – teraz wieczorami pali się światło. Na skraju wymłóconego pola widać sylwetkę tykowatej postaci spacerującej z psem. Na wysokości wierzchołków drzew unosi się granatowoczarny dym, przynosząc delikatną mgielkę osmalonych sardynek.

Cieszymy się, że mieszkańcy wioski nie zwracają na nas – stroskanych cyganów pośród nich – szczególnej uwagi. W końcu my też jesteśmy zaabsorbowani swoimi sprawami, chociażby codziennymi wyprawami na zakupy, przygotowywaniem posiłków na kuchence turystycznej, krojeniem *steaks au poivre* takimi samymi szczyrykami. To prawda, czujemy się trochę opuszczeni, pozostawieni samym sobie, bo Gwened wynajęła swój dom, żeby zdobyć pieniądze na konieczne remonty. To duża zmiana w stosunku do tamtego lata spod znaku moralnych i kulturalnych nauk sprzed trzech lat.

Pozostałych przyjaciół z wioski, Francka i Ines, też prawie nie widzimy, Franck sprzedał słupa i zainwestował w nowinki, *planches au voile* – deski windsurfingowe. Branża turystyczna wymaga spokojnej wody, więc prowadzą działalność w ogromnym namiocie na plaży Grands Sables po drugiej stronie wyspy. Nasi przyjaciele, zbyt zmęczeni, żeby wracać do Kerbordardoué w weekendy, śpią na materacach z wilgotnych kombinezonów piankowych. Dzieci są oczywiście zachwycone. Ich rodzice mają nogi jak z gumy, znamy te uginające się kolana, też należymy do bractwa przemęczonych.

Mimo wyleczonej operacyjnie katarakty Madame Morgane od czasu do czasu nadal spogląda na nas przez zmrużone oczy, jakbyśmy byli klusownikami, którzy wtargnęli na jej teren. Ma natomiast bzika na punkcie Rory'ego, a jej ponura oficjalność – typowa dla kogoś, kto całe życie spędził na wsi – najwyraźniej zaspokaja jego dziecięce poczucie własnej ważności. Madame Morgane lubi nasze odwiedziny po kolacji, które zawsze rozpoczynają się od wypicia filiżanki kawy rozpuszczalnej, a kończą kupnem jajek na następny ranek, ale poza tym jej dni zarezerwowane są dla kur i ogrodu. A ostatnio także dla nowej starej przyjaciółki, która pojawiła się w wiosce.

Lepszym słowem niż „pojawienie się” byłoby „ukazanie się”, bo kobieta przemyka po okolicy niczym zjawa i rzadko kiedy mamy okazję choćby na nią zerknąć. Biorąc pod uwagę fakt, że to nasza sąsiadka, zajmująca zrujnowaną chatę na końcu naszego szeregu domów, jest to nie lada wyczyn.

Za pierwszym razem wróciliśmy późno z plaży i zaskoczyliśmy ją przy zrywaniu jakichś roślin z przydrożnego rowu. Natychmiast się poderwała, popędziła drogą, przecisnęła się między żywopłotami, skryła w wysokim zbożu i zniknęła wśród pól. Przypominała wielkiego zajaca ubranego w wypłowiałą niebieską drelichową szmizjerkę i fartuch z niebieskim kwiatowym nadrukiem.

Popatrzyliśmy z Mindy na siebie.

– Co to było?

Z początku nie kojarzyliśmy jej z ruiną na końcu szeregu domów, która nadal wyglądała na niezamieszkaną. Wydawała się wręcz niezdatna do zamieszkania – łatwo było przeoczyć drzwi za całą tą płataniną bluszczu, hortensji i rosnącą stertą cuchnącego kompostu, który stopniowo stawał się górą rozkładających się odpadków organicznych wypuszczając jasnozielone pędy. To zresztą właśnie ten kompost ją wydał, oczywiście. Nie mogliśmy być jednak pewni, że to ta nasza zjawa, dopóki nie pokazały się kociaki, dokazujące w zaroślach z przerwami na chleptanie mleka ze spodeczka. Kojarząc oba fakty, uświadomiliśmy sobie, że to nasza sąsiadka. Kim jednak była? I dlaczego tak się zachowywała?

Nie uzyskaliśmy satysfakcjonującej odpowiedzi, dopóki nie skończyły się powszechne i obowiązkowe francuskie wakacje i nie przyjechała sama Gwened.

Wyglądała zadziwiająco dobrze, opalona, wypoczęta i uduchowiona. Gdy taksowała nas wzrokiem, z jej ust nie schodził nieznaczny uśmiešek.

– Bardzo się cieszę, że wreszcie was tu widzę. Chodźcie, pomożecie mi zebrać trochę pięknych warzyw z ogrodu na naszą wspólną kolację.

Cała Gwened: nie minęło dziesięć minut od jej przyjazdu, a już przejęła nad wszystkim kontrolę.

Poszliśmy na spacer wyznaczoną przez nią trasą. Każdy mieszkaniec wioski ma tu swoje ulubione drogi. Każda rodzina wytycza własne szlaki, do których wciąż powraca, stając codziennej osobistej pielgrzymki. To był zaszczyt, że Gwened zaprosiła nas na swoją. I tak się jakoś stało, że zanim wróciliśmy do jej domu na kolację, okolica zmieniła się. Widzieliśmy innych

mieszkańców stojących na podwórkach, spacerujących uliczkami, pozdrawiających nas uniesieniem ręki. Zupełnie jakby wioska przebudziła się ze snu po powrocie czarownicy.

Teraz mogliśmy w pełni rozkoszować się długim wrześnie na wyspie: ciszą i spokojem, bezkresnymi dniami, ciepłą, suchą i rześką pogodą, bezchmurnymi gwiazdzistymi nocami. Wciąż napotykaliliśmy typowe dla tej pory roku zjawiska: jaszczurki i bażanty ośmielone wyjazdem tłumów turystów, młockarki przesuwane się po horyzoncie z palonego złota, stado owiec prowadzonych przez rozszczekane szkockie owczarki collie przez plażę Donnant podczas odpływu, kilkanaście białych kwiatów zakwitających na niebie. Te ostatnie powoli opadły na ziemię, na pola Madame Morgane, gdzie przemieniły się w spadochroniarzy podczas ćwiczeń wojskowych, którzy podeszli do nas, przytrzymując w pasie zwoje jedwabiu niczym wiktoriańskie damy podczas spaceru.

Kiedy późnym wieczorem jedliśmy kolację w Les Embruns, *crêperie*, naleśnikarni, na nabrzeżu w Sauzon, często mieliśmy cały lokal dla siebie. W położonym po południowej stronie wyspy miasteczku Bangor uczestniczyliśmy w trwającym do rana *fest-noz*, tradycyjnej bretońskiej zabawie tanecznej, podczas której mieszkańcy wyspy tańczyli two-stepsa tak jak Cajuns, których miałem kiedyś okazję obserwować. Mindy kołysała się, trzymając w ramionach sennego Rory'ego, akordeon rzeźił, a *bombarde* i *biniou*, bretoński róg i dudy, piszczały i buczały. Ognisko jaśniało na tle białej ściany kościoła w Bangor. Jedliśmy kielbaski z grilla i piliśmy wytrawny cydr, *cidre brut*.

Gdy turyści wyjechali, interes windsurferski gwałtownie podupadł. Franck i Ines wraz z dziećmi, teraz już trojgiem, bo przybył im jeden maluch, wypełniali luki w naszym towarzyskim kalendarzu. Jeśli nie stołowaliśmy się u Gwened, jedliśmy z nimi. A gdy wyjątkowo żadne z nich akurat nas nie zaprosiło, zawsze jakoś tak się działo, że ktoś zostawiał nam na schodku przed domem miskę świeżych sardynek albo wiklinowy kosz z pomidorami i żółtą fasolką szparagową.

Po posiłkach przechadzaliśmy się po okolicy, zazwyczaj spotykając po drodze Madame Morgane, również na spacerze, w towarzystwie pręgowanego kota, a od czasu do czasu swego syna, tajemniczej postaci mieszkającej w Nantes i – jak nam powiedziano – przyjeżdżającej jedynie wtedy, kiedy rozpoczynał się sezon na bażanty. Wkrótce nauczyłem się brać ze sobą lartkę, a także nosić w kieszeni na biodrze zapasową torbę na przejrzałe już jeżyny, od których krzaki dosłownie się uginały.

Gwened nie towarzyszyła nam podczas dłuższych wypraw, twierdząc, że woli pomedytować. Martwiło nas to oczywiście, ale zważywszy na jej żelazną wolę i kamienny spokój, nie ośmielaliśmy się pytać jej o zdrowie. W pewnym sensie wystarczyło na nią spojrzeć, żeby uzyskać wyczerpującą odpowiedź. Była brązowa (i to pewnie na całym ciele) i silna, o czym przeko-

naliśmy się w dniu, kiedy przyjęliśmy jej zaproszenie na wykopki ziemniaków w ogrodzie. Machała rydlem z takim zapalem, że aż frująca ziemia! Niedysiejszy archetyp francuskiej kobiecości nabrał mięśni.

Pewnego ranka Rory bardzo wcześnie zerwał nas na nogi i upierał się przy wędrówce po wsi. Minęliśmy dom Gwened i szliśmy prowadzącą donikąd wąską dróżką, gdy nagle coś śmignęło nam przed nosem. Ptak? Nie, strzała. Nie mogliśmy w to uwierzyć, ale naprawdę tam była, drżała wbita w belę siana. Zagląjąc przez poszarpany żywopłot, ujrzeliśmy postać w białym *gi* do karate, przepasaną czarną szarfą i z białą opaską na głowie: to była Gwened, stojąca nieruchomo jak skała i trzymająca olbrzymi łuk. Gdy gapiliśmy się na nią z niedowierzaniem, sięgnęła za siebie i wyjęła kolejną strzałę z kołczana.

Wycofaliśmy się.

Wszystko wyjaśniło się trochę później tego samego dnia. W ostatnich latach, po otrzymaniu diagnozy, Gwened poświęciła się opanowaniu prastarej japońskiej sztuki *kyudo*, łucznictwa zen. Pieniądze, które zarobiła na wynajmowaniu domu, pójdą na przerobienie starej obory, którą żartobliwie nazywała swoim dojo, na prawdziwe dojo, gdzie, miała nadzieję, będzie mogła przyjmować uczniów.

Gwened guru? Wyglądało na to, że nic nie było ponad siły naszej mentorki.

GRA W NIE

W ostatnim tygodniu września Kerbordardoué wróciło do nas w pełni, jakby powstało z martwych, wskrzeszone dla nas z odmętów pamięci niczym baśniowy Brigadoon, szkocka wioska z musicalu Lerner i Loewe'a, która budzi się do życia tylko co sto lat.

Brakowało jedynie naszego architekta, Denisa LeReveur. Wkrótce po przyjeździe złożyliśmy mu wizytę w biurze. Przywitał nas serdecznie. Wyglądał dokładnie tak samo: zmierzwiiona fryzura i przystojna twarz, błyskające okulary bez oprawek, gruby sweter i koszula z rozpiętym kołnierzykiem. Prawdę powiedziawszy, żartowaliśmy wręcz, że w ogóle się nie przebierał, odkąd ostatnio widzieliśmy go przed trzema laty.

Jak to na Belle-Île rozmowa o wszystkim i o niczym przeciągała się w nieskończoność, tyle że w ogóle nie dotarliśmy do sedna, czyli do interesów. Zamiast tego umówiliśmy się na kolację. Denis chciał, żebyśmy poznali jego żonę. Teraz był akurat w środku intensywnego sezonu budowlanego, więc konkretną datę mieliśmy ustalić później.

Gdy odprowadzał nas do drzwi, Mindy i ja wymienialiśmy spojrzenia.

– Ale – zaprotestowała Mindy w swojej najlepszej kwiecistej francuszczyźnie – jesteśmy absolutnie upokorzeni, że przez tak długi czas nie otrzymaliśmy od pana rachunku. To dla nas naprawdę żenujące, że nie wiemy, ile panu zapłacić.

– Zapłacić mi? – Denis wydawał się zdziwiony. Spojrzał na stopy papierów leżące na biurku i udawał, że czegoś w nich szuka. – Jestem pewien, że już mi zapłaciliście...

– Nie, Denis, nie dostaliśmy nawet rachunku. Prawdę mówiąc, myśleliśmy, że może został wysłany na niewłaściwy adres.

– Ależ tutaj jest wasz adres: widzicie? – Denis wskazał przypiętą pinezką do ściany kartkę ze starannym pismem Mindy. – Czy coś się nie zgadza?

– Adres się zgadza, ale do tej pory nie dostaliśmy rachunku za dach, budowę dwóch sypialni na górze i łazienki...

– Och, no to jestem pewien, że wkrótce przyjdzie. – Kiwając głową zachęcająco, położył nam obojgu dłonie na ramionach. – Nie martwcie się. Francuska poczta działa doskonale.

Mrugnął do nas.

– To jedna z tych nielicznych rzeczy, jakie rząd robi dobrze.

Delikatnie, acz zdecydowanie wyprowadził nas na zewnątrz. I już stał w drzwiach, machając nam na pożegnanie.

Ledwie skręciliśmy za róg, wymieniliśmy poglądy na temat tego, co naszym zdaniem właśnie zaszło. Czy on naprawdę uważał, że mu zapłaciliśmy? A może miał na myśli, że jeszcze nie wysłał rachunku? Albo że rachunek jest w drodze? Grał na zwłokę z innego powodu? Próbował oszacować, na ile nas wycenić?

Wzięcie pod uwagę choćby przez chwilę tak nielojalnej myśli, wprowadziło nas w przygnębienie. Ale czy jako nowojorczyki nie powinniśmy przynajmniej dopuścić takiej możliwości? Moje doświadczenia w amerykańskiej branży budowlanej także kazały mi się przygotować na kręctwa. No i rzeczywiście na początku prac remontowych był taki moment, który – choć z perspektywy czasu wydawał się zabawny – wprowadził nas w osłupienie.

Jakiś rok po tym, jak podpisaaliśmy *devis*, Gwened przysłała nam list. Z typową dla siebie wagą nagryzmoła kilka akapitów, zanim przeszła do rzeczy. Ale wreszcie:

„Moi drodzy przyjaciele, słyszałam od mieszkańców wioski coś, co dotyczy waszego remontu. Nie bardzo mogłam to w uwierzyć, chociaż Franck i Ines oboje zapewniali mnie, że to prawda. Na wypadek jednak, gdybyście nie życzyli sobie tego w waszym domu, po wszystkich naszych rozmowach o tym, co jest właściwe dla Kerbordardoué, mam nadzieję, że nie uznacie za arogancję z mojej strony, jeśli spytam, czy rzeczywiście zamawialiście dość ogromną wannę, emaliowaną na różowo, ze złotymi kurkami i kranami do waszej chambre de bain? Bo dziś po przyjeździe coś takiego właśnie zobaczyłam na parterze, czekającego na zamontowanie”.

Kiedy w końcu przewyciężyliśmy z Mindy atak histerycznego śmiechu, zaczęła docierać do nas groza sytuacji. O czym jeszcze może marzyć Denis? O lustrzanych sufitach? O dyskotekowej kuli?

Wymagało to rozmów telefonicznych (kosztownych i rzadkich w tamtych czasach), pisanie listów, a także interwencyjnej wizyty Gwened w biurze Denisa, ale ostatecznie „wanna z litego złota”, jak ów niechciany obiekt będzie odtąd nazywany, została usunięta. Zadaliśmy sobie również trud, żeby ustalić nasz gust dotyczący elementów instalacji w ogóle – co można by podsumować w dwóch słowach: prosto i tanio. Wybaczyliśmy jednak Denisowi. U źródła całego nieporozumienia prawdopodobnie leżała sugestia Gwened, że powinniśmy zamówić jak największy bojler do ciepłej wody. Podczas swoich odwiedzin w Ameryce zdążyła uzależnić się od długich, leniwych kąpeli z bąbelkami.

To była przyczyna tego naszego przypiływu paranoi. Zresztą jeszcze przed tym incydem musieliśmy znosić nieprzerwany potok podejrzeń i wątpliwości kierowanych ku nam przez naszych przyjaciół, znajomych i rodziców. Nie dawali nam spokoju: „Kto pilnuje waszych spraw?

Francuz? No to ładnie. I zatrudniliście miejscowych wykonawców? Boże, puszczą was z torbami. Będą zawiązać rachunki i nic nie zdołacie na to poradzić. Kurczę, nie chciałbym być na waszym miejscu. Jesteście załatwieni. Nie wkurza was to, że wykorzystują was, bo jesteście Amerykanami? My ocaliliśmy im tyłki w czasie wojny, a oni robią wam coś takiego. I jak tu nie nienawidzić Francuzów? Nie wiem, co was opętało, żeby kupować dom właśnie tam...”.

Ja z oporami, ale jednak zacząłem ulegać tym podejrzeniom, Mindy natomiast w ogóle nie dopuszczała takiej ewentualności. Kręciła głową i powtarzała: nie, nie, nigdy. Nie Denis Marzyciel. Popatrzyliśmy na siebie. Wierzyliśmy w naszego Denisa, w naszą Belle-Île, w nasze wyuczucie ludzi. Możecie nas nazwać głupcami i idiotami, ale tacy już byliśmy. Nawet gdyby okazało się, że sceptycy mieli rację, za nic byśmy się z nimi nie zamienili.

Pozostało natomiast pytanie: co teraz? Wszystko to było strasznie zagmatwane. Mogliśmy zrobić tylko jedno. Zawróciliśmy na pięcie i udaliśmy się z powrotem do jego biura.

Denis spojrział na nas znad okularów i aż drgnął ze zdumienia, po czym powitał nas równie wylewnie jak poprzednio.

– Co? Już wróciście? To wspaniale. Czuję się zaszczycony. Wejdźcie, proszę.

– Denis – zwróciła się do niego Mindy, tak stanowczo, na ile zdołała wśród mimowolnych uśmiechów. – Myślę, że nie wysłał nam pan rachunku. A nawet jeśli, nie dotarł do nas. Czy mógłby pan wobec tego, bardzo proszę, sporządzić kopię tego rachunku, byśmy mieli pewność, że go otrzymamy?

– Ależ oczywiście! Zrobię to jeszcze dziś!

– A może teraz, od razu? Proszę!

Wyraz jego twarzy stał się melancholijny.

– Ach, nie, nie teraz. Strasznie mi przykro. – Wskazał stosy papierów. – Klient domaga się planu, a ja jestem spóźniony. Możecie dać mi czas do jutra?

– Oczywiście... Wpadniemy po tę kopię, dobrze?

– Oczywiście, oczywiście. Wskoczmy razem na kawę do kafejki za rogiem.

Następnego dnia zajechaliśmy do Le Palais po południu. Wywieszka na drzwiach biura Denisa głosiła: *Fermé*. Zamknięte. Straciliśmy go. Później nasze wyprawy na zakupy do Le Palais nigdy się jakoś nie zbiegły z obecnością Denisa w jego zabałaganionym biurze przy Place General Bigarre.

Nagle, jakiś tydzień przed wyjazdem, dotarło do nas, że nadal nie widzieliśmy rachunku i jak tak dalej pójdzie pewnie już nie zobaczymy. Ani Mindy, ani mnie nie podobała się myśl, że wyjedziemy bez zapłacenia. Wiedzieliśmy, że ten rachunek nigdy nie dotrze do Ameryki.

Doszliśmy do wniosku, że musieliśmy jakoś wprowadzić Denisa w błąd podczas naszego pierwszego spotkania. Może miał kłopot z naszym akcentem – no, z moim. Tak, pewnie byłoby lepiej, gdyby Młody Strudel po prostu się zamknął, kiedy następnym razem będziemy załatwiać ważne interesy, i przestał się silić na te głupie dwujęzyczne gry słów. Ale Młody Strudel nie pamiętał jakoś, żeby miał jakiegokolwiek problemy z samodzielnym pójściem do notariusza po to,

by kupić dom. Dopiero przy remoncie zaczęły się schody. Może więc, Madame, wina wcale nie leży po jego stronie?

Kiedy przestaliśmy się sprzeczać, przysięgliśmy sobie, że jakoś zdybiemy Denisa, nawet gdyby miało to oznaczać najście go w domu po nocy. Nie wrócimy do Ameryki bez uregulowania rachunków!

To wtedy właśnie Mindy przypomniała sobie Grę w Nie. Wymyśliła ją podczas naszych wędrówek po peryferiach Francji i Grecji. W sytuacjach towarzyskich, zwłaszcza z przedstawicielami starszej generacji mieszkańców wsi, uświadomiliśmy sobie, że nic dobrego się nie zdarzy, dopóki trzy razy nie powie się „nie”. Kiedy siedzicie w czymś saloniku, trzy razy proponują wam herbatę albo kawę, kostkę cukru czy coś słodkiego. Analogicznie, im dalej człowiek pojedzie w głąb kraju, tym większe prawdopodobieństwo, że trzykrotnie padnie propozycja jakiejś absurdalnie hojnej przysługi czy zaproszenie. Rzecz w tym, jak się nauczyliśmy, że należało powiedzieć „nie”. Nie raz, nie dwa, ale trzy razy – i dopiero niejako w ostatniej chwili można było ulec błaganiom gospodyni. To był swego rodzaju taniec biernej agresji, który pozwalał zachować honor obu stronom transakcji.

Obie strony zdawały sobie sprawę, że propozycja wypicia kawy zostanie w końcu przyjęta. Obie wiedziały, że nie macie nic przeciwko czemuś słodkiemu. Ale człowiek nie chciał się wydać zbyt zachłanny, na wypadek, gdyby gospodyni znajdowała się w trudnej sytuacji materialnej. Może tak naprawdę nie została jej ani jedna kostka cukru! Trzeba być naprawdę okropną osobą, żeby zjadać pani domu ostatnią kostkę cukru albo co gorsza kazać jej przyznać, że wcale go nie ma. Gorsze byłoby jedynie wprawienie gospodyni w zakłopotanie czy wręcz obrażenie jej poprzez zasugerowanie, że być może zabrakło jej kawy albo cukru, żeby was poczęstować. Oczywiście były pewne granice i niektóre propozycje należało odrzucić: jak chociażby sznurkową torbę pełną żywych ślimaków, wciąż tkwiących w oślizgłych muszlach.

Opracowanie zasad Gry w Nie było epokowym dokonaniem Mindy. Serio, ponieważ jeśli przypomnieliśmy je sobie w porę i jeśli mieliśmy cierpliwość i nerwy ze stali, żeby dotrzeć do tego trzeciego „nie”, które przechodziło w „nie – no – może – skoro pani nalega”, zawsze działało ono jak zaklęcie. Salonik wypełniał się ciepłym blaskiem. Rozmowa toczyła się gładko. Kojąca, dyplomatyczna, zawsze przedkładająca dobro drugiej strony nad własne, Gra w Nie stała się dla nas podstawą nawiązywania znajomości wśród mieszkańców wsi, od Imerovigli po Kerbordardoué.

Wyprawy do Le Palais w poszukiwaniu Denisa stawały się coraz częstsze, zakłócając nasze bajkowe dni, mieliśmy jednak poczucie, że te próby odnalezienia go to dla nas kwestia honoru. Raz, zmierzając w stronę miasta, zauważyliśmy go, jechał główną drogą w przeciwną stronę; błysnęła światłami w ramach uniwersalnego pozdrowienia. Raz zobaczyliśmy, jak przechadza się

ulicą w towarzystwie paru innych miejscowych mężczyzn. Opuściliśmy szybę i błagaliśmy go o wyznaczenie nam audyencji.

– Oczywiście! Zajdźcie po prostu do mnie do biura.

– Ale zachodziliśmy już kilkakrotnie...

– Och, teraz już jestem tam cały czas. Naprawdę. Wpadnijcie teraz, za chwilę. Napijemy się kawy.

– Musimy tylko zaparkować. Zaraz tam będziemy.

Straciliśmy go z oczu zaledwie na pięć minut, ale kiedy dotarliśmy pod drzwi, już go nie było. Wyraźnie nas unikał. Ale dlaczego? Byliśmy mu winni kupę forsy – według naszych najlepszych szacunków blisko dziesięć tysięcy dolarów! Musiał potrzebować tych pieniędzy. Co więcej, jak zauważyła Gwened, jego podwykonawcy z pewnością spodziewali się zapłaty, a oto ona spóźniła się już rok, a właściwie dwa lata.

Wraz ze zbliżaniem się sezonu na bażanty w Kerbordardoué zaczęły pojawiać się obcy, mężczyźni z psami, często z parką bretońskich spanieli. Mężczyźni nosili kalosze i trzymali pod pachą długie patyki jak strzelby. Chcieli w ten sposób uspić czujność nieufnych bażantów: „Nie zwracajcie uwagi na tego faceta z patykiem. Nie zrobi wam nic złego. Nie musicie się nim w ogóle przejmować”.

Ale za tydzień, kiedy zacznie się sezon, sprawy będą wyglądać odrobinę inaczej.

Mindy nie znosiła widoku myśliwych w naszej dolinie i bała się o bażanty. Ale jednocześnie rozumiała, że tak to już jest na wyspie. Ale kiedy pewnego ranka zdyszana wpadła do *cabane* i zaczęła paplać coś o myśliwym w dolinie, myślałem, że pewnie wdała się w jakąś kłótnię. Ale nie – wpadła na zawziętego starszego pana ze szczeciniastym wąsem, który zmierzył ją przesywającym spojrzeniem. Zdobyła się jakoś na odwagę, żeby się przedstawić, a kiedy on tylko odburknął coś pod nosem, zapytała z kolei jego o nazwisko. Z początku wydawało się wręcz, że tamten nie ma ochoty wyjawić swojej tożsamości. Ale musiał się domyślić z jej miny, że Mindy traktuje się lekceważąco wyłącznie na własne ryzyko.

– Pan Borlagadec! – Mindy patrzyła na mnie wyczekująco. To nazwisko nic mi nie mówiło. Pokręciłem głową. – To główny podwykonawca! Kiedy Denis go zwerbował, dostaliśmy samych najlepszych fachowców na wyspie: hydraulika, elektryka, cieślę i dekarzy...

– Czy on wiedział, kim jesteś?

– On... – Mindy urwała, żeby się zastanowić. – Tak. Miał taką minę, jakby wiedział, kiedy się przedstawiłam i powiedziałam, że mieszkam w górze doliny.

– No, a czy wyglądał jak ktoś, komu nie zapłacono za wykonaną pracę?

– W tym właśnie rzecz.

Podeszła do naszych bagaży i wyjęła dużą brązową kopertę, która mieściła *devis*, akt notarialny, dom naszych marzeń na papierze.

Tak, tak, tak. – Przerzucała kartki. – On jest specjalistą od fundamentów, podłóg i schodów. Najlepszym fachowcem od schodów na wyspie. To jedyny człowiek, który może zrobić jak trzeba taki stary dom jak nasz, tak powiedział Denis.

- I myśmy go oszwabili? Wspaniale.
- Właśnie, że nie. On nic jeszcze nie zrobił.
- Czyli... co to znaczy?
- Nic. Ale to ważne, że się spotkaliśmy. – Mindy marszczyła czoło w najwyższym skupieniu.
- Tak, to ważne, że on mnie zobaczył. Że nie jestem już dla niego jakąś abstrakcyjną Amerykanką, która nie wie, co robi. Tak właśnie czuję.

Kiedy Denis zadzwonił do Gwened i zaprosił nas do siebie na kolację pod koniec naszego pobytu na wyspie, podjęliśmy trudną decyzję, żeby po prostu wypisać mu czek na 31 750 franków – około pięciu tysięcy dolarów – i zostawić go na stole, prosząc o przysłanie rachunku na pozostałą część. Mieliśmy świadomość, że to z gruntu niewłaściwe, zupełnie nietutejsze, prostackie i amerykańskie. Poczuliśmy się jeszcze gorzej, kiedy poznaliśmy jego żonę, wysoką i piękną brunetkę, z początku trochę onieśmiałoną, potem jednak serdeczną i dowcipną. Dwójka ich dzieci – złotowłosa dziewczynka i chłopczyk o czarnej kędzierzawej czuprynie i ogromnych oczach – przypominała bystre celtyckie elfy.

Nastąpiła chwila przerwy w rozmowie. Mindy zawahała się, po czym sięgnęła do torebki po naszą książeczkę czekową. W tym właśnie momencie Denis uśmiechnął się szeroko i spytał, czy chcielibyśmy zobaczyć ich łazienkę. Ta propozycja wydawała się trochę dziwna i z początku odmówiliśmy, raz, dwa, trzy razy. On jednak nalegał, a ponieważ wszyscy coraz bardziej się śmiali, zrozumieliśmy, że coś się za tym kryje, więc ustąpiliśmy.

Naszym oczom ukazał się przestronny i okazały salon kąpielowy ze świetlikiem nad wanną. Różową. Ze złotymi kurkami i kranami. „*Le bain Americain!*” – wykrzyknęli, klaszcząc w dłonie.

Wraz z upływem czasu stało się oczywiste, że zostaniemy przyjaciółmi. A w tej części świata przyjaciele nie spędzają wspólnych wieczorów na regulowaniu rachunków. A zwłaszcza nie zostawiają czeków pod talerzami, jakby śpieszyli się do teatru. Więc stchórzyliśmy.

Kiedy Gwened dowiedziała się, że zmarnowaliśmy taką okazję, zaczęła wydawać odgłosy niezadowolenia. Ale minę miała przekorną: „To silni ludzie – powiedziała. – Zrobią wszystko po swojemu. Widocznie Denis uznał z jakiegoś powodu, że stać go na kredytowanie was. Może zapłacił podwykonawcom z własnej kieszeni, a może wyjaśnił im waszą sytuację, a oni zgodzili się zaczekać”. Wzruszyła ramionami i przewróciła oczami, co było zdecydowanie amerykańską manierą, którą musiała przejąć od swoich studentów.

Wreszcie nadeszła pora wyjazdu. Musieliśmy zdążyć na prom.

- Proszę – powiedziała Gwened, całując nas oboje na pożegnanie (cztery razy w naprzemienne policzki). Rory pozwolił na chwilkę się przytulić, po czym wyrwał się z oblędem w oku: kolejne wyzwanie dla Gwened. – Nie pozwólcie, żeby to się przeciągało. Dokończcie dom. Zróbcie to dla siebie... i dla wioski.

Zmierzając w stronę portu wynajętym samochodem, zajechaliśmy pod biuro Denisa. Wywieszka na drzwiach głosiła: *Ouvert*, otwarte.

– Zatrzymaj się! – krzyknęła Mindy, szperając w torebce. Wcisnąłem się w niedozwolone miejsce i szarpnąłem hamulec ręczny. Mindy wyskoczyła z samochodu i popędziła do biura Denisa. Kazałem Rory’emu zostać i oglądać książeczkę, po czym pognąłem za Mindy.

W środku Denis siedział przy zawalonym papierami biurku i patrzył oszołomiony, jak Mindy odlicza wielkie kolorowe banknoty niczym jesienne liście. Dwa razy byliśmy w banku w związku z tą ewentualnością.

– Proszę, Denis. Musimy coś zapłacić.

– Nie.

– Zbyt dużo prac zostało już wykonanych. Nie może pan nas kredytować przez kolejny rok.

– Nie, nie. Wcale was nie kredytuję. – Podniósł ręce w górę. – Przestańcie, proszę. Zabierzcie swoje pieniądze. Tak się nie robi.

– Denis. – Mindy wzięła głęboki oddech i wyraźnie się uspokoiła. – Nie możemy dłużej czekać na rachunek. Tutaj jest trzydzieści pięć tysięcy franków. Wiem, że za mało, ale to zawsze jakiś początek i będzie pan mógł zapłacić już coś podwykonawcom...

– Proszę przestać! Proszę przestać!

Siłą woli i siłą swego groźnego celtyckiego spojrzenia Denis uciszył Mindy i trochę mnie przeraził. Miałem wrażenie, że za chwilę wybuchnie. I rzeczywiście, kiedy się odezwał, zabrzmiało to jak trzask zapalnika.

– Jesteście, jesteście zbyt... – Gwałtownym gestem unosząc rękę do nieba, zdawał się przywoływać właściwe słowa: – ...zbyt amerykańscy! Zawsze musi być po waszemu. Tylko pieniądze, pieniądze, pieniądze.

– To nieprawda – odparła Mindy. – Jest pan niesprawiedliwy. Jesteśmy ogromnie wdzięczni za wszystko, co pan dla nas robi. Praca została wykonana wspaniale. Ale musi nam pan pozwolić zapłacić rachunek. Bo inaczej stawia nas pan w okropnym położeniu. Czujemy się straszliwie zażenowani. Kiedy niedawno spotkałam pana Borlagadec w dolinie, bałam się, że patrzy na mnie jak na jakąś, jakąś, jakąś...

Mindy nie mogła znaleźć francuskiego odpowiednika słowa „naciągaczka”. Ale Denis zrozumiał. Natomiast zaintrygowało go również coś innego.

– Spotkała pani pana Borlagadec?

– Tak. Spacerował z psem. Chyba przygotowywał go do sezonu na bażanty.

– Zaczyna się w ten weekend. Więc to tam stary Borlagadec zamierza polować? – Denis przybrał chytry wyraz twarzy. – Proszę mi powiedzieć, dużo bażantów żyje w waszej dolinie?

Mindy zeszywniała.

– Nie zamierzam panu tego mówić, skoro planuje pan do nich strzelać.

– Myślę, że właśnie udzieliła mi pani odpowiedzi, dziękuję. Dobrze, że spotkała pani pana Borlagadec.

– Czy jesteśmy mu winni pieniądze?

– Nie, nie pieniądze. Chodzi o to, no, że on znał Jeannie, która mieszkała w waszym domu przez całe życie. Bardzo ją lubił. Doskonale zna ten budynek. Więc dobrze, że go pani spotkała.

Wyraz twarzy Denisa zupełnie złagodniał. Uśmiechnął się, po czym zaczęła się śmiać sam do siebie, spokojnie tasował banknoty i układał je zgodnie z nominalami.

– Pan Borlagadec, kiedy usłyszał o waszej wannie, specjalnie tam się wybrał, żeby ją zobaczyć. Cała wieś się zbiegła. Niektóre panie po kolei się w niej kładły. – Każdą stertę banknotów spiął gumką i ułożył w równy stosik. – W ubraniu oczywiście.

Zaśmiał się, zadowolony z żartu i zerknął na mnie, żeby sprawdzić, czy ja, znany żartowniś, jestem pod wrażeniem. Chyba był usatysfakcjonowany, widząc, że powoli kręcę głową spe-szony i rozczarowany.

– No więc tak. To nie jest właściwy sposób zapłaty – powiedział łagodnie, popychając stos pieniędzy na naszą stronę biurka. – Proszę, schowajcie to w jakieś bezpieczne miejsce. Kiedy wrócicie do domu, do Nowego Jorku, który pewnego dnia zobaczę, mam nadzieję, wraz z żoną i dziećmi, otrzymacie rachunek. Być może będziecie mieli jakieś pytania. Jeśli tak, proszę nie wahajcie się pisać albo dzwonić. Dobrze? Bezpiecznej podróży.

Odwrócił się i podał mi rękę.

– Uważajcie na dworcu kolejowym Montparnasse. W Paryżu grasuje mnóstwo kieszonkowców.

To było owo sławetne trzecie „nie”, ale tym razem nie wygraliśmy.

BELLE-ÎLE-EN-HUDSON

To zupełnie jak scena z dziewiętnastowiecznej powieści: rodzina z Bretanii przybywa do Wielkiego Miasta, wytrzeszczając oczy i rozdziawiając usta. Mąż nie boi się tych całych paryżan i ich wyrafinowania. Zobaczcie no tylko, jak zmyślnie i z jakim rozmachem objuczeni gotówką Wallace'owie umykają przed sprytnymi kieszonkowcami na Gare de Montparnasse!

Na ulicach Paryża Don bezwstydnie nosi skórzany pasek wypchany jak kielbasa pięcioma tysiącami dolarów w ogromnych jaskrawych francuskich banknotach. Dwadzieścia pięć tysięcy dwieście dwadzieścia pięć franków! Mam poczucie, jakbym podtrzymywał spodnie sznurem z pieniędzy. Ale lepiej być zażenowanym i bezpiecznym, niż zblazowanym i okradzionym.

A jednak jakimś trafem, kiedy docieramy do Nowego Jorku, okazuje się, że cały centymetr z obwodu kielbasy tajemniczo zniknął. Zaginiony w akcji. Główny podejrzany: Paryż.

Zaczęło się całkiem niewinnie. Chcieliśmy nacieszyć się miastem, w którym kiedyś usiłowaliśmy zamieszkać. Odwiedziliśmy znajome okolice: Mouffetard, Les Halles-Beaubourg. Rory nadal jeździł w wózku, chociaż na kocich łbach Dzielnicy Łacińskiej podrygiwał jak lalka z kiwającą głową. Poszliśmy we wszystkie nasze ulubione miejsca: do Jardin des Plantes, Arènes de Lutèce, Jardin du Luxembourg i do tej *pâtisserie*, ciastkarni, na rue de Fleurus, gdzie mają taką pyszną *tarte au citron*. Owszem, były wizyty w paru sklepach z ciuchami przy rue Jacob. (Nic tam nie zaszło, panie władzo, przysięgam. Tylko oglądaliśmy).

A po wieczornym posiłku w restauracyjnym ogródku przy bocznej uliczce zaczęliśmy wracać do hotelu. Noc była ciepła i zaczarowana przez ciepły wietrzyk. Większość sklepów już zamknięto albo właśnie je zamykano, ale jedna jasna i nowoczesna witryna cała ze szkła promieniowała światłem: Agnès B Homme. Mindy pociągnęła mnie za łokieć: „Wejźmy do środka”. Wiedziałem, co się szykuje. Może coś jednak zaszło na rue Jacob. Moja pamięć, panie władzo, nie jest już taka dobra jak kiedyś.

Aż do wejścia do butiku Agnès B byłem odporny na wszelkie ubraniowe pokusy. Chociaż ochoczo taszczył gotówkę i zakupy Mindy, kupowanie czegokolwiek dla siebie za bardzo przypo-

mina mi tamte coroczne wyprawy do sklepu, żeby ubrać mnie do gimnazjum, kiedy to matka wybierała koszule w zbyt śmiałe paski i zapinane na guziki swetry, nie zważając na moje jęki przerażenia. Nawet do Nowego Jorku przysyłała mi koszulki polo w pastelowych kolorach na wszystkie specjalne okazje. Trudno czuć się modnie w West Village, jeśli człowiek ma na ubra- niu logo z aligatorem i wielorybem.

A jednak pół godziny później wyszedłem z czarnym jak węgiel garniturem z ciasno plecio- nej matowej bawełny. Spodnie rurki, wąskie klapy, prawdziwe чудо. „Nigdy tego nie włożę!” – protestowałem bez przekonania, wiedząc, że to bez znaczenia. Najważniejsze, że pochodził z Paryża, był superfajny, no i mój własny.

Nie rozmawiamy o stratach. Przyjmujemy je ze spokojem. W naszych księgach rachunko- wych znalazły się pod nagłówkiem: „Wszystko przez ten Paryż” i zostały wpisane w ryzyko za- wodowe posiadania domu (czy chociażby jego połowy) we Francji.

Po powrocie jesień upływa nam jak sen. W grudniu natomiast życie wraca do ponurej normy, ciemności bez końca. Co się zmieniło? Było jeszcze za wcześnie, żeby odliczać dni do ponownej wyprawy do Kerbordardoué. Robiliśmy to jednak i okazało się, że to fatalny błąd. Teraz per- spektywa, że nie pojedziemy tam wcześniej niż za dziesięć miesięcy, nie daje nam spokoju.

Mój redaktor naczelny także żałuje, że puścił mnie na Belle-Île. (Jak ja w ogóle zdołałem go do tego nakłonić? Co było w tych frytkach?). Dostaję każde beznadziejne zlecenie, jakie tylko tamten potrafi wymyślić – i nie mam innego wyboru, jak tylko przyjmować je wszystkie z szerokim uśmiechem na twarzy. W ostatecznym rozrachunku wyświadcza mi przysługę, a ja za- czynam sobie uświadamiać, że przez cały czas wysyłam sprzeczne sygnały.

Wiem, że ta praca daje mi pewne perspektywy, ale ciągle się waham, mam głowę pełną marzeń o tym, co wolalbym raczej robić: czytać powieści i próbować je pisać, zostać na Belle-Île, włączyć się z Mindy po świecie. Fajne życie, jeśli ma się z czego za nie zapłacić, a my nie mamy niezależności finansowej. I jak dotąd niewiele nam z tego wyszło. Więc jaki jest plan?

Mindy tkwi w podobnym impasie. Ona też chce pisać. Więc dzień po dniu, długim i ciem- nym dniu zimowym, wiezie Rory’ego do parku, gdzie ustawione wkoło wózki, jeden obok dru- giego, jak wozy w westernach, zapewniają ochronę przed włóczęgami. Mindy przytupuje i chu- cha na dłonie tak długo, jak zdoła wytrzymać zimno, po czym wycofuje się do tej wiecznie brudnej meliny dziwek transwestytów i heroinistów: McDonalda na rogu Ósmej Alei i Dwu- dziestej Szóstej Ulicy.

Tam pije wodnistą kawę, a Rory raz po raz zjeżdża z języka Ronalda McDonalda wraz z bandą innych wrzeszczących i zasmarkanych dzieciaków; niektórzy z ich rodziców wyglądają na półprzytomnych. Jak kilkoro innych Mindy nosi ze sobą nawilżane chusteczki, którymi od- każa poręcze i język Ronalda, zanim Rory wdrapie się na górę i zjedzie. Może dzięki temu mały jest krzepki i nigdy nie choruje. Ona sama natomiast łapie każde przeziębienie w miesiąc,

podobnie jak ja, po czym zarażamy się nawzajem. Po paru miesiącach Mindy nie pamięta już, jakie to uczucie usiąść sobie samotnie i rozkoszować się ciszą i spokojem, a co dopiero próbować pisać.

Nie do wiary, że jeszcze parę miesięcy temu budowaliśmy zamki z piasku na plaży w Donnant.

Wiosną 1989 roku przychodzi pora na to, by zastanowić się nad edukacją Rory'ego. Wyszliśmy z bloków z opóźnieniem i zapisy na wrzesień już się zaczęły. Ale jak nas zapewniają pesymistycznie nastawieni znajomi, wybór żłobka to w istocie wybór college'u. Oczywiście oznacza to edukację prywatną. Innymi słowy kosztowną. Jako wychowanek szkoły publicznej wzbriam się przed tym. Ale zanim jeszcze dowiadujemy się, że w ogóle były jakieś zapisy, w naszym rejonowym żłobku nie ma już wolnych miejsc. Boże, Kocham Nowy Jork.

I tak pozbywamy się reszty forsy, którą wisimy Denisowi LeReveur. Przynajmniej na razie udało nam się wykręcić od odpowiedzi na pytanie, co jest dla nas ważniejsze: Belle-Île czy Rory. Nawet nam samym nasze priorytety wydają się trochę podejrzane.

.

Oczywiście w tym właśnie momencie Denis DeReveur przysłała nam *devis*. O rety, gdzie się podziały pieniądze? Te wszystkie banknoty, którymi wymachiwaliśmy w jego biurze? Mindy wysłała marniutki czek na mniej niż jedną trzecią tego, co jesteśmy mu winni, i obiecuje resztę *tout de suite*, wkrótce. Patrząc realistycznie, nie możemy spełnić tej obietnicy.

Znowu jesteśmy bez pieniędzy – ale, szepcze cichy głosik, przecież pojechaliliśmy do Francji, prawda? Mieszkanie jest ciemniejsze i ciasniejsze niż kiedykolwiek, a możliwość wyrwania się stąd coraz odleglejsza – ale przecież nie dlatego, że pojechaliliśmy do Francji?

Ile będzie nas kosztować ta obsesja?

Zastanawiamy się. Zadajemy sobie pytanie, czy rzeczywiście jesteśmy śmiało poszukiwaczami kulturalnych przygód, jak nam się wydaje. Może byłoby lepiej, gdyby Belle-Île pozostała jedynie wspomnieniem.

Gdyby chociaż w tym naszym wioskowym życiu o coś chodziło, o coś szlachetnego, jak usuwanie min z plaży Donnant, przywożenie krojonego chleba do *boulangerie*, piekarni, czy głoszenie Słowa Bożego pogańskiej Suzanne albo przynajmniej zakończenie głupich awantur o parkowanie na placu, coś sensownego, żebyśmy jadąc na święta do domu i wysłuchując żarcików wuja Franka na nasz temat, mogli zachować godność.

Ale mamy na swoją obronę jedynie dwie sypialnie i łazienkę na wysokości kilku metrów, bez schodów.

.

Cały czas mając na uwadze Belle-Île i *devis*, bierzemy więcej zleceń, piszemy artykuły do różnych pism. Większość moich dotyczy biznesu: „10 sposobów na poprawienie umiejętności komu-

nikacyjnych”, „Jak sfinalizować sprzedaż”, „Przyłącz się do rewolucji w przedsiębiorczości”, „Jak wybrać garnitur godny biznesmena”. Wmawiam sobie, że dwa i pół artykułu to równowartość biletu w jedną stronę do Paryża. Wliczając w te kalkulacje bilet powrotny, pociągi, statki i takśówki, dochodzę do wniosku, że będę musiał sprzedać trzynaście tekstów. A jeśli wszystko pójdzie dobrze i odłożę w banku środki na naszą wakacyjną wyprawę, zacznę pisać dla Denisa Le-Reveur. Artykuły to moja nowa waluta.

Recenzuję także książki dla „Kirkus Reviews” po trzydzieści pięć dolarów za sztukę, więc zwiększam tempo do jednej recenzji tygodniowo, czytając w metrze i w czasie lunchu, leżąc na podłodze w maleńkim gabinecie. Czytanie tyłu powieści szybko i krytycznie, wyostrza mi wzrok, ale niestety to tylko pozwala mi dostrzec słabości własnego dzieła. Dłubię przy niej od lat i w rezultacie cierpi ona na wszystkie choroby, na jakie może cierpieć książka. Ostatecznie niszczy ją, komponując wcześniej okrutne epitafium rodem z „Kirkus Reviews”: „... przyciężkawa, przemądrzała, przynudzająca...”.

Pewnego dnia w pracy natrafiam na teczkę z dawnej redakcji: dwadzieścia stron artykułu, który zacząłem pisać parę lat temu, o kierowniku działu butelkowania coca-coli, marzącego o tym, żeby zostać zawodowym poławiaczem bassów. W pewnym momencie ta historia przechodzi w fikcję. Żona rybaka, swego rodzaju zapowiedź Sarah Palin, chce zaciągnąć się do woj-ska jako najemniczka. Ta opowieść wydaje mi się świeższa niż wszystko, nad czym kiedykolwiek pracowałem, więc łamię wszelkie reguły wydawnicze i wysyłam to, co mam, redaktorowi, którego nazwisko przeczytałem w gazecie.

Kiedy Anton oddzwania i pyta, czy może przeczytać resztę powieści, jestem prawie (ale niezupełnie) oniemiały. Mówię, że muszę skończyć „przepisywanie”.

Mój nowy rozkład zajęć wygląda następująco: wieczorem, po kolacji, czytam Rory’emu na dobranoc, nalewam sobie filiżankę mocnego earl greya, wkładam do kieszeni czekoladowego pieguska i idę do pustego mieszkania parę piętér wyżej. Tam wypijam herbatę, zjadam ciasteczko i nastawiam kasetę w magnetofonie – składankę, zawierającą *Symfonię z nowego świata* Dworzaka, a następnie trzyminutowe nagranie, na którym James Brown wrzeszczy: „I feel good!”, „Czuję się dobrze!”. Tak pokrępiiony piszę, dopóki nie walnę czołem w klawiaturę.

Słaniam się z wyczerpania. Ale co tydzień wysyłam nowy rozdział wyrozumiałemu redaktorowi, który przyjmuje moje coraz bardziej wątpliwe tłumaczenia o „przepisywaniu”. W pracy nabieram zwyczaju zamykania w południe drzwi gabinetu, kładzenia się z opartą o nie głową i spania, ryzykując złamanie karku, gdyby ktoś otworzył drzwi zbyt gwałtownie.

Paru kolegów z redakcji mnie kryje. Dzwoni telefon: „Idą!” – ostrzega przyciszony głos. Kiedy wścibscy Jacek i Placek pukają do drzwi, a wraz z nimi naczelny, siedzę wyprężony przy biurku i bardzo profesjonalnie koryguję maszynopis czerwonym ołówkiem.

Mogę się z tego śmiać. To komiczne. No i przede wszystkim skuteczne. Oto wreszcie mam sekretną nadzieję: powieść. W końcu piszę słowo „Koniec”, drukuję jeden egzemplarz, wkładam do koperty i wysyłam na odległość całych dwudziestu przecznic. Teraz leży na biurku redaktora imieniem Anton. Mój właz ewakuacyjny. Zbawienie mojej duszy. Zdrowaśka w każdym sensie.

Mindy pisze do Gwened w sprawie wynajęcia domu. A co z rachunkami Denisa LeReveur? Mówię jej, że powieść splaci wszystko. Poczekaj tyłko.

•

Kiedy Anton zadzwonił, żeby zaprosić mnie na lunch, spotkaliśmy się w pewnej szacownej knajpie w Gramercy Park (jak nazwały ją bardzo uprzejmie kroniki towarzyskie branży książkowej). Wszedłem tam, drżąc z przekonania, że jeszcze w tym roku zrobimy schody i podłogę. I, ach, tak, wydam także powieść przed czterdziestką, który to wiek był moją nową graniczną wytyczną (przesuniętą w górę od trzydziestki dokładnie przed siedmioma laty).

Półtorej godziny później wyszedłem z pubu, zataczając się jak pijany. Nic dziwnego, bo Anton chciał wypić parę piw przed przystąpieniem do interesów. A potem, w alkoholowym otumanienu, zaczęło do mnie docierać, że jako autor beletrystyki odniosłem sukces, który przerósł moje najśmielsze marzenia. Powieść zrobiła na Antonie tak wielkie wrażenie, że uznał, że naprawdę jestem kierownikiem działu butelkowania coca-coli z Południa, który napisał książkę o swoim ulubionym hobby, łowieniu bassów. Prawdopodobnie powinienem był mu przerwać i wyprowadzić go z błędu.

Tak więc lunch się nie udał i nie sprzedałem swojego dzieła. Wyszedłem niepewny, czy w ogóle przekonałem Antona, że nie jestem Garfieldem Foote, nadzwyczajnym profesjonalnym rybakim i przywódcą Komandosów Bassowych, pierwszej na świecie „paramilitarnej druzyny rybackiej”. Mój nieśmiały protest dotarł jednak do niego, a w efekcie podał mi nazwisko agenta, które brzmiało jak gatunek ryby.

•

W czerwcu dokonujemy kalkulacji i uświadamiamy sobie, że mamy następujący wybór: zapłacić Denisowi albo jechać do Francji. Nie możemy zrobić jednego i drugiego, a ponieważ została nam jeszcze odrobina honoru, odwołujemy nasz pobyt u Gwened. Zostaniemy w domu. Wyrzekamy się pieniędzy, które z takim samozaparciem zbieraliśmy na Francję naszym pisaniem, i z uroczystą powagą wypisujemy Denisowi czek na kwotę, jaką wciąż jeszcze jesteśmy mu winni. A potem wypijamy większą część butelki Sancerre. Zabawne, ale dobrze się przy tym czujemy, jakbyśmy byli rodzicami wysyłającymi pieniądze dziecku, które przebywa gdzieś daleko i bardzo ich potrzebuje. No i tyle mamy z Belle-Île w tym roku.

Przed Bożym Narodzeniem przyjmujemy od moich rodziców prezent w postaci biletów lotniczych do Kalifornii. Chcą zobaczyć wnuka. Może nas też. Prędzej czy później od obu rodzin słyszymy to samo: „Cieszymy się, że to się już skończyło. Czy teraz wreszcie go sprzedacie?”

•

W kolejnym roku, żeby oszczędzić trochę grosza i pozbyć się kwaśnego zapachu „Success”, wracam do domu na piechotę, zamiast jeździć autobusem lub metrem. Komu potrzebna siłownia? Jeśli o mnie chodzi, Manhattan to i tak jedna długa bieżnia.

Zazwyczaj biorę jakieś jedzenie na wynos. Siadamy przy małym stoliku z widokiem na kolec Rory’ego i palaszujemy tłuste tanie żarcie – włoskie, greckie, hunańskie, peruwiańskie (polecamy kurczaka, nie świnkę morską), południowe, afgańskie albo ze zwykłej taniej restauracji – wszystko, jak często podkreśla Mindy, okropnie niezdrowe, no i – odparowuję zaraz – w ten sposób nigdy nie zaoszczędzimy żadnych pieniędzy, więc dlaczego nie zacznie gotować, na co ona odcina się: „Bo spędziłam cały dzień z dzieckiem i nie mamy kuchni!”.

To ostatnie nie jest, ściśle rzecz biorąc, prawdą, ale nie będę się upierać. Mamy dziwnie spłaszczony kambuz w przedpokoju, ukryty za harmonijkowym parawanem. Kiedy rozsuwamy go wieczorem, nasza kuchnia przypomina mrówczą farmę, tyle tam uciekających karaluchów.

Dwie wizyty faceta od dezynsekcji później, mając w oczach zakupy w siatkowej torbie robione w Le Palais, Sauzon i na rue de Bucy w Paryżu, ośmielam się trochę bardziej oddalić od domu w poszukiwaniu prawdziwego jedzenia. Pod zardzewiałym wiaduktem kolejowym i po żółkłym od moczu betonowymi przejściami podziemnymi Port Authority odkrywam niewielkie skupisko straganów we francuskim stylu.

No, może ten „francuski styl” to lekka przesada, ale i tak jestem podekscytowany. Stoisko z chlebem! I z wieprzowiną (tak właśnie głosi afisz przed wejściem: „Stoisko z wieprzowiną”). Zachodnioafrykański stragan pełen egzotycznych warzyw i prymitywnie wyrzeźbionych figur, które okazują się jadalnymi korzeniami.

Ale najbardziej nęcą mnie kramy z rybami po obu stronach targowiska: długie białe palce kruszonego lodu, przybrane w pierścienie ze lśniących cynobrowych *poissons du jour*, ryb dnia, sięgają aż na chodnik i usiłują zagarnąć mnie do środka. A tam wszystko jest krzykliwe, chaotyczne i paskudne, handlarze ryb są zdecydowanie ponad wszelkie próby zadowolenia klienta – a już zwłaszcza takiego nieśmiałego okularnika jak Młody Wyrafinowany Strudel w cienkiej koszuli z mieszanki bawełny i poliestru, na wpeł zawiązanym krawacie, tanich workowatych spodniach i zdartych czarnych rockportach. Reszta klienteli wokół mnie to głównie krępi, niedogoleni faceci w wełnianych budrysówkach. Burczą coś pod nosem, pokazują palcami i wyciągają dwudziestodolarówki z grubych zwitków banknotów, kupując całe skrzynki. Sprzedawcy ryb traktują mnie jak powietrze.

Wreszcie dostrzegam czarnoskórą starszą panią, która podchodzi prosto do głównego włoskiego handlarza ryb, stojącego w gumiakach na drewnianej skrzyni. Rzeczowo wypytuje go o morlesze. Sprzedawca odpowiada monosylabami, zupełnie nie biorąc pod uwagę jej wieku, a być może biorąc kolor jej skóry. Ale starsza pani dostaje swoje morlesze, a kiedy prosi o ich oczyszczenie, jej prośba zostaje spełniona.

Przed jej przybyciem wpatrywałem się jak wmurowany w wielką, mokrą, wąsatą głowę, spoczywającą w łodzie, niczym głowa Jana Chrzciciela. Widziałem już tę twarz. Na nabrzeżu w Le Palais po przyplnięciu łodzi rybackich. *La Lotte*. Pierwszy raz spróbowałem *lotte* tamtej

zimy w 1980 roku – dobrnęliśmy w deszczu w naszych *cagoules*, kominiarkach, przez plaże i wrzosowiska do jedynej jednogwiazdkowej restauracji na Belle-Île, La Forge. Mindy zarezerwowała stolik. Byliśmy jedynymi klientami tamtego wieczoru, a szef kuchni i jego żona jedynymi osobami z obsługi. W końcu, po wielokrotnych zachętach z naszej strony, dosiedli się do nas na kawę i rozmowę o tym, co zjedliśmy.

To właśnie tamta kolacja sprawiła, że zapragnąłem spróbować odtworzyć choć część magicznych smaków, jakich zaznałem z Mindy we Francji – ja, chłopak, który nauczył się gotować w skautach.

Zatem kupiłem rybę (nie głowę). Chociaż kiedy poprosiłem o *lotte*, sprzedawca wzruszył ramionami. Pokazałem palcem. „Miętus” – odparł.

Tamtego wieczoru *la lotte* nie udała się. Za każdym razem, kiedy usiłowaliśmy rozkroić trójkątny kawałek napiętej tkanki, którą przyrządziłem w całości jak pieczeń wieprzową, nasze noże odbijały się, jakby rybę chroniło jakieś pole siłowe.

Wreszcie Mindy odłożyła nóż i widelec.

– Nie poprosiłeś, żeby ją oczyścili.

– Nie wymagała oczyszczenia. Patrz. – Odwróciłem rybę na półmisku. – Nie ma wnętrzości.

– To *capuchon* – odparła, wskazując prawie niewidoczną błonę spowijającą *lotte*. – Na Belle-Île zdejmują ją bez proszenia.

– *Capuchin*? Jak kapucyn? Mnich?

– Jak kaptur mnicha. Tak to nazywali w La Forge.

Ostatecznie przepiłowaliśmy naszego mnicha na pół i wydlubowaliśmy kawalki, ale nie był to zbyt obiecujący początek moich kulinarnych ambicji. Koniec wieczoru okazał się jeszcze gorszy. Kiedy Mindy obudziła się przed świtem, żeby nakarmić Rory’ego, zapaliła światło i wrzasnęła przeraźliwie. Karaluchy wróciły. Zanim dobiegłem do naszej maleńkiej kuchni w przedpokojku, prawie wszystkie zniknęły, małe diabły, ale ten tuzin wykonujący sześcionożnego kankana pod szafką wystarczył, żeby zmrozić mi krew w żyłach. Pocięczałem się, że przynajmniej uwielbiała moją francuską kuchnię.

.

Oczywiście, jak przystało na takiego masochistę jak ja, wysyłam książkę do agenta wraz z rekomendacją Antona.

W końcu „Ron Pickerel”, czyli „Ron Szczupak” odpowiada, a podczas naszego spotkania w zabitym deskami lokalu użytkowym w West Village na próbę bierze na siebie ciężar reprezentowania mnie. Czy mogę wydrukować cztery egzemplarze?

Mijają miesiące bez słowa z jego strony. Od czasu do czasu zachodzę do tego zabitego deskami lokalu i walę w drzwi. Niekiedy Ron Pickerel otwiera i zaprasza mnie do środka, przekłada teczkę i wręcza mi jedną z paroma odmownymi odpowiedziami z wydawnictw. Stopniowo

jego biuro wypełnia się pudłami maszynopisów, wszędzie walają się luźne kartki. Mamrotanie Rona staje się coraz bardziej niewyraźne, podobnie jak moje nadzieje.

Pomimo zachwyty karaluchów, ilekroć gotuję *à la belliloise*, oraz braku zachęty ze strony handlarzy ryb nie ustaję w poszukiwaniach. Pasiaste okonie, halibuty, cefale, ałozy, sardynki, kalmary, małże i sercówki, maleńkie skalne krewetki z Maine: przed moją dymiącą patelnią nic się nie uchroni. Kiedy wieczorem staję przy kuchence na szeroko rozstawionych nogach jak marynarz w kambuzie, zapominam, że jestem w Nowym Jorku. Przenoszę się do Kerbordardoué.

Mindy mówi, że w mieszkaniu cuchnie rybami. Oczywiście. Muszę urozmaicić jadłospis.

Tak się szczęśliwie składa, że para gejowskich pionierów w Chelsea właśnie otworzyła mały sklepik Sery dla Smakoszy. To pierwszy lokal „dla smakoszy”, który ośmielił się tu pojawić. Mieszkamy na mrocznej, borykającej się z setką problemów ziemi niczyjej – po drugiej stronie ulicy siedem kamienic na dziesięć to spalone ruiny, w których po zmroku roi się od najrozmaitszych dziwnych cieni. Ale w Serach dla Smakoszy mogę dostać kilka owiniętych w papier plasterków *pâté de campagne*, wiejskiego pasztetu, oraz tortellini z suszonymi grzybami. No i oczywiście sery. Porządną bagietkę, chwalić Pana. I – co to za kiełbaski wiszące u sufitu na zapleczu sklepu? Ależ ja znam te ciemnoczerwone, mocno poskręcane koleżanki z marketu w Le Palais.

– Czy to chorizo?

– Jasne, że chorizo.

– Odmiana Don Moroni?

Sardoniczny pyzaty gej woła przez ramię do partnera, chudego i wysokiego geja z bródką:

– Hej, mamy tu mądralę. Jak mówiłeś, że się nazywałeś? Don Moron⁸⁾?

8) Gra słów – *moron* w języku angielskim oznacza „kretyn, debil” (przyp. tłum.).

– Wezmę wszystko, co macie.

– Nie, nie weźmiesz. – Prycha. – Myślisz, że nie mam innych klientów?

Widziałem wszystkiego może parę osób wchodzących do sklepu.

– Nie na chorizo.

Ostatecznie idziemy na kompromis. Potrzebuje kilka kiełbasek, żeby zwisały z sufitu i wprowadzały atmosferę prawdziwej francuskiej *fromagerie et charcuterie*, sklepu z serami i wędlinami. Resztę zabieram do domu. Na Belle-Île to właśnie chorizo jest moim czarodziejskim składnikiem. Dodaję kilka plasterków do potrawki z cukinii, pomidorów, cebuli i papryki, do *lotte*, do zupy jarzynowej, do omleta, do słodkich małży zwanych *palourdes*...

Ani słowa w sprawie książki. Nie potrafię znieść bezczynności, postanawiam udać się do centrum, zwolnić Rona Pickerela i znaleźć sobie innego agenta.

Ale wygląda na to, że Pickerel kupił sobie farmę. Farmę pstrągów. W każdym razie tak twierdzi właściciel budynku, kiedy pukam do drzwi. Wyjechał hodować tęczaki w Vermont. Właściciel narzeka, że wciąż pojawiają się jacyś autorzy szukający swoich książek. Ale on wyrzucił wszystko do śmieci.

Kiedy masz w zanadru taką historię, każdy pisarz, którego spotkasz, będzie miał inną, która ją przebijie. I ostatecznie poczujesz się lepiej. Ale kiedy już dotrzesz do domu, noce nadal będą wydawać się nie mieć końca.

No dobra, świecie, wygrałeś. Poddaję się. Karaluchy mogą sobie zabrać kuchnię z powrotem, bo przestają gotować. Siedzimy tępo przed tekturowymi pudełkami z kleistymi hunkańskimi daniami na wynos. Zmęczenie jest naszym przyjacielem, naszym wrogiem: zasypiamy natychmiast, głębokim snem, ale to jedynie przybliży kolejny dzień.

Nadal zmuszamy się do robienia tego, co trzeba, zażywamy ruchu, czytamy Rory'emu książeczki. Teraz, skoro nasze marzenia zdają się pogrzebane, on jest naszym źródłem energii, cudownym gorejącym duchem. Otrząsamy się więc i musimy przyznać, że mamy wielkie szczęście. Przynajmniej mogę iść do pracy, zastanawiając się, jak wykorzystać moją najnowszą umiejętność: budowanie zamków, galeonów i stacji kosmicznych z klocków Lego.

Hej, nie śmiecie się, mówię poważnie. Kiedy byłem chłopcem, miałem dwie lewe ręce, na plastycie jako jedyny nie potrafiłem zrobić dającego się zidentyfikować przedmiotu z patyczków od lodów. A spójrzcie na mnie teraz! Zrekonstruowałem średniowieczny świat, zajmując całą dostępną powierzchnię podłogi w pokoju dziennym, a mój trzyletni syn podziwia mnie za to. Jest jedyną osobą w moim życiu, która nie wie, że mam dwie lewe ręce.

I szkoda, że nie możecie usłyszeć, jak się wcielam w figurki Lego. W chauceriańskiego mniacha, w Głupiego Rycerza Monty Pythona, w biedną staruszczkę skuloną przy ognisku, która mówi łamiącym się głosem i wróży z dna pudełek po hunkańskim żarciu. Jestem Sir Gawainem, Dobrym Królem Arturem, oschłą Królową Ginewrą (która do złudzenia przypomina Gwened, żeby nie wiem, jak się starał) i sępami.

Dlaczego producenci Lego umieścili te ptaszyska w zestawie klocków dla dzieci, tego nigdy się dowiem, ale, rany, aleśmy się z Rorym zdziwili, kiedy zaczęły gadać! „Przepraszam, panie rycerzu, czy jest pan już martwy?“, „Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, ale czy Wasza Królewska Mość nie żyje?“. „Mój królu, jeśli wolno spytać, czy Wasza Wysokość wkrótce wyzionie ducha?“.

Rory piszczy z uciechy i domaga się kolejnych wersji. Mindy wygląda z sypialni z zaniepokojoną miną. Teraz nie mam chwili spokoju, żeby Rory nie przychodził do mnie z czarnym plasti-

kowym sępem i nieznoszącym sprzeciwu żądaniem: „Tatusiu, niech on powie: »umrzyj«!”. Czego ja nauczyłem swoje dziecko?

Sępie Wariacje zdominowały moje życie domowe. Usiłując zmienić temat, udręczony tym, co sam rozpętałem, burzę część średniowiecza i – ku wielkiemu zaciekawieniu Rory’ego – zaczynam budować z ruin skromną wioskę. Nie możemy żyć z nią, nie możemy bez niej. Nie da się uciec przed Kerbordardoué.

.

Pewnego dnia, późną wiosną, Mindy wraca z ciepłego sobotniego spaceru z Rorym. Gdy krzątamy się w kuchni, przygotowując dla niego przekąskę, a dla nas filiżanki herbaty, wspomina, że spotkała dziwną osobę przy huśtawkach w Ogólnym Seminarium Teologicznym, jedynym walku zieleni w Chelsea.

– Rany, ale była natrętna! – opowiada Mindy. – Ale tak w stylu rodowitej nowojorczanki, w sumie miła. Strasznie wścibska. Wszystko chciała wiedzieć. Ale zachwycała się Rorym, bez przerwy powtarzała, jaki jest piękny, więc chyba jest w porządku.

– Oczywiście. Tylko to się liczy.

– Nazywa się Laurie, chyba Colwin.

– Ta dziennikarka z „New Yorkera”?

– No, też tak sobie, oczywiście, pomyślałam, ale nie zamierzałam pytać. No wiesz, wokół były inne matki i bujałyśmy dzieci na huśtawkach.

Bardzo ostrożnie żadne z nas nie powiedziało już nic więcej na ten temat.

.

– Opowiedz mi o swojej powieści. Mindy mówi, że jest zabawna.

– No, to historia kierownika z działu butelkowania coca-coli, który chce zostać zawodowym poławiaczem bassów, a jego...

– Dobra, to faktycznie zabawne. Mówiłam Jurisowi. – Ruchem głowy wskazuje swojego wysokiego męża, idącego wraz z Mindy w stronę jaskrawych świateł Empire Diner, gdzie Rory i Rosa już wybierają stolik na zewnątrz. – On nie robi nic zabawnego. Tam jest tak cholernie poważnie.

„Tam” czyli w wydawnictwie jej męża.

Układ z Jurisem i jego partnerką Laurą jest taki, że mam wywalić drugą połowę książki i dopisać finałowe starcie pomiędzy Bassowymi Komandosami a oddziałem najemników żony w Las Vegas. Wydaje mi się to absolutnie sensowne, zwłaszcza, że dzięki temu podpiszę umowę na wydanie książki i otrzymam czek z taką ilością zer jak z automatu do gry.

.

I spójrzcie: czyżby to lato na horyzoncie? Zbliżające się w zwolnionym, bolesnym, oszczędnym tempie? Tak. I czyżbyśmy naprawdę mieli znów pojechać do Francji? Tak, na to wygląda. Piszemy do Madame Morgane, ale *cabane* jest zarezerwowana dla krewnych, którzy swego czasu mieszkali tam i pomagali przy żniwach. Mindy pisze do Gwened, która odpowiada, że jej dom będzie wynajęty aż do piętnastego września. Sama Gwened wykląda w ramach letnich zajęć w Tours, żeby zapłacić za dobudowę piętra do obory, sypialni dla współadeptów *lyudo*. Kiedy sypialnie będą gotowe, przyjedzie guru. Dojo jest już prawie ukończone.

Pisze to zwięźle, jakby z lekkim wyrzutem. Pomiedzy wierszami czytamy: „Dlaczego chcecie korzystać z mojego domu, skoro macie własny?”.

Ponieważ (nie mówimy tego) to ty nas w to wpakowałaś, droga królowo Ginewro.

W połowie lata oddaję całość *Gorącej wody* – Laura odrzuciła mój tytuł, *Bassowi Komandosi*, a także drugą wersję, *Mariaż wędk i spluwy*, ja z kolei nie zgodziłem się na jej sugestię, *Patrząc, jak się wiją*. I gotowe. No i spójrzcie na mnie! Wyrobiłem się przed czasem, bo właśnie skończyłem trzydzieści osiem lat.

Nadal nie mamy pewności, czy pojedziemy na Belle-Île, gdy nieoczekiwanie sierpniowi lokatorzy Gwened w ostatniej chwili odwołują pobyt. A to oznacza, że Gwened wkrótce proponuje nam swój dom w obniżonej cenie. Nasz bretoński Brigadoon pociąga za wszystkie sznurki i uruchamia całą magię, żeby nas przyciągnąć z powrotem. Rzucamy się, żeby kupić bilety. Jedziemy do domu.

KTO KRADNIE DROGĘ?

Prosto z nocnego lotu z Nowego Jorku do Paryża wsiadamy o ósmej trzydzieści do pociągu z Gare de Montparnasse do Rennes, gdzie przesiądziemy się w kolejny, do Auray na wybrzeżu, gdzie znów się przesiądziemy w Korkociąg do Quiberon, a tam złapiemy prom „Guerveur” do Le Palais. Stamtąd taksówka zawiezie nas pod same drzwi.

Na zmianę ucinamy sobie drzemkę, podczas gdy Rory wygląda przez okno na zmieniający się powoli odwieczny pejzaż Francji, opowiadając sobie podróż tonem skonsternowanego zachwytu. „Na podwórzu stoi krowa ze swoim przyjacielem psem. Mieszkają tam ze starszą panią. Jedzie autobus. Nie taki duży, szybki autobus, jak te na Belle-Île, tylko powolny wiejski autobus...”.

Dostaję kuksańca w żebra i odmykam powieki. Mindy gestem wskazuje jakichś ludzi kilka rzędów przed nami. Tylem do nas siedzi mężczyzna w moim wieku, który upiął gęste włosy w krótki i gruby kucyk. Mindy żartobliwie pociąga mnie za moją kitkę. „Patrz” – szepcze. Nad oparciem fotela, pomiędzy mężczyzną z kucykiem a ładną brunetką kołysze się czubek małej jasnowłosej główki. „Nasze sobowtóry” – mówi Mindy.

Trzy godziny później pociąg wjeżdża na dworzec w Rennes. Mamy trzy minuty na to, żeby ściągnąć bagaże z półki, wysiąść, przepchnąć się przez peron, zejść długimi śliskimi schodami do tunelu pod torami, a następnie wdrapać się innymi schodami na inny peron, gdzie czeka pociąg do Auray, sapiąc niecierpliwie. Rzucamy przekleństwa i popędzamy nawzajem siebie i Rory’ego – „Pośpiesz się!”, „Ty się pośpiesz!”. Po chwili widzimy, jak nasze sobowtóry pokrzykują i potykają się przed nami. Nawet w tak napiętej sytuacji wywołuje to uśmiechy na naszych twarzach.

Na odcinku Rennes-Auray nie widzimy naszych sobowtórów. Drzemimy twardo i budzimy się po paru godzinach, widząc przed sobą czerwony dach i różowe kamienne mury przytulnego Gare D’Auray, niczym bramy do lata. Zniknęły ciemne tunele Paryża i mokre czarne wzgórza Rennes. Słońce mocno grzeje, zupełnie jak w południowej Kalifornii. Upał obmywa nas, gdy ospale wsiadamy z pociągu, rozleniwione ssaki wynurzające się z tysiącletniej hibernacji.

W kołującym, skrzypiącym, dusznym wagonie zdejmujemy swetry i kurtki. Wszyscy inni robią to samo. Wkrótce na horyzoncie pojawia się wybrzeże i – niech to! – jesteśmy na nie gotowi.

Kiedy pociąg przejeżdża obok plaży, jestem już rozebrany do ostatniej warstwy, klasycznej francuskiej bluzy marynarskiej w poziome granatowe pasy na białym tle, bez kołnierzyka. Rory ma na sobie identyczną koszulkę. Sądząc po tym, jak ludzie uśmiechają się do nas, musimy wyglądać uroczo. Może aż nazbyt uroczo? Bo teraz wszyscy oglądają się, patrzą i śmieją się. Wreszcie, na wypadek, gdyby to jednak nie z nas, my też się odwracamy i zaglądamy w twarze naszych sobowtórów, którzy już chichoczą – bo mój odpowiednik z kucykiem ma na sobie identyczną marynarską bluzę, podobnie jak jego syn, chłopczyk w wieku Rory’ego. Mindy i jej francuska kopia wybuchają śmiechem, widząc, co zmalowały, bo to oczywiście one ubrały swoich mężczyzn. Tamten facet i ja przewracamy oczami, bo znowu daliśmy się przerobić.

On ma na imię Bruno, ona Valerie. Chłopczyk nazywa się Leo. I tak, oni też wybierają się na Belle-Île. Nie ma sensu się opierać, czemu zresztą mielibyśmy to robić. Podwoiliśmy naszą wakacyjną rodzinę.

Pierwsze godziny w wiosce spędzamy oszołomieni podróżą w długim nordyckim zmierzchu, który ciągnie się i ciągnie. Idziemy na spacer, mijając nasz dom – ustaliliśmy, że oficjalnych oglądzin dokonamy dopiero jutro rano – ale nie sposób nie zauważyć brudnej fasady, niepomalowanych ścian i zmurszałych okiennic w niezbyt wdzięcznej oprawie wysokich na trzydzieści centymetrów chwastów, rosnących wzdłuż całego budynku. Przyspieszamy kroku.

A jednak Nowy Jork stopniowo z nas opada. Oddech i puls zwalniają, a oczy otwierają się szerzej, sycąc się intensywnością i subtelnością barw. Kiedy na krótko przystrzyżonym płaskowyzu pojawia się odległa sylwetka, nasz pierwszy *voisin*, sąsiad, tego lata, światło wykrawa go i towarzyszące mu trzy spaniele niczym grawerskie dłuto. Nawet z odległości pół mili dostrzega nasze spojrzenia i podnosi rękę. Odpowiadamy tym samym gestem.

Rory opowiada sobie: „To rów. Jest w nim woda, bardzo dobra dla ptaków. Pies też może się napić. Trochę dalej czasami są krowy”. Na zakręcie zatrzymuje się i oddycha gwałtownie, wytrzeszczając oczy. To pejzaż złożony ze rżyska i siana w okrągłych stogach zwanych *buttes*, ciągnący się parę mil aż do stojącego na wzgórzu starego *moulin blanc*, białego młyna. Skrzydła wiatraka nie kręcą się już, ale i tak wygląda jak z Cervantesa.

Dom Gwened nawet w przybliżeniu nie jest tak przewiewny jak nasz, gdybyśmy tylko mogli w nim zamieszkać. Ma się w nim takie uczucie jak w większości przednowoczesnych domów, że ludzie, którzy w nim mieszkali, musieli być znacznie mniejsi. Schylamy głowy w drzwiach, schylamy głowy pod wiszącymi u stropu garnkami, schylamy głowy, żeby wejść po schodach do sypialni. Przeciskając się przez korytarz, muszę się skurczyć, trzymać łokcie przy sobie. To bardzo stosowne, że właśnie tutaj przebrnąłem przez należące do Gwened, zaczytane

egzemplarze *Hobbita* i *Władcy Pierścieni* podczas tamtej pierwszej zimy. Kiedy skończyłem te dwa tysiące stron, sam czułem się jak hobbit.

Poruszając się w zwolnionym tempie, ścielimy łóżka, kładziemy Rory'ego, po czym sami padamy. Pokój jest ciemny i ciasny. Zapomnieliśmy, że Gwened nie ma okien mansardowych, tylko świetliki. Przychodzi nam na myśl, że to właśnie stąd, a nie z jakiejś potrzeby kontroli bierze się jej obsesja związana z naszymi oknami. Chciała tylko, żebyśmy zamieszkali w takiej samej ciemnej norze hobbita jak jej własna.

Sen pierwszej nocy trwa, jak zawsze, do następnego popołudnia. Kiedy złazimy na dół, od razu wychodzimy na zewnątrz i siadamy na wyłożonym łupkowymi płytkami schodku, dołączając do wygrzewających się tam w słońcu jaszczurek. Na ich widok Rory wstaje i z ukradkowością mistrza kung-fu rozpoczyna coroczne podchody, mające trwać dwadzieścia jeden dni polowanie (choć można by zadać pytanie, kto tu na kogo poluje, kiedy po nieudanym skoku mały wpada głową w krzaki).

Dwadzieścia jeden dni w tym roku. Dwadzieścia jeden dni światła – przeciwko trzystu czterdziestu czterem dniom ciemności. Takie właśnie mamy uczucie.

Trzymając w dłoniach miseczki *café au lait* i *chocolat chaud*, zaczynamy rozmawiać o tym, jaki dziś może być wspaniały dzień, a potem jutro i pojutrze...

.

Po kawie jesteśmy gotowi wypełnić nasz obowiązek i obejrzeć dom. Drzwi otwierają się z jękiem niczym własna karykatura. W środku jest brud, okna zasnuwają ogromne pajęczyny naszpikowane setkami wysuszonych owadów. Stoimy w smudze przyćmionego światła, walcząc z odruchem, by stąd uciec.

– No... – odzywa się Mindy niepewnie.

– Tak. – Nie da się temu zaprzeczyć. Popelniliśmy błąd, kupując ten dom. Jesteśmy biedni, mieszkamy w ciemnym dwupokojowym mieszkanku na Manhattanie, a na nasze jedyne wakacje przyjeżdżamy – tutaj? – do ponurej budy tonącej w błocie i mroku. Miła odmiana.

Nie jestem w stanie spojrzeć Mindy w oczy, boję się, że wypowie na głos moje myśli. A wtedy wszystko zacznie się psuć.

Mindy wzdycha:

– Wygląda na to, że przyjechaliliśmy w samą porę.

Ostrożnie otwieramy drzwi i okna, żeby wpuścić do środka powietrze, kaszlemy przy tym i strząsamy pajęczyny z włosów i spodni. Wdrapujemy się na górę po prymitywnej gospodarskiej drabinie i czujemy ulgę, a potem spokojne zdziwienie tym, jakie jasne, złociste i czyste są te pomieszczenia. Jakość wykonania dorównuje świetnemu projektowi: dwa duże pokoje w kształcie ostrosłupa wyłożone całkowicie *sapin du nord*, sosnowym drewnem, okna mansardowe – przestronne fasety w suficie, duże szyby, przez które rozpościera się widok z góry na placyk i naszą małą *allée*, uliczkę, buchającą hortensjami. Wspięliśmy się na łodygę fasoli.

– *Bonjour?* – rozlega się wołanie z dołu. Odkrzykujemy chórem w podnieceniu, spodziewając się Suzanne, Francka i Ines, może nawet Madame Morgane, ale kiedy wychylamy się przez niezabezpieczoną krawędź pierwszego piętra, widzimy dwoje obcych ludzi, mężczyznę i kobietę, w eleganckich paryskich strojach sportowych, z ciemnymi okularami w dłoniach, stojących na parterze, gdzie wdarli się bez pukania.

Wywiązuje się odbijająca echem, chaotyczna, zbyt głośna rozmowa, my wołamy do nich z góry, oni do nas z dołu. Wygląda na to, że czekali na nas, zajeżdżając tu codziennie. Ale dlaczego? Nie przypominamy sobie, żebyśmy w ogóle kiedykolwiek ich spotkali.

– Ale wy nie jesteście Francuzami – stwierdza nagle kobieta.

– Nie, nie jesteście – odpowiada Mindy.

– Sądziliśmy, że to robotnicy – odzywa się mężczyzna, mówiąc powoli i wyraźnie. – Możemy wyremontować ten dom.

– Wyremontować? Czy wy jesteście robotnikami? – pyta zdezorientowana Mindy. Oburzają się na tę zniewagę. Teraz cel ich wizyty staje się jasny. Chcą kupić nasz dom.

– Ale on nie jest na sprzedaż – słyszę głos Mindy.

Zwieszają głowy w powstrzymywanej irytacji. Kobieta cedzi szyderczym tonem:

– Przy was ten dom się marnuje.

– Naprawdę nie jest na sprzedaż – powtarza Mindy stanowczo. – A teraz muszę prosić, żeby państwo wyszli.

– Ach! – Kobieta wyrzuca ręce w górę i kręci głową, spoglądając na brud na dole. – Udanych wakacji!

Wychodzą, zabierając ze sobą naszą krótkotrwałą euforię na widok górnego piętra. Teraz zostaje nam tylko świadomość, ile jeszcze pozostaje do zrobienia.

.

Nadal oszołomieni po podróży przeżywamy drugie rozczarowanie: nigdzie nie widać Francka, Ines i ich trojga dzieci, a co gorsza, na ich skrzynce na listy widnieje nowe nazwisko, wypisane białą farbą. Wyprowadzili się? Czy to możliwe?

Suzanne potwierdza nasze obawy. Nie zna jeszcze nowych właścicieli, co komunikuje nam, wydmuchując powietrze przez nos jak koń, w odpowiedzi na nasze pytanie. „Jakbym – mówi tym samym – miała czas nadążać za wszystkimi zmianami na tym ruchliwym rozdrożu!”. Nie wie nawet, dokąd przenieśli się Franck i Ines. Mamy nadzieję, że ich szkoła windsurfingu, zawsze niepewna, bo zależna od pogody, nie padła, zmuszając ich do opuszczenia wyspy.

W domu sąsiadującym z chatą Francka i Ines też widzimy nowe twarze, ale właściciel pozostał ten sam. Tak jak to się czasem zdarza na Belle-Île, miejscowa rodzina dokonała nowego podziału majątku. W ten sposób tutejsi mieszkańcy trzymają się swojej ziemi. I w ten właśnie sposób trafiła do nas Suzanne, przez całe dziesięciolecia pracująca jako pasterka kilka wiosek dalej – ta mała chałupka czekała na nią pięćdziesiąt lat. Kiedy kolejni kuzyni, ciotki czy wujowie

(przez ponad sto lat był tu spichlerz) umarli, chałupka przypada jej. Wydaje się, że prawo własności pozostaje bez zmian, podobnie jak twarze, o tym samym wydatnym nosie, granatowo-czarnych oczach, kanciastej szczęce i innych charakterystycznych cechach niemalże pokrewieństwa między mieszkańcami wyspy.

Nowi lokatorzy nie zwracają na nas uwagi. Uspokajamy się, że to typowe przy pierwszych kontaktach (a także drugich i trzecich) z mieszkańcami wioski. Wszystko jest kwestią czasu. Ale oczywiście jest także prawdą, że to ci nowi są starzy, to prawdziwi *iliens*, wyspiarze. Ostatecznie dla nich to my jesteśmy nowi i zawsze będziemy. Nieproszeni goście.

Mindy stoi na placyku, skonsternowana. Nie może jakoś go rozpoznać i nie daje jej to spokoju.

Wzywają nas jednak sprawunki. Mamy starego renault 405, należącego do Gwened, prawdziwy luksus. Co za różnica w porównaniu z naszymi pobytami sprzed lat, kiedy musieliśmy pedałować do Sauzon po najmniejszy kawałek chleba. Sauzon może i jest ślicznym małym portowym miasteczkiem jak z obrazka i ma wspaniałą *crêperie*, naleśnikarnię, na nabrzeżu, Les Embruns, ale jeśli chodzi o robienie zakupów rowerem, to mozolna wyprawa: dwadzieścia pięć minut w jedną stronę i czterdzieści minut w drugą. W drodze powrotnej trzeba pokonać długi i stromy podjazd na wzgórze, prawdziwe piekło, jeśli dźwiga się plecak z zakupami.

Tak czy owak, nie licząc handlarki ryb, która jest nie tylko uroczą i gadatliwą, ale również nie pozwala nachalnym starszym paniom wypychać się do kolejki przed cudzoziemców, nie będziemy tęsknić za sprzedawcami z Sauzon. Cóż to za zrzedliwe typy: gderliwe bliźniaczki z *boulangerie*, piekarni, zgorzkniałe, bo po wojnie wszyscy odwrócili się do nich jako od kolaborantek, czarnobrody rzeźnik opowiadający o samobójcach, których znał i których tragedie upamiętnia na swoich strasznych obrazach olejnych ukazujących przyprawiające o zawrót głowy klify i pożerające turystów grotty, lodowate panie z małego sklepiku spożywczego, które nie są nawet takie złe, tylko po prostu widziały zbyt wielu skacowanych biwakowiczów pogryzionych przez komary. Ach, ale z samochodem...

Możemy teraz wybrać się na targ do Le Palais, który, oddalony o godzinę jazdy rowerem w każdą stronę, plasował się przedtem poza naszym zasięgiem. Krążąc między straganami, wybieramy świeże ryby, małże, warzywa, sałaty, lokalne kozie sery, a każdemu zakupowi towarzyszy chwila prawdziwej rozmowy.

W drodze powrotnej zajeżdżamy do *supermarché* na wzgórze. No dobra, to supermarket, ale słuchajcie, we Francji to co innego. To jedyne miejsce, gdzie można dostać najświeższe krewetki i solę, a także gryczane naleśniki domowej roboty.

Możemy tu również kupić worki ziemniaków i cebuli, tarty ser gruyère, szynkę w plasterkach, tubki sosu pomidorowego i algierskie kielbaski *merguez*, pikantny marokański sos harissa, rolki papierowych ręczników i paczki papieru toaletowego, puszki piwa Kronenbourg 1664, *cidre brut* i kartony mleka UHT, nie wspominając o dobrej taniej kawie, czekoladzie i winie, w tym *Muscadet* za cztery dolce i *Gros Plant* za trzy. Mając samochód Gwened, po raz pierwszy może-

my kupić to wszystko za jednym zamachem, zamiast rozkładać zakupy na dwa tygodnie. W związku z tym trochę nas ponosi.

Przyjemność płynąca z tego, że po raz pierwszy od roku 1980 mamy dom Gwened dla siebie, staje się podwójna, kiedy dostrzegamy jej warzywnik: rzędy fasolki szparagowej, cukinii o jasnożółtych kwiatach, zielonych pnączy uginających się od pomidorów, pietruszki, marchewki, *frisée*, karbowanej sałaty i papryki. Mamy błogosławieństwo Gwened, by brać i rozdawać, co tylko chcemy.

No i wreszcie jest jej *jardin*, ogród. Na ocienionym drzewami trawniku znajduje się hamak i dwa stare wiklinowe fotele, idealne, by spędzić w nich leniwe popołudnie z książką. Jesteśmy ustawieni.

Po przesadzonej wyprawie na zakupy do miasta nie będziemy potrzebowali kolejnej przez parę tygodni. Możemy oczywiście śmignąć do Le Palais czy Sauzon po świeże ryby, słynną bretońską soloną jagnięcinę i bagietki, ale dla zwieńczenia naszych zapasów mamy jeszcze przyjeżdżający w każdy czwartek samochód dostawczy, który przyzywa wszystkich klaksonem i otwiera bok, żeby ujawnić mały sklepik na kółkach. To właśnie tutaj robią zakupy Suzanne i Madame Morgane, które unikają miasta, jak tylko się da. Ta pierwsza w odróżnieniu od drugiej nie chodzi nawet do kościoła. Ma swoją religię na miejscu, rosnącą i kwitnącą dookoła. To dotyczy zresztą nie tylko jej. Nie ma większej chwały niż dzień spędzony w Kerbordardoué.

Jednak pewnego dnia, gdy oszołomienie po podróży całkiem z nas opada, Mindy znów przystaje na wioskowym placu i rozgląda się wokół ze zmarszczonym czołem. „Coś się zmieniło” – mówi. W tym właśnie momencie warkot samochodu każe nam spojrzeć w naszą *allée*, jednopasmową drogę. Samochód wspina się na pochyłość i toczy w naszą stronę, kołysząc się na boki na wybojach. Odsuwamy się na bok, żeby mógł skręcić w lewo, do ostatniego skupiska domów. Ale on wcale nie skręca i znów musimy się odsunąć, przywierając plecami do ściany domu. Mijając nas, pasażerki patrzą prosto przed siebie nieruchomym spojrzeniem typowym dla Bretończyków ze stałego łądu.

Samochód mija nasz dom, kierując się w ślepy zaułek. Nagle zakręca za naszą północną ścianą i telepie się w stronę zagrody Madame Morgane. Idziemy za nim. I patrzymy, jak pasażerki – dwie drobne starsze panie w stosownych wełnianych żakietach – wysiadają i wchodzą frontowymi drzwiami do osłepiająco białej, nowiuteńkiej, prefabrykowanej, jak się zdaje, wersji klasycznej chaty Belle-Île.

– O mój Boże! – wykrzykuje Mindy. – Willa dla turystów! Skąd ona się tu wzięła?

Przypatrujemy jej się przez kilka minut, komentując na głos – wioskowa zasada, by nie zaglądać sąsiadom w okna, zostaje zawieszona przez niedowierzanie. Drzwi frontowe otwierają się i ludzie, dwie pary, znów wychodzą i wsiadają do samochodu. Zapalają silnik. Tuż przed nimi jest zwirowany podjazd prowadzący do głównej drogi, ale oni powoli jadą tyłem przez podwó-

rze, wykręcają i wyjeżdżają tak, jak wjechali. Cofamy się i stajemy w naszych drzwiach, gdy tamci nas mijają, zaledwie kilka centymetrów od progu naszego domu, z tym samym niewzruszonym – a może triumfującym? – spojrzeniem.

– Dlaczego jeżdżą tędy? – Mindy ma kamienny wyraz twarzy. – Podjechali znacznie za blisko domu. Mogli potraścić Rory’ego. Powinni jechać główną drogą...

Rozgląda się. Mruży oczy.

– Zaraz... gdzie się podziała główna droga?

Główna droga, prowadząca do wyżej położonej części wioski i na nasz placyk, dawny teren młócki, jest szersza niż nasza *allée* i nie przeciska się między kamiennymi murami. Czy też raczej była szersza, bo teraz jej nie ma. Na jej miejscu znajduje się gęsty wysoki żywopłot, który przesłania nam widok i sprawia, że sama myśl o drodze zakrawa na wymysł cudzoziemców. Podchodzimy bliżej i robi nam się głupio. Jak można przez trzy dni nie zauważyć brakującej drogi? No tak, nie było nas tu dwa lata.

To wygląda na robotę zawodowca: starannie usypana ława ziemna, dalej rząd wielkich glinianych donic z kwiatami i pnączami pomidorów, a potem ściana krzewów.

– Jak oni mogli na to pozwolić? – pyta Mindy, przepatrując w myśli imiona sąsiadów, podczas gdy ja robię to samo na głos:

– Gwened? Franck i Ines? Suzanne? Madame Morgane?

Schodzimy naszą uliczką aż do drogi i zakrećamy nią za róg, podchodząc do domów, które kiedyś stały przy tej teraz-już-nie-drodze. Po drugiej stronie bujnych krzewów stoi stół piknikowy, własnej roboty ceglany ruszt ogrodowy i biały stół z kutego żelaza, w krzesłami do kompletu. Wygląda to na współdziałanie obu zestawów naszych nowych sąsiadów, bo drugi rząd krzewów, jeszcze niewyrośniętych, wyznacza podobne podwórze domu naprzeciwko. Podzielili się drogą po połowie.

Tego wieczoru idziemy porozmawiać z naszymi nowymi sąsiadami. Pochodzą z paryskich przedmieść. Ich przyjazne nastawienie wydaje się szczere. Mindy rzuca parę aluzji. Och, widzę, że mają państwo ładne podwórko. Prawda, że ładne? Musimy państwa kiedyś zaprosić.

Po powrocie do domu jesteśmy zgodni co do tego, że nasi sąsiedzi odczytali nasze aluzje jako przymawianie się o *apéritif*, a nie grożenie procesem sądowym. Wyglądali na sympatycznych i prostodusznych; a nawet jeśli nie, ich obłuda jest tak udana, że nic z nimi nie wskóramy.

– Ich dzieci też są miłe – rzuca Mindy kwaśno. Wiemy, co nas czeka. Powtórka historii ze studnią.

Jednym z niewielu uroków naszego domu, gdy go kupowaliśmy, był fakt, że należała do niego studnia. A właściwie powinienem wyjaśnić, że kiedyś należała do niego studnia; budowany bez zaprawy murarskiej kamienny ul, ulokowany po drugiej stronie piaszczystej drogi. Tak się jednak stało, że ją straciliśmy.

Jak? Pewnie przez niedbałość. Używanie i posiadanie wspólnej przestrzeni w wiosce to delikatna sprawa. Mały lasek, ciurkające źródółko, miejsce do parkowania, sypiąca się ściana – to wszystko może stać się źródłem silnej obsesji dotyczącej faktu, kto tak naprawdę jest właścicielem i co może z tym zrobić. Alexis de Tocqueville pisze w *Dawnym ustroju i rewolucji*, że nawet wobec otwartej przestrzeni może istnieć prawo własności sięgające dwieście albo i więcej lat wstecz. („Zabieraj stąd swój cień!”). W Kerbordardoué z pewnością tak było. Oprzyjcie rower o niewłaściwą oborę na więcej niż parę godzin, a możecie o tym usłyszeć, nie od właściciela, ale od waszego sąsiada, który usłyszał o tym od kogoś innego. Naraziliście się na złą notę ze strony mieszkańców wioski. Uważajcie, bo wasze dzieci mogą ją odziedziczyć.

W przypadku naszej studni gdzieś w toku kupna nastąpiło zerwanie połączenia pomiędzy ustnym orzeczeniem notariusza a oficjalnym planem czy też *cadastre*, katastrem, wciągniętym do akt w Mairie de Sauzon, merostwie, a my nawet o tym nie wiedzieliśmy. Dowiedzieliśmy się dopiero po latach, kiedy ktoś opowiadał, że podczas suszy jeden z sąsiadów nie pozwolił drugiemu podłączyć węża ogrodowego do studni, bo należała do niego. Byliśmy zbulwersowani nieżyczliwością sąsiada. Ale potem to do nas dotarło:

- Do niego? Och, naprawdę? – odparliśmy. – To dziwne. Bo tak właściwie to nasza studnia. Mieszkaniec wioski, z którym rozmawialiśmy, popatrzył na nas.
 - Wiecie, że jest wasza?
 - Ależ oczywiście. Dlaczego mielibyśmy nie wiedzieć?
 - Och, rozumiem. Po prostu myśleliśmy... Ale skąd się dowiedzieliście?
 - Dlaczego mielibyśmy nie wiedzieć?
 - Rozumiem. Ale od jak dawna wiecie?
 - Od zawsze. Odkąd tu przyjechaliśmy.
 - Och. Ale skoro zawsze wiedzieliście, dlaczego nic nie mówiliście?
 - Dlaczego mielibyśmy coś mówić? Wiemy, że to nasza studnia. To nam wystarcza.
- I tak dalej.

Co jakiś czas tamtego lata spoglądaliśmy na dom sąsiada i myśleliśmy: „Przecież jesteśmy przyjaciółmi! Kiedy postanowiłeś zabrać naszą studnię? Czy zrobiłeś to dlatego, że jesteśmy Amerykanami? Myślałeś, że jesteśmy tępą? Zbyt mięczakowaci, żeby walczyć?”

Myśleliśmy o tym, żeby pójść do Mairie de Sauzon i upomnieć się o nasze prawo własności do studni. Oraz zacząć rozsiewać pogłoski o tym, że wiemy, iż studnia należy do nas i zamierzamy rościć sobie do niej pełne prawa. To wiązało się jednak z pewnym ryzykiem, z którego tylko po części zdawaliśmy sobie sprawę. Odwiedziny w Mairie de Sauzon mogły wywołać dyskusję o innych puszkach Pandory, których woleliśmy nie otwierać.

Poza tym lubiliśmy naszego sąsiada, jego żonę i dzieci. Klócenie się o korzystanie ze studni wydawało nam się małostkowe, zwłaszcza że być może będziemy mieszkali obok siebie przez następnych trzydzieści lat, a potem jeszcze nasze dzieci drugie tyle. Wreszcie dotarła do nas wioskowa prawda. Ta studnia nie była nam potrzebna. Po co udawać, że w ogóle nas obchodzi, do kogo ona należy? Przecież nigdzie sobie nie pójdzie. Nadal mogliśmy patrzeć na nią, ile tyl-

ko chcieliśmy. W dniu, w którym postanowiliśmy nie robić w tej sprawie więcej hałasu, poczuliśmy, jakby zdjęto nam z ramion wielki ciężar.

Słychać łoskot i szyba w naszych drzwiach frontowych drży, gdy jakiś samochód przyjeżdża zbyt blisko. Znowu ci wczasowicze, *locataires*.

Z godziny na godzinę, z dnia na dzień Mindy jest coraz bardziej wściekła, i to nie tylko dlatego, że zakłócono spokój naszego azylu. Zbeshczeszczony został duch wspólnoty, i to z premedytacją: Franck, Ines i nasi nowi wyspiarscy sąsiedzi spiknęli się w środku zimy, żeby ukraść drogę. A potem Franck i Ines musieli wykorzystać ogród i brak drogi jako wabik, żeby jak najszybciej pozbyć się domu.

Ale poza narzekającą, mamroczącą pod nosem Suzanne nie możemy znaleźć nikogo, kto by się przyznał, co właściwie zaszło. Każdego wieczoru Mindy grozi, że wybierze się do Mairie de Sauzon i zażąda okazania wioskowego *cadastre*, ale każdego ranka instynkt samozachowawczy każe jej się z tym wstrzymać – albo dzień jest tak rześki i piękny, że Mindy nie może się zdobyć na to, by stawać do walki z francuską biurokracją. Najlepiej poczekać do ostatniego tygodnia sierpnia, kiedy przyjedzie Gwened. Wtedy wypracujemy najlepszą strategię.

Przygotowujemy sutą kolację na powitanie Gwened pierwszego wieczoru, *coquilles St. Jacques* i *langoustines*, przegrzebki i langustynki, na zimno z majonezem, kotlety jagnięce z grilla z dodatkiem świeżego rozmarynu, a do tego ziemniaki, marchewka i sałata z jej ogrodu. Gwened, ucieleśnienie spokoju i opanowania, lustruje efekty naszych starań z najwyższą powagą i skupieniem, wyrażając mandaryńskie uznanie dla każdego dania, chociaż, jak to ona, je bardzo niewiele. A jednak zdaliśmy egzamin, i to we własnej kuchni Francuzki. A to nie byle co.

Przez cały czas rozsadza nas chęć powiedzenia jej o drodze, ale gryziemy się w język. W końcu Mindy nie wytrzymuje. Stara się mówić spokojnie:

- Zauważyliśmy, że droga zniknęła.
- Tak, to duża zmiana. Obawiam się, że nasza biedna wioska traci swój charakter.
- Więc powinniśmy zgłosić to w Mairie de Sauzon. Z pewnością nie można tak po prostu ukraść drogi?

Gwened zgadza się ochoczo, że z naszego punktu widzenia tak to właśnie musi wyglądać, ale – dodaje – musimy zrozumieć, że mieszkańcy Belle-Île postrzegają tę sprawę inaczej. Mówi to zrezygnowanym tonem i z istic olimpijskim dystansem.

Oczywiście historia jest bardziej skomplikowana, niż moglibyśmy przypuszczać. Zaczęło się od tego, że syn Madame Morgane namówił ją, żeby pozwoliła mu wybudować letni dom na terenie swojego gospodarstwa, mydląc jej oczy obietnicami, że dzięki temu będzie mógł częściej przywozić rodzinę i jej wnuki w odwiedziny. Gdy dom został postawiony, syn Madame Morgane przeznaczył go na wynajem dla turystów. Lokatorzy jeżdżący tam i z powrotem przed nosem Madame Morgane, mijali także dom jej córki o najróżniejszych porach dnia i nocy, aż

w końcu córka zagroziła zwirowany podjazd. W związku z czym syn kazał lokatorom jeździć drogą naokoło, zakręcać na rogu tuż obok domu Francka i Ines, a z placu kierować się prosto ku nieużytkom za naszym domem. Ślady ich opon wyznaczyły nową trasę.

Jednak cały ten ruch przeszkadzał Franckowi i Ines. Mało tego – przerażał ich wręcz. Ich najmłodszy syn był małym szkrabem, mającym skłonność do ciągłego wychodzenia z domu, a drzwi frontowe otwierały się bezpośrednio na drogę, tak jak nasze. Ledwie Ines na chwilę spuściła go z oczu, mały już pędził do drzwi.

Pewnego dnia tuż za ich progiem rozjechany został kociak, zmiażdżony na płask. Jak twierdzi Gwened, wtedy właśnie przyszedł im do głowy pomysł, by zablokować drogę. Tak się akurat złożyło, że sąsiedni dom zmienił lokatorów, bardzo szczęśliwie, bo nowi mieszkańcy też mieli dzieci i byli pełni zrozumienia. (A także wyrachowania, bo jak wie każdy, kto zna *Manon ze źródła*, umysł francuskiego wieśniaka ciągle wynajduje nowe sposoby na powiększenie posiadanych włości). Gwened wzrusza ramionami, pewnego dnia przyjechała koparka, a za nią ciężarówka ze szkółki roślin. I odtąd wszystkie zainteresowane strony mogły – najdosłowniej – spać spokojniej.

„Z wyjątkiem nas i Suzanne! Bo teraz cały ruch przetacza się pod naszymi drzwiami!”.

W rozdrażnieniu i złości Mindy podniosła głos na dawną nauczycielkę.

Gwened milczy długą chwilę. Następnie wyjaśnia, że akt sprzedaży został podpisany i wprowadzony do ewidencji. Znamy wszystkie zaangażowane strony poza kupującymi, a to tacy uroczy ludzie, nieprawdaż? Jej ton jest jasny, podobnie jak tok jej rozumowania: może my nie jesteśmy aż tacy uroczy, jak kiedyś sądziła. Może takie są właśnie skutki nieukończenia domu przed tyle lat. Przez te wszystkie lata wioska traciła na naszym niedbalstwie, ale nas to w ogóle nie obchodziło.

Gwened wzrusza ramionami. Zresztą kiedy przyszła pora na zmianę drogi, zostało to zaakceptowane bez przeszkód, bo przy waszej ulicze nikt nie mieszkał. Więc naturalne, że tam należało skierować cały ruch.

– Ale my nie mamy ogrodu ani żadnego terenu oddzielającego nas od drogi – mówi Mindy, bliska placu. – Będzie kurz, hałas. No i Rory. On też może zostać rozjechany, zdajesz sobie sprawę?

– Tak – odpowiada Gwened. – Obawiam się, że ucierpicie na tym, zwłaszcza latem. Być może rozważycie sprzedaż domu. Albo, jeśli go jednak ukończycie, postanowicie przyjeżdżać jedynie zimą.

Mindy jest wstrząśnięta.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że wszyscy przyglądali się z założonymi rękami i pozwolili, żeby to się stało.

Gwened kiwa głową.

– Bynajmniej nie pochwalam sposobu, w jaki to przeprowadzono. Ale nic już się nie poradzi.

– A co z Suzanne? – pyta Mindy. – Jest stara. Ktoś może ją potrącić. Ona też ma kociaki. Czy nikt nie pomyślał o tym, co to oznacza dla niej?

Milczenie Gwened jest druzgoczące. Czy to możliwe, że Suzanne jest nikim nawet dla wrażliwej Gwened, która przez całe lato wychwala jej kwiaty? Naprawdę?

Mindy znajduje jakoś w sobie siłę na to, żeby zachować milczenie, powściągnąć gniew.

Zdarzają się chwile, kiedy siła i sztywność kultury klasowej ujawnia się w całym swoim okrucieństwie, niczym skalne podłoże pod piaszczystą ziemią. Potrzeba wielkiej burzy, żeby je odsłonić. My wywołaliśmy właśnie naszą wielką burzę. Teraz, gdy nowe prawo własności zostało zarejestrowane w Mairie de Sauzon, przeciwstawienie się zmianom będzie znacznie trudniejsze. Jak wyjaśniła nam nasza bretońska prawniczka Sylvie, *usage ruraux*, prawo użytkowania obszarów wiejskich, może z czasem ulec zmianie, jeśli nie zostanie zakwestionowane. Wiemy, na czym stoimy. Nie będziemy się wychylać.

.

Jednego z ostatnich dni naszego pobytu Mindy idzie do szopy Gwened i wychodzi, taszcząc kilof i łopatę. „Chodź” – mówi, kierując się w stronę placyku. Idę za nią, zaniepokojony. Chyba jednak nie zamierza wyrwać sąsiadom żywopłotu i wyrównać ławy ziemnej, co? Prawdopodobnie trafilibyśmy do więzienia.

Ale ona zatrzymuje się przed naszym domem. Zapatrzona przed siebie, przesuwa się wzdłuż ściany, ciągnąc za sobą kilof. Jego czubek rysuje linię w pylistej białej ziemi, mniej więcej w odległości metra dwadzieścia od progu naszego domu i smętnej, poplamionej, niegdyś białej ściany.

– To będzie nasz ogród. – Uświadamiam sobie, że dokładnie to sobie przemyślała, kiedy dodaje: – Nie wszystko naraz. Zaznaczymy nasze roszczenia, sadząc coś tutaj.

Zawraca i wbija ostrze kilofa w miejscu oddalonym o jakiś metr od progu domu. Tam, gdzie kończy się nasza otynkowana ściana, samochody skręcają, żeby dotrzeć do willi dla turystów.

– To musi być coś trwałego, co będzie rosnąć pod naszą nieobecność. Coś kolczastego, co sprawi, że turyści będą omijać nasz dom szerokim łukiem, by nie podrapać swoich cennych wynajętych wozów.

Nawet w szortach khaki i wypłowiałej niebieskiej koszulce Mindy wygląda jak generał dokonujący oględzin umocnień obronnych przed bitwą. Unosząc kilof wysoko nad głowę, z całej siły uderza nim o ubitą ziemię.

– Zasadzimy różę.

KTO ZABIJA RÓŻĘ?

Tamtej jesieni w Nowym Jorku nosiliśmy Belle-Île przy sobie niczym króliczą łapkę na szczęście. Nasz syn poruszał się zwinnie i bił od niego blask dziecka, które przez kilka tygodni przebywało na łonie natury. My też byliśmy szczupli i gibcy, *en bonne forme*, w dobrej formie. W ciągu miesiąca od naszego powrotu Mindy zaczęła chodzić na rozmowy w sprawie pracy, pierwsze od narodzin Rory'ego, i błyskawicznie została zatrudniona. (Niewątpliwie dzięki przetykanym słońcem rudawym puklom). Teraz spędzała całe dni, walcząc o ochronę niezagospodarowanych lasów, plaż i zlewisk – świetna posada zarówno dla konta bankowego, jak i dla duszy.

Planowane na kwiecień wydanie *Gorącej wody* wciąż pozostawało sprawą przyszłości, ale ja i tak byłem pogrążony we mgle snów na jawie, mając jednocześnie dotkliwe przecucie wielkich zmian, jakie nastąpią w moim życiu. A potem nagle nadeszła ta chwila, była tuż za rogiem. W połowie marca dostałem sygnałny egzemplarz mojej książki (mojej książki!) i przez kilka pierwszych dni wozilem ją ze sobą w metrze, sądząc, że w ten sposób rozpropaguję dzieło, zanim jeszcze napiszą o nim w „New York Timesie”. Ale potem zacząłem się denerwować, że na zdjęciu autora na czwartej stronie okładki ktoś mnie rozpozna, zdumieje go mój bezwstyd i jeszcze napiszą o tym w „New York Timesie”.

Wreszcie nadszedł ten dzień. Podczas przerwy na lunch poszedłem do księgarni Barnes & Noble na Grand Central i zacząłem przeglądać półki z książkami. Była tam!

Jeden egzemplarz, ale zawsze. Czulem się rozdarty pomiędzy chęcią kupienia go a podejścia do lady i poproszenia (ale wtedy musiałbym go kupić). W końcu wyjaśniłem mój dylemat sprzedawcy, który zgodził się zamówić dwa kolejne egzemplarze, żeby były na składzie.

W tamten piątek siedziałem przy biurku, kiedy zadzwonił telefon. To była osoba, z którą utrzymywałem kontakty służbowe.

– Proszę iść – powiedziała – i kupić „Washington Post”. Dział kulturalny. Pierwsza strona.

Gorąca woda trafiła do księgarń, ale już w lipcu sprzedawcy mówili mi z przeproszącym uśmiechem, że idzie, idzie... poszła. Rany, szybko.

Ale entuzjastyczna recenzja z „Washington Post” wisi na ścianie w redakcji „Success”, gdzie redaktor naczelny powiesił ją, zerkając znacząco na swoich dwóch prawoskrzydłowych faworytów. To zabawny światek, myślę, że jest ze mnie naprawdę dumny. Kiedy znowu pytam o możliwość wyjazdu na Belle-Île, macha ręką i mówi: „A niech tam. Jedź. Wiesz, widzę sporo „Sukcesu” w twojej książce.

– Niech to pozostanie naszą tajemnicą – odpowiadam.

Przypieczętowujemy to uściskiem dłoni. I mając jego zgodę, wracam do kopalni przekuwać na złoto walutę Belle-Île: artykuły do różnych pism. Biję wszelkie rekordy wydajności. Czyli dobrze, prawda? Może i nie mam najbardziej prestiżowej posady na Manhattanie, ale przynajmniej czerpię satysfakcję z pracy, z wywiadów, z artykułów wiodących, z redagowania tekstów, a do tego dochodzą jeszcze recenzje książek, szkice, opowiadania. W moich staraniach, by opłacić Belle-Île, nie wystawiając przy tym Rory’ego do wiatru, osiągnąłem nowy poziom. Patrzcie i podziwiajcie.

Ale tak naprawdę jestem nieszczęśliwy, chwilami straszliwie. Wydałem powieść i nie zmieniło to w moim życiu zupełnie nic. Tymczasem mam poczucie, że zapycham sobie mózg bzdurami, po czym rozdaję je na prawo i lewo, w kawałkach liczących półtora tysiąca słów, do przetwarzonej wstępnie konsumpcji. Nie jestem w tym osamotniony ani też nie łudzę się, że czymś się różnię od moich kolegów wypruwających żyły w boksach obok. Dziennikarstwo to wymagający fach, a jego doraźność gasi wszelkie pretensje, by tworzyć dla przyszłych pokoleń. Zamiast nieśmiertelności mamy możliwość barwnego i ekstrawaganckiego bicia piany. To jest radość pokoju redakcyjnego. Ale nie da się jej zabrać ze sobą.

Moja jedyna próba zdobycia nieśmiertelności – no dobra, trafienia na tylną ścianę Strand Book Store – wydaje się skazana na ten sam los. Za późno, żebyem porzucił marzenia, nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko liczyć na drugi akt.

.

Mniej więcej w tym czasie przychodzi list z Francji:

Moi drodzy przyjaciele,

pewna bardzo miła para z Paryża wynajęła w okresie świątecznym tę nową willę za Waszym domem i zakochała się w wiosce. Chcieliby napisać do Was z pytaniem, czy bylibyście zainteresowani sprzedażą Waszego domu. Mam nadzieję, że to nie sprawi Wam kłopotu, ale zachęciłam ich i podałam Wasz adres. To uroczy ludzie i byłiby dobrymi sąsiadami. Mają troje małych dzieci, ale są gotowi zachować dom w obecnym kształcie. Mam wielką nadzieję, że rozważycie ich propozycję. Ważne, żeby w centrum wioski toczyło się życie, a Wasz dom jest teraz całkowicie opuszczony.

Czyli, droga muzo, mamy ot tak powiedzieć: żegnaj, Belle-Île? Dziękujemy za piękne wspomnienia? *Je ne regrette rien*, niczego nie żałuję, czy też może właśnie *je regrette beaucoup*, żałuję bardzo?

Jeszcze nie doszliśmy do siebie, gdy przychodzi list od młodej pary z Paryża. Ku naszej konsternacji Gwened ma rację i ci ludzie rzeczywiście są mili. Wydają się w pełni świadomi bólu, jaki musi nam sprawiać ich pytanie, i dobierają słowa starannie, ze współczuciem (ta delikatność wyjaśni się w dalszej części listu, gdy wspomną o tym, że są psychiatrami). Oczywiście jako paryżanie nie mogą się powstrzymać przed oznajmieniem, że kochają Nowy Jork.

Mindy odmawia napisania odpowiedzi. Musiała już pisać do Francji tyle listów po francusku, do Madame Morgane, Suzanne i Gwened, do Mairie de Sauzon i do naszego agenta ubezpieczeniowego, do Denisa LeReveur i jego ekipy. A każdy z nich wychodził naprzeciw realizacji domu, naszego marzenia. Wiem, że na samą myśl o napisaniu tego serce jej się rozdziera.

Biorę na siebie ulżenie jej cierpieniu. Zdejmuję z półki słownik Petit Larousse i mozolnie konstruję taktowny w moim odczuciu list, wyjaśniając nasze głębokie przywiązanie do domu i nadzieje, że kiedyś spędzimy noc pod jego dachem, a kończąc radosnym: „Kochamy Paryż!”. Później, oczywiście, zostaną poinformowani, że nazwałem męża kobietą, a żonę mężczyzną w najmniej wybrednych słowach. Podobno wyraziłem także przekonanie, że Paryż kocha mnie bardziej niż ich.

Bez względu na mój analfabetyzm odpowiedź nadal brzmi nie.

Nie lekceważymy jednak listu Gwened. Ona ma rację. Może to jej wersja terapii wstrząsowej, ale zasługujemy na ten kubek zimnej wody. Rzeczywiście zawodzimy wioskę. Ale wygląda na to, że tkwimy w impasie. Możemy albo jechać do Brigadoon, albo dokończyć dom, ale nie stać nas na jedno i drugie.

.

Znów w podróży. Francja jak ze snu. Sen po francusku. Sen = *rêve*. Powtarzamy francuskie słówka i powtarzamy nasz sen. Płyniemy powoli z nurtem... To niczym slajdy puszczone od końca, powtarzamy nasze kroki i ruchy z poprzednich lat.

W wywołanym niewyspaniem oszołomieniu wychwalamy piękno połączeń transatlantycznych i różnorodnych, a niezawodnych pociągów. Kołysujemy się wraz z promem „Guerveur”, gdy jego stępały, nitowany stalą dziób papugoryby wgrzyza się w pierwszą wielką falę oceanu, a potem następną i jeszcze następną. Wraz z innymi pasażerami tłoczmy się przy balustradzie, kiedy naszym oczom ukazuje się wyspa. Dorosła powściągliwość słabnie i wraz z innymi wiwatujemy, słysząc podwójny sygnał promowej syreny. W ciasnym basenie portowym, za wąskim

falochronem nasz kapitan obraca statek, a dziobowe stery strumieniowe i śruby wzbudzają kłopot żółtego błota. Drzwi ładowni z boku otwierają się ze szczękiem przy kamiennym trapie, który wznosi się spod wody portu ku nabrzeżu. Jesteśmy na miejscu.

Moglibyśmy wręcz zaintonować pieśń: *Jesteśmy, jesteśmy*, gdy tak maszerujemy ramię w ramię z innymi pasażerami w stronę ulicy, jak komunardzi z 1871 roku na barykady. Tymczasem prom wypluwa samochody, ciężarówki, rowery, a nawet srebrny motocykl z przyczepą z boku.

Na nabrzeżu stoi szpaler machających, uśmiechniętych przyjaciół i krewnych. Nie przyszli tu dla nas, ale to nic nie szkodzi. Bo my nie jesteśmy turystami ani gośćmi, którzy potrzebują przyjęcia powitalnego, my tu mieszkamy – czasami. Mamy tu dom!

Przepelnia nas radość, mamy dziś poczucie, że świat jest nam przychylny. Nawet taksówki wyglądają ładnie – „Cała Francja!”, stwierdzam głupio na widok taksówkarzy (dwóch mężczyzn i jednej kobiety), którzy palą papierosy oparci o maski wozów. Ale my w tym roku wynajmujemy Citroëna deux cheveux, w wygórowanej cenie mimo wgniecionej karoserii. Więc ładujemy się do środka i popędzamy go, pyk-pyk, pod górę, wyjeżdżając z Le Palais, po czym krzyczymy: „Prrrr!”, kiedy po drugiej stronie wzgórza pędzi z turkotem jak kolejka górską, i znów pod górę, i znowu w dół, pokonujemy kolejne kręgi kręgosłupa głównego płaskowyzu. Kręte drogi w wiosce zmuszają nas do pełzania w żółwym tempie, aż wreszcie, *enfin*, wjeżdżamy na nasz mały, posypany białym pyłem placyk. Zaciągamy hamulec ręczny z szarpnięciem. Drzwiczki wozu skrzipią w bolesnej skardze. Prostujemy plecy i rozglądamy się wokół.

Ale nagle:

– Róża umarła!

.

Biedna różo, stoimy nad tobą, rozplaszczoną w niegdysiejszym błocie, które teraz, wypalone przez słońce, tworzy twardą skorupę. Smutna powyginana łódzka i parę małych odgałęzień, jesteś niewiele większa, niż kiedy cię zasadziliśmy. Wyglądasz jak skamielina albo martwo urodzone dziecko z neolitycznego kurhanu.

– Nie miała szans – wzdycha Mindy. – Pewnie letnicy nie zauważyli jej w porę.

Stoimy nad skamieniałą różą. Rory kuca i dotyka błotnych grani utworzonych przez opony samochodu albo furgonetki, a następnie zamrażniętych zimą i wysuszonych w słonecznym piecu wiosny i lata. Jest ich mnóstwo, podobnie jak jodełkowych śladów opon, przecinających się, jakby wiele razy rozjeżdżały naszą różę. Bardzo wiele razy.

– Ktoś zrobił to celowo – mówi Mindy. Też mi to przyszło do głowy.

Kto zabija różę?

.

Jeszcze w czerwcu, kiedy napisaliśmy do Madame Morgane z pytaniem o możliwość zakwaterowania, powiadomiła nas z żalem, że jej syn przysłał znajomego z traktorem, żeby wywiózł

cabane. Bał się, że jej widok umniejszy przyjemność letników, gdy będą siedzieć na tanich plastikowych krzesłach przy ogrodowym stole pod plażową parasolką i gapić się na ryżko. Co za człowiek postrzega czterdziestopięcioletnią drewnianą chatkę, zmyślnie wykonaną, ciasną jak beczulka, ledwie na tyle dużą, by pomieścić trzy osoby, ukrytą wśród drzew, jako zagrożenie? Człowiek, który zna cenę wszystkiego, ale nie ma pojęcia o wartości czegokolwiek.

Być może, zastanawiamy się, ten sam, którego znajomy z traktorem zabija różę.

Idziemy za tymi niechcianymi śladami opon w górę drogi, aż na róg naszego domu. Rory jest niczym śniady dwunogi pies myśliwski, opowiada: „A potem podjechali tutaj. To szerokie opony. Jest tu pięć różnych błotnych kolein, czyli musieli się cofać i znów podjeżdżać do przodu, żeby skrócić za róg. To była duża ciężarówka”.

Myślmy, że to tylko chłopięca wyobraźnia. Powinniśmy być mądrzejsi. Kiedy skręcamy za róg i patrzymy, znów rażąco łamiąc zasady, bo (znów) jesteście zbulwersowani, naszym ukazuje się jeszcze bardziej przerażający widok: długi na trzydzieści metrów kamienny dom Madame Morgane zniknął. Po prostu zniknął.

Wyparowały (od lewej do prawej): kamienne stajnia i obora, stodoła z zewnętrznymi kamiennymi schodami prowadzącymi do stryszku na siano na górze (rozwiązanie rzadkie obecnie na Belle-Île) oraz główny budynek z sypialniami i pokojem dziennym. Niektóre partie domu sięgały połowy osiemnastego wieku, inne początku dziewiętnastego. Został jedynie sam kraniec, bretońska kuchnia typu „wszystko-w-jednym”, gdzie siadywaliśmy tamtej zimy 1980 roku, wciśnięci pomiędzy szafę na naczynia a szafę na stareńkich rodziców Madame Morgane.

W miejscu domu widnieje nierówna dziura w ziemi, z której sterczą zwalone belki stropu i fragmenty boazerii. Wygląda jak krater po bombie.

– Biedna Madame Morgane – odzywa się Mindy. – Nawet o tym nie wspomniała w swoim liście na temat *cabane*.

Patrzymy i patrzymy. Nagle Mindy otrząsa się.

– Chodźmy – mówi. – Nie powinniśmy tak się gapić. Co by było, gdyby Madame Morgane nas zobaczyła?

.

Wydobycie z niej tych informacji zajmuje prawie cały tydzień, ale w końcu Suzanne opowiada nam, jak to znajomy syna Madame Morgane, ten od traktora, wrócił pewnego dnia z koparką z chwytakiem dwuszcękowym. Powiedział, że wykorzysta ten chwytak do podnoszenia materiałów budowlanych, nowych płytek i bali, na wymagający naprawy dach.

Madame Morgane była w kuchni, parząc kawę wraz z Suzanne i słuchając radia, gdy nagle poczuły potężny wstrząs i drżenie. Do izby wpadł tuman tynkowego pyłu i kamiennych odłamków. Podkasawszy spódnicę, dwie stare przyjaciółki wybiegły na zewnątrz i ujrzały, że dom zawalił się aż do kuchennej ściany.

„Wypadek” – skonstatował operator koparki. Po czym zaczął zagarniać stare kamienie, niektóre pochodzące z neolitycznego kurhanu, zbudowanego na polu przed pięcioma tysiącami lat. Jego kumpel podjechał wywrotką i zabrał je. Od czego są kumple?

Tego lata nie było dla nas miejsca także w gospodzie Gwened, ale właściwie nie możemy się skarżyć, bo zapełniła swój dom i oborę adeptami *kyudo*, japońskiej sztuki strzelania z łuku, w większości Belgami. Widzimy, jak wędrują przez labirynty wierzbowych żywopłotów i chodzą skrajem wymłóconych pól, w parach i małych grupkach, z pochyłymi głowami, często ubrani w białe *gi*. Wygląda na to, że uważają Gwened za guru. (Ach, tak, gdzie my to już słyszeliśmy?).

Trzymamy się z dala od jej posiadłości w głębi uliczki, nie z powodu urażonej dumy, lecz ze względów bezpieczeństwa. Czasami Rory i ja podchodzimy na paluszkach na tyle blisko, żeby usłyszeć skrzypienie łuku, brzęczenie cięciwy i świst strzały. Czerwone błyski latają przez *jardin* Gwened w stronę papierowej tarczy, przypiętej do starej furmanki opartej o stóg siana. Ale, podśmiewa się Rory, rzadko trafiają. Chybiają celu o cały kawał.

My nie zbliżamy się do niej, a Gwened też zachowuje dystans. Jakby nie chciała, żeby ktokolwiek czy cokolwiek przypominało jej o życiu, jakie wiodła przed przywdzieniem białego stroju łuczniczki *shin-zen-bi* (prawdy-dobra-piękna). W porządku. Jeśli ma jej to pomóc w walce z rakiem. A wygląda na to, że naprawdę działa.

Więc gdzie mieszkamy? W swoim domu, z rozpaczy. W całej wiosce nie ma nikogo, kto mógłby nam wynająć jakieś lokum. Mimo że spróchniałe deski podłogowe z części kuchennej zostały zerwane i wywiezione, kiedy robotnicy remontowali piętro, w sypialni na tyłach domu nadal jest coś w rodzaju podłogi. Pod naszą nieobecność nowi sąsiedzi z ubiegłego roku wyrzucili kanapę, którą ktoś, być może Denis LeReveur, wciągnął do środka.

Denis ofiarował także dwa koślawe krzesła i równie chwiejny stół z jasnego drewna, ocalone z zamkniętego *boite de nuit*, nocnego klubu, który właśnie przeprojektowuje. Czekają też na nas stary materac do spania przekazany przez Francka i Ines, którzy – jak się okazało – przenieśli się do miasta i mieszkają teraz nad małym sklepikiem, który kupili. Nie mamy kuchenki, zlewu ani lodówki: nadal będziemy gotować na palnikach turystycznych Bleuet Campinggaz i garnkami nosić zimną wodę (cieplej nie mamy) z łazienki na górze.

Niezła degradacja w porównaniu ze znakomicie wyposażoną kuchnią Gwened i jej wygodnymi jak norki hobbitów sypialniami. Mamy natomiast szczęście w jednym: jest wspaniała pogoda – *beau temps*, o czym zapewnia nas Suzanne, gdy zagląda do nas któregoś dnia. Nędza naszego domostwa nie odstrasza jej jakoś. Ale też jej własna chata to wielowarstwowy śmietnik, pełen papierów i drew na podpałkę oraz otwartych puszek sardynek, ciemny i zadymiony, a do tego rojąca się od rozbrykanych kociaków.

Zauważamy stos puszek i brudnych narzędzi w rogu, przykryty starą gazetą.

– *L'homme* – mówi Suzanne.

– Jaki mężczyzna? – dopytuje Mindy.

Suzanne wzrusza ramionami. Mężczyzna, który mieszkał tu przez jakiś czas, zanim Denis go przepędził.

Prowadzimy życie zupełnie jak z serialu *Schodami w górę, schodami w dół*, zabawne tylko, że gramy role zarówno państwa z góry, jak i służby z dołu. Życie na dole jest brudne, niewygodne i pozbawione nowoczesnych udogodnień. Na górze, kiedy już wdrapiemy się tam po kilkumetrowej drabinie, tym samym starociu, który w zeszłym roku odkryliśmy w chwastach, znajdujemy się w błyszczącym czarodziejskim domku na drzewie. Mamy dwie sypialnie z tymi wielkimi oknami mansardowymi, stropy z jasnego, lakierowanego, pełnego malowniczych sęków drewna sosnowego oraz łazienkę z głęboką wanną i świetlikiem w suficie. Przez te wszystkie lata czyste białe ściany nie zostały nawet naznaczone pojedynczym odciskiem palca.

Nie ma jednakże mowy o tym, byśmy mogli spać na górze. Wspinaczka po drabinie sprawia o zawroty głowy, a upadek z pierwszego piętra, gdzie nie ma żadnej balustrady, byłby naprawdę groźny. Na samą myśl, że Rory mógłby wstać w nocy i spaść z wysokości kilku metrów, żołądek mi się przewraca. Będziemy spali na materacu na parterze, a dla Rory’ego wyszukujemy jakiś barłóg obok nas.

Myśl, że naśladujemy w ten sposób bezdomnego *homme*, należy trzymać bardzo daleko od powierzchni naszej świadomości.

.

Mamy szczęście, możemy przebywać na powietrzu przez cały dzień – który trwa osiemnaście godzin – jeśli chcemy. To najdłuższy okres *beau temps*, jaki ktokolwiek pamięta. Co wieczór kładziemy się spać z myślą, że to już koniec pięknej pogody; a każdego ranka budzimy się w nadprzyrodzonej ciszy i jasności. Dla Rory’ego to znakomita pogoda na jaszczurki, Mindy zaś inspirowuje do rozpoczęcia kopania szerokiego na trzydzieści centymetrów rowu wzdłuż domu. Przejmują kilof, kiedy plecy i dłonie Mindy odmawiają posłuszeństwa.

– Co ty robisz, Don? – pyta Gwened, którą stukot kilofa o twardy grunt przyciągnął zza parawanu z hortensji. Ma na sobie białe *gi*, przewiązane ciasno w pasie czarnym pasem; całkiem twarzowy strój. Zauważyliśmy już, że kilkoro spośród młodych Belgów też wygląda uroczo, w stylu flamandzkiej szkoły malarskiej z połowy szesnastego wieku.

– Przygotowujemy ziemię – odpowiada Mindy, wylaniając się z mrocznego wnętrza domu i stając w progu.

Gwened czeka na dalsze wyjaśnienia.

– Na co? Planujecie coś?

– Wojnę pozycyjną – żartuję. Moja uwaga nie została jednak przyjęta najlepiej.

– Mindy, to nie jest twoja ziemia, żebyś mogła z nią robić, co ci się podoba – mówi Gwened łagodnie. – To część drogi i placu.

– Tak jak ta druga droga?

Gwened uśmiecha się błogo. Nagle zaczyna wysyłać promienie dobrośliwości, zupełnie jakby pstryknęła przełącznikiem.

– Rozumiem, że chcielibyście mieć ogród. Dlaczego nie wpadniecie i nie skorzystacie z mojego?

Mindy przytakuje z kamienną twarzą, ale ukradkowe spojrzenie, jakie mi rzuca, jest diaboliczne. Zabawne – kiedy ktoś się nam przeciwstawia, obraża nas lub choćby z nas podkpiwa, wystarczy, że popatrzę na Mindy. Wymieniamy spojrzenia i nie trzeba nic więcej.

– Wydaje mi się, że trochę trawy i kwiatów poprawi wygląd tego miejsca – mówi Mindy.

Gwened kręci głową.

– Mamy już chwasty – zauważam. – Po prostu zasadzimy trochę ładniejszych chwastów.

– Obawiam się, że jeśli to zrobicie, ktoś z mieszkańców wioski złoży doniesienie w sprawie waszej fosse.

Rany, czy to groźba? Gwened zawsze miała nam za złe, że wybraliśmy zwykłe szambo zamiast kupować ten słynny nuklearny piec do odchodów jak owa legendarna starsza pani z Le Palais. Mimo to nasza fosse jest całkowicie legalna.

Gdy ja staram się nie zapominać o dobrych manierach, Mindy pyta:

– Masz na myśli tę samą osobę, która zabiła naszą różę?

Touché.

Gwened wyraźnie się cofa, zaskoczona, że wiemy, iż to nie był wypadek. Wystarczy połączyć kropki, a staje się jasne, że ona jest jedną z tych osób, które w żaden sposób nie zareagowały. A teraz, gdy już wie, że my wiemy, nie może dłużej udawać nieorientowanej, kiedy następnym razem ktoś postanowi zamordować naszą różę. Będzie musiała zadać sobie pytanie, czy nie stała się *une collabo*, kolaborantką.

– Rozumiem – mówi. – Obawiam się, że kiedy przyjedziecie w przyszłym roku, znów będziecie rozczarowani, ale rozumiem.

.

Przy takim długim okresie *beau temps* w tym roku ocean też wydaje się inny. Przyzwyczailiśmy się do szeregów wzburzonych, chaotycznych ścian piany wodnej wędrujących tam i z powrotem po piasku. Potężne szklane wodne tuby, które podczas naszego pierwszego zimowego pobytu Mindy porównała do fal z Pupukei na Hawajach, musiały być jednorazowym zjawiskiem albo w ogóle złudzeniem. W każdym razie tak już zaczęliśmy myśleć, aż do teraz. Bo nagle łapiemy się na tym, że przerywamy budowanie zamków z piasku i rzucanie frisbee, żeby z napięciem i w najwyższym skupieniu wpatrywać się w fale, takie prawdziwe. Odwracamy się do siebie i zaczynamy pokrzykiwać w podnieceniu. Tak, to zdecydowanie fale do surfowania. Wspaniałe grzywacze. *Cowabunga!*

Nie mamy desek, ale możemy uprawiać bodysurfing. Z początku wypływamy na zmianę, podczas gdy drugie z nas stoi na straży. Na plaży nie ma ratowników, a nikt w pobliżu nie

sprawia wrażenia, jakby potrafił wykonać więcej niż parę ruchów pływackich. Pomimo *beau temps* woda jest szokująco zimna – od piętnastu do siedemnastu stopni Celsjusza – ale konieczność nieustannego machania rękami i nogami oraz skakania na główkę zapewnia przynajmniej trochę ciepła i rozrywki. Jest silny przypływ, pełen wirujących prądów. Fale są szybkie, zmienne, trudne do przewidzenia. Potem, kiedy na plaży dzielimy się wrażeniami, trzęsąc się pod ręcznikami i bluzami, zgodnie stwierdzamy, że potrzebujemy lepszych narzędzi. Płatw do pływania, zdecydowanie: używamy ich przy dużych falach na Hawajach i w Kalifornii.

A deski surfingowe? Nie, nie, nie. Naprawdę. Mindy ma smętną minę. „Oczywiście, kochanie, absolutnie”. (Kłamię). „Jasne, serio”. (Wyjaśnijmy to sobie: chcesz się wozić z deską surfingową nowojorską taksówką na lotnisko JFK, następnie lecieć z nią samolotem, jechać paryską taksówką, trzema pociągami, taksówką do portu, potem promem i wreszcie ostatnią taksówką? Wlekąc ze sobą pięciolatka? Zwariowałaś?).

„Oczywiście, że nie, skarbie. Chcę, żebyś to ty się z nią woził”. (Czytasz mi w myślach!).

Parę dni później Franck i Ines odwiedzają swoją starą wioskę i przyjeżdżają do nas na *apéro*. Kiedy wspominamy, że pływaliśmy na plaży Donnant, Franck blednie. „To szaleństwo! – krzyczy. – Potopicie się. Co roku giną tam jacyś turyści, zagarnięci przez fale”. Jąka się, wytrzeszcza oczy i kręci głową – stoimy osłupiali. Wreszcie Ines udaje się jakoś go uspokoić, a nam wyjaśnia po cichu, że Franck jest taki wzburzony, bo jego bliski przyjaciel utonął w dramatycznych okolicznościach na oczach wołającej o pomoc rodziny, kiedy fale zmiotły go ze skał Donnant.

Najlepszy piekarz na Belle-Île, Momo, zbierał *pousse-pieds*, wielki przysmak w regionie środkowego Atlantyku w Europie. Amerykanie z wybrzeża nie zwracają najmniejszej uwagi na te kaczenice, nie mówiąc już o zbieraniu ich i jedzeniu. Ale u wybrzeży Portugalii i Bretanii, zarówno miejscowi, jak i przyjezdni rzucają się na nie maniakcko, gdy tylko zostają odsłonięte przez odpływ. To stwarza bardzo ryzykowną sytuację, bo po dużym odpływie fala wraca często szybko i gwałtownie.

Próbujemy wyjaśniać, że podczas surfowania jesteśmy bezpieczniejsi niż przeciętni zbieracze kaczenic, ponieważ znamy fale i przede wszystkim nie wdrapujemy się na skały. Na próżno. Franck wciąż kręci głową i mruży coś pod nosem. Wydaje to nam się trochę dziwne, biorąc pod uwagę, że sam prowadził wypożyczalnię desek windsurfingowych. Ale jego firma działała na najspokojniejszym, najłagodniejszym wybrzeżu wyspy, od strony stałego lądu, na Côte Douceur, szerokiej plaży z drobnym białym piaskiem. Tam nigdy nie było fal, z wyjątkiem rzadkich sztormów. Jego klientela była nieśmiała i miała szacunek dla autorytetu Francka. A w tym wczesnym okresie windsurfingu deski przypominały właściwie małe płaskie żaglówki. Interes szedł bardzo dobrze, chociaż po jakimś czasie Franck i Ines poczuli się tym zmęczeni i sprzedali wypożyczalnię.

Pomysł szalonych Amerykanów, żeby otworzyć na surfing Côte Sauvage, zachodnią granicę Belle-Île, to ostatnie, co chcieliby usłyszeć. Dla dobra sprawy zapewniamy ich, że będziemy uważać. Ale potem, po ich wyjściu, śmiejemy się. Co za mięczaki. Cała idea surfingu polega na tym, żeby wypływać na wzburzone morze, nawet trochę groźne. Na Hawajach i w Kalifornii

najlepsze fale często tworzą się po straszliwych sztormach, wytaczając się niczym lśniące, gładkie rzeźby z ryczącej paszczy.

Ale kiedy nazajutrz wracamy na Donnant, stwierdzamy, że udzielił nam się lęk Francka. Obiektywnie rzecz biorąc, ta plaża bywa przerażająca. Po pierwsze energia oceanu, tygodniami narastająca na rozciągłości dwóch i pół tysiąca mil, zostaje wtłoczona przez strome klify do zatoczki w kształcie żarówki. Równocześnie pływy oceanu dochodzące do dwunastu metrów przecaczają się tam i z powrotem, turbodoładowując wały wodne. Podczas przypływu przemieniają zatoczkę w kipiący kocioł, a podczas odpływu odsłaniają piasek aż do wejścia, tam, gdzie równoległe do brzegu szarozielone fale zatrząskują drzwiami. I wreszcie długa na pół mili podkowa piasku jest przedzielona w środku przez duży grzbiet skalny, który rozbija fale i powoduje ich cofanie się z gigantycznym rozbryzgiem, sięgającym siedmiu metrów.

Obgadujemy to i dochodzimy do wniosku, że musimy ostudzić naszą surfingową gorączkę aż do przyszłego roku, kiedy to przywieziemy płetwy, a dla Mindy kombinezon piankowy.

ĘKIPA MARZEŃ

Nowe życie na Belle-Île zaczęło nabierać kształtów w naszych myślach. Wokół nadal był brud, kurz, pleśń, odsłonięte gwoździe i tłuste poczerniałe ściany, ale jeśli zwróciliśmy twarze ku górze, czekał na nas podniebny pałac. Musieliśmy jedynie się tam wspiąć niczym Jaś na łądygę fasoli. Czemu nie teraz, argumentowaliśmy, leżąc na dole na podłodze, która nigdy nie była czysta, mimo że Mindy codziennie ją szorowała. Po co czekać, skoro Rory jest silny, zwinny i nieustraszony.

Następnego dnia zacząłem zbierać deski o przekroju pięć na dziesięć centymetrów i inne resztki materiałów budowlanych z zawalonej stodoły. Nie jestem stolarzem, wierzyłem jednak w moc gwoźdźcia, wielu gwoździ – wbitych ze wszystkich stron i łączących rozpory oraz elementy poprzeczne – do zbudowania barierki wokół skraju pierwszego piętra w kształcie litery L. Kiedy skończyłem, przyjrzałem się swemu dziełu z dołu. Wyglądało jak zator z drzew splawianych jakąś rzeką na zachodzie Stanów. Ale to nic. W końcu nie chodziło o piękno, tylko o bezpieczeństwo. A Rory musiałby użyć łomu, żeby przedostać się przez tę zaporę.

Tego wieczoru wspięliśmy się po drabinie całą rodziną: najpierw Rory, potem ja, pochylony, osłaniający go własnym ciałem, gdy wdrapywaliśmy się równocześnie, kroczonek po kroczoneku, chwyt za chwytem, a Mindy zabezpieczała tyły z szeroko rozpostartymi rękami, gotowa rzucić się na ratunek.

Położyliśmy się do łóżka przy oknach mansardowych szeroko otwartych, by wpuścić łagodne nocne powietrze, przytuliliśmy się, powiedzieliśmy sobie dobranoc i zgasiliśmy małą elektryczną lampkę. Tu, na górze, mogliśmy naprawdę rozkoszować się ciszą i spokojem, i byłaby to naprawdę piękna noc, gdyby którekolwiek z nas mogło zasnąć. Ale my leżeliśmy w ciemności, czekając, aż Rory wstanie i zacznie łązić po pokoju. Kiedy wreszcie zapadłem w sen, obudziłem się w niemym przerażeniu, niepewny, czy tylko mi się śniło, czy naprawdę słyszałem krzyk.

Następnej nocy zanieśliśmy na górę linę. Przeciągając ją od słupka do słupka, stworzyliśmy sieć, która złapałaby Rory'ego o niewinnym spojrzeniu: „Kto, ja?”, gdyby nas przechytrzył

i w czasie naszego snu wypadł przez lichą barykadę. Tak, lichą. Oczami duszy raz jeszcze przyjrzałem się konstrukcji i uznałem, że pozostawia wiele do życzenia.

Co powinniśmy zrobić, jeśli nie chcieliśmy posunąć się do tego, żeby przywiązać Rory'ego do klamki?

Na razie położyliśmy go spać pomiędzy nami a ścianą, tak że gdyby próbował uciec, musiałby przeczłgać się po nas obojgu.

Długa wędrówka przez wrzosowiska, na północ wzdłuż Côte Sauvage. Rory osiągnął niestrudzony wiek i sady przed siebie na krótkich nóżkach, a my idziemy za nim wąską ścieżką, między niebieskozielonymi sukulentami, ciemnozielonymi poduszczkami mchu o rubinowych kwiatuśkach i kłującymi łydki kolcolistami (które kwitną na jasnożółto, jakby chciały przyciągnąć nas bliżej). Schodząc na ocienioną część małych dolinek, płyniemy przez pole rozkołysanych paproci, miejscami wyższych od nas, tam, gdzie poryta koleinami dróżka wrzyna się na głębokość półtora metra w zbocze wzgórza.

Sentier côtier, nadbrzeżna ścieżka, wznosi się i opada. Morze lśni niczym srebro aż po horyzont, przybierając metaliczny niebieskozielony odcień u naszych stóp – no, piętnaście, dwadzieścia metrów w dole. Klify Côte Sauvage to nie żarty i znów zastanawiamy się, co też nas opętało, że sprowadziliśmy Rory'ego w tak niebezpieczne rejony. Mindy asekuje go jak może, bez obwiązywania mu szyi liną. Ale on pruje naprzód, silny i zwinny jak kozica.

Po paru godzinach jesteśmy zmęczeni i spoceni. Na szczęście ścieżka opada na skraj białej skalistej plaży z kuszącą grotą i *roche percée*, przedziurawioną skałą. Trzeba ją zbadać. Rozkładamy piknik na wspólnym ręczniku i zdejmujemy przeupocone bluzy, kładąc się na białych gładkich kamieniach i wydając przy tym ciche okrzyki bólu i przyjemności. Po paru chwilach wstajemy i pędzimy ku tej rozległej lśniącej niebieskości.

Beau temps, piękna pogoda, uspokoiła morze. Ruszamy w głąb ładu ścieżką, która – jak sądzimy – zaprowadzi nas do domu. Nie ma żadnych drogowskazów. Wspinamy się pod górę zieloną doliną pełną bujnych paproci i bagiennego sitowia, po czym docieramy do labiryntu ścieżek, część dla krów, część dla owiec. Jedna z nich jest dla nas – ale która? Wrzosowiska ciągną się przez wiele mil. Wydaje nam się, że nad pobliskim wiatrochronnym pasem cyprysów dostrzegamy wierzchołek *moulin blanc*. Triangulacja umożliwia nam opracowanie trasy. Dochodzimy do drogi, ledwie widocznej, ale wyjeżdżonej kołami samochodów.

Jest tu kępa cyprysów, przechylona na bok przez wiatr. Ich zielone iglaste gałęzie splatają się ze sobą niczym włosy jakiejś bogini. Gdy podchodzimy bliżej, zauważamy srebrny błysk pod odgarniętymi przez wiatr konarami: lśniący motocykl z klasyczną przyczepą z 1940 roku. Przyczepa nakryta elegancką płachtą od deszczu w kolorze khaki wygląda na specjalnie zaprojektowaną, jak coś, co wyszykowałby sobie L.L.Bean, gdyby przyłączył się do Hell's Angels. Kolejna

impregnowana płachta przykrywa składany stolik. Z boku niczym psychodeliczny grzyb wyra-
sta okrągły niebieski namiot.

– Biwakowicze – cykamy z dezaprobatą. Cykamy, ponieważ biwakowanie na dziko jest nie-
legalne, ale kogo chcemy oszukać? My też znamy takie życie na dziko. Ale mamy poczucie, że
to nasze dzikie życie jest inne, bo jesteśmy u siebie, na naszej własnej wyspie.

Teren jest zadbany, ładnie rozplanowany, nigdzie nie widać żadnych śmieci: utrzymany
w idealnym porządku, jak swego czasu z upodobaniem mawiał mój ojciec-skaut o czystym polu
biwakowym. Mimo to rolnicy mają dość biwakowiczów urzędujących na ich polach, samozwań-
czy strażnicy przyrody wyspy też są czujni. Obserwatorzy ptaków widzą wszystko. Parę nocy
może się wam jeszcze jakoś upiec, ale...

– Chcesz się założyć, ile czasu minie, zanim ktoś ich stąd przepędzi?

– Chociaż może jednak nie. – To jest czyjś dom. A w każdym razie kiedyś będzie. Wygląda
na to, że mamy konkurencję w życiu na dziko u siebie. I najwyraźniej oni wychodzą na prowa-
dzenie.

W rześki poranek jedziemy do Le Palais zrobić zakupy na targu.

Obladowani torbami zatrzymujemy się przy *atelier* Denisa LeReveur na Place du General
Bigarre. Teraz, gdy nasze rachunki zostały uregulowane, Denis nie stara się już unikać naszych
wizyt. Ma czas, żeby porozmawiać, sięgnąć za siebie do odpowiedniej przegródki i wyciągnąć
nasze zrolowane plany. Rozpościeramy je na stole kreślarskim. I wzdychamy.

Nigdy nie posuwamy się dalej niż to wzdychanie. Dzisiaj jednak po przestudiowaniu ele-
gantkiej linii schodów i skomplikowanych pajęczych nici wyznaczających parter, z wyimago-
nowaną szafą pod jedną ścianą i kompletem przezroczystych mebli czekających na idealną wid-
mową rodzinę, Mindy odchrząkuje.

– Czekaliśmy już dość długo – mówi. – Czy można by ukończyć wszystkie prace przed przy-
szłym latem?

Powstrzymuję głośnie: prrr! i ograniczam się do wyjąkania:

– Yyyy... Mindy... no... to znaczy... – Pauza. – Czy nie powinniśmy jeszcze tego przemyśleć?

– Już to przemyślałam – odpowiada Mindy. – Widziałam tamto obozowisko motocyklistów.
Nie chcę tak skończyć. Jeśli będziemy czekać, aż uzbieramy pieniądze... nigdy tego nie zrobimy.

Mindy naprawdę wydaje się przerażona tą myślą. Wyobrażam sobie tę jej wizję nas, skulo-
nych wokół kopącego ognia płonącego na parterze naszego domu. Jak po jakiejś apokalipsie.

Dobrze, że Denis ma podobne relacje z angielskim jak ja z francuskim. Nie wie, że właśnie
speramy się o całą naszą finansową przyszłość. Cały czas po prostu przytakuje, ale w taki po-
wściągliwy sposób, nie przesadzając z tym udawaniem, że rozumie, co mówimy. Właściwie wy-
gląda poważnie, bardzo poważnie, *très, très sérieux*. Sprytne; mógłbym się od niego uczyć, za-
miast zawsze obracać wszystko w żart. Ale Amerykanie nie mają takiej samej naturalnej po-

wagi, jak Francuzi, Bretończycy, mieszkańcy Belle-Île. My musimy włożyć w to trochę wysiłku, a ja jestem tu na wakacjach.

Mindy wyjaśnia teraz sprawę po francusku. Powoli dochodzę do siebie. W końcu powinniśmy byli zrobić ten remont pięć lat temu. Zdobędziemy pieniądze. *Blasé, blasé*, jak mawiali moi co bardziej zblazowani czarnoskórzy koledzy w szkole średniej.

– Jest pewien problem – mówi Denis. To nawet ja potrafię zrozumieć.

Czekamy. Denis bierze głęboki wdech i próbuje mówić po angielsku.

– Monsieur Borlagadec jest *retraité*. Na emeryturze.

– Na pewno uda nam się znaleźć kogoś innego do położenia podłogi i zrobienia schodów?

– Te stare domy potrzebują dobrego oka.

Denis przechodzi z powrotem na francuski.

– W dawnych czasach nie używano miarek ani poziomnic, po prostu rozciągnano kawałek sznurka wzdłuż ściany. Nowocześni fachowcy używają... – Podnosi rękę i mierzy z niej, wydając odgłosy pikania. – ...*les outils électroniques*, narzędzi elektronicznych.

Kiwam głową. Rozumiem. Moje własne doświadczenia budowlane pomagają mi wypełnić luki. Denis mówi, że dzisiejsi robotnicy budowlani są tacy sami jak ci w Stanach, potrafią niewiele więcej ponad złożenie prefabrykowanych elementów. Do remontu domu z 1830 roku potrzebujemy rzemieślnika z prawdziwego zdarzenia.

– Nowe oko starego domu nie robi – oznajmia Denis, znowu próbując wypowiedzieć się po angielsku.

– No, a kto ma odpowiednie oko?

– Monsieur Borlagadec.

– Aha.

– *Retraité* – włączam się pomocnie.

– *Oui*. Tak.

– Może pan z nim porozmawiać?

– Już to zrobiłem.

– I?

– *Retraité*.

Denis wyciąga rękę w kierunku sufitu i przesuwając ją to w prawo, to w lewo, mrużąc oczy.

– *Faisant. Boum!* Bażant. Bum! – Celuje do drzwi. – *Lapin. Boum!* Zając. Bum!

Rozumiemy, że chociaż Denis uparcie zabiega o starych, steranych życiem rzemieślników z Belle-Île, w gruncie rzeczy w toku remontu jesteśmy skazani na frustrację i nikt nie może nam zapewnić zadowalającego rezultatu. Kiedy nowi robotnicy widzą stary dom, twierdzi Denis, nie chce im się spędzać paru tygodni na przycinaniu i dopasowywaniu każdego elementu do nieregularności dziewiętnastowiecznej kamiennej ściany. Więc wzruszają ramionami i mówią wam: „Tak, mogę to zrobić”, a kiedy tylko znikniecie im z oczu, przywożą koparkę i burzą cały budynek.

– *Un accident, oui?* Wypadek, tak? – mówi, a my słyszymy jego gniew z powodu utraty starych domów, dawnych umiejętności i, co gorsza, braku wstydu.

– *Oui* – odpowiadamy. – *Un accident.*

I myślimy o Madame Morgane.

.

– Don! Chodź! Chodź szybko! – woła Mindy bez tchu, kurczowo ściskając framugę drzwi i wsuwając głowę do domu. Po czym cofa głowę i znów wypada na zewnątrz.

„Rory” – to moja pierwsza myśl, naznaczona poczuciem winy. Zbyttno mu ufaliśmy. Poszedł gdzieś i zrobił sobie krzywdę. Wpadł do studni.

Wybiegam za Mindy na placyk, gdzie ona czeka, z rękami na biodrach, wpatrzona w dół naszej *allée*. Moja panika natychmiast opada. Rory kłęczy w białym pyłe przy kamiennej ścianie domu Gwened. Popycha zabawkową ciężarówkę z małą figurką Playmobil w kasku siedzącą za kierownicą. Uff!

Podchodzę do Mindy. Dostrzegam w niej skwapliwe wyczekiwanie, jest niczym jastrząb, który leci pod wiatr, unosi się w powietrzu i tylko czeka, żeby runąć w dół i zaatakować.

– Co? – pytam.

– Widziałam samochód jadący w dół *vallon*, dolinki. Myśliwi polujący na bażanty. Sezon łowiecki jeszcze się nie zaczął.

– Mieli strzelby? – pytam. Mindy kręci głową. – Więc o co chodzi? Nie możemy im zabronić jeździć na zwiady.

– Wydaje mi się, że widziałam pana Borlagadec.

Mindy bierze głęboki oddech.

– Pójdę z nim porozmawiać. Zaczekaj tutaj – zerka na Rory’ego. – Nie, chodź ze mną. Zostawmy Rory’ego. Nic mu nie będzie.

Pędzimy na dół piaszczystą *allée* i skręcamy w prawo w nieco szerszą drogę, opadającą w głąb *vallon*.

Kiedy wylaniamy się z cyprysowego tunelu u wejścia na trójkątne pastwisko, przystajemy na chwilę i zbieramy siły przy grupce cielaków, *les petits veaux*, zgromadzonych wokół zardzewiałego żeliwnego poidła. „Musimy wyglądać naturalnie” – mówimy sobie.

– Nie ma go tu. – Mindy odwraca się. – Musiał gdzieś skręcić.

Mamy do wyboru gruntową drogę albo parę wąskich śladów samochodowych kół. Wybieramy drogę. Szeroka 180-stopniowa panorama ściernisk i stogów siana nie ujawnia nic, poza – jak na ironię – stadkiem bażantów wydziobujących ziarno z plew.

– Czekaj. Słuchaj. – Mindy nadstawia uszu.

Obraca się to w tę, to w tamtą stronę. Wysuwa szczękę do przodu. W odległości może pół mili pas drzew osłania parę małych białych domków na skraju wioski.

– Słyszę głosy.

Pędzimy dalej drogą aż do błotnistego podjazdu, którym nigdy nie sziłśmy, bo wydawało nam się, że prowadzi jedynie na czyjeś podwórko.

Skracamy za róg i zapuszczamy się na niezbadany obszar. Krzepki, wąsaty starszy mężczyzna w kraciatej koszulowej marynarce rozmawia z młodszym pracownikiem, obaj gawędzą swobodnie, stojąc na nowo wylanym betonowym fundamencie. A więc wyrosnie tu nowy dom. Jestem rozczarowany. Ale ja zawsze jestem rozczarowany nowymi budynkami bez względu na to, gdzie się budują.

– To on – mówi Mindy, patrząc na starszego z mężczyzn. – Chodźmy.

Żaden z mężczyzn nie zwraca na nas uwagi, dopóki nie podchodzimy na tyle blisko, że staje się jasne, iż ich zagadniemy.

– *Bonjour*, Monsieur Borlagadec – zaczyna Mindy i zaraz przedstawia się, żeby odświeżyć mu pamięć. – Jestem tą Amerykanką od nieukończonego domu.

Widać jednak, że wcale nie musi mu się przypominać. Monsieur Borlagadec wydaje się zaskoczony naszym nagłym przybyciem, ale bynajmniej nie urażony. Jego silna wąsata twarz tężeje, gdy Mindy pyta, czy przyjechał sprawdzić, jak się mają bażanty.

– Jakie bażanty? – pyta.

Mindy uśmiecha się.

– Te, do których, jak twierdzi Denis LeReveur, zamierza pan wkrótce strzelać, *bien sûr*, oczywiście.

Czarne oczy błyszczą. Przychodzi mi na myśl, że on wie, co się szykuje, i nie zamierza ułatwiać Mindy zadania.

Ale ona zmienia taktykę i zaczyna gorąco przeproszać za to, że nie dokończyliśmy remontu. Ogranicza wyjaśnienia do minimum: *la catastrophe économique mondiale, le bébé. Mais maintenant...* Światowa katastrofa gospodarcza, dziecko. Ale teraz...

– *Je suis retraité*. Jestem na emeryturze. – Monsieur Borlagadec nie owija w bawełnę.

– Tak, słyszałam. Gratulacje.

To mu się podoba. Chociaż w jego poczuciu Mindy nie ma szans, jako nieodrodny mieszkaniec Belle-Île docenia fakt, że mimo to ona nie schodzi z ringu.

– Nie chciałabym teraz przeszkadzać – ciągnie Mindy.

– Nie przeszkadza pani – odpowiada pracownik, który zaczyna się dobrze bawić. Być może Mindy jest pierwszą znaną mu cudzoziemką, która płynnie mówi po francusku. Jej akcent rodem z Tours normalnie, u Francuzki, uchodziłby jako *un peu snob*, ale ponieważ Mindy nie należy do żadnej rozróżnialnej klasy, u niej tak nie razi. Pracownik podnosi butelkę wina i proponuje jej, żeby napiła się z gwinta. Mindy wie, że to nie uchodzi, ale śmieje się z tej prowokacji. Pracownik zwraca się do pana Borlagadec.

– *Êtes-vous prêt, papa?* Jesteś gotowy, tato?

Ach, ojciec i syn. Gdy to do nas dociera, przeżywamy przyjemny wstrząs. Czujemy w powietrzu nowe ciepło, gdy już wiemy, ale Mindy zachowuje spokój. Cofa się o krok i czeka na kolej-

ny ruch tamtych. Zamiast odejść, wchodzi na nowy fundament i leją trunek na ziemię wewnątrz południowo-zachodniego rogu. Przez krótką chwilę nikt nic nie mówi.

– *Bon* – odzywa się syn. Odwraca się do nas. – *Pour la maison. Afin que personne n'ait plus jama-is soif.*

Dla domu. Żeby nikt nigdy nie był spragniony.

Znów proponuje nam butelkę, a ja natychmiast rozumiem ten gest – proponuje nam pierwszy łyk, więc nie ma żadnych zarazków, prawdziwa uprzejmość – i przyjmuję ją, zanim Mindy zdąży odmówić. To porto. Nie, coś innego, słodkiego, mocniejszego... Mrużę oczy i czytam etykietkę: *Pineau des Charentes*? Obaj panowie Borlagadec przyglądają mi się, więc wypijam drugi łyk. Podoba im się to. Następnie podsuwam butelkę Mindy, która widzi wyraz moich oczu, śmieje się i pociąga lyczek.

Po chwili oddaje tamtym butelkę, mówiąc:

– Może chcieliby panowie zejść do nas do domu na drinka? – I zanim pan Borlagadec zdąży wypowiedzieć słowo: „nie”, dodaje: – Byłabym wdzięczna za pańską opinię dotyczącą tego, co trzeba zrobić, żeby ukończyć fundamenty i schody. Może nawet mógłby nam pan kogoś polecić.

Doskonale wiemy, że Monsieur Borlagadec odmówił podania Denisowi choćby jednego nazwiska. Pewnie jest dumny z tego, że był ostatnim z najlepszych i że nie ma już nikogo z jego umiejętności. Zapomina jednak o smutnych, pustych domach, które bez niego nigdy nie zostaną ukończone.

Ale syn o tym wszystkim nie wie. Jest ciekawy. Który to dom?

Chez Jeannie.

Tante Jeannie? Ciocia Jeannie? Syn odwraca się i rzuca ojcu zaskoczone, zachwycone spojrzenie – spojrzenie pełne miłości i zdumienia. *Tante Jeannie! Tante Jeannie!*

Monsieur Borlagadec wzdycha ciężko, a kiedy jego szerokie ramiona opadają, ma już całkiem inny wyraz twarzy. Niezależnie od tego, że na chwilę zawiesił czujność, mam wrażenie, że wyczuwam prawdziwą ciekawość dotyczącą Mindy. I rozbawiony, choć wciąż niechętny, szacunek.

Powoli wspinamy się naszą *allée* na placyk. Rory jest przed domem, teraz dla odmiany pochylony nad swoją plastikową koparką, popycha ją, przesuwając mały stosik ziemi przy drzwiach. Pan Borlagadec zatrzymuje się, żeby popatrzeć. Uśmiecha się, po raz pierwszy naprawdę się uśmiecha. Szturcza syna i pokazuje mu Rory'ego. Jego spojrzenie nie wymaga tłumaczenia: jako chłopiec byłby dokładnie taki sam.

Rory wybiera ten właśnie moment, żeby odwrócić głowę i popatrzeć panu Borlagadec prosto w oczy. Minę ma bardzo poważną. To nie jest prośba, tylko coś bardziej rozkazującego. Pan Borlagadec rozumie. Kuca i przygląda się zabawkowej koparce. Nie dotyka jej. Następnie spogląda na Rory'ego i przechyla głowę pytająco. Rory kiwa swoją, tak, oczywiście.

Pan Borlagadec wyciąga rękę i czubkiem palca wskazującego popycha koparkę w stronę kupki ziemi. Głowa Rory'ego kołysze się: tak, tak, tak. Jego ciało napina się, oczy otwierają coraz

szerzej.

Śmiejąc się chrapliwie, pan Borlagadec mierzwi małemu włosy i podnosi się. *Un bonhomme.*

Wchodzimy do domu, Mindy i ja przepelnieni trwogą. W środku jest strasznie, ale oczywiście dla budowlańców to normalny widok. Ojciec i syn chodzą powoli wokół głównej izby, dotykając i wskazując, bez wątplenia wspominając, jak wyglądała, kiedy należała do Jeannie. *Ja siedziałem tutaj, ty tutaj.* Następnie zwracają uwagę na wyremontowane przez Denisa LeReveur piętro, zaczynając od stropu dolnej izby, który nie został całkowicie wymieniony, tylko zawiera zarówno nowe deski, jak i stare. Połowa belek dachu też jest oryginalna, pochodzą z około 1830 roku i pewnie były pilowane ręcznie na koźle ustawionym na placyku.

Mindy wyjaśnia, że to była nasza decyzja, podjęta razem z Denisem. Tylko część drewna była zmurszała.

– Podjęliście ryzyko. – Pan Borlagadec macha ręką, wskazując nowe drewno. – To wszystko mogło zmurszeć, bo zostawiliście jedną złą deskę. Jedną deskę! *C'est fou.* To szaleństwo.

– Denis był ostrożny. Zaufaliśmy mu.

Pan Borlagadec wydaje burknięcie, które łatwo można by odczytać po angielsku, ale po francusku ma dodatkowe podteksty i zabarwienie. Być może Denis, ten szalony, zwariowany chłopak, słynie ze skłonności do ryzyka. Albo może jest skąpy i wmówił nam, że zaoszczędzimy pieniądze, a tymczasem policzył nam za nowe drewno, a wykorzystał jedynie połowę. Najwidoczniej dom jest z góry skazany na zagładę, kiedy jakiś dureń miesza stare drewno z nowym. Pan Borlagadec zwraca się do syna:

– Dużo lepiej byłoby go zburzyć, *oui?*

Mindy bezgłośnie wykrzykuje: „Nie!”, a on uśmiecha się zadowolony ze swojego okrutnego zartu. Ale Mindy natychmiast wykorzystuje okazję.

– *La maison de Madame Morgane* – zaczyna, ale milknie pod jego spojrzeniem. To delikatny temat, naturalnie. Może to niewłaściwe, żeby *étranger*, cudzoziemiec rozmawiał o takich sprawach z *ilien*, mieszkańcem wyspy.

Ta wymiana zdań wyraźnie zepsuła panu Borlagadec humor. Okazuje zniecierpliwienie. Spogląda pytająco na syna – idziemy? – ale ten kręci głową. Syn, czujemy to, jest po naszej stronie, kibicuje nam. Ale decyzja należy do Papy. A Papa jest *retraité*.

„Wszystko może jeszcze się udać” – myślę, gdy nagle pan Borlagadec chwytą drabinę. Marszczy czoło. Uderza szczebel na wysokości głowy i patrzy, jak pył od termitów powoli sypie się i opada. *Faible. Foutue.* Słaba. Do niczego. Po czym wzrusza ramionami i wchodzi do połowy wysokości.

Zatrzymuje się ze zmarszczonym czołem.

– Co to? Czy Denis to zrobił, to coś?

– A, nie – mówię, dodając z niejaką dumą: – To ja. Jak to się nazywa, nie ściana, bariera...

Pan Borlagadec prychnął. Wchodzi parę szczebli wyżej, tak że ma głowę na wysokości podłogi. Widzi materac, pościel i narzutę.

– Co to? Dlaczego to tam jest?

– My tam na górze – tłumaczę łamaną francuszczyzną. – My śpimy. Łóżko.

– Nikt nie powinien tam być – odpowiada. – To niebezpieczne. *Pour la sécurité de l'enfant*. Ze względu na bezpieczeństwo dziecka.

Schodzi, uderza dłońmi o spodnie i patrzy na mnie, nie na Mindy, po raz pierwszy poświęcając mi całą uwagę, odkąd wytropiliśmy go przy fundamentach nowego domu. Przedtem cały czas zerkał na mnie tylko kątem oka, byłem na marginesie jego pola widzenia.

Teraz żałuję, że w ogóle zaszczycił mnie uwagą. Patrząc na siebie jego oczami, kulę się na myśl o tym, na jakie niebezpieczeństwo naraziłem moją rodzinę. A on właśnie teraz wychodzi, powoli i dumnie.

– No, wszystko szło dobrze – mówi Mindy. – Dopóki nie zobaczył twojej *barrière*.

– Chcesz powiedzieć, mojego *derrière*, tyłka? – żartuję bez przekonania.

Mindy uśmiecha się, ale ja czuję się obnażony i mały. Roztrząsamy, jakie jest prawdopodobieństwo. Nie tyle prawdopodobieństwo upadku Rory'ego, przyznaję ze smutkiem, ile tego, czy pan Borlagadec zdecyduje się na dokończenie remontu. Niezbyt duże, uznajemy.

W końcu dochodzimy do wniosku, że nie możemy ryzykować. Przenosimy łóżka na dół, żeby spać na podłodze.

.

Nazajutrz wcześniej rano rozlega się walenie do drzwi, zdecydowanie zbyt wcześniej jak dla cywilizowanych ludzi. Dopiero gotuję wodę na kawę. Rory jeszcze śpi. Mindy jest na górze, myje twarz i czesze włosy; weszła po drabinie, wyrzekając na tę niedogodność.

Otwieram drzwi. Nie ma nikogo. Super, jakiś dowcipniś. Ale na placyku stoi biała furgonetka z otwartymi tylnymi drzwiami. Chwilę później zza furgonetki wyłania się pan Borlagadec z przykładnicą w dłoni. Ma na sobie drelichowy kombinezon i zniszczony skórzany pas na narzędzia, wypolerowany do połysku przez dziesięciolecia używania.

Jego syn wystawia głowę z tyłu furgonetki i macha.

Godzinę później pierwsze piętro ma porządną tymczasową barierkę, a *père et fils*, ojciec i syn, pojechali, grzecznie odrzuciwszy ponawianą kilkakrotnie propozycję wypicia *un petit café*, małej kawy. Moje dzieło, stara barierka, leży w kominku jako sterta drew na podpałkę. Wyglądają jak patyczki od lodów.

.

Podczas ostatnich dni naszego pobytu gromadzi się cała ekipa: panowie Borlagadec, *père et fils*, wciąż najlepsi specjaliści od betonu (syn ma do wylania fundamenty tuzina letnich domów dla paryżan, ale odkłada to na później), hydraulicy (również ojciec i syn z takimi samymi kucykami), najlepszy elektryk (o niepokojąco zabandażowanych palcach, ale – jak się okazuje – wskutek odrywania *pousse-pieds* od skał, a nie porażenia prądem).

Po kolejnym naborze Denis LeReveur kręci głową z milczącą satysfakcją. Najlepsi. Na zebraniu całej ekipy w naszym domu Mindy, zachęcona przez Denisa, wyjaśnia, że nie chcemy zmieniać niczego, co może pozostać takie, jak jest. Chcemy mieć bretoński dom, typowy dla Belle-Île, *maison saine*, zdrowy dom, który rozpoznałaby sama Jeannie, gdyby tu wróciła.

– Bez złotych kurków? – pyta hydraulik.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Są niecierpliwi, przestępują z nogi na nogę, uśmiechają się, zginają i prostują zniszczone palce, niczym kowboje gotowi dosiąść koni i wyruszyć raz jeszcze na spędy bydła. Kto wie, może to ostatni stary dom, który będą mieli okazję odbudować w dawnym stylu.

Przed naszym wyjazdem raz jeszcze w ruch idzie kilof. Zasadzona zostaje kolejna róża ze szkółki roślin. Gdybyśmy tylko zdołali zmusić samochody turystów, żeby oddaliły się nieco od naszych frontowych drzwi, mielibyśmy miejsce na ogród wzdłuż ściany.

W rowie przekopanej ziemi biegnącym wzdłuż domu sadzimy wątlą *sauge*, szalwzię, o czerwonym czubeczkę, i odnóżkę jednej z hortensji Gwened. Ani jedna, ani druga nie wymaga właściwie podlewania. Gwened uważa, że ten zakątek jest zbyt zacieniony dla hortensji, ale potem Suzanne przychodzi zobaczyć, co robimy, i Mindy wciąga ją do rozmowy. Suzanne prycha. W Kerbordardoué hortensje rosną, gdzie się tylko zechce. Pytanie tylko, jaki kolor chcecie. Zakopcie grejpfruta wraz z sadzonką, jeśli chcecie niebieskie kwiaty, albo zostawcie ją, jaka jest, jeśli wolicie różowe.

– Myślę, że trochę trawy wyglądałoby tutaj ładnie – mówi Gwened, wskazując palcem.

Potakujemy w milczeniu. Instynkt mówi nam, żeby nie wspominać o tej zmianie jej nastawienia.

Kwiatku po kwiatku, belka po belce, wygramy tę walkę.

RODZICIELSKA PUŁAPKA

W miarę jak remont zbliżał się ku końcowi, robiliśmy plany, snuliśmy intrygi i przez cały rok oszczędzaliśmy, żeby na cały miesiąc wyrwać się z Nowego Jorku. Tak, cały miesiąc urlopu: rzecz niebywała w Ameryce, ale zupełnie normalna we Francji. Po latach przepychanek z szefami, ugłaskiwania redaktorów i blefowania bez kart, przysięgliśmy sobie, że to będzie teraz albo nigdy. I mieliśmy po temu dobry powód. Ten pobyt miał być egzorcyzmem wobec naszego początkowego szaleństwa związanego z kupnem domu, ponieważ po raz pierwszy od ośmiu lat, kiedy to zaryzykowaliśmy i podpisaliśmy cyrograf na resztę życia, zamieszkamy pod jego dachem.

Koniec z nocowaniem w ciasnym pokoiku gościnnym na poddaszu Gwened, koniec z wynajmowaniem od Madame Morgane pozbawionej instalacji hydraulicznej chałupy dla robotników sezonowych wśród pól, koniec z gotowaniem na palnikach turystycznych Bleuet Campin-gaz, koniec z kąpaniem Rory’ego w blaszanej balii wśród gładzących kur. No, tego ostatniego akurat będzie nam brakować. Ale teraz podłoga na parterze naszego domu została położona, a schody do sypialni na górze ukończone. Osiem lat po uziemieniu naszej finansowej przyszłości mogliśmy wreszcie się wprowadzić.

I wtedy zadzwoniła moja matka:

- Tego lata przyjedziemy was odwiedzić – oznajmiła.
- Naprawdę? Tutaj? W Nowym Jorku? Super.
- Na waszej wyspie w Prowansji.

Osiem lat, a ona wciąż nie może zapamiętać, gdzie znajduje się nasz dom. Moja matka, która ma doktorat z literatury porównawczej minus obrona jednej pracy. To nie przypadek.

– W Bretanii, mamó. Ale co was tam sprowadza? Jeden z tych waszych turniejów golfowych?

Rodzice innych ludzi podróżują z biletami lotniczymi w dłoni, ubierają się w zwykłe ubrania wyciągnięte z szaf, sami taszcżą bagaże albo dają napiwek tragarzowi. Moi jeżdżą na oficjalnie

zorganizowane wycieczki w dwadzieścia albo i trzydzieści osób, wszyscy odziani w wiatrówki z jaskrawoczerwonym logo klubu i elastyczne nylonowe spodnie, noszący na ramieniu klubowe czerwone torby, ich gigantyczne walizy i pokrowce na kije golfowe są podobnie urozowane i oblepione naklejkami, a całe to stadko poganiają ogromni byli futboliści w czerwonych blezerach i ze słuchawkami ochroniarzy w uszach. Moi rodzice to amerykańscy golfiści typu alfa. Najwspanialsze Pokolenie powołane do Armii Arniego i podbijające świat.

– Nie – odparła mama. – Po prostu przyjedziemy do was w odwiedziny.

Naprawdę nie zdziwiłbym się, gdyby oznajmili, że jadą grać w golfa do Stonehenge, na Antarktydę albo Guadalcanal. Ale Belle-Île bez żadnych klubów? Coś tu śmierdziało. Wyrazili już przecież jasno swój stosunek do tego miejsca.

Kiedy zadzwoniłem z wiadomością, że kupujemy dom – „Śliczną małą ruinę na wyspie w Zatoce Biskajskiej”, powtarzałem w kółko, jakby przez to ciągle powtarzanie mogło to zabrzmieć lepiej – moja matka spytała: „Gdzie?”, podczas gdy ojciec słuchał w kamiennej ciszy. Miałem nadzieję, że on akurat zrozumie te emocje, bo przez całe moje dzieciństwo kupował działki o nietypowym kształcie, żeby je kiedyś w przyszłości odsprzedać, gdyby Disney potrzebował takiego akurat pasa ziemi (szerokiego na trzy stopy i długiego na pół mili) do wybudowania kolejnego Magicznego Królestwa. (Prawdę powiedziawszy, ten interes nie wypalił nawet wtedy, kiedy pas faktycznie został kupiony w związku z poszerzeniem autostrady). Sądziłem, że tata będzie zachwycony. „Wykapany ojciec! My Wallace’owie zawsze kupujemy jakieś ruiny!”. Liczyłem, rzecz jasna, na jego aprobatę.

Pewnie mogłem wtajemniczyć go wcześniej. Kiedy mu wreszcie powiedziałem, nie patyczkował się:

– Wiem, po co to robisz. Bo teraz, kiedy będziesz na jakimś koktajlu w Greenwich Village i wyczerpią ci się tematy do rozmowy, zawsze będziesz mógł opowiedzieć o swoim małym domku we Francji.

Tu włączyła się mama:

– Ależ, kochanie, to ekscytujące. Pamiętasz, jak wszyscy w country clubie się ożywili? Jimmy Wagg był pod wrażeniem. Wiesz, Donny, Jimmy Wagg jest teraz *Chevalier du Tastevin*. Nosi szaty w kolorze burgunda na corocznej uroczystej kolacji połączonej z degustacją win. Mówi, że Prowansja jest bardzo szykowna. Panie z mojego klubu brydżowego nie mogą się już doczekać, kiedy będą mogły mi pomóc wybrać wystrój...

Wzdrygnąłem się. Wzdrygnąłem się na wielu różnych poziomach, ale żeby wspomnieć tylko o pierwszym z nich, gust mojej mamy i mój są diametralnie różne: powłóczyste szaty i kordonek kontra dzinsy i T-shirty, republikanka z country klubu kontra ultrapostępowiec, przyjęcia z kolacją i tańcami przy dźwiękach *Tie a Yellow Ribbon* kontra gibanie się w rytm *Psycho Killer*, *Qu'est-ce que c'est?* Talking Heads.

– Mamo. Nie będziesz wybierać żadnego, hm, wystroju. W ogóle. – Nie żebyśmy mieli jakkolwiek, ale zawsze.

Puściła moje słowa mimo uszu.

– Gdzie to jest dokładnie w tej Prowansji? Wszyscy mnie pytają.

To ostatnie zdanie stanowiło klucz do zmiany ich nastawienia, od drwin do nagłego oszłobienia. Przypomniałem sobie, jak na Gwiazdkę dostaliśmy cały stos egzemplarzy *Roku w Prowansji*, wspomnień Petera Mayle'a na temat jedzenia, wina i beztrudnego życia za granicą, pozabawionego poczucia winy i ograniczeń budżetowych. Tytuł ten przez cały rok utrzymywał się na listach bestsellerów, dając początek modzie na jasne pastelowe tapety i zasłony jak z obrazów Matisse'a oraz malowane niby to własnoręcznie szafy i stoły. My, którzy męczyliśmy się w Nowym Jorku w ciemnym mieszkanku z jedną sypialnią, smętni właściciele nienadającej się do zamieszkania ruiny w nieszykownej Bretanii, czuliśmy się nieco zgnębieni już po otrzymaniu jednego egzemplarza. Ale kiedy otwieraliśmy kolejny i jeszcze kolejny, rana tylko się zagniała.

Teraz zrozumiałem: odkąd *Rok w Prowansji* odniósł taki sukces, moja mama musiała opowiadać wszystkim naokoło, że „ona” też ma tam dom. Tyle że wypytywana o szczegóły przez podniekcytowane koleżanki z klubu brydżowego i klubu książki ku swemu zażenowaniu nie potrafiła wykrztusić ani słowa.

Pocieszałem się, że ten wyjazd to coś w rodzaju zemsty w postaci farsy, ale to my byliśmy obiektem żartów. Kiedy wreszcie udało nam się uzgodnić z rodzicami terminy wyjazdów, nasze cztery tygodnie na Belle-Île skurczyły się do dwóch. Bo musimy wyjechać po nich w Paryżu na lotnisko i odtransportować ich i ich bagaże do hotelu. Bo potem będą dwa dni zakupów. Bo następnie będziemy zwiedzać zamki nad Loarą. Bo dopiero wtedy pojedziemy wreszcie na wyspę, a po dwóch tygodniach wrócimy do Paryża na dalsze zakupy, po czym odprowadzimy ich z powrotem na lotnisko.

Mimo to zgodziłem się. Miałem poczucie, że to nieuchronny przełom, zbliżenie między pokoleniami. Mindy troszkę tragizowała – to ona będzie musiała wszystko załatwiać i wszystko tłumaczyć – ale starała się być dzielna.

Moi rodzice z kolei okazali się potworni. Błagaliśmy ich, żeby przyjechali prosto na Belle-Île, bo Paryż w sierpniu, jak powszechnie wiadomo, jest upalny i spowity smogiem, a wiele muzeów ma przerwę. W końcu dlatego właśnie paryżanie jeżdżą na Belle-Île. Ale nie, musi być Paryż – Paryż w samym środku nieznośnej fali upałów. Oczywiście potem cały czas narzekali.

Tata odmówił jakichkolwiek prób mówienia po francusku, nawet w restauracjach. Zamiast tego wykorzystywał swój hiszpański, szlifowany na menu w El Torito. Na śniadanie codziennie zamawiał *huevos rancheros*, wiejskie jaja, za każdym razem z tym samym rezultatem: konsternacja, zażenowanie, agresywna odmowa zjedzenia czegokolwiek innego, kłótnia z mamą. Każdego kelnera traktował jak wroga, odszczekując mu w uniwersalnym języku opryskliwego turysty. Jedynie wino mu smakowało. Jeszcze jeden powód, by dziękować Bogu za dobre Bordeaux!

Tata zawsze był najmiłszym z ludzi, łagodnym olbrzymem, kochającym, zainteresowanym, inteligentnym i mądrym, wyrozumiałym dla swoich dzieci i dla ludzkich słabości w ogóle. Czy to tylko Francja tak na niego podziałała, czy coś jeszcze? Minusem Najwspanialszego Pokolenia,

jak się przekonałem, jest niechęć do mówienia o swoich uczuciach. Jedyńm, co mogłem wydo-
być z taty, były te nieszczęsne: „*Huevos rancheros*”.

Przynajmniej mama była radosną wycieczkowiczką – która kobieta nie byłaby w Paryżu –
dopóki nie dotarliśmy na Belle-Île i do Kerbordardoué. „Ale tu zupełnie nie jest tak, jak w *Roku
w Prowansji!*” – jęknęła, kiedy zajechaliśmy na miejsce. (Wiem: jak ona mogła?). Ale, żeby oddać
jej sprawiedliwość, uparła się, żeby spędzić cały dzień w Vannes, gdzie kupiła nam fantastyczne
koldry we wzory prowansalskich papug, narzuty, prześcieradła, poszewki i ręczniki w butik
typu Pierre Deux. Nic nie mogło jej powstrzymać. Działała jak w amoku.

Ale to nie jej wzdrygnięcie i chęć natychmiastowej ucieczki do hotelu, zamiast poczekać, aż
złożę zamówione pocztą łóżka Trois Suisses, najbardziej nas zabolaly. Jestem niezręczny
w najlepszych okolicznościach, a jako śrubokręt miałem jedynie szczyryk. Nie, najbardziej bola-
ło nas to, że nie mogliśmy z Mindy świętować faktu, że wreszcie, po ośmiu latach, widzimy
nasz dom ukończony. Zamiast tego musieliśmy znosić ich rozczarowane miny.

Nasza mała bańka szczęśliwości prysła – przez następny tydzień woziliśmy rodziców po
wyspie (pięć minut jazdy, przystanek, wsiadamy, żeby pstryknąć zdjęcie, wsiadamy z powro-
tem do samochodu, pięć minut jazdy i tak dalej), posiłki jadaliliśmy wyłącznie w restauracjach
(wszystkie były „okropne”, plus codzienna poranna scena z *huevos rancheros*), chodziliśmy po
nielicznych sklepach (żadnego Gucciego, żadnego Louisa Vuittona – ciekawe, czego mama się
spodziewała po À La Providence, komisie, przed którym na chodniku stał wycięty ze sklejki
francuski marynarz?). Ich krytyczne uwagi waliły w nas niczym kwaśny deszcz: te croissants są
za twarde, te naleśniki zbyt gumiate, Jimmy Wagg nie pochwaliby tego taniego Muscadet na
Confrérie des Chevaliers du Tastevin... Co my sobie myśleliśmy? Belle-Île była za mała, zbyt
wiejska, spopolita, nie było tu co robić, nie było muzeów, żadnego szyku.

– Prezydent Mitterrand co roku przylatuje tu helikopterem, żeby zjeść naleśnika – powie-
działem potulnie. Spojrzenie, jakim obrzuciła mnie matka w odpowiedzi, mówiło wyraźnie, że
to tylko dowodzi jej racji.

Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny w Hôtel du Phare, gdzie obsługa jest tak wolna, że na-
biera egzystencjalnego wymiaru i można to przetrwać tylko wtedy, jeśli zdobędzie się wysoko
ceniony stolik na tarasie. Nam się to udało – widok na słiczny mały port w Sauzon był zupełnie
jak z pocztówki – gdy nagle tata wdał się w podsumowywanie naszej przygody głosem ocieka-
jącym sarkazmem. Mama siedziała schowana za okularami słonecznymi i nie próbowała nawet
odpierać czy łagodzić ani jednej z jego kąśliwych uwag.

Mindy zaczęła się trząść. Próbowałem zmienić temat: Rory siedział obok, z chmurnym czo-
łem czytając książeczkę.

– Tato, tato... – powiedziałem, a gdy wciąż nie przestawał, wypaliłem: – Mam wrażenie, że
nie jesteś tu sobą.

– Jak śmiesz odzywać się do ojca w ten sposób! – warknęła mama.

„O rany, znowu się zaczyna” – pomyślałem. W tym momencie jednak Rory podniósł wzrok.

– Babciu – odezwał się cichym, spokojnym głosem. – Ty i dziadek nie traktujecie mamy i taty zbyt miło. Zaplanowali ten wyjazd, wszędzie was wożą i mówią za was po francusku, zamawiają w restauracji takie dania, jak *lotte* i *sola*, które są dla was bardzo dobre i bardzo świeże, pokazali wam Grotte de L'Apothicaierie i Trou du Vazen i miejsca, gdzie były stanowiska niemieckich dział – mówiąc to, stłumił dreszczyk emocji – a wy cały czas mówicie im tylko przykre rzeczy.

W Hôtel du Phare obsługa jest powolna – ciągnął – ale możemy jeść *langoustines* i ostrygi i czytać nasze książki, a Huna może czytać swoją „Herald Tribune”, po którą tata każdego ranka specjalnie jeździ do Le Palais. Czy wiecie, że kiedy wracacie do hotelu, rodzice cały czas mówią o tym, co zrobić, żeby wam sprawić przyjemność? Ale was to w ogóle nie obchodzi.

Spojrzał na dziadka, któremu sam nadał przezwisko.

– Huna, powinieneś zachowywać się lepiej.

Oto korzyści postępowej edukacji przedszkolnej.

SOLA SOLO

Pogodny i skupiony Rory od lat pięciu wżwyż był wymarzoną dzieckiem piszących rodziców – przynajmniej przez kilka pierwszych godzin wolnego dnia, podczas weekendu czy wakacji. Ale w pewnym momencie, zazwyczaj w porze lunchu, podnosił wzrok znad zabawek czy książeczki i niecierpliwie rozglądał się za jakimś towarzystwem. Na Belle-Île zaraz potem pojawiała się rozczarowana mina. Przez resztę dnia, bez względu na to, co robiliśmy poza tym, naszym głównym celem było znalezienie kogoś, kto zapewni mu zajęcie, bo od tego zależały nasze wakacje – i nasze kariery zawodowe.

A zapewnienie Rory'emu towarzyszy zabaw stanowiło nie lada wyzwanie. To, co łatwe w domu, staje się trudne czy wręcz niemożliwe na wyspie, gdzie mówi się w obcym języku, a typowym niestrzeżonym placem zabaw jest samotna zatoczka albo ogromna plaża. Mimo to musieliśmy spróbować. To oczywiste, że ważne jest, by dziecko mogło się bawić nie tylko z rodzicami, którzy w przeciwnym razie byliby zmuszeni bez końca wcielać się w rolę sępów czy odgrywać kolejne scenki z Monty Pythona z użyciem figurek Lego.

Przez część pierwszych dwóch wakacji Rory miał Lea, syna naszych sobowtórów, Bruna i Valérie, ale po tym drugim roku przestali przyjeżdżać (choć nadal widywaliśmy się z nimi w Paryżu). Wtedy jednak, mam wrażenie, było znacznie zimniej niż teraz, na wyspie panowały surowsze warunki, tak że umawianie się na wspólną zabawę sprawiało dodatkowe problemy.

Pamiętam trzy czy cztery lata napawających nadzieją spotkań z innymi emigrantami, głównie Brytyjczykami, w innych na wespół ukończonych domach w okolicznych wioskach. Miały stały schemat: filiżanki kakao dla dzieci i herbata z ukradkowymi pociągnięciami whisky dla rodziców, sztywne rozmowy i ciężkie westchnienia nad kosztem dokończenia remontu „w przyszłym roku”. Cała impreza kończyła się brutalnym atakiem na czyjś ulubiony pluszak albo figurkę z *Gwiazdnych wojen*.

Pod wieloma względami polowanie na kolegów Rory'ego przypominało poszukiwania czegoś, co on by zjadł. W Nowym Jorku Rory był niewybredny i flegmatyczny. Na początku dosta-

wał swój słoiczek Gerbera oraz „moko” (mleko) i nie było z nim żadnego problemu. Ale podczas jego pierwszej wizyty we Francji, kiedy miał osiemnaście miesięcy, coraz bardziej dramatycznym pytaniem każdego dnia stało się: „*Avez-vous*, czy mają państwo jedzenie dla dzieci?”. W pierwszych latach Madame w Les Quatre Saisons reagowała spłoszonym gestem w kierunku czterech ścian zastawionych grzybami i szparagami w puszkach, *tête du veau* i *boudin noir* (rodzajem kleistej kaszanki), serami i winami.

Bretończycy na myśl o tym, że dzieci mogłyby wymagać odmiennej kuchni, wyrażają uprzejme niedowierzenie. Pytaliśmy o mus jabłkowy. (Sprawdźcie w Normandii, trzy alejki i sto mil na północ). Przez parę lat posiłki wykańczały nas nerwowo. Kiedy Rory skończył cztery i pół roku, pojawił się nowy kulinarny „mus”: „*Avez-vous* masło orzechowe?” Dowiedzieliśmy się, że po francusku nazywa się to *beurre de cacahuètes* i nikt tego nie sprowadza.

Próbowaliśmy więc rozgniatać orzeszki ziemne w zaimprovizowanym moździerzu. Próbowaliśmy zastąpić jego przysmak Nutellą. (Jak on mógł odrzucić masło z orzeszków laskowych z dodatkiem czekolady, tego nie mogę pojąć, ale tak właśnie zrobił). Tym, co nas ocaliło, nie był mus jabłkowy, tylko cydr. Pewnego popołudnia, wyruszając na wycieczkę samochodową do jednej z dzikszych zatoczek Belle-Île, z przemęczenia zapomnieliśmy zapakować pojemniczek z sokiem Rory’ego. Nasz syn siedział w foteliku i marudził, aż Mindy wypatrzyła wiejski sklepik, wyskoczyła z samochodu i wróciła ze znajomą butelką z ciemnego szkła. „Jest *doux*, bezalkoholowy” – powiedziała. Rory przez resztę dnia był w wyśmienitym humorze, z ochotą zapadł w popołudniową drzemkę i zjadł piknikowy lunch bez zwykłych wyrzekań.

Przypisując tę nagłą przemianę naszego syna jakiejś mistycznej więzi z Bretanią, leżeliśmy na piasku, już sobie wyobrażając bardziej wakacyjny rytm. Wreszcie będziemy mogli chociaż od czasu do czasu spędzić spokojne popołudnie. Rory pomrukiwał coś pogodnie, co parę chwil gasząc pragnienie łyčkiem „mususia”, jak nazywał swój nowy napój. Zupełnie jak grzeczny bretoński chłopczyk.

Tamtego wieczoru, kiedy wpadli do nas Franck i Ines, zauważyli szklaneczkę z musującym cydrem, w której popijał Rory, i zapytali nas, czy to taki amerykański zwyczaj, żeby upijać dzieci. *Cidre doux* wcale nie oznaczało, że to „łagodny”, czyli bezalkoholowy trunek – znaczyło „słodki” w przeciwieństwie do „wytrawny”. Aha. Te (nieoznakowane) butelki, które dawaliśmy Rory’emu, zawierały od półtora do czterech i pół procent alkoholu. Ojej.

Mimo to uważam, że właśnie od tamtego brzemiennego w skutki pierwszego łyka rozpoczęła się smakowa edukacja Rory’ego. Z jakiegoś powodu, może dlatego, że był trochę oszołomiony, przestał narzekać na brak masła orzechowego (ani na nasze żalodne alternatywy). Prawdą jest także, że rok później zabraliśmy go na kolację, która miała jeden cel: dostarczyć mu talerz jadalnych frytek. Może się wydawać, że nie było to trudne zadanie we Francji, ale Bretania jest

w końcu krainą placków i naleśników, a frytki z *crêperie*, naleśnikarni, są trochę, no, naleśnikowate.

Dotarliśmy do Hôtel du Phare i nastawiliśmy się na zwykły trzygodzinny maraton obiadowy. Lepiej, żeby te frytki były naprawdę dobre. Denerwowaliśmy się. Czy francuskie frytki spełnią jego wymagania? Czy też wbije nam nóż w serce, oznajmiając: „Chcę do McDonalda”?

W ostatniej sekundzie doznałem olśnienia i zanim podałem frytkę Rory’emu, poczęstowałem nią natrętną mewę, która stała niczym ptasi kierownik sali przy odległym końcu naszego stolika. Rory był zachwycony ptakiem i jedzeniem.

Siedzieliśmy na tarasie i mieliśmy widok na maleńki port w Sauzon. Mewa przysunęła się jeszcze bliżej, drepzcząc boczkiem po balustradzie, gdy Rory spróbował pierwszy kęs złocistobrązowej ryby, która leżała jak długa na jego talerzu. Mały rzucił miewie nieufne spojrzenie; to była jego kolacja.

– Jak to się nazywa? – spytał, gryząc ze zmarszczonym w najwyższym skupieniu czołem.

– Sola – odpowiedzieliśmy i wstrzymaliśmy oddech, czekając na tyradę.

– Jest super. Od tej pory – jego nóż i widelec pilowały zawzięcie – chcę tylko solę. Mnóstwo soli.

Mindy i ja oparliśmy się na krzesłach i unieśliśmy kieliszki Muscadet.

– *Le* przełom – westchnęła Mindy.

Zapominając, że trzeba uważać, czego człowiek sobie życzy, kiwnąłem głową.

– Co będzie, jeśli on nam wyrośnie na małego smakosza? To by dopiero było coś!

Nasze błogie otumanienie przerwał donośny głos Rory’ego:

– Tato, nie zjadaj całej swojej soli. Będę chciał więcej.

– Ja nie zamówiłem soli. Zamówiłem *lotte*.

– Co? Zwariowałaś? Musisz zawsze zamawiać solę!

Westchnęliśmy. Czułem, że to się źle skończy.

W następnym roku Rory miał w szkole zajęcia z biologii morza, które nie tylko zainteresowały go światem ryb, ale także przekonały, że jego obowiązkiem jako naczelnego drapieżnika jest skosztowanie całego morskiego łańcucha pokarmowego. W ciągu pierwszych tygodni po powrocie na Belle-Île apetyt naszego syna na owoce morza został zaspokojony dzięki wyprawom łodzią sąsiada po makrele, okonie, *vieilles* (graniki), *aiguilles* i *lieu*, jak również wypadom podczas odpływu po małże i te syrenowate *pousse-pieds*, których białe dzioby, wystające z pomarszczonych czarnych szyi, chronią soczysty kawałek mięsa. To właśnie kaczenice dały mi zrozumienia, że pasja Rory’ego przeradza się w obsesję. Widok mego syna wdrapującego się na skałę z nożem do masła w garści i z żądzą zbierania *pousse-pieds* – kaczenic, na litość boską! – na zawsze zostanie mi w pamięci.

Morskie polowania Rory’ego zwróciły uwagę znajomego Gwened, wysportowanego ojca bardzo porządnej *famille en bonne forme*, rodziny w dobrej formie, który wynajmował od niej dom przez parę tygodni. Na prośbę Rory’ego wystrugałem mu dzidę, żeby mógł polować na ryby, które wypatrzył w małym fiordzie. Ów ojciec, Hector, podszedł do nas po którejś nieuda-

nej wyprawie i bez słowa wręczył mojemu synowi – lat dziewięć – kuszę. „Myślę, że z tym powinno być lepiej” – oznajmił Hector.

Oczywiście Mindy i inni rodzice (no dobra, w tym ja) trochę się zdenerwowali tym prezentem. Zastanawialiśmy się, czy go nie zwrócić. Ale to by było takie... takie... mięczakowate. Co by pomyślał prawdziwy mężczyzna z Belle-Île, taki Denis LeReveur albo Monsieur Borlagadec?

Żeby uspokoić nasze stargane nerwy, Hector pozwolił nam wypróbować kuszę i udzielił wskazówek dotyczących jej bezpiecznego używania. Gdy Rory pakował torbę przed ponowną wyprawą do Port Scheul, Hector uśmiechnął się do mnie. „Przekona się, jak trudno jest strzelać pod wodą – powiedział idealnym tureńskim francuskim, tak wyraźnym, że brzmiał jak angielski. – Tropiczyć ryby, przewidzieć tor strzału i w ogóle. Ale ma taką pasję, że zasługuje na prawdziwy sprzęt”.

Pojechaliśmy z powrotem do Port Scheul. Nie skończyłem jeszcze rozkładać ręczników, a Rory już wszedł do wody, mierząc z kuszy prosto przed siebie. Kilka plażujących w pobliżu matek z małymi dziećmi odwróciło się, mierząc go niechętnym spojrzeniem. „Uważaj na dzieci!” – krzyknąłem za nim. Parł dalej w głąb morza, niczym jakaś wodna istota, pół chłopiec, pół ryba, w masce, z fajką do nurkowania i w płetwach; kuszę przyciskał do piersi, z grotem wycelowanym w powietrze, tak jak został pouczony.

Kobiety podbiegły do swoich pociech – które znajdowały się na suchym lądzie, trzeba dodać – i zabrały je znad brzegu morza, rzucając mi oskarżycielskie spojrzenia. Rory zanurzył się pod wodę. Zaczął metodycznie przeczesywać dno oceanu, co jakieś dwadzieścia sekund z fajki tryskała woda. Przesunął się trochę dalej, gdzie dno opadało i z piaszczystego stawało się skaliste.

Byłem tak zaabsorbowany patrzeniem na syna, martwieniem się, czy się aby nie postrzeli, że w pierwszej chwili przegapiłem pojawienie się na opadającej ku plaży piaszczystej drodze białego konia z żółtą grzywą, na którym jechał na oklep długowłosa mężczyzna o wyglądzie Cygana, ubrany wyłącznie – przysięgam – w kombinezon Speedo.

Wjechał na koniu prosto do wody. Zacząłem się podnosić, chciałem coś krzyknąć – ale co? Brakowało mi francuskich słów, poza tym to byłoby głupie, bo przecież Rory nie zamierzał chyba strzelać do konia. A w każdym razie nie do takiego z Cyganem w kombinezonie Speedo jadącym na nim na oklep.

Rory znajdował się zresztą jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu. Może koń wkrótce odejdzie. Ale nie, Cygan jechał dalej, aż woda sięgnęła mu do pół uda, po czym zsunął się z konia i zaczął ochlapywać oraz obmywać zwierzęciu grzbiet. Długie czarne włosy opadały mu na plecy niczym jego własna grzywa. Ta scena wydawała się magiczna, a jednocześnie przyprawiała o gęsią skórkę, podobnie jak spotkanie z trollem.

Rory zawracał teraz, z twarzą w wodzie, z tryskającą wodą fajką, poruszając z wolna płetwami. Wszyscy, którzy obserwowali tę scenę z plaży, patrzyli jak zauroczeni: Cygan, biały koń i nieświadomy ich obecności, zbliżający się coraz bardziej wodny chłopiec z kuszą.

Nagle wierzchowiec zadarł ogon i z pluskiem upuścił do wody pół tuzina zielonych jabłuszek. Reakcja na plaży była międzynarodowa i słyszalna: „Eeeeeuuuuuu...”. Wyczułem zmianę nastą-

wienia. Ten Cygan z koniem był odrażający.

Beztrąsko przeszukując piaszczyste dno, Rory skierował się ku drugiej stronie fiordu. Przystał poruszać nogami. Uniósł się na powierzchnię, nie wydychając wody z fajki. Chwilę potem nastąpił błysk, plusk: tułów Rory'ego wygiął się gwałtownie, a następnie mój syn rzucił się do przodu, kotłując wodę nogami. Puściłem się biegiem w jego kierunku.

Chwilę później stał, trzymając w dłoniach lśniącego zakrwawionego cefala.

– Tato!

Matki na plaży wpatrywały się teraz w niego z podziwem. Ale Cygan w kombinezonie Spedo nadal polewał tylko wodą koński grzbiet.

Pewnego dnia postanowiliśmy zaszaleć i wybraliśmy się do uznanego na wyspie kulinarnego przyczółka, przytulnego Contre-Quai. Rory, który polował radośnie i pożerał morskie ślimaki zwane *bigorneaux*, poinformował nas, że zastanawiał się nad tym, jak wzbogacić nasze obiadowe doznania. Odtąd tata nie będzie już zamawiał zestawu dań za dwieście piętnaście franków, jak w przeszłości, zostawiając Rory'emu dziecinną porcję soli.

Kiedy zjawił się kelner, słuchaliśmy z narastającą konsternacją, jak nasz syn prosi o świeże sardynki z gotowanymi na parze ziemniakami, podsmażonym czosnkiem i fenkułami, a następnie o dwa pieczone na ruszcie filety z soli z masłem cytrynowym. Chciał także spróbować duszonego okonia Mindy i moją smagłą z rusztu. Wybrał również desery dla nas wszystkich i skosztował odrobinę każdego.

Co mogliśmy zrobić? Tak bardzo się starał, mówił po francusku, podawał serwetki i przekąski na naszych przyjęciach, cierpliwie znosił poklepywanie po głowie i powtarzanie, jaki to z niego jest *un petit joli homme*, słiczny mały mężczyzna. Pozwoliliśmy mu zamówić, co chciał.

Następnego lata w nadziei, że odwrócę uwagę Rory'ego od *le menu du jour*, jadłospisu dnia, przywoziłem do Kerbordardoué zestaw do gry w wiffle.

Mówi się, że trudno przenieść baseball na obcy grunt, nie licząc Japonii i obu Ameryk. Z całą pewnością dotyczyło się to również naszego kija do wiffle. Trzeba było nieść go w ręce, pomimo sprzeciwów Mindy. (W dniu naszego wyjazdu schowała kij w szafie, gdzie znalazłem go przypadkiem, szukając torby z amerykańskimi przynętami na ryby, które chciałem wypróbować na Côte Sauvage). Francuskie siły bezpieczeństwa na lotniskowym terminalu nie mrugnęły okiem na widok jaskrawych, wielkookich, wyposażonych w przerażające haczyki przynęt. Ale plastikową rurę obejrzeni ze wszystkich stron.

Kiedy jechaliśmy na wybrzeże Bretanii TGV – co stanowi skrót od *Train à Grande Vitesse*, czyli pociąg szybkojezdny – kij był oglądany, komentowany i analizowany przez naszych współpasażerów, młodych i starych. W końcu schowałem go na półce na bagaże, żebyśmy mogli

choć trochę się zdrzemnąć. Do czasu kiedy wsiedliśmy na prom, żeby odbyć ostatni odcinek podróży, kij zyskał status totemu, jakby wiedział, że będzie przebywać w towarzystwie monumentalnych druidycznych menhirów i dolmenów.

Gra zaczęła się wkrótce po naszym przyjeździe. Tego lata w wiosce pełno było dzieci z wynajętych domów. Zerkały na Rory'ego i vice versa, wymieniając nieśmiało *bonjours* i zapraszając się na migi na wycieczki rowerowe albo polowania na jaszczurki. Tak jak Rory spędzały w Kerbordardoué całe wakacje i musiały same zorganizować sobie dzień.

Pewnego leniwego popołudnia Rory wziął kij oraz piłkę i zaczął ćwiczyć mocne płaskie uderzenia na drodze. Wieści rozeszły się szybko: ten amerykański chłopiec robi coś niezwykłego. Z początku dzieci zadawały się uprzejmym gonieniem za piłką i podawaniem jej Rory'emu w stulonych dłoniach, jakby to było jajko zniesione przez jedną z kur Madame Morgane. Potem któreś z nich ośmieliło się rzucić nią ostrożnie od dołu na niewielką odległość. Następnie postanowiliśmy z Rorym urządzić pokaz. Mniej więcej w jego połowie dzieci ustawiły się w kolejce, żeby trenować wybijanie piłki. Od tej chwili rozpoczął się sezon baseballowy.

Entuzjazm, z jakim wszyscy podeszli do tego sportu, zaskoczył mnie. Mieszkańcy Kerbordardoué patrzyli na nas z okien, z ogródków warzywnych, podczas wynoszenia śmieci do pojemnika na skraju wioski. Suzanne przerywała czarodziejskie rozmnażanie kwiatów i przychodziła z robótką popatrzeć, jak gramy. Nawet środek ciężkości Kerbordardoué, Madame Morgane, zmieniła trasę tradycyjnego wieczornego spaceru, żeby rzucić okiem na ostatnie rozgrywki przed snem.

Rory nigdy nie miał dość, co zdumiewało mnie w równej mierze, ponieważ wiosną po raz kolejny odmówił wstąpienia do Małej Ligi. Żeby wzbudzić w nim choć trochę entuzjazmu, poszliśmy na mecz, w którym grał jego kolega z klasy. Ojcowie i matki wykrzykiwali polecenia przez zaciśnięte zęby i zapamiętali rozmawiali o sprawach zawodowych między sobą albo przez telefony komórkowe. Dowiedziałem się, że „nasza drużyna” została skompletowana dzięki tajnym spekulacjom rodziców i tak ustawiona, żeby wygrać – co też zrobiła. Naszemu synowi takie podejście wcale się nie podobało.

Baseball w Kerbordardoué natomiast zapewniał Rory'emu nieskończoną różnorodność punktów widzenia, z jakich mógł docenić nasze narodowe hobby. Dla nas obu baseball okazał się świetnym sposobem na doskonalenie francuskiego, wymagał bowiem inwencji językowej i raz po raz dawał okazję do używania wyrażen potocznych i slangowych. Na przykład usiłując wytłumaczyć, na czym polega wyrzucenie piłki przez miotacza (*le jet*), demonstrowałem *la fourchette*, widelec i *le tire-bouchon*, korkociąg, wykorzystując słowo, które określało również trzęsący się pociąg osobowy z Auray do Quiberon. Na określenie szybkiej piłki naturalnym wyborem była *La Boule à Grande Vitesse* albo BGV, nawiązująca do szybkiego francuskiego pociągu TGV.

Oczywiście dzieci nie zważały na mnie i na moje błyskotliwe propozycje. To był kolejny urok baseballa w Kerbordardoué – należał do graczy, nie do organizatorów. Ci chłopcy i dziewczynki na wakacjach nie potrzebowali kontraktów, żeby zagrać, nie było też właścicieli, którzy zamykali boisko. W dzień i w nocy piłka i kij leżały pod kamiennym murkiem, który otaczał ogród pełen ziół i jednorocznych roślin. Jeśli ktoś miał ochotę pograć, po prostu grał.

Z początku usiłowaliśmy z Rorym wyjaśnić zasady, ale potem daliśmy sobie spokój i patrzyliśmy, jak wykształca się system uwzględniający specyfikę stadionu Kerbordardoué, francuskie pory posiłków oraz indywidualny styl każdego z graczy.

Nasz wioskowy placyk miał nieregularny kształt i każde uderzenie oznaczało przygodę śledzenia podskakującej piłki. Często, gdy patrzyłem, jak dzieci z zadartymi głowami obserwują piłkę odbijającą się rykoszetem od dachów, przypominał mi się film *Czerwony balonik*, który po raz pierwszy oglądałem w wieku Rory'ego. Naszym lewym polem była droga gruntowa prowadząca do ruin w dole. Środkowe pole kończyło się znienacka przy „naszej” kamiennej studni w kształcie ula. Prawe rozciągało się dalej, ale przedzierał je niski kamienny murek, pełniący funkcję drugiej bazy i trybun. Nasz dom wyznaczał lewą linię karną, a trzecią bazę stanowił worek z ziemią dla roślin, który przy kopnięciu wydawał przyjemny głuchy łoskot (wywołując ryk Mindy z głębi domu: „*Arrêtez! Ne touchez pas le sac!*”, Stop, nie dotykać worka!). Ostatnią bazę stanowiła kępa trawy pomiędzy wielkogłowymi kwiatami hortensji.

Jeszcze jedna przyczyna popularności baseballa stała się dla mnie jasna, kiedy zapytałem sześćioletnią Juliet, co jadła na obiad. „Zupę ze świeżych pomidorów, świeże sardynki z grilla, kotlety wieprzowe, buraki, sałatę, ser, ciasto z owocami, espresso” – wyrecytowała energicznie. Dorośli po takich posiłkach muszą się zdrzemnąć, dzieci nie. Baseball zapewniał im zajęcie w czasie, gdy czekały, aż rodzice się obudzą.

To wszystko, uświadomiłem sobie, były stare zalety tej gry. Bez syreniej kakofonii Nintendo czy hipnotycznej, zasysającej próżni telewizji kablowej możliwości kija i piłki stają się nieograniczone. Na podstawie bezpośrednich obserwacji powiedziałbym, że prawdziwy baseball rozciąga się, by wypełnić resztę dnia. Jedynie telewizyjna wersja tej gry martwi się, że „przekroczy” wyznaczony czas. My mieliśmy go mnóstwo.

Mniej więcej w tym czasie dowiedzieliśmy się, że do Kerbordardoué wprowadziła się nowa rodzina. W ubiegłym roku kupili działkę na skraju *vallon* i wybudowali dom. Krążyły pogłoski, że było tam troje dzieci, dwoje w wieku zbliżonym do Rory'ego. Słyszac to, nasz syn spojrzal na mnie i obaj kiwnęliśmy z namysłem głowami: kolejni gracze.

Kiedy wpadliśmy na nich niby to przypadkiem na głównej jeżynowej drodze, przeżyliśmy chwilę zaskoczenia, przedstawiając się sobie. Tak, to było to młode małżeństwo z Paryża. Ta sama rodzina, która kiedyś napisała do nas za namową Gwened i zaproponowała, że kupi nasz dom. Para psychiatrów, którymi Gwened chciała nas zastąpić.

I tak właśnie zaprzyjaźniliśmy się z Céleste i Henrym. To była naturalna więź: rozmawiając i spacerując razem, odkryliśmy, że są oni dziećmi lat sześćdziesiątych, tak jak my. Wkrótce też zobaczyliśmy w nich współkonspiratorów. Ich starsi synowie, Marc i Michel, byli bystrzy, a ich zabawno-sarkastyczne paryskie komentarze sprawdziły, że Rory, chłopak z nowojorskiej ulicy, od razu poczuł się przy nich jak w domu. Najmłodszy, Auguste, wskutek jakiegoś szczególnego geniuszu już rzucił angielskimi zdaniem z akcentem godnym BBC i natychmiast owinął nas sobie wokół *petit doigt*, małego paluszka. Z nimi wioskowe życie często stawało się jakąś śmiertelnie poważną komedią obyczajową.

Jeśli o nas chodzi, cała reszta była tylko dodatkiem, ale jakże wybornym. Ale to bynajmniej nie szkodziło, że ich rodzina miała przyjaciół i że – jak dobrze się składało – wszyscy ci uroczy ludzie mieli dzieci. A dzieci posiadały rowery, podobnie jak Rory. Wkrótce szaleli razem, pędząc przez wrzosowiska, pedałując jak wariaci od wioski do wioski, dla samej radości przejażdżki. Nasza konstelacja pięciu osad przypominała Układ Słoneczny, wioski to były planety, a dzieci śmiały wokół nich niczym komety.

Wśród przyjaciół Céleste i Henry'ego było wręcz szokująco dużo psychiatrów na wakacjach, że nie wspomnę o ich małżonkach, wśród których byli z kolei kustosze, spece od reklamy, prawnicy, a nawet jeden dziennikarz. Wszyscy zdawali się właśnie kupować albo budować domy w sąsiednich wioskach. My, którzy nigdy nie poddawaliśmy się psychoanalizie, siłą rzeczy czuliśmy się trochę nieswojo. Przeczuliśmy także punkt zwrotny dla Côte Sauvage – czy reszta zrykownego Paryża została daleko w tyle? Szukając swoich psychoanalityków na plaży?

Wyspa się zmieniała. Nikt nie wiedział, w jakim kierunku to wszystko zmierza. Ale na razie przynajmniej mieliśmy mnóstwo kolegów dla Rory'ego. A jeśli czasami mogło się wydawać, że ich ulubionym (jeśli nie jedynym) miejscem spotkań stało się Kerbordardoué, a ściślej rzecz biorąc placik przed naszym domem, tuż pod oknem Mindy, która usiłowała pisać – to tylko dlatego, że tak właśnie było, no i oczywiście to wszystko przez te moje cholerne amerykańskie pomysły na dobrą zabawę.

.

Baseball à la Kerbordardoué otworzył nam oczy na drobne przyjemności. Patrzenie, jak wystrzelona piłka ląduje na krytym płytkami łupkowymi dachu, zjeżdża rynną w dół, odbija się od studni i ląduje wśród obfitego kwiecia wiciokrzewu, było smakowaniem tego, co poeci zen skupieni wokół Gwened nazwaliby byciem w terażniejszości, tu i teraz. Takie niespodzianki przyciągały kwartet nieśmiałych dziewczynek, które wyłoniły się pewnego dnia zza nieprzeniknionego żywopłotu koło swojego domu i usiadły grzecznie na kamiennym murku, chichocząc i wybierając ulubieńców spośród chłopców. Chociaż znajdowaliśmy się na wyspie, którą malował Monet, powiedziałbym, że była to raczej scena z Normana Rockwella.

Idylla trwała aż do początku września, kiedy to nadszedł czas pożegnań z naszymi kolegami i koleżankami z drużyny, którzy musieli wracać, bo zbliżała się *la rentrée*, czyli początek roku

szkolnego. Wyjeżdżali jedno po drugim. My zamierzaliśmy zostać trochę dłużej, licząc na jeszcze jeden słoneczny tydzień. Przynajmniej, po tylu rozrywkach, Rory nie przejmował się specjalnie tym, że zostanie sam.

Aż nadszedł jeden z naszych ostatnich poranków na wyspie. Wschodzące słońce przebijało się powoli przez przesyconą solą mgłę. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak szarość przechodzi w błękit, ponure ściany stają się białe, wielopłatkowe hortensje przybierają wyrazistsze barwy, niczym ręcznie podkolorowywane czarno-białe zdjęcie. Nawet barwa ziemi na placyku, ostatnio naszym boisku, stała się bardziej nasycona, lekko czerwonoawopomarańczowa.

Suzanne wyszła na drogę, z dłońmi splecionymi na plecach, doglądając hortensji, fuksji, placu. Spojrzała na mnie z ukosa i zapytała z bretońską bezceremonialnością: „*C'est tranquille sans les enfants, oui?*”, Jak spokojnie bez dzieci, prawda?

Przez chwilę mógłbym niemal przysiąc, że wciąż ich widzę. Szcerbaty Pierre, leworęczny miotacz ognia z Perpignan. Synowie naszych psychiatrów Marc i Michel, jeden duży, drugi chudy, którzy nie wzdrygali się przed szybką piłką i byli mistrzami uderzeń umożliwiających obieganie wszystkich baz (*home runs*, czyli *coups de maison*). Laure z długim jasnym warkoczem, robiąca gwiazdy na polu wewnętrznym i śmigająca jak strzała od bazy do bazy. Zaraz jednak, gdy słowa Suzanne naprawdę do mnie dotarły, ogarnęły mnie nagle straszliwe wątpliwości: byłem zbyt tępy, by dostrzec, że baseball stał się typowo amerykańską niedogodnością, zakłócającą spokój wioski.

Suzanne wbiła w ziemię czubek buta. Umieściła jedną zwiniętą w pięść nad drugą, przekrzywiła głowę, uniosła ramiona. Zamarła w bezruchu. Zamachnęła się wymagowanym kiem. Lypnęła, co ja na to, i odbiła na niby piłkę, wybuchając śmiechem.

Baseball zadomowił się w Kerbordardoué.

LA CHIENNE

Szczęście niemal zawsze najpełniej docenia się po fakcie – wspominać następnego ranka albo podczas drzemki w samolocie w drodze powrotnej do domu, albo, jeszcze lepiej, po wielu latach, kiedy stoicie we dwoje obok siebie w maleńkiej kuchence ciasnego nowojorskiego mieszkanca, jedno z was odmierza kawę, drugie kroci bagietkę i wspomnienia z Belle-Île budzą wasze zmysły.

Wyjątek od tej reguły stanowi obserwowanie czyjegoś szczęścia i to w tajemnicy, z ukrycia. Jak wtedy, kiedy leżeliśmy w łóżku przy zgaszonym świetle i Mindy usłyszała jakiś dźwięk. Wstrzymaliśmy oddech, nasłuchując. Mindy w ciemności sięgnęła po moją dłoń. Bo w pokoju obok nasz syn i jego kuzyn, leżąc w łóżkach, śpiewali piosenki Sly'a Stone'a. Nie jedną czy dwie. Całą kolekcję *Największe przeboje*. „Na-na-na-na-na-na-na-na-na...”.

Najlepszy koncert wszech czasów. Ale – pionienki Sly'a Stone'a! Pioniera funku z lat sześćdziesiątych i najlepszej muzyki do słuchania na cały regulator w samochodzie z opuszczonym dachem za moich licealnych czasów? Jak to się stało?

No, przypadkowa kasetka trafiła do redakcji w ramach jakiejś promocji. Wrzuciłem ją do torby przeznaczonej do zabrania do Francji, która stoi otwarta przez cały rok, aż przychodzi pora wyjazdu. Zapomniałem o niej i wyjąłem dopiero, kiedy mieliśmy po raz pierwszy jechać wyboistą drogą do Port Scheul na poranną wyprawę na ryby z kuszą. Z chwilą, gdy wsunąłem ją do odtwarzacza, ta kasetka stała się naszą ścieżką dźwiękową. Wkrótce chłopcy, w samych kąpielówkach, wychylali się z okien i pokrzykiwali do krów i kur umykających w popłochu w głąb pylistych uliczek w kolejnych wioskach: „Boom-shaka-laka-boom!”.

Przez całe lata tym naszym wyprawom towarzyszyła ta sama kasetka na tej samej wyboistej drodze, chłopcy stawali się coraz więksi, ale nigdy zbyt duzi, żeby nie zaśpiewać: „Koocham zwykłych ludzi!”.

Myślę, że niejedną raz na tej wyboistej drodze wszyscy mieliśmy poczucie, że przekroczyliśmy jakąś tajemną bramę i wkroczyliśmy w złoty wiek, ale zdawaliśmy sobie również sprawę

z tego, że nie należy o tym „gadać na głos”, jak powiedział kiedyś Ernest Hemingway. Okrzyk: „Czyż to nie cudowne!” to jedna z oznak rozpoczynającego się schyłku.

Więc udawaliśmy, że jeszcze tam nie dotarliśmy. Gdziekolwiek jednak byliśmy, z pewnością czuliśmy się tam świetnie.

Kiedy przyjechaliśmy w drugim roku po ukończeniu remontu, cała wioska mówiła o naszej wiedzy. Sterenn zawsze stanowiła malowniczą zagadkę – kobieta w pewnym wieku, o twarzy wymalowanej i uróżowanej jak aktorka kabuki, spowita w pastelowe szale. Zwykle widywaliśmy ją o zmierzchu, jak unosi się nad ziemią i łopocze niczym złocisty bażant obrożny, w pobliżu liczących trzy i pół tysiąca lat kamieni, pokrewnych tym ze Stonehenge i Carnac, stojących na drodze łączącej Sauzon i Le Palais. Tego lata jednak wbrew zwyczajom, zdrowemu rozsądkowi, a nawet wbrew rzeczywistości, ukazywała się znienacka to tu, to tam, na najodleglejszych polnych drogach, bosa i wirująca. Wszyscy zastanawiali się, czy Sterenn w końcu nie zwariowała.

– *La femme de Marlon Brando* – potwierdził Le Vicomte, kiedy, nie dowierzając plotkom, spytaliśmy, czy wie coś o niej. Kochanka Marlona Brando! Musieliśmy uwierzyć Le Vicowi na słowo. On widział wszystko – wojnę, miłość, sławę – i nigdy nie kłamał. A jednak nie dawało nam to spokoju: Marlon Brando – tutaj? Kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy Kerbordardoué, wioska wydała nam się nie tylko surowa i błotnista, ale także zmęczona i zapomniana.

Kiedyś, wczesnym rankiem, wybraliśmy się na targ do Le Palais. Nocna mgła wciąż trzymała się ziemi. Z jej kłębow nagle wyłoniła się Sterenn, unosząc w górę dłoń i tarasując jednopasmową drogę. Podeszła do drzwiczek od strony pasażera i otworzyła je. „Witajcie, moi amerykańscy sąsiedzi – przemówiła doskonałą angielszczyzną jak z BBC. – Czy zechcielibyście podwieźć mnie do miasta?”

Zanim wysiadła, zdążyliśmy wyrobić sobie całkiem nowe zdanie na jej temat. Przyjęliśmy także zaproszenie na kolację. Wciśnięta pomiędzy inny dom a kamienną oborę, jej chata miała niski strop i składała się właściwie z dwóch pobielonych izb. Podobnie jak my, Sterenn nie miała ogrodu. Natomiast w przeciwieństwie do nas wyłożyła drogę publiczną mozaiką z muszli i kolorowych kamyków zebranych na plażach wyspy. Wzory były skomplikowane, ale jakoś znajome. Przechodząc nad nimi, rozpoznałem celtycki węzeł i krzyż, asyryjską tarczę słoneczną, uniwersalny labirynt i przypominający swastykę odwrócony krzyż tybetańskich buddystów. I nic dziwnego, że wszystkie były znajome dla kogoś, kto dorastał w psychodelicznych latach sześćdziesiątych.

Sterenn okazała się sprawną i praktyczną gospodynią. Na stole wylądowały przystawki, oliwki, korniszony, małe grzanki posmarowane *pâté*, pasztetem. Oraz sardynki i gotowane ziemniaki – podstawowy posiłek na Belle-Île. Jako jedyne przyprawy masło i sól. Domyśliła się, że ciekawią nas okoliczności, jakże osobliwe, osiedlenia się w Kerbordardoué pierwszych imi-

grantów, i wyjaśniła, że był taki okres – tak, w tych szalonych, wspaniałych latach sześćdziesiątych – kiedy wraz z kilkorgiem przyjaciół postanowiła tu zamieszkać. Po prostu wchodzili do wioski i wynajmowali albo po prostu zajmowali opuszczone chaty. „Tak jak wy” – dodała.

A więc byliśmy obserwowani.

– Kerbordardoué stanowi duchowe centrum – powiedziała. – Wicie, że na starych mapach oznaczano je jako siedzibę diabła. Ale to sprawka chrześcijańskich misjonarzy. Pogańskie wierzenia były tu zbyt silne dla ich krucyfiksów i różańców. Po prostu się bali. Może postawimy tarota?

Talię miała pod ręką. Zaczęła rozkładać karty.

Tamtego wieczoru, po powrocie do domu, długo nie mogliśmy z Mindy zasnąć. Wymienialiśmy wrażenia. Sterenn wyrażała się wymijająco na temat Brando. Ale jej innym sławnym ekskochankiem był reżyser filmowy John Boorman, którego czarowny dramat arturiański *Excalibur* widzieliśmy (podobnie jak południowe gotyckie *Wyzwolenie*). To on ułożył wraz z Sterenn mozaiki przed jej domem – pod wpływem magicznego eliksiru, oczywiście.

– W jego dziełach można zobaczyć Kerbordardoué – powiedziała. – Jesteście pisarzami, więc pewnie będziecie chcieli wiedzieć, że są tu pewne nieuniknione wpływy. Świat duchowy, który skupił się w zatoce Morbihan siedem tysięcy lat temu, miał swoich wyznawców w ciemnych lasach i głębokich wąskich dolinach górskich Irlandii i Szkocji na północy aż po Hiszpanię i Egipt na południu. Mieszkańcy Bretanii nadal godzą się z faktem, że nie ma złotego światła lata bez całkowitej ciemności. Nie warto próbować unikać mroku czy jego króla, Pana Śmierci, Ankou... Tę kulturę charakteryzuje fatalizm, historie o duchach i obrzędy związane z zakończeniem żniw, tak jak ten, który dotyczy otwarcia drzwi pomiędzy życiem a zaświatami. Czyli Samhain, święto przypadające na koniec października.

– Nasze Halloween – zawołał mi chorem, znakomicie wyedukowani dzięki celtyckiej literaturze z księgozbioru Gwened.

Sterenn mówiła o pierwotnym micie psa z piekła rodem, z którego czerpał Arthur Conan Doyle przy pisaniu *Psa Baskerville'ów*. I jeszcze o ptakach, potworach, mgłach, krzykach w nocy, zjawach i spotykanych na drodze nieznanym, którzy zatrzymują wasz wóz i proszą o podwiezienie.

Dokładnie tak, jak my spotkaliśmy Sterenn.

.

W pewnym sensie zostaliśmy zatem ostrzeżeni. Gdybyśmy chociaż potrafili odczytać przestrogi, zrozumieć, co to znaczy, kiedy mgła osiada zaledwie kilkadziesiąt centymetrów nad naszymi głowami, a potem o zachodzie słońca na niebie pojawiają się baranki i rozlega się hukanie sowy. Ale po tych wszystkich przeszkodach, trudnościach i rozczarowaniach, które pojawiały się między nami a domem, uważaliśmy, że teraz wreszcie mamy prawo się cieszyć. W tym roku,

drugim, odkąd został ukończony, wreszcie zamierzaliśmy spędzić prawdziwe wakacje. I nie mogliśmy się już doczekać kolejnych i kolejnych.

I właśnie wtedy do wioski przyleciał zimny duch Ankou, Pan Śmierć, w towarzystwie pomocnicy, znanej jako *La Chienne*. Wyjąc na wrzosowiskach, *La Chienne*, czyli Suka, jak nazywają w Bretanii psa z piekła rodem, objawiła się nam pewnego sierpniowego wieczoru.

Przyjechaliliśmy parę dni wcześniej i prawie już odreagowaliśmy podróż. Nasi przyjaciele, Céleste i Henry, kupili i złożyli „stół piknikowy, czy tak go nazywacie?”. Zostaliśmy zaproszeni na kielbaski – *merquez* i *chipolata* – z grilla. Honorowy stół został ustawiony pod szpalerem młodych olch, za którymi biegł tunelem z drzew żwirowany podjazd naszych gospodarzy. Za nim znajdował się mały lasek wiązków, graniczący od tyłu z ogrodem Vicomte’a.

Henry przyszedł po nas do domu. Zeszliśmy wraz z nim naszą *allée* do głównej drogi. Le Vic siedział na pokrytym płytkami łupkowymi schodku przed domem i palił fajkę. Pozdrowiliśmy go jak zwykle. Kiwnął głową i mruknął coś w odpowiedzi. Gdy mijaliśmy wiązy, Henry wskazał ich upiorne pnie w gęstej zieloności.

– W przyszłym roku już ich tu nie będzie.

– Co? Dlaczego? Zamierza je ścinać?

– Nie, ale powinien.

– Dlaczego?

– Przez tę chorobę. U was też jest? *Les ormes sont condamnés*.

Zrozumieliśmy to jako „wiązy są skazane” – po angielsku zabrzmiało to złowieszczo, skazane na śmierć, tak jak więzień idący na gilotynę.

Przez resztę drogi wszystko się wyjaśniło. „Skazane” w znaczeniu: śmiertelnie chore. Holenderska choroba wiązków przyszła do Europy. Nie, zaraz, ona nie bez powodu nazywa się holenderska, więc pewnie wróciła. Patrzyliśmy, jak dzieci nakrywają do stołu (Rory i Devo też tylko patrzyli, nie będąc dobrze wychowani w porównaniu z francuskimi dziećmi). Podano jedzenie. Kielbaski skwierczały. Lemoniada i wino. Po posiłku zebrano ze stołu, machnięto obrusem, żeby strzepnąć okruszki, i wszyscy ruszyliśmy w stronę domu, żeby wypić w środku kawę, posiedzieć przy długim stole i porozmawiać. Dzieci mogły nawet pooglądać telewizję – poważna decyzja ze strony Henry’ego, który miał wizję Kerbordardoué jako schronienia przed elektroniką.

W końcu został już tylko pusty piknikowy stół z jasnego drewna na skraju ciemnego lasu ogradzającego od tyłu ogród Vicomte’a oraz Rory siedzący samotnie i czytający podręcznik szachowy.

Byliśmy już pod drzwiami domu, gdy z jakiegoś powodu wszyscy się odwróciliśmy: ja, Mindy, Henry i Céleste, która powiedziała z czułością: „*Rory lit toujours*”. On ciągle czyta. A wtedy usłyszeliśmy – a chwilę później zobaczyliśmy – jakieś zaburzenie błękitu, przejrystego, lecz już zmaconego. Zaraz potem nadleciał silny powiew wiatru z północy, uginający wierzchołki drzew. *La Chienne*.

Usłyszałem trzask od strony upiornych drzew. Niezbyt donośny, raczej stłumione chrupnięcie. Przekazywał, że zgnilizna opanowała drzewo aż do korzenia, całe było martwe. A potem

jeden ze strzelistych białych pni zaczął się walić, z początku niemal bezgłośnie, jedynie z lekkim świstem. Kiedy natomiast dosięgnął żywych drzew zasłaniających podjazd, świst przeszedł w głuchy huk łamanych konarów, odgłos nadjeżdżającego pociągu towarowego.

Oto, co będziemy potem pamiętać: ledwie zdążyliśmy zobaczyć walące się drzewo, a co dopiero przewidzieć kierunek upadku i przebiec tych czterdzieści metrów nierównego trawnika, żeby dotrzeć do Rory'ego. Nawet się nie poruszyliśmy.

Drzewo z łoskotem runęło w przód, łamiąc się najpierw na wysokości jakichś trzech metrów, za podjazdem. Musiało mieć ponad metr średnicy, ale przełamało się jak zapalka. Naciągała reszta. Pień trzasnął znowu, padając na szpaler olch. Teraz wielkie białe Y rozwidłonego u góry pnia leciało do przodu, uwolnione od dolnej części, zupełnie jak ośmiometrowy duch z wyciągniętymi ramionami. Kierowało się prosto na Rory'ego, który z pochyloną głową siedział nad książką w gasnącym świetle, całkowicie pogrążony w lekturze.

Dokonując w myśli gorączkowych obliczeń, uświadomiłem sobie, że już za późno. Mogłem liczyć tylko na to, że drzewo go nie dosięgnie, wiedziałem jednak, że to płonne nadzieje. Zastanawiałem się, czy by nie krzyknąć, ale pewnie i na to nie było już czasu – wystarczy go tylko na modlitwę: Proszę, proszę...

Drzewo runęło na ziemię i z hukiem rozpadło się na kawałki. Przerażający łoskot rozchodził się wokół falami niczym szczęk broni ścierających się armii. Olbrzymie Y wylądowało po obu stronach Rory'ego, konary roztrzaskały się, a pień poniżej rozwidlenia wciąż sunął naprzód, rozciągając się, sięgając po naszego syna. Chmura białych spróchniałych odłamków drewna unosiła się w powietrzu. Główne gałęzie, połamane na kawałki, nadal o średnicy kilkudziesięciu centymetrów, otoczyły stół piknikowy. Padając na ziemię, podskakiwały w górę, w dół i na boki niczym kości tańczącego szkieletu.

Mniejsze gałęzie posypały się na ziemię wokół Rory'ego. Otaczała go biała chmura wiórów i porośłych grzybem odłamków drewna. Gdy chmura opadła, ukazał się Rory, który siedział nieknięty na małej polance. Wirujący wiórek koziołkował powoli tuż nad nim i opadając, musnął bok jego głowy.

Wreszcie wszyscy bieглиśmy.

Rory w ogóle nic nie zauważył.

Było mnóstwo łez i szlochów. Ale tylko przez krótką chwilę, bo – jak zgodziliśmy się z Mindy, wymieniając spojrzenia nad głową Rory'ego – lepiej, żeby nigdy się nie dowiedział, jak niewiele brakowało.

Nikt nie był potem w stanie tak naprawdę rozmawiać. Siedzieliśmy razem w pokoju dziennym i godzinami oglądaliśmy telewizję, ale dopiero beztrioskie piski Rory'ego i chłopców, śmiejących się z jakiegoś idiotycznego thrillera policyjnego, pozwoliły nam się rozluźnić, odprężyć, odetchnąć. Ale nikt nie rozmawiał o tym, co omal się nie stało.

Strach, tak jak szczęście, najlepiej rozpamiętywać w spokoju.

Następnego dnia przyjechał drwal z piłą łańcuchową, z pomocnikiem i z fachową wiedzą. Włosy miał zaczesane gładko do tyłu na Elvisa i ubrany był w całkiem modne spodnie i porządnie wy-pastowane buty – nie jakiś tam pierwszy lepszy drwal. Wystylizowany francuski drwal.

Najpierw pocięto dolną jedną trzecią drzewa, ponieważ blokowała podjazd Henry'ego i Céleste. Ich samochód został właściwie uwięziony. Henry uznał, że drewno należy się jemu. Drwal wyjaśnił, że połowę bierze tytułem wynagrodzenia.

Henry obruszył się:

– Połowę! No, w takim razie ja wezmę drugą.

Vicomte pozwolił sobie mieć inne zdanie. To on płaci drwalowi, więc weźmie drewno.

– Ale upadło na moją ziemię.

– Ale to moje drzewo.

– Tak, i omal nie zabiło Rory'ego. Może to on powinien dostać drewno.

Aż do tego momentu sytuacja robiła się coraz bardziej drażliwa. Ale gdy cała wcześniej nie-wypowiedziana groza wreszcie została dobitnie wyrażona, sprawa przybrała nagle inny obrót. Rozmowa stała się spokojniejsza, uprzejma, przejmująca wręcz. Zostawiliśmy ich samych.

Parę godzin później Henry zjawił się pod naszymi drzwiami zasapany od pchania taczki w górę *allée*. Była wypełniona drewnem: bale, polana, gałęzie, wszystko starannie poukładane – przydział ocalałego. Przywiózł także dwa gigantyczne ogórki. „Od Vicomte'a” – wyjaśnił. Za-prosililiśmy go do środka i napiiliśmy się whisky.

Później, już po jego wyjściu, wpadli do nas dwaj dorośli synowie Vicomte'a. Kiwnęli głowa-mi, kiedy zobaczyli drewno. „O, dobrze. Rory otrzymał swoją część” – powiedział Thierry, który mówił już po angielsku lepiej niż ja po francusku. – A ty, Don, dostałeś *les concombres*”. Im też nalaliśmy whisky. Z radością wychylili po kielonku za plecami *maman*.

Nazajutrz rano daliśmy ogórki Suzanne. Potem wyniosłem większe kawały drewna przed dom, żeby pociąć je piłą na mniejsze części. Suzanne wyszła na drogę i przyglądała mi się ze śmiechem. Machnięciem ręki kazała mi się odsunąć, chwyciła gruby konar i przełamała go tup-nięciem nogi w półbucie. Gestem rzuciła mi wyzwanie, żebym spróbował zrobić tak samo. „Au!” – wrzasnęło moje kolano. Suzanne patrzyła zachwycona, jak postawny Młody Strudel skacze w kółko na jednej nodze.

Po lunchu wybraliśmy się na miejsce zdarzenia. Tam, gdzie zwałił się śmiercionośny wiąz, widniał jego biały trocinowy obrys, niczym kredowy kontur ciała na miejscu zbrodni. Pikniko-wego stołu też nie było. Henry bał się teraz o własne dzieci. Przeniósł już stół na drugą stronę działki, z dala od jakichkolwiek drzew, na odkryte wzniesienie z widokiem na wrzosowiska i pola.

W ciągu następnych paru dni dało się odczuć gniew wioski na Vicomte'a z powodu więzów. Ludzie mówili, że za bardzo kochał swój laszek, żeby je wyciąć. W wiosce było za dużo dzieci, żeby mu na to pozwalać. My trzymaliśmy się z boku, szczęśliwi, że nasz syn został oszczędzo-ny, ale ostatecznie Gwened, Henry i inni uznali, że należy przedyskutować los wszystkich

zmruszałych drzew. Po pewnym wahaniu Le Vic przyłączył się do nich. Mieszkańcy wioski obe-
szli lasek.

W następnym tygodniu drwal wrócił. Cały lasek został tego dnia wycięty w pień.

Tragedia, której ledwie udało się uniknąć, coś zmieniła. Miejscowi musieli zdecydować, czy
Kerbordardoué to coś więcej niż skupisko ładnych domków i kwiatów. Podjęli słuszną decyzję.
Jakiegokolwiek wątpliwości rozwiały się, kiedy Vicomte i Ivonne wydali *apéro* dla *les propriétaires*,
właścicieli domów w wiosce. Potem Céleste i Henry wydali swój *apéro*, a potem jeszcze para
profesorów swój. Nawet Gwened poszła w ich ślady.

Kiedy weszliśmy na jej zaciszne podwórko jako pierwsi goście, rozejrzeliśmy się z Mindy
zdezorientowani. Wreszcie uświadomiliśmy sobie, co jest nie tak. Gdzie się podziali ci piękni
młodzi Belgowie i Belgijki, akolici w białych szatach snujący się po *jardin*? Gwened uśmiechnęła
się, widząc nasze niepewne miny i wymieniane ukradkiem pytające spojrzenia.

– Odesłałam ich do domu – wyjaśniła i dodała: – Poznałam pięknego mężczyznę.

Kiwnęła głową, widząc nasze miny.

– Przyjeżdża tu w ten weekend – rzuciła.

BEAU TEMPS

Oto wyzwanie dla wróżbity albo dla chińskiego wieszca: świergocząc radośnie, ptak wlatuje w moje sny. Chwilę później otwieram oczy i widzę nad głową rzeczywistą jaskółkę wycofującą się w powietrznym zmieszaniu. Z niespokojnym piskiem dezaprobaty na widok naszych osłupiałych ciał w zmiętej pościeli wylatuje przez otwarte okno mansardowe.

Rzeczywistość zaczyna się w snach, powiedział kiedyś poeta. A może chodziło o odpowiedzialność? We mnie ta jaskółka potrząsa uspiętym potworem troski.

– Ooooch... – Z trudem poruszam ustami po długiej podróży. – Przedtem nie mieliśmy jaskółek, prawda?

– Nie... One nie... – Moja żona odchrząkuje. – *Ruairrrriiiiiaaadddhhhh.*

Brzmi to tak, jakby w kłębowisku pościeli walczyła z yeti, pod tymi wszystkimi kapami i tą okropnie skomplikowaną francuską kołdrą, z którą ubiegłego wieczoru przez dwadzieścia minut nie mogliśmy dojść do ładu, gdy wreszcie położyliśmy się spać po siedemnastu godzinach podróży z Nowego Jorku i kolejnych pięciu, kiedy to otwieraliśmy dom, schodziliśmy na plażę i szykowaliśmy spartańską kolację złożoną z sardynek, chleba i masła. Ale czuję, że gdzieś pod tą kołdrą czai się uśmiech. W końcu jesteśmy tutaj. Wróciliśmy. Do domu.

Mindy znów wypróbowała swój głos:

– Jaskółki nie lubią... żyjących miejsc... – I poprawia się zaraz. – To znaczy takich, w których żyją ludzie. Wolą ruiny.

Aha.

Teraz ten ptak mnie złości. Musiał się pomylić. Ten dom nie jest już ruiną. Obie sypialnie na górze są przytulne jak dziobowe kajuty na statku, a złudzenie to wzmaga jeszcze spadzisty dach i solidnie niczym bulaj osadzony świetlik obok okna mansardowego. To nasza arka. Dlatego właśnie tu jesteśmy.

Niebo za oknem ma bladobłękitny kolor. Przez świetlik wpada lekki przeciwny wiaterek. Patrząc na Mindy, jej zamknięte powieki drżą podczas przelotnego snu, długie rdzawe włosy

rozsypany się na poduszce. Wygląda jak z obrazu Rossettiego – nie, Matisse'a – na tle różowo-zielono-żółtych pastelowych wzorów papug na koldrze i poszewkach na poduszki. „Oczy, bądźcie moim aparatem fotograficznym!”.

Ten komplet pościeli, prezent od mojej mamy, z chwilą, gdy został wyjęty z przezroczystych plastikowych pokrowców i rozpostarty na łóżku, przemienił pokój w tropikalną cieplarnię. Po pięciu latach kolory nadal są tak samo żywe jak tamtego dnia, kiedy matka wypatrzyła tę pościel w butik w Vannes. Muszę oddać mamie sprawiedliwość. Może nie zawsze się zgadzamy, a nasze gusta są diametralnie różne, ale tu akurat trafiła w dziesiątkę.

– Masz nauczkę, żeby zawsze słuchać swojej świętej matki – mruknęła, kiedy jej o tym powiedziałem, a żartobliwy ton i świetny humor dramatycznie kontrastowały z nastrojami rodziców podczas tamtej pierwszej wizyty.

Jej gust dokonał zresztą rewolucji w wielu różnych sensach. Dzięki czekowi, jaki wypisała nam na Gwiazdkę po Strasznej Aferze w Hôtel du Phare, zamówiliśmy wspaniałą szafę w starym bretońskim stylu u wnuka Madame Morgane. Nie wiedzieliśmy tego, ale było to jego pierwsze zlecenie. Wyszło znakomicie i dla niego, i dla nas. My mieliśmy gdzie przechowywać ubrania, nie ryzykując, że spleśnieją, a dla wykonawcy nasz dom stał się dogodnym salonem wystawowym, co oznaczało, że był regularnie odkurzany i sprzątny przez cały rok. Dzięki czemu też nie pleśniał.

Zjedналиśmy sobie także uznanie wielopokoleniowej rodziny Morgane, które przejawiało się w dziwny sposób. Ledwie wróciliśmy do Nowego Jorku, otrzymaliśmy list od najbardziej uroczej siostrzenicy Madame Morgane. Mieszkała teraz na stałym lądzie, a wychodziła za mąż na wyspie. Chciała spytać, czy ona i jej narzeczony mogliby spędzić noc poślubną w naszym domu. „Tylko w sypialni – zapewniła. – Z pościelą i koldrą. Chętnie za to zapłacimy”.

Oczywiście nie wzięliśmy od nich żadnych pieniędzy. W nagrodę po naszym powrocie na wyspę następnego lata uraczono nas opowieściami o tym, jak do wioski przyjechało ponad dwustu *iliens* i Bretończyków ze stałego lądu, którzy do późna w nocy jedli placki i pili *cidre brut*, śpiewali i tańczyli w wijącym się korowodzie, przy dźwiękach buczących dudów, posapującego akordeonu i łomoczącego ręcznego bębna. Tego typu imprezy odbywają się późną jesienią albo zimą i – mam wrażenie – objawiają się znieścacka, niczym *flash mobs*, żeby turyści i tacy *étrangers* jak my nie natknęli się na nie. Miło było pomyśleć, że wioska na chwilę odrodziła się w dawnej postaci, jakby cofnęła się w czasie. Cieszyliśmy się, że mogliśmy odegrać małą rolę – to było prawie tak, jakbyśmy też w tym uczestniczyli.

W następnym roku kolejna krewna Morgane, tym razem siostrzenica ze stałego lądu, która widziała naszą sypialnię podczas tamtego wesela, napisała z prośbą o podobną przysługę. Choć nie znaleźliśmy tej dziewczyny – no i zastanawialiśmy się, czy wszyscy spośród tych dwustu gości maszerowali na górę po schodach, żeby podziwiać sprezentowane nam przez moją mamę papugi Matisse'a, i wkrótce także zażądają małżeńskich pobytów – zgodziliśmy się oczywiście.

Potem znajomy z Nowego Jorku, który podróżował z dziewczyną po Francji, napisał z pytaniem, czy mogliby się u nas zatrzymać. Jasne! Kiedy wrócili do Stanów, ogłosili swoje zaręczyny-

ny.

Czy tylko tak nam się wydawało, czy też nasz mały domek działał trochę jak afrodyzjak?

Chociaż dom zyskał sobie sławę ze względu na swą moc uszczęśliwiania mieszkańców wioski i innych zakochanych, wszystko to poszłoby na marne, gdyby nasi rodzice nadal nie pochwalali naszego szaleństwa. Pierwsza zjawiała się matka Mindy, Dolly, tuż po tym, jak Ekipa Marzeń ukończyła schody i podłogę. Jeszcze nie zdążyliśmy przetrwać nowiny, że ma nowego chłopaka, Briana, gdy zadzwoniła z informacją, że Brian zabiera ją do Europy – i chcą odwiedzić Belle-Île.

Ponieważ sami nie widzieliśmy domu po remoncie, zgodziliśmy się z dużymi wątpliwościami. Dolly w niczym nie przypominała wiejskiej dziewczyny. Ale pojechali, i to w kapryśnym miesiącu, jakim jest październik. Brian zdołał samodzielnie włączyć prąd i wodę, a nawet dokonał kilku ulepszeń w domu. (Wieszak na ręczniki? Że też sam o tym nie pomyślałem!). Oczywiście ledwie wrócili na Hawaje, oni też wzięli ślub.

Zostali moi rodzice. W rok po wizycie Dolly, kiedy tak naprawdę sami mieliśmy po raz pierwszy zobaczyć ukończony dom, postanowili dać nam drugą szansę i wybrać się na Belle-Île jeszcze raz – całkowita niespodzianka.

Co spowodowało tę zmianę? W przypadku mojej matki z całą pewnością wpływ *Roku w Prowansji* Petera Mayle'a i nieustająca ciekawość koleżanek z Klubu Książki Bixby Knolls. Oboje rodzice wzięli sobie także do serca surowe kazanie, jakie wygłosił Rory w Hôtel du Phare, które staje się coraz zabawniejsze z każdym kolejnym opowiadaniem. To teraz część naszej rodzinnej tradycji ustnej.

Ale nie to było decydujące. Nie, przełomowy okazał się pewien specyficznie francuski moment, który przydarzył się memu ojcu ostatniego pełnego dnia ich pierwszego pobytu. Wtedy nie wydawał się szczególnie istotny. Ale z czasem stał się dla mnie naprawdę znamienny.

Powoli wyczerpywały nam się pomysły na to, co robić z Wielkimi Ponurakami, więc w nie najlepszych humorach wybraliśmy się na kamienistą plażę Pointe de Poulains. Tutaj, pod zniszczonymi różowymi blankami niegdyś wspaniałej rezydencji Sarah Bernhardt, rwaliśmy palcami kurczaka z rożna i piliśmy zimny wytrawny cydr, tak jak swego czasu Monet i John Russell, a może także kiedy indziej młody van Gogh i jego kumpel Paul Gauguin.

A być może nawet również tutaj młody Marcel Proust na próżno czekał, paląc neurastenicznie, na audyencję u Boskiej Sarah. Z całą pewnością była to plaża, przy której w roku 1901 książę Walii zakotwiczył swój jacht, po czym został zawieszony na brzeg łodzią wiosłową, żeby mógł odwiedzić dawną ukochaną, a potem wrócić na pokład i wyruszyć na koronację jako Edward VII.

Opowiadałem to wszystko w nadziei, że zrobię na słuchaczach wrażenie, jak zwykle czynię, gdy stoję w obliczu nieuchronnej katastrofy. Bezskutecznie. (Jak zawsze).

A wtedy zjawiała się francuska rodzina i z uśmiechem zajęła sąsiednią kotlinkę wśród skał. Kiedy otworzyli wiklinowy kosz piknikowy i wyjęli z niego nie tylko kraciasty obrus, ale także płócienne serwetki i sztućce, butelki wina i wody Perrier, już szykowałem się na krytykę naszych marnych starań. Tymczasem mój naburmuszony ojciec wreszcie zmiękł.

– Jaka miła rodzina – powiedział, jakby coś podobnego było zupełnie niespotykane we Francji. – Ojciec, matka i nastoletnia córka.

Zerkaliśmy na nich ukradkiem, jedząc nasz prymitywniejszy, lecz nie mniej smakowity lunch. Było gorąco, bo klif chronił nas przed wiatrem. Powoli podeszła do nas mewa. Ojciec odebrał kawałek bagietki i rzucił jej. Ptak uznał, że równie dobrze może zawrzeć z nami znajomość, i wskoczył na skałę obok taty, który był tym zachwycony jak dziecko. Matka i ja wymieniliśmy spojrzenia. Po ataku serca ojciec z trudem dochodził do siebie, nie tylko pod względem fizycznym, ale i psychicznym. Zatracił gdzieś zmysł zabawy. Miło było zobaczyć, że go odzyskał.

Wygrzewając się w słońcu, nasze dwie grupki wymieniały uśmiechy i przepijały do siebie.

– Oto normalna rodzina zrobiła sobie piknik – oznajmił tata, przybierając radiowy głos Edwarda T. Murrowa, co mu się czasem zdarzało. – Dziewczyna jest dobrze wychowana; spójrzcie tylko, jak podaje butelkę Perrier najpierw ojcu, potem matce, zanim sama się napije. A teraz nalewa mu wino...

Upał narastał. Byliśmy rozkosznie zmęczeni. Dziewczyna wstała i z miękkiej płóciennej torby na ramię wyjęła dwa kręgle do żonglowania. Tata relacjonował dalej:

– Dobra córka będzie teraz żonglować dla taty i mamy. Widzicie, nie muszę chodzić do cyrku, ona urządzi widowisko tutaj...

Po paru minutach dziewczyna przerwała i otarła twarz rękawem. Ojciec podał jej butelkę Perrier, a ona wzięła ją od niego, napiła się, po czym zamaszystym gestem dorzuciła butelkę do swojego żonglerskiego numeru. Mój tata siadł prosto i zaczął klaskać. Ojciec dziewczyny skinął uprzejmie głową, matka uśmiechnęła się; a dziewczyna dygnęła, nie spuszczać oczu z kręgla. Po chwili z wdziękiem przerwała żonglowanie, bezgłośnie powiedziała: „Uff” i pociągnęła łyk z butelki Perrier. Jej ojciec, który leżał teraz wyciągnięty jak długi, uniósł kieliszek wina, jakby wznosił toast na cześć bogów.

– Tak właśnie dzieci powinny traktować rodziców – oznajmił tata.

– Chciałbyś – odparłem.

A mama dodała:

– Po prostu marzy ci się twoja własna dziewczyna-żonglerka.

Po chwili odpoczynku dziewczyna znów wstała. Zmieniliśmy pozycje na ręcznikach, szykując się na dalszą część występu. Podniosła kręgle i rzuciła wysoko w górę, a one spadały powoli, koziołkując. To była rozgrzewka – złapała je w powietrzu i położyła na ziemi, pokręciła ramionami, po czym chwyciła rąbek bluzki, zadarła ją i ściągnęła przez głowę. Cisnęła bluzkę na bok, rozpięła koczek i potrząsnęła długimi włosami, które opadły jej na ramiona. Piersi miała małe i idealne.

– Och, nie – odezwał się tata. Dziewczyna podniosła kręgle i wprawiła je w ruch. – Nie powinna tego robić.

Powolnym, zmysłowym krokiem, typowym dla żonglerów, dziewczyna okrążyła obrus piknikowy, obeszła naokoło matkę i podeszła do ojca – czy też, powinienem powiedzieć: „ojca”. Ponieważ wykonywała swój numer tuż przed nim, powoli, jej ręce stanowiły hipnotyzujący zamglony kształt, podrzucane kręgle okalały jej różowe sutki.

– Nie, nie – wyjąkał tata. – Ojciec powinien ją powstrzymać, matka powinna ją powstrzymać... Ojej! Naprawdę nie powinien na nią patrzeć.

– Ale ty też patrzysz – zauważyła matka z kamienną twarzą.

Z wysiłkiem odwrócił głowę i wbił niewidzący wzrok w morze.

– Wydawali się taką miłą rodziną.

Kiedy zbieraliśmy rzeczy, żeby wracać do domu, ojciec leżał całkowicie ubrany, trzymając w ręku kieliszek wina, a żona i córka, obydwie toples, siedziały po obu jego stronach. *Le déjeuner sur le rocher*, śniadanie na skale.

Później, kiedy już wspięliśmy się piaszczystą drogą z powrotem na wierzchołek klifu, zatrzymałem się, żeby tata mógł złapać oddech. Stał w milczeniu, spoglądając na nieregularną, poszarpaną linię brzegową zwieńczoną migoczącymi w słońcu wrzosowiskami. Było cicho i spokojnie.

Ni stąd, ni zowąd ogarnął mnie smutek. Ojciec wydał mi się nagle taki stary i kruchy. Jego spojrzenie zdawało się sięgać ponad roziskrzonym Côte Sauvage i odbijającym światło oceanem aż za morze, do Anglii i wybrzeża Kornwalii, gdzie dusze zmarłych czekały na północnych klifach, aż przyplynie prom, który zabierze je na mityczną wyspę Avalon. Poczulem, ile wspólnych dni straciliśmy przez to, że mieszkaliśmy tak daleko od siebie. Moja wina.

Westchnął i uśmiechnął się.

– Rozumiem, dlaczego lubisz to miejsce – powiedział. – Myślę, że jest dobre dla ciebie.

Odwrócił się, żeby ruszyć dalej, ale potem raz jeszcze obejrzał się za siebie.

– Przypomina mi Carmel. Gdyby zrobili tu pole golfowe, wasz dom mógłby z łatwością podwoić wartość.

No i patrzcie, tak się złożyło, że rok później moja siostra Anne, dziennikarka golfowa, dotarła do pogłosek na temat słynnego pola, rzekomo stworzonego przez Sarah Bernhardt w roku 1900. Tak, naprawdę istniało, w ogólnym zarysie. I czaiło się wśród wrzosów dokładnie tam, gdzie patrzyliśmy z tatą. Mówi się, że na świeżo wytyczonym torze pierwotnie grała Bernhardt i jej ukochany, wspomniany książę Walii, gdy ociągał się z włożeniem na głowę korony, a wraz z nią wzięciem sobie na kark królewskich obowiązków.

Porzucone podczas obu wojen i wielokrotnie niszczone przez sztormy *Champs du Golf* boskiej Sarah straciło w ubiegłym stuleciu pięć dołków w wyniku zawałenia klifów. Jego powykrę-

cane bieżnie wiły się wśród odstrasających tuneli kolcolistów i jeżyn. Mimo to nasi golfiści – tata, mama, Anne i jej syn Devo – zakochali się, postrzegając je jako swoje prywatne Pebble Beach.

Mindy i ja czuliśmy, rzecz jasna, konsternację. To trochę upokarzające uświadomić sobie, że sami w sobie nie byliśmy wystarczająco atrakcyjni. Ale żebracy nie mogą wybrzydząć. Machaliśmy zatem radośnie, ilekroć nasi golfiści oznajmiali, że dziś idą poszaleć – „dziś”, ponieważ całe pole, liczące wszystkiego trzynaście dołków, można było zaliczyć kilkakrotnie w ciągu jednego długiego nordyckiego popołudnia. Szczególnie jeden dołek przyciągał ich z powrotem raz po raz: samotna kępa trawy ulokowana na wąskim skalnym szczycie, trzydzieści metrów nad wzbudzonym morzem. Moja matka musiała klękać i pełznąć po wąskim grzbiecie skały, żeby rozebrać tę piłkę. Ale robiła to i była zachwycona.

W ciągu kolejnych lat obecność pola golfowego w wakacyjnym repertuarze wyspy okazała się swego rodzaju zaworem bezpieczeństwa dla wielu spośród naszych amerykańskich gości, którzy co jakiś czas potrzebują wytchnienia od naszej wizji ekstremalnych sportów wakacyjnych, ale jego najważniejszą rolą na zawsze pozostanie to, że doprowadził do rodzicielskiej aprobaty naszej Belle-Île. Aprobata ta została odwzajemniona przez szemrane towarzystwo z budynku klubowego, jednoizbowej budy z tapetami w szkocką kratę i ubraną pod kolor klientelą.

Pewnego popołudnia, kiedy telewizja transmitowała turniej British Open, mój ojciec miał obliczone na efekt wielkie wejście w pełnym rynsztunku: kanarkowych spodniach, czerwono-białych półbutach, jaskrawozielonej koszulce polo w białe kropki, kaszmirowej kamizelce we wzory ostów i róż oraz miękkiej czapce z Narodowego Klubu Golfowego z Augusty. Zapadła ciśza. A po chwili usłyszeliśmy dyskretne oklaski – mniej więcej takie, jakie zazwyczaj towarzyszą przejściu modelki po wybiegu podczas Tygodnia Mody. Tamtego dnia tata nie mógł kupić ani jednego drinka. Kiedy moja siostra Anne wróciła do Stanów z opowieściami o wymagającym pełzania na kolanach dołku Sarah B. – *Trou de Sarah B.* – natychmiast uderzyła do swojego redaktora w magazynie golfowym i wymusiła na nim zlecenie artykułu na ten temat, żeby móc wrócić na wyspę.

Dostawszy zielone światło, Anne wzięła ze sobą swojego chłopaka. Ich ślub, który nastąpił po powrocie, był niemalże sprawą przesądzoną.

.

Tymczasem oto nadszedł nasz pierwszy dzień w Kerbordardoué tego roku, a my nadal leżymy w łóżku. Swego czasu byliśmy takimi wojownikami! A teraz szczytem luksusu jest wylegiwać się i drzemać – oraz patrzeć, jak jaskółka wlatuje do środka, z całej siły macha skrzydłami, żeby wyhamować, chwilę unosi się w powietrzu i ćwierka z oburzeniem.

Zwlekam się z łóżka, czuję, że sosnowa boazeria muska moją głowę, i uświadamiam sobie, że chociaż mogę zapomnieć o tym, żeby się schylić, moja pamięć mięśniowa tego miejsca już

powraca.

Mindy znowu warczy.

– Przestań! – syczy i wcale nie żartuje.

– Chcę tylko zobaczyć, czy w domku do wynajęcia ktoś mieszka.

– Przestań wyglądać przez świetlik. Jak Madame Morgane cię zobaczy...

Jak widzę, nadal rygorystycznie przestrzega wioskowej reguły. Nawet jeśli każdy letnik i turysta, przechodzący obok naszego domu od strony placyku, wyciąga szyję, żeby zajrzeć do środka – *Regardez la maison rustique et authentique breton! Regardez le rosier! Les fleurs! Les paysans!* Patrzenie na autentycznie bretoński wiejski dom! Patrzenie na ten krzak róży! Na kwiaty! Na wieśniaków! – my nie odwzajemniamy tego wścibstwa, przynajmniej nie od strony Madame Morgane. Mindy ma oczywiście słuszność, ale prawdziwy powód jej zawziętości jest taki, że marzy jej się drugi świetlik, w pokoju Rory’ego. Ten wychodziłby bezpośrednio na dom Madame Morgane, tak więc nie został uwzględniony w pierwotnych planach. Negocjacje trwają od lat. Nagromadziło się różnych przysług. Wszystko na nic. Ale Mindy nie daje za wygraną. Wie, jak to jest z kupnem ziemi, prawem własności w stosunku do studni, dostępem do podjazdu czy do drogi, albo nawet cieniem studni – to się nigdy nie kończy.

Biedna Madame Morgane ma większe zmartwienia niż okienko trzydzieści pięć na trzydzieści pięć centymetrów w naszym dachu z czarnych łupkowych płytek. Cierpi z powodu letników, którzy w każde wakacje zajmują nowy dom dobudowany do pozostałości jej starej kamiennej chaty. Oddzieleni jedynie drzwiami turyści w ogóle nie zważają na jej obecność – całymi dniami mają telewizor włączony na pełen regulator, rozmawiają podniesionym głosem. Do tego wszystko rozbrzmiewa echem w tanich prefabrykowanych pomieszczeniach z płyt gipsowych i listw.

– Jestem więźniem we własnym domu! – skarżyła się Madame Morgane Mindy w zeszłym roku, kiedy piły rytualną *petit café*, małą kawę.

– *Pas bon*, niedobrze – mamrotała Suzanne, niepokieszona z powodu udręk najlepszej przyjaciółki z dzieciństwa. – *Dommage*, szkoda.

Mindy każdego lata dwukrotnie zaprasza je na kawę, na początku i na końcu pobytu. Za każdym razem piecze czekoladową piłkę futbolową, jak nazywa ją Rory. Kiedy obie starszuszki przychodzą, witam się z nimi, a Madame Morgane słucha z niedowierzaniem, po czym stwierdza, że mój francuski nijak się nie poprawił. (Ona jedna w całej wiosce nie kłamie i nie zapewnia mnie, jakie to zrobiłem postępy). Kiedy mam już to za sobą, żegniam się pośpiesznie. Ale wiem, jak odbywa się ich spotkanie.

Kobiety przysiadają na krzesłach, czujne jak ptaki, i rozglądają się wokół, udając, że nie znają tego domu, że nie przesiadują codziennie w naszej *salle de cuisine*. Zachwycają się koronkowymi firankami w oknach, chociaż to dzieło Suzanne. Rozmawiają o *buffet placard*, kredensie, plakacie na ścianie, starej jubileuszowej kartce Tante Jeannie.

Mindy daje się wciągnąć w tę grę. Przez długie lata nie wnikalśmy w to, co się tu dzieje pod naszą nieobecność. Zakładaliśmy, że Suzanne będzie zachodzić co jakiś czas, tak jak ją prosili-

śmy, żeby przewietrzył dom. Może posiedzi też sobie trochę i podzięra.

Byliśmy oczarowani, kiedy pewnego lata zastaliśmy pierwszą koronkową firankę i co roku nie mogliśmy się doczekać, by zobaczyć, czy nowe okno zostało udekorowane. W przeciwieństwie do misternych koronek dla turystów sprzedawanych za ciężkie pieniądze w Le Palais – podobno zresztą dostarczanych w kawalkach z Chin i wykańczanych w Bretanii – nasze są zrobione z grubej bawełnianej nici i mają jedyny w swoim rodzaju wzór, niespotykany nigdzie poza regionem, a może wręcz poza dziełami Suzanne. Pewna wyfiokowana Belgijka, która kiedyś uparła się, by nas odwiedzić – żeby, co zrozumieliśmy zbyt późno, móc potem złożyć raport w odpowiednio obrzydliwych szczegółach na temat nory Amerykanów – rzuciła tylko okiem na koronki i stwierdziła ze śmiechem: „To robota pijanego pająka”. Po tej uwadze wiedzieliśmy już wszystko, co chcieliśmy, o niej.

Nie mogliśmy jednak równie lekko zbyć ostrzeżenia jednego z właścicieli letnich domów – ze stałego lądu, ale nie z Paryża – który wziął nas kiedyś na bok.

– Nie wiem, czy powinienem o tym mówić – oznajmił i oczywiście natychmiast zrozumieliśmy, że było dokładnie odwrotnie. – Ale czy zdajecie sobie sprawę, że te dwie staruszki wchodzi do waszego domu?

– Tak, oczywiście. Prosiłyśmy Suzanne, żeby wietrzyła w słoneczne dni.

– Ale one są tam codziennie. Obie. Wiedzieliście o tym?

– Tak – sklamaliśmy zgodnym chórem.

Nie dał się nabrać.

– Posłuchajcie, one chodzą po waszym domu, kiedy was tu nie ma. Przez cały rok! To wbrew prawu. Wszyscy uważają, że one was oszukują.

– A my uważamy, że to cudowne – odparła Mindy stanowczo.

Spontaniczna reakcja pod presją, niemniej jednak czuliśmy, że to prawda: poczułem falę ciepła, jaka zdarza się jedynie wtedy, kiedy człowiek stwierdza, że zrobił coś dobrego, nie zdając sobie z tego sprawy ani bynajmniej nie zamierzając. Przysługa nie tyle przypadkowa, ile nieświadoma.

– *Ben! C'est fou.* No. To wariactwo. – Popatrzył na nas z politowaniem połączonym jakby z rozdrażnieniem i podziwem jednocześnie, po czym odszedł, kręcąc głową.

Kiedy później rozmawialiśmy o tym z Mindy, byliśmy zgodni. Nie chcieliśmy mieć poczucia, że nasze przyjaciółki nas oszukują. Uznaliśmy, że podoba nam się, że przebywają w naszym domu, jakby znów były dziewczętami, i przywołują wspomnienia o Tante Jeannie.

.

Wreszcie przez wzgląd dla marzeń Mindy o jeszcze jednym świetliku chowam głowę, ale najpierw rozglądam się pośpiesznie: żadnych zmian, dużych czy małych, żadnych oznak wykonywanych prac. Północny kraniec wioski wydaje się całkowicie opustoszały.

Chociaż zszedłem już na dół i naląłem wody na kawę do poobijanego czajnika na kuchence, nie mogę się zmusić do otwarcia drzwi. Boję się spojrzeć. To jak gwiazdkowy poranek. A jeśli pod choinką nie będzie prezentów? Jeśli to jedno spojrzenie przekluje balon? Jeśli ten rok nieobecności odebrał nam ostatnie pretensje do przynależności? Jeśli rzeczywistość wreszcie strzaskała kruche złudzenie naszej tutejszości?

Zamiast otworzyć drzwi, otwieram okno, to, pod którym rośnie róża. Ledwie odblokowuję rygiel, oba skrzydła wpadają się do środka pod naporem ściśniętych gałęzi. Gęsta płatanina ciemnozielonych liści, świeżych czerwonych kolców i jasnozielonych pączków wypcha się do naszej kuchni niczym agresywny bożonarodzeniowy wieniec.

– Hej!

– Co?

– Róża urosła. Ale tak naprawdę.

Chwilę później słyszę stanowczy łomot: obie pięty Mindy lądują na podłodze przy łóżku. Wstała.

Zaglądam do wnętrza róży, która wypełnia całą ramę okna i wpuszcza do środka jedynie nikle przefiltrowane światło. Zupełnie jakbyśmy mieli w kuchni rząd krzaków. Wśród gałęzi żyją różne stworzenia, cały ekosystem pająków, mrówek, modliszek, jaszczurek, ciem, ochotek, pewnie też jakaś mysz. Ale nic nie szkodzi; okno pozostanie otwarte do końca naszego pobytu.

Chociaż kawa już nalana, Mindy upiera się przy szczegółowych oględzinach domu. Rozdzielamy się i z przeciwnych stron obchodzimy otwartą przestrzeń kuchenne-jadalną, wykrzykując pytania i odkrycia. Czy ten stożek czarnego popiołu w kominku to naturalne zjawisko po roku, czy też powinniśmy wezwać kominiarza? Wygląda niewinnie. Czy ta kaluża przy lodówce to znak, że lodówka przecieka? Cud, że w ogóle działa, jako że kupiliśmy ją używaną, dwudziestoczoletnią. Będziemy mieli na nią oko. Czy szafa śmierdzi pleśnią, czy to tylko ja? Albo moje skarpetki?

Z wbudowanego kredensu wyciągam zardzewiałą puszkę, w której kiedyś znajdowała się jednosłodowa szkocka whisky, ale teraz była pełna plastikowych torebek z przyprawami: kuminem, kolendrą, curry, kurkumą, chipotle, pieprzem cayenne. Widząc garść maleńkich brązowych robaczków łączących w ciemnopomarańczowym kuminowym proszku, wyrzucam torebkę do śmieci. Będziemy musieli pamiętać, żeby kupić nową przed corocznym *Concours du Guacamole*. Następnie chodzimy wzdłuż ścian, dotykając miejsc, gdzie tynk zmienił kolor, żeby sprawdzić, czy nie są wilgotne. Stajemy pod starymi pęknięciami i zastanawiamy się, czy nie urosły.

Wreszcie wchodzimy do drugiej izby na dole, która jest zarówno gościnną sypialnią, jak i pokojem do pracy. Pod przeciwległą ścianą błyszczy piękna szafa, najpierw jednak dokonujemy oględzin trzech desek surfingowych wiszących pod krokwiami stropu. Ich niebieskozielone nylonowe hamaki, które wyciąłem z wyrzuconych na brzeg sieci rybackich, są poplamione smołą i przetykane wyschlými wodorostami.

Ogólnie rzecz biorąc, bardzo satysfakcjonujące oględziny. Żadnych poważniejszych problemów konstrukcyjnych, woń stęchlizny prawie wywietrzała, tylko jedna torebka kuminu do wy-

rzucenia. Pora na kawę?

Mindy otwiera szafę i wsadza głowę do środka, aż cała tam znika. Następnie zaczyna wyciągać wełniane swetry i skarpetki, flanelowe i bawełniane koszule, T-shirty, bluzki i koszule.

– Wstawię pranie – oznajmia.

Nasza małutka francuska pralka otrzymuje instrukcje i czeka chwilę, pogrążona w egzystencjalnych rozmyślaniach, podczas gdy my pijemy kawę i jemy Krispy Rolls posmarowane masłem. Wreszcie rozlega się pstryknięcie i urządzenie zaczyna chodzić. Kolejny cud. Po rocznej nieobecności nigdy nie wiadomo, co zadziała, a co będzie wymagało surowej reprimendy.

Z francuskimi pralkami tak czy owak warto porozmawiać. Nasza działa dłużej i delikatniej niż amerykańskie pralki, zużywa mniej energii i zapewnia ubraniom dłuższe życie i przyjemną w dotyku miękkość. Mindy już wpisała to do swojego biuletynu, który pewnego dnia stanie się książką, *Do One Green Thing*, „Zrób jedną ekologiczną rzecz”. Zaczęła polegać na Francji jako na dobrym źródle ekologicznych zmian w stylu życia, które za parę lat dotrą także do Stanów: wyraźnie oznakowana żywność organiczna (*biologique*); organiczne kosmetyki i ubrania; energooszczędne sprzęty; ekonomiczne samochody; sprawny system pociągów i autobusów; a w ubiegłym roku stopniowe wycofywanie plastikowych torebek w marketach na wyspie, które udało się bez przeszkód.

Bretońska kuchnia także wiele nas nauczyła. Jest prosta, zwyczajna wręcz – wszystko zawdzięcza składnikom. Bretania to kraina gryczanych placków, świeżych wiejskich jaj i pomidorów z grilla – za każdym razem po powrocie mamy wrażenie, jakbyśmy kliknęli ikonę odświeżania. Ilekroć odwiedzamy Crêperie Chez Renée w Bangor, przenoszę się w czasie do tamtych wieczorów, kiedy siedzieliśmy naprzeciwko starego ojca Madame Morgane i słuchaliśmy bajkowych wspomnień z jego młodości.

Rano pochłaniał tuzin placków z masłem zrobionych z pszenicy z własnego pola, młóconej na naszym placyku, mielonej w wiatraku na wzgórzu. Pracował aż do zachodu słońca, połykał kolejny tuzin placków, następnie szedł dwie godziny do Le Palais, gdzie tańczył, pił *cidre brut* i wykańczał tuzin *crêpes de farine et sucre*, naleśników z mąki i cukru, po czym piechotą wracał do domu, by rozpocząć kolejny dzień pracy. „Kiedy pan spał?” – zapytałem kiedyś. „W samo południe – odparł. – Pod stogiem siana”. Mrugnął. „Ale nie sam”.

Te tygodnie, które spędziliśmy w Kerbordardoué nad poźółką kamionkową misą pełną bulgoczącego, kapryśnego ciasta naleśnikowego z gryczanej mąki, pokazały nam dobitnie, że proste nie zawsze znaczy łatwe. Ale to nie powstrzymało Mindy przed wypróbowywaniem przepisów na klasyczne francuskie potrawy z „Tante Marie”, francuskiego odpowiednika „The Joy of Cooking”, „Radości Gotowania”, który przestał już niestety wychodzić.

Przez lata oboje staliśmy się śmielsi, ale nigdy się nie łudziliśmy, że zdołamy opanować francuską kuchnię, która słusznie słynie ze złożoności, bogactwa, różnorodności i jest przepojo-

na obsesją związaną z *terroir*, ziemią, świeżością i techniką. Bierzymy sobie do serca jedną uwagę prezydenta Charlesa de Gaulle'a, która przejdzie do historii: „Nie sposób rządzić krajem, w którym wytwarza się czterysta serów”. Wiemy, że nigdy nie otrzymamy obywatelstwa Piątej Republiki Serowej. Ledwie drasnęliśmy powierzchnię i nigdy nie dotrzemy wystarczająco głęboko. Nie martwimy się jednak. Dla nas to tylko oznacza, że to nie koniec ołśnień.

Ostatnio obniżyliśmy poprzeczkę, zwracamy uwagę na składniki i cieszymy się satysfakcjonującymi rezultatami. Podpatrujemy i naśladujemy, sposób, w jaki Céleste upycha prawie nieprzyprawioną mieloną wołowinę do wydrążonego pomidora z ogrodu, i powstaje z tego pomidor *farci*, faszerowany; patrzmy, jak główka *frisée*, sałaty karbowanej, może zmienić się z sałaty w danie główne, kiedy zostanie wrzucona na patelnię z podsmażonymi *lardons*, cienkimi plasterkami boczku; słuchamy uważnie, kiedy handlarz ryb, który wyprzedal już *lotte*, poleca nam inną brzydką rybę, *le grondin*, kurka, przysmażoną na maśle z szalotkami i *fenouil*, koprem włoskim.

Niestety ta brzydka ryba w Stanach nigdy nie smakuje tak samo (jeśli w ogóle uda się wam ją znaleźć – nie jesteśmy specjalistami od szpetoty). Ale przepisy da się przenieść na obcy grunt i całkiem nieźle realizować w amerykańskiej kuchni zaopatrywanej na targu.

Kulturowe zasady dotyczące jedzenia po francusku można przenieść jeszcze łatwiej. Zaczęliśmy się do nich stosować, kiedy zauważyliśmy, że zawsze wracamy do domu chudszy i zdrowsi pomimo całego tego masła, śmietany i innych frykasów. (Udawało mi się wcisnąć w stary garnitur Agnès jedynie w tygodniu bezpośrednio po Belle-Île). O co tu chodziło?

Po latach wypytywania Céleste, Sidonie, Yvonne i innych kobiet na plaży Mindy uważa, że zna przepis: żadnego podjadania między posiłkami, żadnej przetworzonej żywności, żadnych słodyczy (nie licząc jednej kosteczki ciemnej czekolady na każde pół godziny pisania), mniejsze porcje (i żadnych dokładek), żadnych słodzonych napojów (w tym, za moją namową, bezcukrowej coli – jedynej słabości Mindy), mnóstwo zielonych warzyw i w ogóle jarzyn, ogromne ilości oliwy, a na deser owoce lub ser albo jedno i drugie.

Powiedziałem Mindy, że mogę przyjąć wszystkie powyższe ograniczenia, z wybaczalnym odstępstwem od czasu do czasu pod warunkiem luki dopuszczającej ciastka z owocami, ciasta i inne słodkie pyszności w zasadzie codziennie. „Nie? W takim razie po co w ogóle zabierałaś mnie do Francji – żeby mnie torturować?” Owszem, pojawiła się gotowość do kompromisu po obu stronach. A kiedy moja argumentacja już miała przeważyć dzięki wyższej logice, Mindy wezwwała mojego *ami* Henry'ego, żeby mnie zdradził.

– Ale Don – powiedział. – Wiesz, takich wyjątkowych deserów nie jada się codziennie.

– Daj spokój – odparłem, jak mężczyzna do mężczyzny. – Nie mów mi, że nie odczuwasz pokusy, kiedy wracasz z pracy do domu i mijasz te wszystkie wystawy pełne *Gâteau à la Bavaroise* i *Bombe au Chocolat*, że nie wspomnę już o tych cudnych małych czekoladowych myszkach, *Petites Souris*, i wspaniałych *tartes*, o mój Boże, *aux fraises*, z truskawkami, *au citron*, cytrynowych, i – ojejku, jejku – tych *aux mûres et framboises*, z jeżynami i malinami...

(Swoją drogą, poproszę po jednej każdego rodzaju).

- Nie, Don.
- Naprawdę musisz mieć jakąś specjalną okazję?
- Tak, to prawda – odparł Henry.
- Na przykład jaką?
- Na przykład taką, że przyjeżdżasz ty z tym swoim słynnym apetytem.

To wszystko gdzieś w nas zapadło i opłaciło nam się; wpłynęło na nasze sylwetki, nasze zdrowie, a na różne subtelne sposoby także na nasze kariery zawodowe.

Tymczasem w naszej ojczyźnie z wyboru nic nie jest już takie samo. Reguła „*plus ça change, plus c'est la même chose*”, im więcej się zmienia, tym bardziej jest tak samo, przestała obowiązywać. Francja ma teraz jedynie trzysta serów, jak słyszałem. Z powodu członkostwa w Unii Europejskiej ograniczono długą sjęstę, na czym ucierpiały małe bistra, niektóre wręcz zniknęły. Kobiety, które tak podziwiamy za wiedzę i kulinarny *savoir-faire*, kręcą głowami i twierdzą, że idealizujemy rolę, której chętnie by się wyrzekły. Nie odzwierciedla ona rzeczywistości Francji, gdzie kobiety zaczęły dłużej pracować parędziesiąt lat temu. Pamiętam narzekania Gwened, sprzed bodaj dwudziestu lat, w związku z koniecznością dążenia do francuskiego ideału kobiety. Nasze przyjaciółki nadal oburzają się na tę presję.

W tym samym czasie w Stanach stosunek do jedzenia i diety zmienił się dramatycznie – te zmiany idą w ekologiczną, opartą na składnikach, nawet jeśli niekoniecznie francuską stronę – podczas gdy w Europie McDonaldsy i Burger Kingi dokonały prawdziwej inwazji. Na szczęście na naszej wyspie nie widzieliśmy jeszcze żadnego fast foodu ani otyłego *ilien*.

C'est la même chose, znowu to samo: Francuzka, nawet zmęczona, w kuchni nadal zdoła nas wszystkich pobić na głowę.

.

Wobec takiego zaplecza, jakie Mindy ma na Belle-Île, dziennikarstwo ekologiczne służy jej doskonale. Łącząc nasz idealizm rodem z lat sześćdziesiątych z pisaniem, pozwala jej także zrobić użytek ze studiów prawniczych bez mordęgi praktyki adwokackiej. Doskonale pasuje również do jej obsesji Matki Tygrysy związanej z tym, co dokładnie trafia gdzie: substancje chemiczne do ryb i kobiecego mleka, pestycydy do soku jabłkowego i jedzenia dla niemowląt, hormony do szamponów, a herbicydy do genetycznie modyfikowanych roślin i tak dalej.

Przenosząc się z organizacji The Trust for Public Land (TPL) do Natural Defense Council (NRDC), a stamtąd do Mothers & Other for a Livable Planet (zanim zaczęła działać na własny rachunek), Mindy ściśle współpracowała z naukowcami i badaczami oraz z prostymi rolnikami dosłownie na polu. Zajmowała się ekologią globalną, lokalną i wielkomięjską; współpracowała z Kennedyami i Rockefellerami, z Marthą Stewart, a zwłaszcza z Meryl Streep, współfundatorką jej biuletynu. Upodobanie do przesiewania i harmonijnego łączenia wkładu tych wszystkich ekspertów i praktyków zyskało jej ogólnokrajowy szacunek.

Wiedziemy więc ekologiczne życie. Nie w takim sensie, że raz w roku obchodzimy Dzień Ziemi i tak dalej, jak specjalne wydania mainstreamowych magazynów (które często proszą wtedy Mindy o jakiś artykuł), ale w sensie świadomej codziennej praktyki. Dla mnie spoko. Jasne, swego czasu męczyło mnie trochę to ciągle maglowanie o wybory przy zakupie jedzenia – i wykłady w trakcie posiłków – ale teraz jestem już naprawdę na poziomie. Możecie mnie spytać o cokolwiek. Śmiało, choćby o mój tyłek. No więc używam takiego specjalnego francuskiego kremu...

Jedynie na Belle-Île możemy – Mindy też – odpuścić sobie tę ciągłą czujność i stawianie pytań. Ryby biorą się prosto z morza, jagnięcina z okolicznych łąk. Nawet wołowina (której Mindy unika) pochodzi od tutejszych byków. Na szczęście pozwala mi od czasu do czasu pogryźć *contre-filet*, kotlet z krzyżowej, żeby nie osłabiły mi się siekacze. Do tego tanie organiczne warzywa z gospodarstwa w Kerzo albo z ogrodu Gwened i tyle *cidre brut biologique*, ile tylko zdołamy wypić. No, to się nazywają prawdziwe wakacje.

Pobyt na Belle-Île przypomina odwiedziny jakiejś dysydenckiej zielonej republiki. No dobra, Francuzi nadal palą, ale pracujemy nad tym.

.

A jeśli chodzi o przełom czy też ewolucję mojej własnej kariery? *Gorąca woda* otworzyła przede mną wiele drzwi. Kiedy mój były kolega z pracy, Tom, poznał mnie z Evanem, który odchodził z dość tajemniczej, ale z pewnością bardzo ekskluzywnej posady w Condé Nast, właśnie moja powieść przesądziła sprawę. Ona sama i recenzja w „Washington Post”.

Przeszedłem w związku z tym przez HR, gdzie pojawiły się pewne wątpliwości co do mojej osoby, widziałem to. Wybierając się na spotkanie z redaktorem naczelnym, zdawałem sobie sprawę, że nadal brakuje mi tego wewnętrznego *je ne sais quoi*, „czegoś”, by być wielkim człowiekiem należącym do Krainy Eleganckiej Czerni. Popatrzyłem na Mindy. Skinęła głową. Przyszła pora na garnitur.

Złożyłem mój los w ręce pana Agnès B. Homme, który sunął Madison Avenue niczym płaska, czarna, matowa sylwetka. Wysiadł z windy na dwudziestym drugim piętrze i podobno zauroczył wszystkich. Miałem na sobie ten garnitur może drugi czy trzeci raz, trochę mnie cisnął w pasie i w kostkach, ale opinał pierś i ramiona niczym spandex.

Moim zadaniem jako redaktora miało być czytanie książek. Wyborowe czytanie książek. Garnitur wciąż leżał jak ulał. No, aż wreszcie uzbierało się tych długich literackich lunchów i nagle, *malheureusement*, strzelił guzik i musiałem nabyć coś obszerniejszego, żeby pomieścić cały ten nadmiar.

LA FONTAINE WALLACE

Wiosną naszego trzynastego roku na wyspie podjęliśmy ważną decyzję o zainstalowaniu kranu na zewnątrz, by móc oplukiwać nogi z piasku po powrocie z plaży i podłączyć wąż do podlewania ogrodu, a także zmywać kombinezony piankowe i deski surfingowe. Mindy wezwała hydraulika. Pierwszego lata po podjęciu tej decyzji fachowiec prawie przyszedł. Następnego lata już niezupełnie.

Laurent był miłym facetem, rodowitym mieszkańcem Belle-Île, który przejął interes po ojcu, naszym pierwszym hydrauliku sprzed lat. Od czasu do czasu widywaliśmy go surfującego późnym wieczorem po całym dniu pracy w różnych letnich domach na wyspie. Za którymś razem, gdy słońce wisiało już nisko nad horyzontem, a czubki desek surfingowych ząbkowały horyzont niczym płetwy rekina, złożył nam obietnice, które – wiedzieliśmy to wszyscy troje – były niemożliwe do dotrzymania. Po czym odpłynął.

O drugim hydrauliku dowiedzieliśmy się dzięki *maître du bâtiment*, Théophile'owi, który zaczął jako uczeń naszego pierwszego przedsiębiorcy budowlanego, Denisa, a z czasem przejął jego interesy, w tym nasze remonty w zwolnionym tempie. (Tutaj rozlega się głos spikera telewizyjnego: „Trwające już dwadzieścia siedem lat!”) Théophile był młodym człowiekiem z promiennym błyskiem w oczach. Nie byliśmy najlepszymi klientami z finansowego punktu widzenia, a już z całą pewnością nie mogliśmy się przyczynić do propagowania jego renomy jako właściciela rudery, która nadal wyglądała tak, jakby miała lada dzień z powrotem popaść w ruinę.

Ale, zapytał, czy to nie my jesteśmy tymi Amerykanami, którzy wprowadzili surfing na Belle-Île? No, w dzieciństwie Théophile obserwował nas na falach, a teraz on też jest surferem. Czy to prawda, że Mindy pochodzi z Hawajów? *Superbe!* A pan, Don, musi pan wypłynąć na ryby łodzią mojego ojca. Wiemy, gdzie kryją się okonie morskie. Upijemy się i będziemy im śpiewać, aż wyjdą z ukrycia i chwycą nasze przynęty.

Tu nie było żadnej decyzji do podjęcia; od razu adoptowaliśmy się nawzajem.

Ale nawet Théophile nie mógł zdobyć dla nas hydraulika. Pewnego dnia spytał natomiast, czy słyszeliśmy o Nocnym Porsche. O tym, jak późną nocą, na długo po zamknięciu ostatnich restauracji i barów w trzech miastach, co pewien czas osłepiająca smuga światła mknie główną – liczącą całe jedenaście mil – drogą z jednego krańca wyspy na drugi, z Locmarii do Pointe des Poulains. Jak miraż albo srebrny pocisk.

Nadstawilem uszu. Tak, mógłbym przysiąc, że słyszałem przeraźliwe wycie biegów zmienianych w szybkim wozie. To był dla mnie jakże znajomy dźwięk, bo jako dziecko leżałem w łóżku i słuchałem ekstatycznych miłosnych jęków landrynkowych, dwugaźnikowych odjazdowych wozów, które niosły się suchym wybetonowanym korytem Los Angeles River aż z toru wyścigowego Lions Drag Strip w Wilmington.

Przypomniałem sobie pewien późny wieczór na polach w Kerbordardoué, kiedy wyszliśmy obserwować Perseidy. Ale Rory wolał szukać samiczki robaczka świętojańskiego, która każdego lata rozbłyskała w tym samym miejscu, rok po roku wspinając się na to samo źdźbło wysokiej trawy (w każdym razie tak to wyglądało). No i była tam, szykując zabójczy koktajl z lucyferyny i lucyferazy, zapalając starą zieloną latarnię dla kręcących się po okolicy robaczek płci męskiej, gdy nagle smuga światła rozbłysła w oddali niczym pozioma błyskawica: porsche widmo. Albo gigantyczna świetlikowa rywalka.

Théophile'owi powiedziałem, że przypominam sobie, iż widziałem kiedyś, jadąc rowerem przez małe wioski i gospodarstwa, smukłą sylwetkę przykrytą brezentem na czymś zwirowanym podjeździe. Théophile zapewnił, że to nie tylko nocne porsche widmo, ale także porsche pewnego hydraulika. Podał nam jego numer i imię: Benedict.

– Nie pochodzi z Belle-Île – powiedział Théophile, a my zrozumieliśmy, że on rozumie, że zależy nam na tym kranie tak bardzo, że gotowi jesteśmy wykroczyć poza naszą ustaloną wyspiarską sieć fachowców. Ale musimy uważać, żeby sprawa się nie rozeszła, zwłaszcza wśród surferów. Laurent mógłby się poczuć dotknięty. Mogłoby to wpłynąć na jego nastrój w wodzie. I mógłby potem nie przyjść, jak będziemy go naprawdę potrzebowali, nie do czegoś tak błędnego jak kran.

Mindy zadzwoniła i udało jej się oczarować Benedicta, co było nie lada osiągnięciem, zważywszy na niewielki zakres robót. Podejrzewaliśmy, że zgodził się z ciekawości i szykowaliśmy się na typowy dla Belle-Île rytuał długiego i powolnego poznawania się nawzajem, zanim prace hydrauliczne będą mogły się rozpocząć. Napełniłem filtr do kawy i nastawiałem wodę, Mindy postawiła na stole miseczkę ze staroświeckimi kostkami cukru, tak lubianymi przez mieszkańców wyspy, i ciasto z jeżynami, które upiekła poprzedniego dnia. Kiedy ujrzelśmy furgonetkę telepiącą się pod górę i parkującą w bezpiecznej odległości od obory Gwened, westchnęliśmy. Naprawdę mieliśmy nadzieję, że zajedzie do nas swoim porsche.

Benedict był potężny, miał tors rugbisty i dużą, przystojną głowę ze starannie wystylizowaną fryzurą. Charakteryzowała go typowa dla dobrze wychowanych Francuzów rezerwa w kontaktach towarzyskich, która sprawia, że rozmowa jest początkowo sztywna, a potem, bez uprzedzenia rozluźnia się. Z Benedictem ten moment nastąpił po uprzejmym zaproponowa-

niu mu kawy i ciasta, jego trzykrotnej odmowie i ostatecznej kapitulacji – „avec plaisir”, z przyjemnością – ale dopiero, nalegał, po tym, jak zobaczy, co jest do zrobienia.

Zajął mu to w sumie pięć minut łącznie z wyprawą do furgonetki po kawalek rury, narzędzia i palnik butanowy. Następnie uznał, że jednak chce najpierw wykonać zlecenie, a potem dopiero napić się kawy. Zrozumieliśmy, że znów zostaliśmy przechytrzeni, więc Mindy przeprosiła i poszła na górę pisać. Ja siadłem w wiklinowym fotelu, żeby się przyglądać. Nasz syn, wówczas dwunastoletni, rozwiązywał przy kuchennym stole jakiś problem szachowy. Jako że nie byłem w stanie prowadzić rozmowy bez Mindy, która by tłumaczyła i przeproszała w moim imieniu, włączyłem magnetofon.

Benedict, który kłęzczał z kluczem francuskim i szmatką w dłoniach, podniósł głowę.

– Joe Cock-aiiiiiirrr?

– Oui, Joe Cock-aiiiiiirrr.

– *J'aime* Joe Cock-aiiiiiirrr. – Wziął głęboki wdech i potrząsnął głową. – *Pendant vingt ans j'étais un chanteur de rock*. Przez dwadzieścia lat byłem piosenkarzem rockowym.

– *Vraiment? Mais je suis un chanteur de rock!* Naprawdę? Ja jestem piosenkarzem rockowym!

Rory, który mówił już po francusku znacznie lepiej ode mnie, osłupiał wobec takiego rozwoju wydarzeń. Zwłaszcza że, używając wyłącznie czasu teraźniejszego, wmówiłem niechcący Benedictowi, że naprawdę jestem gwiazdą rocka, ukrywającą się przed wielbicielami w tej malej wiosce. Nawet kiedy już to sobie wyjaśniliśmy, wśród gromkich śmiechów, Rory bał się, co będzie dalej: wyczerpujące wykrzykiwanie nazw ulubionych zespołów.

Rolling Stones! *Oui!*

Kinks! *Oui!*

Cream! *Oui!*

Benedict znał je wszystkie i wkrótce raczył mnie opowieściami o swoim życiu w drodze, kiedy jeździł vanem z zespołem i występował w klubach oraz *discothèques* w całej Europie.

Wreszcie wstał i natychmiast dostrzegając akustyczny potencjał naszej wyłożonej płytkami kuchennej podłogi, przyłączył się do mnie w rozbrzmiewającym echem chórk: „*Do you ne-e-ed anybody? I need somebody to love. Can it be-e-e anybody? I want somebody to love*”.

Popatrzyliśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się szeroko: obaj mieliśmy potężne rockowe głosy. Mindy zbiegła w popłochu po schodach, słysząc nasze wrzaski, a Rory zatkał sobie uszy na znak protestu.

W tym momencie my zaczęliśmy wyginać się spazmatycznie, na ugiętych, zwróconych do środka kolanach à la Cock-airrrr i ryczeć: „*I get hi-i-igh with a little he-e-elp from my frie-e-ends...*”.

W końcu mieliśmy kran przed domem. Zostaliśmy także zaproszeni na *apéritif* do domu Benedicta – *un apéro*, tak to nazywają właściciele letnich domów. (Rdzenni mieszkańcy wyspy nie praktykują *apéros*).

Tradycja *apéro* na Belle-Île może sprawiać wrażenie tyranii. Dla wielu właścicieli letnich domów i wynajmujących letników jest to główna forma rozrywki podczas lata – nie tylko ze względu na rozmowy, lecz także plotki dotyczące tego, kto kogo zaprosił. Przez pierwszych osiem lat trwaliśmy w błogiej nieświadomości, ponieważ mieszkaliśmy w takich warunkach, że przyjmowanie gości w ogóle nie wchodziło w grę („Zapraszamy pod szopę Wallace’ów o piątą po południu na orzeszki ziemne i kanapki z serem podawane na frisbee”).

Tych kilka zaproszeń, które musieliśmy przyjąć – od Gwened, Francka i Ines – zostało ostatecznie odwzajemnionych, ale dopiero po latach. Kiedy wreszcie tego dokonaliśmy, zostało to oczywiście dostrzeżone przez tych, którym byliśmy winniśmy *apéro* za jakąś wyświadczoną uprzejmość (pożyczyliśmy mnóstwo rzeczy, począwszy od naszych wypraw na rynek), bo nie mogliśmy odwzajemnić się w inny sposób. Inni, których zaproszenia odrzuciliśmy, teraz przemieśli nas do kategorii pełnoprawnych aperitifowców i zaczęli zastawiać sidła.

To doprowadziło nas do sformułowania koncepcji *apéro* kompensacyjno-zapobiegawczego, takiego który powstrzymałby szerszenie się zranionych uczuć. Ponieważ właściwie wszystkim byliśmy winni *apéro* albo z nim zalegaliśmy, próbowaliśmy je jakoś łączyć, ale wszystkie nasze starania i tak nie wystarczały. To trochę jak z kartą kredytową, odsetki rosną, mimo że ze wszystkich sił staracie się ją spłacić.

Problem stanowiło podobieństwo *apéros* z Belle-Île do pewnego rytuału niektórych plemion indiańskich z północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku, ceremonii rozdawania podarków. W pokoleniu moich rodziców „drinki w domu”, które pamiętam z dzieciństwa – a ostatnio wróciła na nie moda dzięki retransmisjom starych programów telewizyjnych – wymagały jedynie spartańskiego, acz wyczerpującego zestawu martini, orzeszków ziemnych, oliwek, krakersów i koreczków serowych. W obecnych czasach wystarczy spotkać się w barze albo ewentualnie wypić razem piwo na tarasie. Otwiera się do tego słoiki z salsą i paczki czipsów.

Taka niefrasobliwość na Belle-Île jednak nie przejdzie. Z bardzo nielicznymi wyjątkami, jak Le Vic i jego żona Yvonne, których *soirée* stanowią wzór umiarkowania, ponieważ po nich następuje prawdziwa kolacja, *apéro* to na ogół niekończący się szturm przekąsek i przysmaków, zarówno prostych, jak i wyrafinowanych, ciągnący się godzinami i niejednokrotnie przedłużający się w wyniku połączenia konkurencyjnych *apéros* wydawanych przez innych mieszkańców wioski albo wręcz innych osad. Kiedy taki wieczór *apéros* się rozpocznie, nie sposób się z niego wyplątać, dopóki ostatnia puszka sardynek w samym kącie spiżarni nie zostanie otwarta kozikiem laguiole, i można uważać się za szczęściarza, jeśli nikt się przy tym nie skaleczy.

Na tym etapie naszej historii, w Sezonie Kranu Przed Domem, rozumieliśmy już, że głównym niebezpieczeństwem *apéro* jest – niespodzianka! – następny poranek. Tej opieszałości i inercji, która następuje po, nie da się pogodzić z naszym planem, by maksymalnie wykorzystać letnie osiemnaście godzin słońca na Belle-Île. *Apéro* kolidował także z surfowaniem, gdyż w bezwietrzne wieczory fale, choć nieprzewidywalne, bywały wspaniałe.

W przypadku Benedicta wiedzieliśmy jednak, że nie możemy się wymówić. Oczywiście wybrany wieczór był idealny, gorący i spokojny. Naturalnie nasi wyspiarscy przyjaciele surferzy

wszyscy stali w zwartym szeregu między klifami Donnant. A gdzie my byliśmy? Wystrojeni i terkoczący naszym gruchotem renault w poszukiwaniu dobrze schowanego domu w innej wiosce. Znaleźliśmy go wreszcie dzięki okrytej szarym całunem sylwetce porsche na zwirowanym podjeździe.

Dziewczyna Benedicta, Annette, zaprowadziła nas do stołu w ogrodzie za domem, zastawionego kieliszkami i mnóstwem talerzy z przystawkami. Zmysłowa blondynka, która miała w sobie coś z Marii Antoniny bawiącej się w mleczarkę w Wersalu, odsoniła całą tacę z wędlinami. Godzinę później nadal podawano nowe dania, niektóre wyjmowane prosto z piekarnika. Benedict i ja przerzucaliśmy się urywkami piosenek. Po dwóch godzinach Mindy usiłowała dać do zrozumienia, że naprawdę powinniśmy już iść. „Ale zaczekajcie! – wykrzyknął Benedict. – Szampan!”. Przez chwilę stał w słońcu i wystrzelił z rozbryzgiem piany. Idealny napój dla hydraulika, zgodziliśmy się wszyscy.

Po trzech godzinach usiłowaliśmy trafić do wyjścia. „Syn na nas czeka” – tłumaczyliśmy błagalnie. Ale Francuzi nigdy nie dają się nabrać na coś takiego. Wszyscy się śmialiśmy. Nie, zgodziliśmy się, pewnie jest zachwycony, że może przebywać na dworze w tym niekończącym się zmięczeniu i chodzić z *apéro* na *apéro* z kolegami z wioski. Benedict podniósł dłoń, by przykuć naszą uwagę. „A teraz pora, żebyście zobaczyli...”. Gestem wskazał sypialnię. Zarumieniliśmy się. Annette pociągnęła za aksamitny sznur i rozsunęła purpurowe zasłony.

To była wizja starożytnej Grecji prosto z reprodukcji Maxfielda Parrisha, która wisiała na ścianie gościnniej sypialni w domu mojej babki, fresk przedstawiający błękitne niebo i puszyste różowe chmurki o wschodzie słońca, a po obu stronach prawdziwe jońskie kolumny w formie *bas-relief*. A za tym wszystkim, w głębi, wysoka na trzy metry różowa muszla z gipsu, której podstawa kończyła się przy złotych kurkach i kranie wanny z hydromasażem, prawdziwego jaccuzzi.

– *Pour l'hiver* – powiedział Benedict. Na zimę. Mrugnął do Annette.

– *Elles sont longues, les nuits* – zgodziła się Mindy i zachichotała. Zimowe noce faktycznie są długie.

– Kąpiel z bąbelkami – powiedziała Annette. – Jak szampan?

– *Avec champagne, parfait* – odparłem. – *Parfait pour un chanteur de rock*.

– Tylko nic mi tu nie kombinuj – rzuciła do mnie Mindy. Potem oczywiście musiała to przetłumaczyć, a Benedict obiecać, że sporządzi plany odpowiedniej wanny dla takiego faceta jak ja, czyli dla takiego faceta jak on sam, gościa z potężnym rockowym głosem.

Tym naszym kranem najwyraźniej obudziliśmy jednego ze starych druidycznych duchów wody – i to wcale nie dobrotliwego, ponieważ któregoś dnia, niedługo po *apéro* u Benedicta, zostaliśmy wybudzeni z popołudniowej drzemki przez straszne krzyki pod naszym domem. Zbiegła się cała wioska. Wyszliśmy na dwór i zobaczyliśmy zrozpaczoną turystkę, kobietę o rozwichrzono-

nych włosach, która wynajmowała dom dla siebie i wyjątkowo licznej gromadki dzieci. Stała na palcach przy studni w kształcie ula – tej, która kiedyś była nasza – i zaglądała w jej mokrą ciemność, wykrzykując imię dziewczynki. Szlochając, zaczęła wspinać się po kamieniach, jakby chciała się rzucić w głąb w ślad za, jak zakładaliśmy, utraconym dzieckiem.

To była straszna chwila.

– Mama? – rozległ się cienki, zaciekawiony głosik. Mała dziewczynka wystawiła głowę spod wielkiego, przypominającego namiot krzewu hortensji koło studni. Matka spojrzała na nią i omal nie zemdląła.

Wróciliśmy do domu roztrzęsieni i przed dobrą chwilę przeżywaliśmy ten incydent. Nie myśleliśmy o tej studni od lat. Odkąd nie była już nasza, wtopiła się w pejzaż wioski. Teraz jednak uświadomiliśmy sobie, że, owszem, grozi strasznym wypadkiem. Postanowiliśmy, że następnego dnia porozmawiamy z właścicielem o zainstalowaniu drzwiczek albo całkowitym zagrożeniu konstrukcji.

Następnie Mindy wyraziła obawę, która – musieliśmy to przyznać – mogła przyjść do głowy jedynie Amerykance. Co będzie, jeśli dziecko wpadnie do studni, i *gendarmerie* spyta, do kogo ona należy, a nasz sąsiad zrobi w tył zwrot i przysięgnie, że jest nasza? Co będzie, jeśli jakiś turysta napije się zanieczyszczonej wody i zachoruje? A jeśli nas pozwą do sądu? No bo kogo pozwą – Francuza czy Amerykanów?

Warto być może wspomnieć, że Mindy ma wykształcenie prawnicze i zrobiła w Kalifornii aplikację. Chociaż nigdy nie praktykowała w zawodzie, była, jak to się mówi, uczulona na pewne sprawy. Wiedzieliśmy, że Francuzi nie mają skłonności do procesów sądowych. Ale czemu nie mielibyśmy się zabezpieczyć, skoro już wyrzekliśmy się studni?

Postanowiliśmy nie iść z tym do merostwa. Natomiast ostatnio otrzymaliśmy zawiadomienie, że nasz dawny agent ubezpieczeniowy, którego nigdy nie poznaliśmy, przeszedł na emeryturę i przekazał naszą polisę niejakiemu panu Grancoeur. W przeciwieństwie do swego poprzednika Monsieur Grancoeur napisał do nas osobisty list, życząc nam wszystkiego najlepszego i wyrażając nadzieję, że wkrótce go odwiedzimy.

Zresztą i tak powinniśmy się z nim spotkać, wyznał, żeby porozmawiać o naszym samochodzie, pierwszym, jaki kupiliśmy we Francji. Moglibyśmy ubezpieczyć auto, zaspokoić ciekawość co do tego, dlaczego nasz poprzedni agent zawsze zamieszczał krowę w zakresie naszego ubezpieczenia domu, a także znaleźć jakiś sposób, żeby zastrzec w naszej umowie, że nie jesteśmy właścicielami studni – „Nie, proszę pana, i nigdy nie byliśmy”.

Biuro pana Grancoeur mieściło się na nabrzeżu w Le Palais, wychodziło na drugi basen portowy, a także miało niezakłócony widok na ogromną Citadelle Vauban, wielką fortecę w kształcie gwiazdy. Mała kafejka dla marynarzy była jak zwykle pełna mężczyzn o czerwonych twarzach i szczeciniastych policzkach oraz kobiet o czerwonych twarzach, w słomkowych kapeluszach i wełnianych swetrach w wypukłe wzory. Na witrynie obok oskubane kurczaki skwierczały i brązowiwały w sztucznym słońcu.

Nasze nieśmiałe wejście do biura zostało entuzjastycznie przyjęte uniesieniem dłoni przez wąsatego *Belliloise* siedzącego w głębi, podczas gdy kobieta, zajmująca biurko z przodu, ze wszystkich sił starała się powstrzymać uśmiech. Miała taką minę, jakby czekała na tę chwilę.

My nie musieliśmy długo czekać. Z wielką pompą i mówiąc po francusku najszybciej ze znanych mi osób, Monsieur Grancoeur usadził nas w fotelach i od razu przeszedł do rzeczy. Czy przyjmujemy dziś zaproszenie na kolację? Nie, no to może jutro? No dobrze. W takim razie w niedzielę. Jesteśmy umówieni. Jego żona, Marianne, przyrządzi rybę, może turbotę, a może *lotte*. Och, ależ ona gotuje! Grube czarne brwi mężczyzny unosiły się i opadały przy każdym z tych wyznań.

– Czy łowi pan z łaską? – zapytał mnie w wysilonej angielszczyźnie. Wobec mojego zdumienia uśmiechnął się: – Może nie jest pan jeszcze taki stary. A z tyczką?

Po czym zaczął się rozpyliwać nad zarzucaniem wędki z klifów tam, gdzie rozbijają się fale. To jest dopiero łowienie.

W końcu przeszliśmy do naszej polisy. W ciągu poprzednich trzynastu lat po prostu płaciliśmy składki i trzymaliśmy dokumenty w teczce, nie wiedząc nawet dokładnie, co zawierały, poza tym, że była tam zagadkowa wzmianka o krowie. To było pierwsze ubezpieczenie w naszym życiu i nadal zresztą nasze. (Innymi słowy, byliśmy idiotami).

Ale Monsieur Grancoeur zaczął nam tłumaczyć, jak moglibyśmy oszczędzić pieniądze, cmo-kając z dezaprobatą na brak wyobraźni swojego poprzednika. Naszą roczną składkę, i tak już dość rozsądną, łatwo można było zmniejszyć. Samochód, skoro jeździliśmy nim trzydzieści dni albo i mniej rocznie, mógł być ubezpieczony na zasadzie pro rata. Jeśli obiecamy, że nigdy nie wywieziemy go z wyspy, możliwa będzie specjalna zniżka. *Voilà!* Mindy i ja popatrzyliśmy na siebie ośnieni. To wszystko i jeszcze zapraszał nas na kolację.

Wreszcie Mindy nie mogła dłużej wytrzymać i poruszyła kwestię krowy w ramach wstępu do problemu studni. Monsieur Grancoeur zbył krowę machnięciem ręki. To był automatyczny zapis, wyjaśnił. Do każdego domu przynależała krowa, ponieważ wszyscy potrzebowali mleka i masła. Cząsy się zmieniły, ale podstawowa polisa nie. Zawahał się.

– Chcą państwo wydzierżawić pole? – spytał. Bo wie, gdzie mógłby nam załatwić krowę. Potrząsnęliśmy głowami.

Rozległ się dźwięk dzwonka. Następny klient przyszedł na umówione spotkanie. Mindy spojrzała na mnie pytająco. Pokręciłem głową: nie. Nie byłoby właściwe wyskakiwać teraz ze studnią. Mindy przytaknęła. To nie byłoby *sympa*. To wielofunkcyjne słowo, często używane na Belle-Île, oznaczało zarówno takt, jak i hojność, czyli dokładnie to, co właśnie wykazał wobec nas Monsieur Grancoeur.

Nigdy nie odzyskaliśmy więc studni, ani też nigdy tak naprawdę się jej nie pozbyliśmy. Stała się legendą zanurzoną w pogmatwanej historii wyspy. Pewnego dnia nikt już nie będzie jej pamiętał ani się nią przejmował. A może kiedyś pojawi się na mapie jako układ kresiek. „*Puits et chanteur*”, „Studnia i piosenkarz”. Ciągle uczyliśmy się go od nowa, ale takie było życie w Kerbordardoué.

Pod koniec lata fale zrobiły się dobre i takie zostały. Podobnie było dwa lata wcześniej, w pierwszym roku, kiedy to zapomnieliśmy o bożym świecie i żyliśmy jak wodne szczury. Dla naszych paryskich przyjaciół z Belle-Île zmiana, jaka zaszła w nas teraz, była niepokojąca i nieprzewidywana. Ponieważ w ciągu poprzednich piętnastu lat, kiedy staraliśmy się remontować dom, byliśmy poważnymi, uprzejmymi, pełnymi szacunku frankofilami, i nie poznawali tych dzikich nowych Wallace'ów. W swojej niefrasobliwości odrzuciliśmy uroczne zaproszenie pana Grancoeur na kolację i wcale nie odwzajemniliśmy zaproszenia na *apéro* Benedicta i Annette. Mówiliśmy sobie, że nadrobimy to w przyszłym roku. Tak się jednak nie stało.

Surfing był naszym szaleństwem w domu i nigdy nie sądziliśmy, że przeniesiemy je na Belle-Île. A teraz z jego powodu zachowaliśmy się nieprzyzwoicie. Ciężko nam to okropnie. Obiecypaliśmy sobie, że poprawimy się w przyszłym roku.

Ale w przyszłym roku zdarzył się jedenasty września i nie przyjechalśmy.

Rok później, rano 11 września 2002 roku, siedzieliśmy przy kuchennym stole w Kerbordardoué. Oboje z Mindy byliśmy w rozsypce. Przez tyle czasu żyliśmy z zapachem i widokiem Ground Zero, że postanowiliśmy wyjechać z naszej okolicy. Również Rory bardzo potrzebował odmiany, ponieważ na początku roku stracił najlepszego przyjaciela w liceum Hunter College, który zginął w wypadku drogowym na Queens Boulevard. Inny bliski przyjaciel ze szkoły, Sam, jechał z nami, podobnie jak Devo.

Kiedy wreszcie nadszedł dzień wyjazdu, byliśmy złaźnieni Belle-Île. Ale po dwóch krótkich tygodniach chłopcy wyjechali, skracając sobie wakacje. Stosując się do naszych pieczołowicie wypisanych wskazówek (taką mieliśmy nadzieję), wyruszyli do Paryża i do Stanów. Nic się nie da zrobić, kiedy już wejda w ten wilczy nastoletni wiek. W każdym razie tak sobie wmawialiśmy.

Wpatrywaliśmy się w naszą kawę i w okłapy bukiet, który Mindy zebrała poprzedniego dnia. Trochę rozmawialiśmy, uroniliśmy kilka łez. I nagle nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia.

Pukanie do drzwi. „Uhhh”... Towarzystwo? Tak wcześnie? Pewnie jacyś chłopcy chcą pożyczyć wioskowe berło – kuszę Rory'ego. Wstałem i poszedłem otworzyć. Za drzwiami stał Monsieur Grancoeur, w marynarce i pod krawatem, policzki miał świeżo ogolone, w jednej ręce trzymał obfitość dumy Belle-Île, a w drugiej butelkę wina.

– Proszę – powiedział – przyjąć kondolencje od Francji.

Nie było mowy, żebyśmy mieli zawalić ten *apéro*. Z samego rana pojechalśmy na targ (nie zatrzymaliśmy się nawet, żeby sprawdzić fale) i udało nam się zdobyć małe świeże kozie serki

z Sauzon, „Chèvres Amoureux”, we wszystkich rodzajach: *ciboulette*, ze szczypiorkiem, z czarnym pieprzem, z papryką, z rozmarynem. Nie dzień, lecz całe trzy dni wcześniej Mindy poszła do Hôtel du Phare i odważyła się wejść do kuchni pod schodami. Tam kupiła tyle *langoustines*, że można było nimi zapełnić trzy dodatkowe *plateaux de fruits de mer*, tace z owocami morza. Poprosiliśmy naszych psychiatrów, żeby nam polecieli dobre wina.

Parka awokado wyszła z ukrycia, żeby Don mógł przyrządzić swoje słynne guacamole. Druga fala, w tym kotlety jagnięce, trafi na ruszt dokładnie godzinę dwadzieścia przed godziną zero. A to była tylko ciężka artyleria. Mieliśmy lepkie serowe krążki z supermarketu. Mieliśmy rozmaite cuda i frykasy, jakie tylko Francuzi mogą wymyślić. Mieliśmy pasztet z homarów z Quiberon, pasztet z makreli, pasztet z sardynek...

Godzinę przed planowanym przyjściem pana Grancoeur oraz jego żony i znakomitej kucharki, Marianne, usłyszałem przeraźliwy krzyk Mindy z piętra, dokąd poszła, żeby raz jeszcze przemyć szczotką muszlę klozetową. Popędziłem na górę i zobaczyłem, że Mindy kuli się w drzwiach, wokół jednej ręki owinęła ręcznik kąpielowy i usiłuje pod jego osłoną podejść do gejzeru wody wystrzelającego z muszli klozetowej i rozbryzgującego się o świetlik oraz wyłożony lakierowanym drewnem sosnowym sufit.

Wyłączenie wody w całym domu zajęło mi tylko minutę. Do przybycia gości mieliśmy jeszcze pięćdziesiąt dziewięć minut, więc Mindy pobiegła do Gwened, żeby skorzystała z jej telefonu i zadzwonić do Laurenta, hydraulika, przed którym – jak nam poradzono – mieliśmy ukrywać nasz kran przed domem, w obawie, że już nigdy nie przyjedzie do nas w potrzebie. Chwilę później wróciła zdyszana.

– Nie odebrał oczywiście. Jest niedziela.

– Dobra. No to po prostu nie będziemy mieli wody.

– Marianne będzie chciała skorzystać z łazienki. Ja też.

– Słuchaj, Gwened zrozumie...

– Ona wydaje własny *apéro*. Nie była zachwycona, kiedy poprosiłam o możliwość skorzystania z jej telefonu. Jeśli zaczniemy wysyłać obcych ludzi, żeby u niej sikali...

Oboje wiedzieliśmy, jak spadłyby nasze notowania w wiosce. Mindy patrzyła na starannie nakryty stół przed domem, na dwa stoliki w środku, jeden zastawiony butelkami i kieliszkami, drugi talerzami i koszyczkami.

– Zadzwonię do Benedicta.

I wtedy dotarło do nas: *apéro*, którego nigdy nie odwzajemniliśmy. Te spojrzenia: „Czy to oni?”, jakie Benedict i jego żona rzucali nam na plaży.

– Jak możesz? – wyjąkałem. – Nie rozmawialiśmy z nim od wieków. Nigdy nie zgodzi się nam pomóc!

Bez słowa Mindy zeszła na dół do Vicomte’a, żeby zadzwonić. Pięć minut później była z powrotem.

– Już jedzie.

– W niedzielę? Żaden hydraulik w historii... Jak zareagował?

– Życzliwie. Uprzejmie.

Przyjechali niemalże równocześnie. Najpierw chrapliwy szum i jedwabista zmiana biegów. Srebrne porsche skoczyło na górę niczym pantera i przycupnęło na placu. Następnie powściągliwy citroen zaczął wdrapywać się uliczką, z trudem przeciskając się między kwiatami. Gdy witaliśmy się z Benedictem, wdając się w niezręczne wyjaśnienia zaniedbań i towarzyskiej opieślności z minionych trzech lat, podeszli państwo Grancoeur. Ponieważ Benedict był w niedzielnym stroju, wzięli go za gościa. Niezręczność jeszcze się spotęgowała.

Benedict i pan Grancoeur rozpoznali się i odnosili do siebie z zawodową uprzejmością, podejrzewałem jednak, że nasz agent ubezpieczeniowy był rozczarowany. Ze wszystkich osób, które mogliśmy zaprosić razem z nim, akurat hydraulik. Mieliliśmy przyjaciół wśród psychiatrów, profesorów, artystów, kuratorów muzealnych, prawników i tak dalej. Czy naprawdę sądziliśmy, że jedynymi osobami, z którymi on, Grancoeur o wielkim sercu, mógł czuć się swobodnie, byli...

Ale Benedict do tego nie dopuścił. „Oczywiście, mnie również miło pana widzieć, panie Grancoeur, ale jeśli wybaczą państwo, że przeszkodzę w imprezie, muszę skoczyć na górę w związku z małą awarią”. Kiedy Mindy i ja włączyliśmy się z opowieścią o naszej wodnej katastrofie, zapanowała wesołość, wywołując kaskadę podobnych opowieści i czułych wspomnień. Jestem pewien, że Benedict mógłby nas wszystkich przebić jako maestro, znawca WC. Ale on ograniczył się do roli arbitra, stał ze skrzyżowanymi ramionami, chichocząc i od czasu do czasu wtrącając fachową uwagę.

Cóż się takiego zdarzyło? Nastąpił pokaz dobrych manier. Gdyby tylko szczerść, a także, nieco paradoksalnie, artyzm, z jakimi nienaganny Benedict i wylewny Grancoeur z miejsca zostali kolegami, można było zapakować i przesłać do Ameryki!

Wzruszywszy ramionami i odrzuciwszy propozycję wypicia lub zjedzenia czegokolwiek, Benedict udał się na górę ze swoją płócienną torbą. Usiłowałem iść za nim, czując się zobowiązany asystować mu na wypadek, gdyby moja pomoc okazała się potrzebna. Ale machnięciem ręki kazał mi wracać na dół.

– *C'est votre apéro* – powiedział surowo. *Show must go on*, gwiazdorze rocka.

Apéro dopiero się rozkręcał, gdy Benedict zszedł na dół.

– *Voilà* – oznajmił. – *La Fontaine Wallace est complète*.

– *La Fontaine Wallace!* – wykrzyknął pan Grancoeur. Zacisnął powieki. – *Parfait! Vraiment, c'est la Fontaine Wallace*.

Jego żona chichotała niepohamowanie.

Spojrzałem na Mindy.

– Nie rozumiem. Co w tym śmiesznego?

Benedict, pan Grancoeur i Marianne ryczeli ze śmiechu. Pan Grancoeur wręczył Benedictowi kieliszek i nalał mu szampana – przywiózł ze sobą cały wózek z winami i osobne roczniki na każdy etap naszego – jak sądziliśmy – *apéro*.

– Niech pan zadzwoni do żony – powiedział. – Musi spróbować tego szampana.

Annette przyjechała furgonetką w doskonałym czasie. Impreza rozkręcała się, każdą falę jedzenia witano okrzykami i pochlaniano ze smakiem. Chyba robiliśmy sporo hałasu, ponieważ ciągle strumień sąsiadów, którzy nie mieli własnych *apéros*, sunął uliczką tylko po to, żeby zajrzeć do środka i pomachać nam przez szeroko otwarte okna. Zmierch przywdział swoje purpurowe aksamitne szaty (chyba że były to plamy, które latały mi przed oczami po doskonałym burgundzie pana Grancoeur).

W pewnym momencie goście wychodzący od Gwened przeszli pod naszymi oknami niczym dziesięciu małych Indian, jeśli zastąpić pierzaste pióropusze identycznymi fryzurami z salonu fryzjerskiego w Le Palais; wszystko były to panie w pewnym wieku, nieskazitelnie ubrane, może trochę sztywne. Skinęły głowami, uśmiechnęły się i pomachały nam dyskretnie. Odma-chaliśmy im znad szeregu pustych butelek.

– Madame Guedel pomyśli, że jesteśmy pijani – powiedziała Mindy po francusku.

– *Ainsi nous sommes!* – odrzyknęliśmy. Bo też jesteśmy!

Wyskoczył korek kolejnego szampana.

– *La Fontaine Wallace!*

Nawet *apéro* musi się kiedyś skończyć. Nasz dobiegł końca po kilku falstartach. O północy zmywaliśmy i wrzucaliśmy śmieci do worków, gdy rozległo się pukanie w okno. „O Boże” – jęknęła Mindy, ale kiedy zobaczyliśmy ciekawskie twarze Céleste i Henry’ego przyciśnięte do szyby, musieliśmy się roześmiać. Kto lepiej zanalizuje tę imprezę niż nasi własni psychiatrzy?

Wpadli do środka, od progu zasypując nas pytaniami: „Jak było? Cała wioska mówi o naszym *apéro*. Czy pan Grancoeur jest naszym agentem ubezpieczeniowym? Cieszy się na wyspie opinią prawdziwego smakosza. A właściciel porsche, kto to był? Bardzo szykowny facet. Wasz hydraulik? *Non, non*, żartujecie sobie. Jeździ porsche?”

Mindy próbowała wyjaśnić. „Benedict przyjechał do naszej...” „*Fontaine Wallace*” – przerwa-
łem.

Henry i Céleste popatrzyli na nas z szacunkiem. Oczywiście, *La Fontane Wallace*. Bardzo ważna część francuskiego dziedzictwa narodowego.

– O rety, spójrz na tę etykietkę! – wykrzyknęła Céleste do Henry’ego, podnosząc jedną z butelek, które wkładała do czarnego worka na śmieci. – Czy pan Grancoeur jest kolekcjonerem? Ten rocznik jest bardzo rzadki. Niesamowite.

Kiwnęła głową z uznaniem.

– Mielście bardzo udany wieczór. Wielki sukces towarzyski.

Mindy i ja popatrzyliśmy na siebie. Jak my to im wytłumaczymy?

– *Où est votre Fontaine Wallace?* – zapytała Céleste. Minę miała poważną i zachwyconą. Chciała zobaczyć, gdzie jest nasza „fontanna”?

Chaotyczna rozmowa, jaka nastąpiła potem, brzmiała mniej więcej tak:

– Céleste, Henry... Może ty pomożesz mi to wytłumaczyć...

– Tak, tak, Mindy. Tak, Don, o co chodzi?

– No więc, zepsuła nam się dziś muszla klozetowa. Coś pękło i woda wystrzeliła w górę, jak... szampan z butelki.

– Och, ale to okropność! I to przed waszym *apéro*? Ale zakręciliście wodę. Może uda wam się ściągnąć hydraulika w ciągu paru dni. Są niemożliwi w wakacje. Ten młody Laurent jest zupełnie niesolidny, gorszy niż ojciec.

– Prawdę mówiąc, Céleste, udało nam się ściągnąć hydraulika.

– W niedzielę? W życiu! Laurenta? Ale wy jesteście surferami, więc to wasz przyjaciel. To wszystko wyjaśnia.

– *Non, non*, Céleste... Widzisz, Benedict naprawdę jest hydraulikiem. I jeździ porsche.

Cisza.

– Hydraulik z porsche – odezwał się wreszcie Henry. – Wszystko się zgadza. Psychiatrzy nie mogą sobie pozwolić na taki wóz.

Henry i ja zbieraliśmy puste butelki i ustawialiśmy brudne naczynia przy zlewie, gdzie Céleste i Mindy zajmowały się ich myciem i wycieraniem. Kiedy wszystko było już sprzątnięte, stoliki wytarte do czysta, tak by lśniły w zbliżającym się szybko świetle poranka, a ogromne worki ze śmieciami stały przy drzwiach, usiedliśmy, żeby napić się whisky.

– *La Fontaine Wallace*? – zagadnęła Céleste, która nigdy nie zostawiała żadnego niezbadanego gruntownie wątku.

– Tak Benedict nazwał naszą eksplodującą muszlę klozetową – powiedziała Mindy.

– Ależ oczywiście – wykrzyknął Henry. – Teraz wszystko stało się jasne.

– Naprawdę? – spytaliśmy.

– Tak, oczywiście – odparła Céleste, mrugając okiem.

– Coś przed nami ukrywacie! – wykrzyknęła Mindy.

– To prawda – przyznała Céleste.

– Wyjawienie tego wszystko by zepsuło. – Henry przybrał minę smutnego klauna. – Zresztą wioska potrzebuje jakiejś tajemnicy. W tej chwili Kerbordardoué nie ma nic szczególnego, żadnych osobliwości.

– Poza kwiatami – dodała Céleste.

– Poza kwiatami – powtórzył Henry.

Céleste uśmiechnęła się.

– A teraz jeszcze *La Fontaine Wallace*.

Mindy i ja drapaliśmy się po głowach. Wciąż jeszcze nie zrozumieliśmy tego dowcipu.

.

Rano, kiedy nie mogłem dłużej znieść tej niewiedzy, zszedłem z kawą na dół do Vicomte'a i przyłączyłem się do dawnego bohatera wojennego, jego żony, ich synów, i ich dziewczyn, którzy siedzieli w słońcu na wyłożonej łupkowymi płytkami werandzie. Rozmawialiśmy o naszym *apéro* i o *apéro* Gwened, a także o satysfakcji z ujrzenia tajemniczego Nocnego Porsche,

zaparkowanego na naszym własnym wioskowym placu. Le Vic usłyszał moje niepewne pytanie i wysłał jednego z synów do domu po jakąś książkę. To był staroświecki album z kolorowymi ilustracjami dla znawców architektury. Le Vic przerzucił kilka stron, a potem jeszcze kilka.

– *Et voilà!*

Przeglądałem kolejne ilustracje ukazujące znajome eleganckie żeliwne paryskie wodotryski z wodą pitną, zaprojektowane, jak głosiły podpisy, przez niejakiego sir Richarda Wallace’a i ofiarowane przez niego mieszkańcom po niemieckim oblężeniu w roku 1871, po to, żeby biedni mieli dostęp do czystej wody. Za to sir Richard był słusznie czczony.

No i tajemnica się wyjaśniła. Przynajmniej nasz znamienity wodotrysk miał znakomity rodowód.

– Czy jesteście spokrewnieni? – zapytała żona Vicomte’a, Yvonne.

Korciło mnie, żeby przytaknąć. To był niewinny sposób na przydanie sobie odrobiny odbitej chwały w mojej przybranej ojczyźnie. No bo skąd mogłem mieć pewność, że tak nie było? Ale Mindy zawsze mnie beszta za moją skłonność do koloryzowania, więc pokręciłem głową. Nie.

– Tak też myślałem – burknął Le Vicomte po francusku. – Był nieślubnym synem markiza Hertford, jak mi się zdaje. To był wielki kolekcjoner, ten markiz. Nigdy nie uznał syna, ale chłopiec odziedziczył cały majątek, tylko nie tytuł. Podarował miastu te wszystkie wodotryski. W czasie oblężenia nie opuszczał Paryża. Ufundował muzeum w Anglii.

– Nie martw się, Don – odezwał się syn Le Vica, Thierry. – Nikomu nie powiemy.

– Tak – podchwyciła Yvonne. – Jesteśmy dumni, że mieliśmy tu, w Kerbordardoué, naszą własną *Fontaine Wallace*.

– Choćby tylko przez jeden dzień – dodał Thierry, wydmuchując kółeczko dymu ku błękitowi nieba.

– *C’est vite, la gloire* – podsumował Le Vic. Sława szybko przemija.

TROP BEAU

Beau temps oznacza piękną pogodę, ale także piękny czas.

Najbardziej kocham to, że *beau temps* pojawia się znikąd i bierze człowieka z zaskoczenia. Przerwywasz szorowanie przypalonego garnka w zlewie. „Co to za dźwięk?” I uświadamiasz sobie: „To nic”. Najczystsze nic, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Później tego samego ranka dźwięczą ci w uchu krystaliczne głosy. „Kto to mówi? Gdzie oni są?” Ale nikogo nie widać. Może tylko ci się wydawało. Tak czy owak idziesz dalej i zanurzasz się w *vallon*. Wszystko jest przepełnione światłem. Powietrze robi się wilgotne i promienie słońca lśnią na pajęczynach jak złota nitka.

Po południu zostawiasz oblepiony półmisek po rybie do namoczenia w zlewie i idziesz – z tym samym starym szarym zmywakiem w rękę – otworzyć drzwi. Ciągnie cię, żeby wyjść na zewnątrz i stanąć na tej jednej, jedynej płycie chodnikowej, porośniętej mchem po brzegach. Ziemia jest tu mokra niczym źródółko (od lilii, które zasadziła Suzanne). Cała wioska pogrążona jest w głębokiej ciszy. Nawet jaskółki śpią.

„To jest to” – myślisz. Posłuchaj.

Uliczką idzie w dół aktorka filmowa, nucąc coś sobie. Zmieniła się w ciągu ostatnich paru lat. Nie jest już gwiazdką, trzyma córkę za rękę jak każda inna matka. Słynie ze swoich prowokacyjnych ról, z pokazywania nieco ciała i bardzo dużo dekoltu, ale jej ostatnie wybory również sięgają głębiej. Chociaż trochę medialnego szaleństwa towarzyszyło jej rozwodowi z mężem, słynnym reżyserem filmowym, Lukiem Bessonem, tutaj aktorka porusza się swobodnie i bez strachu przed paparazzi.

Uśmiechamy się do siebie. Nigdy nie wspomnimy o tamtym dniu na plaży, kiedy ona przez całe pięć minut leżała na ręczniku obok mnie i spytała, czy nie pomógłbym jej z angielskim. Ach, te wspomnienia... Aktorka idzie dalej, podśpiewując urywek jakiejś popowej piosenki razem z córką.

I to także jest *beau temps*.

Ale nie wszyscy są na wakacjach, nie wszyscy odpoczywają na plaży, nie wszyscy sobie podśpiewują, ponieważ niektórzy muszą pracować. I człowiekowi robi się smutno, i czuje się winny, widząc ich, powiedzmy, w oddali na świeżo wymłóconym polu. Ledwie można dojrzeć samotny stary traktor i jego pług obrotowy, stojące na skraju wąwozu tuż nad morzem.

Ale potem przypominasz sobie, że *beau temps* jest także dla traktorów. Swego czasu zaskoczyłeś chłopca i dziewczynę w kabinie dygoczącego na wciśniętym sprzęgle traktora, bo zrobili sobie przerwę na pocałunek. Kiedyś mijaliś młodego mężczyznę i młodą kobietę, świeżo po ślubie, dzielących pojedyncze siedzonko, z nogami na błotniku, otwierających brązowe torebki z drugim śniadaniem. Kilkakrotnie natknąłeś się na starego gospodarza z Kerhuel, który zabierał z wioski swoją małżonkę od czterdziestu lat na wrześnieją przygodę, przejażdżkę traktorem na sam skraj ich ziemi, żeby zbierać jeżyny z krzaków wyścielających wąwóz.

To wszystko *beau temps*, i wszystko jest dobre.

Ale krótkotrwałe. Nikt, kto ma głowę na karku, nie marnuje *beau temps*. Jak mawia z upodobaniem Madame Morgane: „*On profite*”. Trzeba korzystać.

Korzystać z życia, cieszyć się nim. Ten rodzaj korzyści nie ma nic wspólnego z pieniędzmi, chociaż u jego podstaw jak najbardziej leży kalkulacja finansowa. A mianowicie taka: zapomnij o pieniądzach, skarbie, i *profite*.

.

Budzimy się wcześniej i pędzimy na targ do Le Palais w nadziei, że zdążymy przed sierpniowym upałem i tłumami turystów. Najpierw chcemy kupić *palourdes*, zanim się skończą, witając się z Mamrotem i Bełkotem, jak przezwaliliśmy zataczającą się, zarośniętą parę facetów, których słowa nigdy nie przedostają się całkowicie przez gęste wąsiska. Wydobywają się z nich jedynie alkoholowe opary, od których aż zapiera dech. O ósmej rano są już tak nawaleni, że z trudem odliczają małże, a co dopiero wydawaną resztę.

Następnie odwiedzamy lokalny kąt targu rybnego, żeby sprawdzić, czy jest *lotte* i *bar*, pasiasty okoń, po czym witamy się z wysoką i uderzająco piękną blondynką w żółtym nieprzemakalnym płaszczu do samej ziemi, która oczyszcza sardynki, stojąc na skrzynce. Jest najlepszą na świecie reklamą, ale ma konkurencję: wysoką blondynkę o jasnych jak Dunka włosach, która sprzedaje okonie złowione przez męża. Co za babka! Ona też czyści ryby, jak również obiera je z husek. Obie kobiety są eleganckie i dostojne, lubią odrobinę pikanterii w rozmowie i zawsze trzymają w dłoni ostre, wilgotne noże. Ciskają przez ramię purpurowe rybie wnętrzości nisko latającym za ich plecami mewom – z niefrasobliwością panny młodej, która rzuca bukiet.

Teraz wymykam się na samotne spotkanie z królową kozich serów, która prowadzi mnie przez mój urywany francuski. Mindy wycofuje się dyskretnie z tych naszych *tête-à-têtes*. Jasno dałem do zrozumienia, że moje relacje z królową kozich serów i jej towarami nie podlegają dyskusji. Mindy nie ma zwłaszcza doszukiwać się niczego w fakcie, że okrągłe, cylindryczne sery mojej przyjaciółki, tak świeże, że aż drżą, mają etykietkę z napisem „*Chèvre Amoureux de Belle-*

Île". Ta rogata koza, która spogląda z etykiетки z taką surową miną, chce ci coś powiedzieć, Mindy. Odwal się!

O pół do dziesiątej jesteśmy z powrotem i pakujemy samochód na pierwszą surferską wyprawę tego dnia. Morze jest wzburzone, więc nie zważamy na bolące mięśnie i klucie w łydkach, ból zatok i spieczoną skórę, która przypomina w dotyku chrupiącą skórkę pieczeni wieprzowej. Nie ma czasu do stracenia.

Wywieramy na siebie sporą presję, jak każdego lata, kiedy są dobre fale. *On profite*. Nadal jesteśmy przesądni – pamiętamy pierwsze osiem lat, kiedy, nawet jeśli w wiosce było gorąco i bezwietrznie, na plaży wiał zimny wiatr, a morze było szare i wzburzone. Do tej pory mieliśmy osiem lat ładnej pogody i dobrych do surfowania fal – podejrzewamy, że jeśli nie zareagujemy na wezwanie, fale zginą i już nie wrócą.

To dziwnie przypomina pracę. Żartujemy nawet, że ocean jest naszym biurem. Pewnego dnia, parę lat temu, uświadomiliśmy sobie, że mieliśmy dziesięć dni surfowania z rzędu. Głowy odpadały nam z przemęczenia. Dziesięć dni surfowania nie oznacza godziny czy dwóch surfowania dziennie – na Belle-Île, przy tym nordyckim świetle, które utrzymuje się do dziesiątej wieczorem, może to oznaczać dwa wypadu w ciągu dnia, z których każdy trwa od dwóch do trzech godzin, a między nimi jest tylko przerwa na drzemkę i posiłek.

Oczywiście żaden normalny śmiertelnik nie wytrzymałby takiego tempa. To wymaga prawdziwego poświęcenia. Ale tuż po przyjeździe, na samym początku miesiąca wakacji, przygotowujemy się kondycyjnie. Zwlekamy się z łóżka bladym świtem, a następnie posilamy kawą, smażonymi jajkami i bagietkami posmarowanymi masłem i grubą warstwą jeżynowego dżemu, który Mindy robi w pierwszym tygodniu pobytu.

Po jakiejś godzinie pisania bierzemy się do poganiania chłopców. (Oprócz Deva zazwyczaj towarzyszy nam jeszcze przynajmniej jeden z amerykańskich kolegów Rory'ego, którego rodzice, wolni od zobowiązań, krążą po całej Francji). Podczas gdy Mindy pokrzykuje na nich, żeby zdjęli ze sznurka kostiumy kąpielowe i ręczniki, ja podjeżdżam pod dom poobijanym renault i zaciągam hamulec ręczny. Teraz wyciągamy deski i mocujemy je do bagażnika na dachu. Przy trzech ciężkich deskach przygniatających auto silny powiew wiatru potrafi zadrzeć do góry przednie koła wozu, tak że staje dęba jak ogier.

Parking znajduje się u dołu *wallon*, po jego lewej stronie wznosi się wysokie, porośnięte trawą piaszczyste wzgórze, a dokładnie naprzeciwko rozciąga się może z dziesięć metrów wydmy. Rozładowujemy samochód i objuczeni wlecemy się drewnianym mostkiem nad strumykiem, między zielonym sitowiem i palkami, następnie brniemy wąską drożką przez wydmy. Wyjdziemy nad zatokę. Plaża jest złocista i już ciepła, a mimo to niemal całkowicie pusta. Niech Bóg błogosławi Francuzów i ich sztywne protokoły towarzyskie: pora lunchu musi być należycie przestrzegana. Przyjdą dopiero potem.

Inaczej jest z surferami. Paru z nich już jest w wodzie, kilku przycupnęło na rowerach lub motorynkach, obserwując sytuację z góry, z klifów. Są tacy, którzy nazywają się surferami, ale wolą patrzeć. Nie my.

Pora zacisnąć zęby i wciągnąć na siebie czarną gumę; kombinezony piankowe nadal są wilgotne po wczorajszym wieczorze. Następnie, wśród jęków i pisków, wchodzimy do spienionej wody i zaczynamy zawzięcie wiosłować, żeby dopłynąć do trzeciego załamania fal, tam, gdzie ocean styka się zatoką. Dziesięć minut później już tam jesteśmy, oddychając ciężko – popatrując na horyzont i na siebie nawzajem, walcząc o najlepszą pozycję, jedna wielka szczęśliwa rodzina przemieniona w szczęśliwych rywali.

W południe jesteśmy z powrotem w domu. „Jeść!” – wrzeszczy Rory, rzucając się na *fauteuil* i sięgając po najbliższy podręcznik szachowy. Devo warczy, z głową schowaną w czeluściach lodówki.

Gdy Mindy moczy się w wannie, żeby się rozgrzać, ja robię kanapki z bagietki z salami, pomidorami i masłem. Wczoraj mieliśmy *pan bagnat*, paciajowatą sałatkę z tuńczyka i jajek na twardo, ładowaną wraz z mnóstwem kapparów i pokrojonych pomidorów do wnętrza pękatych okrągłych bułeczek.

Jednocześnie gromadzę racje żywnościowe na późniejszy piknik: czekolada, jabłka, herbatniki i termos z gorącym earl greyem idą do słomkowego kosza, który weźmiemy ze sobą na drugą rundę na plaży. Zatrzymując się przy półce z książkami, postanawiam chwycić jakąś powieść z spośród tych, które przesłaliśmy sobie pocztą, kiedy dom został ukończony. Wysłałem dwadzieścia pięć kilo książek z trzymiesięcznym wyprzedzeniem – statkiem, w brudnym płóciennym worku pocztowym – za jedyne dwadzieścia pięć dolarów.

Guzdram się z wyborem: Poe, Melville, Proust, Anthony Powell... A może nadałby mi się raczej jakiś thriller? Mamy Alana Fursta, Chandlera i Hammetta, Johna LeCarre i czarną berlińską trylogię Phillipa Kerra. No i są te książki, do których wciąż wracam i czytam je ponownie każdego lata. Którą z nich wybrać: *The Name of a Bullfighter* Louisa Sepulvedy, opowiadania Andrieja Platonowa czy mroczny kryminał *Some Clouds* Paco Ignatio Taibo II?

Ostatecznie wybieram nieotwarty egzemplarz magazynu literackiego „Times Literary Supplement” sprzed lat, wciąż jeszcze zafoliowany. Uosobienie eksploracji – wskoczyć do kapsuły czasu z brytyjską kulturą wysoką końca lat dziewięćdziesiątych. Uważam, że to odjazdowe, ezoteryczne i absurdałne. Zupełnie jak nasze letnie dni.

Po lunchu wszyscy się kładą pod pozorem czytania i wkrótce chrapią rozkosznie.

Za piętnaście druga Mindy jęczy i unosi się na łokciu. „Kawy?”. Nie minęło nawet pół dnia i mamy wiele godzin, zanim znów pójdziemy spać. Możemy trochę popisać, a potem wyruszymy z powrotem do naszego nadmorskiego biura.

On profite.

Po lunchu wszyscy idą na plażę. Młodzi i starzy, paryżanie i rolnicy. Nigdzie indziej na świecie nie widziałem rolników nad morzem. Ale na Belle-Île stada owiec są czasem przepędzane przez plażę w Donnant podczas odpływu. Owce na piasku: kiedy człowiekowi już się zdawało, że widział wszystkie.

Nawet ratownicy pojawiają się dopiero o pierwszej. Mają ciężkie powieki i wciągają na maszt flagę oznaczającą poziom zagrożenia: dzisiaj jest *jaune*, żółta – ostrzeżenie dla wszystkich, tylko nie dla nas. Ustawiają tablicę, na której wypisują *météo*, prognozę pogody, na dany dzień. Dziś mamy małe święto: woda nagrzała się do dziewiętnastu stopni. Temperatury, przy których wszędzie indziej dobrze byśmy się zastanowili przed wejściem do morza, na Belle-Île wydają się naprawdę przyjemne.

Na plaży kręgi ręczników na nowo wyznaczają granice wiosek. Patrzcie, tam jest Kerledan – wpadniemy w odwiedzinę? Wydaje mi się, że widzę Goelan. O, Boże, nie patrzcie w stronę Kervilahouen – jesteście im winni drinka!

Czasami odwracam się i widzę Gwened oraz jej nowego męża leżących wyżej, pod wydmą. Lubią trzymać się trochę z dala od reszty, nie identyfikują się z nikim, poza nami, którzy ich znamy. Gwened macha dyskretnie. Jej mąż wciąga brzuch i starannie poprawia miękki kapelusz od słońca.

Pod wydmami nasze deski surfingowe stoją rzędem niczym wielobarwny płot ze sztachet. Na czubach desek suszą się kombinezony piankowe i ręczniki. U podnóża wydmy obłapia się zakochana para całkowicie ubranych nastolatków. Obok nich ulokowali się motocykliści, którzy powoli zdejmują skórzane kurtki i kaski, odsłaniając białą jak kreda skórę i obcięte na jeża tlenione włosy. Kawalek dalej rodzina *en bonne forme* leży sztywno, trzymając nogi prosto, ręce wyciągnięte wzdłuż boków, na czystych ręcznikach w niebieskie pasy. I tak dalej, i tak dalej.

Oto nadchodzi długi szereg miłych nastolatków w mundurkach: shorty khaki, jasnoniebieskie koszulki, chusteczki zawiązane na szyi, wdzięczne kapelutki. Chłopcy i dziewczęta z wiecznego dziewiczego gaju idą przez palący piasek, przemykając między lśniącymi, natłuszczonymi ciałami w plażowych mundurkach toples, przypominających zwłoki wystawione na widok publiczny. Skauci? Morska drużyna? Och, serio?

Rozmawiają między sobą po niemiecku. Ich harcmistrz jest niski, okrągłutki i nieogolony, ale ma przy mundurze imponujący pleciony sznur i mnóstwo medali. Kiedy dochodzą do mokrego ubitego piasku na linii przypływu, dmie w gwizdek. *Mädchen und junge Männer* zwracają się na południe i odmaszerowują w stronę Bangoru, a ich okrągły opiekun zamyka pochód, z szaszetką przy pasie podskakującą w rytm jego kroków.

Potrząsamy głowami i uśmiechamy się. Cóż możemy powiedzieć? Francuska plaża latem to pewna rozrywka.

Parę wąskich ścieżek dla kóz ścieka po twarzy klifu, przywodząc na myśl ślady łez. Schodzą teraz po nich, na paluszkach, ostrożnie, rodziny z północnego krańca wyspy. Następnie nowa gromada pokonuje wzniesienie, wszyscy trzymają pod jedną pachą deskę surfingową, a w drugiej ręce plażową torbę: Królowie Donnant, nasza surferska drużyna w komplecie. Zbiegają z klifu, zsuwają się, ale nie tracą równowagi. Rodziny drepczą za nimi, popędzane przez grawitację.

Gdy tamci rozkładają obozowisko na odległym krańcu plaży, machamy do siebie. Możemy podejść do nich za kilka minut, kiedy już się ulokują – oni najpewniej nie podejść do nas. Rdzenni mieszkańcy Belle-Île omijają paryżan szerokim łukiem w sensie towarzyskim. Wstaję i wciążam krótki kombinezon piankowy, ustępstwo wobec wieku po dziesięciu latach surfowania w kąpielówkach. Zwracam się do Madame. „Idziemy?”

Mindy siada, spogląda w dół plaży. Czeką na Królów. „Oni będą wiedzieli, kiedy jest dobrze” – mówi.

Tamci spoglądają na nas, gdy ona patrzy na nich. Podnoszą się z ręczników i sięgają po kombinezony. Nie wiadomo, czy uznali, że już pora, czy też po prostu zobaczyli, że ja się szykuję, i pomyśleli, że Mindy też zaraz wejdzie do wody. Tak czy owak, Królowie Donnant ruszają do ataku: Théophile, nasz *maître de bâtiment*, André, żołnierz marynarki, świeżo na emeryturze, z żoną Coco, prowadzącą spa w naszym jedynym elitarnym hotelu; Yannick, humorzasty, pałacy papierosa za papierosem, Sartre z Sauzon. Nasza szóstka surfowała razem od zawsze, takie mamy wrażenie, razem z ich kumplami Alainem, Guyem i Rogerem. Mindy i ja jesteśmy dwadzieścia lat starsi, ale zupełnie tego nie czujemy – to prezent Królów dla nas, a my udajemy, że go nie dostrzegamy.

W całej Bretanii powstała hybrydowa kultura surferska Breizh-Malibu, skupiająca śmiałych i bystrych. Istnieje nawet bretoński styl strojów plażowych: szkocka krata i celtyckie krzyże. Dzięki Królom, którzy są przedstawicielami pierwszej generacji wyspiarskich surferów, Belle-Île zajmuje szczególne miejsce, z atmosferą zupełnie jak z filmu *Bezkrzesne lato*.

Nasi miejscowi przyjaciele prowadzili już życie związane z oceanem, zarówno mężczyźni, jak i kobiety co tydzień poświęcali kilka godzin na wyprawy na ryby w upstrzonym guano skifie, łowienie z ościeniem na fiordach, łowienie z wędką z klifów (podczas ostrych sztormów: to najlepsza pora na pasiaste okonie), zbieranie małży i *pousse-pieds*. Surfing idealnie do tego pasował, stanowił brakujący element. Jeśli mieliśmy w tym swój udział – a od czasu do czasu chęlimy się tym, że wprowadziliśmy surfing na Belle-Île – niech to będzie nasza spuścizna.

Chociaż, mówię to z przykrością, surfing zazwyczaj niepokoi naszych paryskich przyjaciół. „Chcecie powiedzieć, że lecicie osiem tysięcy kilometrów do Francji tylko po to?”

Krótką odpowiedź brzmi: nie, oczywiście, że nie – ale, no wiecie, *on profite*.

A długa odpowiedź? Surfing umożliwia kontakt ze światem natury w taki sposób, w jaki aparat zapalonego fotografa czy lornetka obserwatora ptaków nigdy nie zdołają. Człowiek żyje wewnątrz morskich pływów, mając w głowie stan morza, jak żeglarz albo rybak. Ćwiczy ciało

i umysł, by radziły sobie z warunkami. Sam ustanawia reguły gry, a żeby tego dokonać, uczy się żyć ze strachem.

Żeby dobrze surfować, trzeba tak naprawdę wspiąć się na krawędź fali, a potem, całkiem dosłownie, przefiknąć się na drugą stronę. Ta krótka chwila, kiedy wisi się do góry nogami, z głową wymierzoną w morską kipię, jest, paradoksalnie, właśnie tym, co uwielbiają surferzy. Nazywają to „daniem nura” – a określenie to można śmiało odnieść do naszego życia w ogóle. Przeprowadzka do Nowego Jorku w wieku trzydziestu lat, bez pracy i perspektyw? Daliśmy nura. Kupno ruiny w wiosce na maleńkiej wysepce u wybrzeży Bretanii? Daliśmy... (odgłos idioty wpadającego w cierniste krzaki jeżyn).

Najtrudniej uniknąć oskarżenia o to, że tkwimy w wiecznej adolescencji. Słuchajcie, surfing ma całkiem surowy kodeks praw, całą etykietę – ale widzę, że tego nie kupujecie. Stanowimy całą społeczność. Nie, to nie jest *Słoneczny patrol*, i to nie maciupeńkie bikini przyciągają nas nad wodę. Nie chodzi o kolesi, Malibu ani Big Kahuna (choć lubimy je jako kiczowate tropikalne tropy). Nie usiłujemy też unikać odpowiedzialności.

Na suchym lądzie staramy się być dobrymi sąsiadami. Przynosimy potrawy na składkową kolację. Segregujemy śmieci. I oczywiście nie zanudzamy przyjaciół ani ich małżonków gadaniem o surfingu (zbyt dużo). Dobry surfer zawsze jest lakoniczny, zdystansowany. Dąży do niezależności w swoim życiu i docenia kompetencje u innych. Naprawdę dobry surfer ma poczucie obowiązku wobec społeczeństwa i wobec środowiska. I superwłosy.

.

Mindy i ja powoli otrząsamy się z odrętwienia po krótkiej drzemce w słońcu i nagle znajdujemy się w samym środku pasjonującej dyskusji.

Nastolatki wokół nas przygotowują się do *le bac*, egzaminu maturalnego na zakończenie szkoły średniej, którego wynik przesądza we Francji o ich przyszłości. Nawet ci, którym zostały jeszcze do matury dwa lata, już się uczą, czytając lektury z listy: Woltera, Balzaca, Thomasa Moore’a, Flauberta, Sartre’a. Usta mają ściągnięte, czoła zmarszczone. To wprawia w zakłopotanie Rory’ego i Deva, którzy zawsze mogli liczyć na rozgrywki nintendo czy gameboya, kiedy nie są w wodzie.

Nasi chłopcy pytają tamtych o ich książki. Chcą je zobaczyć. Czytają kawałek i wyraźnie się wzdrzają. Kolega o dziecinnym wyglądzie i apolińskich loczkach pyta ich, co czytają w Ameryce. „Przerabiacie jakichś francuskich autorów? Nie? – Wydaje się smutny, ale szybko się rozchmurza. – No cóż, na pewno czytacie Thoreau, Poe’a, Milville’a, Faulknera?”.

Cisza.

Céleste układa usta w okrągłe „O” i patrzy na Mindy, która kiwa głową. Nasi chłopcy naprawdę są dzikusami.

Rozmowa o książkach przyciąga nastoletnie dziewczęta do naszego kręgu. Chociaż pytają Mindy o jej zdanie na temat amerykańskich pisarzy, z ich idealnych wydętych usteczek natych-

miast wylewają się własne osądy – kategoryczne, sardoniczne i przede wszystkim mądre. Ich dłonie rysują leniwe łuki, jakby trzymały papierosy (które nie pojawią się jednak, dopóki *maman* nie pójdzie na spacer). Znają książki, a co więcej – potrafią o nich rozmawiać. „Lepiej od was” – mówią ich spojżenia.

Ich szyderstwo wywołuje uśmiechy zażenowania na twarzach naszych chłopców. Ale nie na obliczach Marca i innych, którzy przystępują do kontraktaku. Mindy i ja uważamy, żeby się nie wydało, że podsłuchujemy ani że w ogóle dostrzegamy próby ponownego włączenia się do rozmowy przez Rory’ego i Deva. Nie przywykli do tego, by zostawać w tyle. Najwyraźniej te wszystkie dziewczęta w skąpych bikini, czytające George Sand i Ronsarda na plaży, dodały im wigoru. Być może przyszło im do głowy, że istnieje więcej niż jeden sposób na to, żeby *profiter*, korzystać z życia. Być może *beau temps* i *bons livres*, dobre książki, rozniecą ogień innego rodzaju. W końcu nie przez przypadek mamy te wszystkie dobre książki na półkach w domu, w górze *vallon*.

Ale książki nie zwiódą naszych przyjaciół. Biorąc pod uwagę, że my, Amerykanie, wszyscy jesteśmy tacy *sauvage*, dzicy, nasi znajomi paryscy rodzice trochę się zaniepokoiли, kiedy staliśmy się idolami dla dzieci z wiosek i zaczęliśmy wyprowadzać ich poza spienione przy brzegu fale na wzburzony ocean. Użyliśmy Rory’ego jako przynęty – był bodysurferem od maleńkości, potrafił wirować, obracać się i w pięknym stylu zeskakiwać z trzymetrowych wypiętrzonych fal.

Wioskowe dzieci były gotowe na przygodę, ale Donnant nie jest dla dzieci i ich rodzice słusznie się martwili. Kiedy Mindy występowała na spienionej scenie – kusząc i prowokując młodych wyspiarzy surferskim repertuarem skoków i cięć w hawajskim stylu – Rory i ja spędzaliśmy mnóstwo czasu na uczeniu paryskiej gromadki, jak uchylać się przed falami i radzić sobie z morskimi prądami, pod czujnym okiem rodziców, zbitych w gromadkę na brzegu.

Skupiliśmy się na bodysurfingu, ponieważ pływania na desce trudno się nauczyć, zresztą i tak nikt nie miał sprzętu na zbyciu. Postanowiliśmy, że aby się do nas przyłączyć, trzeba było zrezygnować z deseczek piankowych, *la peste de polyester*, poliestrowej zarazy, argumentując, że chodzi o względy bezpieczeństwa. Dopóki człowiek jest ograniczony tym piankowym urządzeniem unoszącym cię na wodzie, nie stanie się silnym pływakiem. Będzie także odciągany do tyłu, raz po raz. A jeśli deska nagle mu umknie, wpadnie w tarapaty. Ale naszą prawdziwą motywacją były względy estetyczne. Pływacy z deską są pozbawieni manier. Wpadają na innych jak samochodziki w wesołym miasteczku.

Odrzucenie deski wyróżniało nas. To był nasz Wodny Kodeks. Jak wie każdy, kto ma choć trochę dobrego smaku i wyczucia, prychaliśmy z wyższością, bodysurfing to najwyższa forma surfingu – nic nie oddziela pływaka od morza, prądów, fal. To surfing w najczystszej postaci.

Kiedy już nasza drużyna nauczyła się radzić sobie w wodzie, wtajemniczyliśmy ich w zaawansowaną hawajską technikę, która wymaga spadania, ślizgania się równolegle do fali,

a następnie wirowania i przecinania jej, wykorzystując płaskie powierzchnie ciała, jak delfin. Jedno po drugim wszystkie dzieciaki miały swój moment olśnienia: „Aha!”.

Poszliśmy na całość. Fale rozbijające się u wejścia do zatoki w Donnant stanowiły nęcący spektakl. Ostatecznie powstał oddział nieustraszonych zdobywców, do którego z czasem dołączyli również ratownicy. Przodowali Rory, Devo i Marc. A także Raoul. Po raz pierwszy ujrzałem go jako cichego młodego człowieka, z płetwami w ręku brodzącego przy brzegu; nie wiedziałem, że właśnie stracił ojca. Zaproponowałem mu, żeby zostawił deskę piankową i przyłączył się do nas. Od tamtej pory szaleliśmy w największych falach w moim życiu, z uśmiechami przerażenia i euforii i minami, które mówiły: „Możesz w to uwierzyć?”.

Rodzice w wiosce zbyt późno rozpoznali dziki błysk w oczach swoich dzieci na widok ogromnych ciemnych niebieskozielonych fal piętrzących się na horyzoncie. Ale naprawdę było już za późno. Kiedy człowiek raz zazna prawdziwej przygody, nigdy tak naprawdę nie wraca już do domu.

Po wyjściu z wody grzeję się na ręczniku, spoglądam w głąb plaży i mówię sobie: „Oho!”. Jest facet, na którego mówimy Facet. Przewiska to nasz nałóg, do historii przejdą zwłaszcza te, które Rory nadawał ludziom, kiedy miał sześć, siedem lat. Bo kiedy już do kogoś przylgną, to na amen.

Facet pasuje do Faceta. W okularach w rogowej oprawie ten publicysta z „Le Monde” jest poważnym facetem. Gdy tak spaceruje brzegiem morza, z rękami splecionymi na plecach, pogrążony w myślach, jest uosobieniem francuskiej filozofii – pomimo albo właśnie z powodu prążkowanego kombinezonu Speedo.

Facet czekał, aż podniosę wzrok. Przywołuje mnie skinieniem, a ja jęczę i podnoszę się na nogi. Wieczny optymista, wierzy, że kiedyś udoskonali mój francuski na tyle, że będziemy mogli rozmawiać o książkach i polityce. Facet to mój osobisty trener powagi.

Stosunkowo późno osiągnąłem powagę. Podobnie jak wielu niepewnych żółtodziobów pochodzących z południowej Kalifornii, kulilem się pod pręgierzem docinków cedzonych przez moich „lepszych” kolegów z liceum, spoglądających na mnie z wyżyn Olimpu fajowości. Mogłem im jedynie odpowiadać typowym dla lat sześćdziesiątych zgrzywnym dowcipem, czerpanym z „MAD Magazine”, nocnych audycji radia FM, *Paragrafu 22* i rock’n’rolla. W końcu moimi dowcipami zyskałem sobie popularność i potrafiłem „ożywić każdą imprezę”, zupełnie jak z hasła reklamowego na starym pudełku zapalek.

Na studiach siłę się na powagę i głębię ekspresji, a po ich ukończeniu podjąłem parę poważnych prac. Ale dowcip zawsze był moją ucieczką w chwilach zdenerwowania. Czasami miałem poczucie, że zżera moją prawdziwą osobowość niczym jakiś owad wgryzający się w mózg.

Przeprowadzka do Nowego Jorku wniosła w moje życie mile widzianą obcesowość, ale to poczucie wróciło i sytuacja stała się chroniczna, odkąd zaczęliśmy jeździć do Francji. Znow by-

lem towarzyskim niemową, nieumiejącym zamówić szklanki soku bez narobienia rabanu. Kiedy ludzie się z Ciebie śmieją, masz tylko dwa wyjścia: wściec się albo pójść za ciosem. Jako wesołek zdecydowałem się na to drugie – Młody Strudel! – i mnożyłem nieporozumienia oraz bawiłem się słowami i mieszaniem zaimków. Gdybym tak był się uczył trybu łączącego jak swego czasu Mindy w Tours!

W wieku trzydziestu lat zacząłem uczyć się francuskiego na własną rękę, wyłącznie ze słuchu oraz czytając, co się dało, ale moje postępy były przerywane, a regres frustrujący. Choćaż to rzeczywiście przekomiczne, no i cóż za znakomite przełamanie lodów, kiedy proponujesz komuś, że utniesz mu penisa – całkowicie niechęć przez kilka pierwszych razy, przysięgam – z czasem jednak dowcip się zużywa.

Na szczęście Céleste i Henry stali się moimi partnerami nieoficjalnych rozmów, pociągając mnie za sobą. I to właśnie Henry pewnego razu poczynił tę nieuchronną uwagę, kiedy skwitowałem kolejny błąd gramatyczny jakimś żartem:

– Don, musisz być bardziej poważny.

– Don, bądź poważny – powtórzyła Céleste, kiwając głową.

Poczułem się zdemaskowany. Oczywiście Henry był psychiatrą. Jego praca polegała na demaskowaniu ludzi. A ja z całą pewnością czułem niepokój typowy dla kogoś, kto nigdy nie był poddany psychoanalizie. Niemniej jednak – miał rację. Ta moja błazeńska strategia unikowa dręczyła mnie i przygnębiała. Kiedy wszystko jest żartem, człowiek czuje znużenie i zniechęcenie. Dlatego właśnie klauni są tacy smutni, to jasne.

Facet pchnął mnie jeszcze dalej. Kiedy spotkaliśmy go po raz pierwszy na jednym z naszych zgromadzeń na plaży, był taki zachwycony, że poznał amerykańskich pisarzy – i taki rozczarowany naszym brakiem zaangażowania w wydarzenia ostatnich dni, nie – godzin. Zmęczona jego monologiem Mindy wkrótce uciekła, zostawiając nas samych.

Facet żył dla poważnych dyskusji, w których domagał się szczegółów i podawania źródeł. Miałem tego typu umysł, więc zaczęliśmy spacerować po plaży i gadać o wszystkim i o niczym, jak to się mówi. Ponieważ facet nie miał poczucia humoru, moje było bezużyteczne. Najbardziej żartobliwą uwagę przyjmował z pełną powagą. Ale był także lojalnym przyjacielem, aż do granic stronniczości. Pamiętam jego oburzenie, że w Ameryce pisarze i intelektualiści, jak Mindy i ja, nie żyją sobie spokojnie na rządowych stypendiach i uniwersyteckich posadkach. Był osobście wstrząśnięty tym, że muszę pracować dla takich dziwacznych pism i zabiegać o to, by móc publikować swoje poważniejsze teksty. We Francji byłbym hołubiony.

W kolejnych latach podjąłem Poważne Wyzwanie. W ciągu tych jedenastu miesięcy z dala od Belle-Île w każdym tygodniu poświęcałem trochę czasu na formułowanie opinii na aktualne tematy, a następnie na tłumaczenie ich na francuski, zazwyczaj podczas moich spacerów do i z biura. Tak, wiem, że to może wydać się dziwne. A wiecie co? Układałem też w myśli dialogi z innymi ludźmi – przyjaciółmi, z którymi spotkam się latem. Przygotowuję się do hipotetycznego wakacyjnego przyjęcia z rocznym wyprzedzeniem.

Moje zażenowanie łagodzi trochę świadomość, że Oskar Wilde robił to samo, i to po angielsku. We Francji istnieje tradycja błyskotliwej rozmowy. A jednak – to z pewnością ekscentryczne zachowanie.

Ale czy wspominałem, że to działa?

Nauka języka obcego zawsze zaczyna się od tego, że to ty gadasz, jako że znacznie trudniej jest słuchać. Ale zbyt dużo gadania jest nieuprzejme, nudne, izolujące. Kiedy usiłowałem słuchać, bez względu na to, jak szczere miałem intencje, nie byłem w stanie śledzić dłuższych fragmentów potocznej francuszczyzny. I trudno mi było nie wyskakiwać z moimi wyświechtanymi starymi żarcikami. Ale kiedy chowałem w zanadru jedną z przygotowanych zawczasu uwag, czułem się spokojniejszy i – nawet jeśli trochę nadrabiałem miną – bardziej poważny.

Na północnym krańcu plaży wylot naszej *vallon* styka się z morzem na szerokiej piaszczystej łasze. W stromym klifie, który wznosi się nad nią, nadal znajdują się niemieckie stanowiska – jedno dla karabinu maszynowego, a drugie dla działa kalibru siedemdziesiąt pięć milimetrów, obydwa nadal zakamuflowane po pięćdziesięciu latach.

Te pozostałości wału atlantyckiego Hitlera przypominają nam o okupacji Belle-Île podczas drugiej wojny światowej. To były trudne cztery lata: sprawni fizycznie mężczyźni i chłopcy zostali wysłani do przymusowej pracy na stałym lądzie, wielu do budowania przeciwbombowych schronów dla łodzi podwodnych w Lorient. Starsi mężczyźni i kobiety, którzy zostali, bynajmniej nie z wyboru, pracowali głównie na polach i doglądali bydła. Musieli oddawać mleko, mięso, jaja i zboże okupantom, a sami głodowali. Suzanne mówi, że jadła trawę, *comme une vache*, jak krowa. Do dziś dnia stara się jak może ignorować lub unikać niemieckich gości.

Denis LeReveur, jako mały chłopiec w Le Palais, przeżył całkiem inną wojnę. Pamięta głównie nocne naloty bombowców B-17, które usiłowały zniszczyć urządzenia radarowe na Côte Sauvage, i ogień osiemdziesięciomilimetrowych dział przeciwlotniczych w odpowiedzi. Czasami bomby padały w głębi lądu, raz nawet na miasto. Czasami pociski przeciwlotnicze nie wybuchały w powietrzu – popularnym aktem sabotażu wśród kobiet zmuszonych do pracy w fabrykach amunicji było puszcie zapalników zbliżeniowych – i spadały z powrotem na ziemię, po czym wybuchały albo wbijały się głęboko w pola i obory.

Pod koniec wojny Niemcy uhonorowali urok wyspy w osobiście nieprzyjemny sposób, to znaczy nie chcieli się poddać, trzymając się jeszcze, gdy reszta niemieckich sił zbrojnych już skapitulowała. Może to trwało jedynie dwadzieścia cztery godziny, ale dla mieszkańców wyspy musiała to być bardzo długa doba.

Przyznaję się do męskiej słabości do fortyfikacji; oglądaliśmy z Rorym obiekty wojskowe na Côte Sauvage. Cóż za marnotrawstwo betonu! Cóż za chybiona pomysłowość! Nie zastanawiałem się jednak nad tym moim chłopięcym stosunkiem do kazamatów i otworów strzelniczych

w Donnant, aż do dnia, kiedy przyjąłem zaproszenie położenia mojego ręcznika obok ręcznika Majestatycznej Madame.

Wiele dziesięcioleci temu Madame i jej mąż kupili sobie powojenne schronienie na Belle-Île, całą wioskę, jedno z najspokojniejszych i najpiękniejszych miejsc, jakie widziałem na tej wyspie, słynącej ze spokojnych i pięknych miejsc. Oboje byli bardzo kulturalni, a ona dokonała czegoś wielkiego w Ruchu Oporu – *Légion d'honneur*, Legii Honorowej, nie przyznają każdemu zwyktemu bohaterowi, jak wiecie – i bałem się, że rozbołą ją uszy od mojej kalekiej francuszczyzny, chociaż ona nigdy nie okazała najmniejszego dyskomfortu z tego powodu. Zachowali dom i całą wioskę, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz, w starym bretońskim stylu. Prawdę powiedziawszy, dzięki temu właśnie zawarliśmy znajomość. Ciekawiła się naszą inwestycją, jak ją nazywano, niewątpliwie eufemistycznie.

Kiedy ją spotkałem tamtego dnia, musiała zbliżać się do dziewięćdziesiątki. Przywołała mnie skinieniem. Rozmawialiśmy. Opalając się wraz z nią w Donnant, czułem się trochę skrępowany i onieśmielony. Gdy mówiliśmy o tym i owym – ona tak cierpliwie – nagle spostrzegłem numer wytatuowany na bladej, przypominającej krepinę skórze jej przedramienia. Z klifów po obu stronach spoglądały na nas bezmyślne oczy stanowisk nazistowskich dział. Nigdy nie zapomnę tego poczucia, że jesteśmy obserwowani. Ani mojej radości, że mogę mówić o innych sprawach i to tak poważnie.

Pod koniec któregoś lata – kiedy fale wreszcie ustały – nasi przyjaciele psychiatrzy przyparli nas do muru po długim proszonym obiedzie i przeprowadzili improwizowaną, napędzaną winem i kawą interwencję.

Po chwili elegancka pani adwokat, której mąż był również wybitnym międzynarodowym prawnikiem, przejęła oskarżenie:

– Po co wam to surfowanie? Kiedy się poznaliśmy, wcale się tym nie interesowaliście. Zajmowaliście się ogrodem, zakupami, baseballlem. A teraz nic, tylko surfujecie! I (tu padł rozstrzygający argument) nie przychodzicie już na *apéros*.

Kiedy zacząłem wyjaśniać, przerwała mi:

– Nie przyjeżdża się do Francji, żeby surfować!

Następnego popołudnia, żeby udobruchać oskarżycieli, wybrałem się wraz z nimi na dostępne bez względu na pogodę korty Gouerch w Le Palais i do *Club de Tennis*. Graliśmy w szlachetną, arystokratyczną grę zwaną deblem.

Po paru setach nasza *avocate* naradziła się z partnerem, po czym ustawiła się naprzeciwko mnie za siatką. Zregraliśmy kilka energicznych piłek. Była dobra. Bardzo dobra. Zbyt dobra. Pod koniec jednej ostrej salwy tak odebrała mój bekhend, że jakimś cudem z trzaskiem złamała mi nadgarstek.

Teraz nie mogłem już grać w tenisa. Ale kiedy fale wróciły, mogłem surfować z wodoodporną szyną – dzięki Docteur Pleybien, która wniknęła w ducha mojej pasji i utożsamiała się empatycznie z moimi potrzebami. I tak z powrotem podjąłem bodysurfing.

Kiedy Madame Avocate znów zobaczyła mnie na plaży, zamachała rękami. „Pouff! Zrobił pan to specjalnie!”. Niektórych nie sposób zadowolić. Parę wieczorów później, po zjedzeniu wybornego algijskiego taziunu z jagnięciny, podanego przez Madame Avocate, miałem poczucie, że jestem jej winien jeszcze jedną próbę wyjaśnienia.

Donnant działało jak magnes, po tamtej pierwszej fali, którą dostrzeżliśmy zimą osiemdziesiątego roku. Tajemnicze miejsce stanowiło część legendy naszego pobytu na wyspie. Surfowanie tam było wypełnieniem zadania czy też misji. Zobaczyliśmy je, zanim ktokolwiek tu surfował. Naszym obowiązkiem stało się więc podbicie tych fal.

– Rozumie pani?

– Nie.

Ponieważ to jedyne oczywiste miejsce na wyspie, gdzie przelamują się fale, obecnie Donnant bywa latem oblegane przez tłumy bodyboarderów. Jednak – i nie chciałbym, żeby to się rozniosło – w porównaniu z Kalifornią, Hawajami i Montauk nie ma tłoku. Rzadko w wodzie jest za dużo desek. Koszty i czas, potrzebne, żeby złapać prom i wynająć samochód, tylko po to, żeby wypróbować jedną niepewną plażę, znaną jedynie z pogłosek, zniechęca surferskie masy, które wolą przemierzać wybrzeże Atlantyku do Hiszpanii po Brest.

– I?

– Mamy poczucie, że jesteśmy tu w naszym własnym świecie. To sprawa rodzinna. Kiedy zna się wszystkich w wodzie, rodzi się specyficzne poczucie przynależności. Wielu surferów gotowych jest płacić kupę forsy, żeby jechać pięć tysięcy mil i surfować z obcymi ludźmi na Bali i Fidzi. Tutaj jesteśmy wśród przyjaciół. To nasze fale.

– I co z tego? My też mamy tutaj nasz tenis.

– Proszę mi wybaczyć, ale to... nie to samo.

Zmrużyła oczy i wszyscy zebrani przy stole nachylili się ku nam. Zrobiło się gorąco.

Wstałem i przedstawiłem moje racje.

Swego czasu być może zdarzało nam się z Mindy sugerować, jakbyśmy byli pierwszymi surferami na Belle-Île, podczas gdy lepiej byłoby powiedzieć, że to my sprowadziliśmy na Belle-Île surfera, który sprowadził tu surfing. To było w roku 1984, kiedy realizowałem w Bretanii zlecenie dla magazynu o sportach wodnych. Artykuł dotyczył grupy zawziętych żeglarzy, którzy w pojedynkę ścigali się na Atlantyku i ulokowali się porcie, znajdującym się w odległości piętnastu kilometrów od Le Palais, po drugiej stronie zatoki. Wyobrażacie sobie? Najlepsi żeglarze świata tuż za progiem.

Odkryliśmy, że Trinité-sur-Mer to prężny ośrodek ekstremalnego żeglarstwa. Ogromne katarany i trimarany stały na specjalnych rusztowaniach ustawionych na pochyłym kamiennym nabrzeżu. Brodaci mężczyźni i kobiety o rozjaśnionych od słońca włosach zwisali z kadłubów w trapezowych siedzonkach i zdrapywali morski muł oraz młode skorupiaki.

Żeglarze ignorowali nas na granicy wręcz nieuprzejmości, aż jeden z nich usłyszał, że Mindy pochodzi z Hawajów. Jego pytanie: „Surfujecie?” zmieniło wszystko. Okazało się, że kiedy nie żeglował na bajeranckich trimaranach, Yves jako pionier surfingu badał skaliste wybrzeże Bretanii, w poszukiwaniu nadających się do surfowania fal. Marzeniem każdego surfera jest odkrycie i wypróbowanie choć jednego nieznanego wcześniej miejsca do surfowania w życiu. Yves zbadał dziesiątki takich zakątków, może i ze sto: były to nierozważne, niebezpieczne wręcz wyczyny.

Mindy narysowała mu szkic Donnant, wyjaśniając, co widziała: falę, która zimą przypominała Pupukeę na północnym wybrzeżu Oahu – tę wielką wodną beczkę w pobliżu Banzai Pipeline. Yves aż zaklął z podniecenia. W ciągu weekendu wyprawił się promem na Belle-Île, jechał z deską autostopem, byle tylko dotrzeć tam jako pierwszy. *Merci!*

Później dowiedzieliśmy się, że misja została wykonana. Mimo to przez kolejnych pięć lat nie widzieliśmy w Donnant żadnych surferów. Ale nasz przyjaciel Bill, surfujący przy hiszpańskiej granicy, dał się złapać na opowieści o ukrytym wodnym skarbie. Zatrzymał się w naszym niewykończonym domu, pisząc, że Donnant w październiku jest zagrodzone falami i „niesamowite” – bo też samotne surfowanie przy Côte Sauvage w pełni zasługiwało na to określenie. W następnym roku Mindy usiłowała surfować na desce windsurfingowej wypożyczonej na stacji benzynowej. Zdemonstrowała maszt i wypłynęła. Deska była zbyt wyporna i gruba, jak dzisiejsze deski surfingowo-wiosłowe. Mindy pokręciła się trochę po spienionej zupie przy brzegu. Głównie jednak klęła.

W tamtym okresie patrzyliśmy czasem z zazdrością na parę surferów, jednego miejscowego, jednego pochodzącego z innej części Belle-Île, tajemnicze sylwetki w zapadającym zmierzchu. Ten drugi surfował czasem na desce ze złamanym dziobem; zdumiewające, że w ogóle mógł się na niej utrzymać. Z kolei ten miejscowy pływał na czerwonej desce jak szaleniec. Spoglądaliśmy na niego z niepokojem. Samouk, odważny, zawsze sam, zawsze na wielkiej fali, nieliczący się z ryzykiem. Nie wyglądał na normalnego surfera.

Potem dowiedzieliśmy się, że był synem piekarza, który utonął w Donnant – zginął na oczach syna i całej rodziny, kiedy polował na *pousse-pieds*. To tłumaczyło ten nawiedzony styl, swoistą żalobę, jakby chłopak w zielonych podwodnych pieczarach szukał ojca.

Kiedy przywieźliśmy na Belle-Île pierwszą deskę, nic nie mogło nas powstrzymać. Pod koniec naszego pierwszego surferskiego lata Madame Morgane zasugerowała wręcz, żebyśmy pomalowali okiennice na niebiesko zamiast na zielono, bo z całą pewnością byliśmy marynarzami, nie rolnikami. Mieliliśmy wrażenie, że ceni naszą pilność i powagę, to, że traktowaliśmy surfowanie jak pracę.

– No i tak – zakończyłem wywód dla Madame Avocate. – O to właśnie w tym wszystkim chodzi. Nie o surfing. O odkrywanie, ryzyko, sprawdzanie siebie, wyznaczanie na nowo bretońskiego wybrzeża, o poczucie wspólnoty, o oddanie hołdu wszystkim ojcom, których zabrało morze; a może także, niby to niechący, podrzucenie młodym ludziom czegoś, czemu mogliby

się poświęcić, zamiast jeździć bez celu skuterami, pić i – oby nie, ale jednak – brać narkotyki. Ostatnio jest tyle narkotyków. Belle-Île stanowi punkt przeładunkowy, jak pani wie.

– Nie, nie wiedziałam – odparła. A jako prawniczka była tym żywo zainteresowana. – Jak to się odbywa?

– Szybkie łodzie motorowe przyplývają z Afryki Północnej. Przewożą imigrantów. Oraz heroinę i haszysz, w Hiszpanii wymieniają je na ekstazę i kokainę, i płyną do Francji.

– Skąd pan to wie?

– Don jest dziennikarzem, specjalizującym się w tematyce wodnej – wtrącił Henry. – Dla niego i dla Mindy, Hawajki, *c'est tout l'océan*.

Wszystko dotyczy oceanu. Dziękuję, Henry.

Nic dodać, nic ująć.

W święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, 15 sierpnia, wszystko zamiera, a właściciele łodzi wprowadzają jednostki do portu i tylnych basenów Le Palais. Ustawiają się w szeregach, walcząc o najlepsze pozycje, pokrzykując i gestykułując zamaszycie, żeby otrzymać błogosławieństwo księdza z kościoła Saint-Véran, który stoi przy połowym ołtarzu pośrodku portu. Kiedyś widziałem go przy wodowaniu łodzi motorowej, kiedy indziej *chaloupe*, tradycyjnego słupa do połowy sardynek, pomalowanego na głęboki rdzawy odcień zwany *rouge breton*, czerwienią bretońską.

W tym małym miasteczku zjawia się przynajmniej piętnaście tysięcy osób. Samochody zostają porzucone na poboczu w odległości wielu mil. To święto dla uczczenia zarówno śmierci, jak i wniebowzięcia Marii Panny, a także nieoficjalny, lecz powszechnie przestrzegany początek końca wakacji we Francji. Już niedługo rozpocznie się wielkie *rentrée*, a pod koniec tygodnia wyspa zacznie sprawiać wrażenie opustoszałej.

W pobliskim Sauzon, jednym z najładniejszych miasteczek stworzonych przez człowieka i naturę, tego samego popołudnia odbywa się mniejsza uroczystość, bez całego tego zamieszania z łodziami. Ale tu także jest ksiądz, na nabrzeżu, u stóp kościoła Saint-Nicholas, błogosławiający wszystko to, co pływa lub jest zagrożone utonięciem. Panuje znacznie przyjemniejsza atmosfera, ponieważ, w przeciwieństwie do Le Palais, można poruszać się swobodnie.

Sauzon ratują drobni i uparci lokalni przedsiębiorcy. Nadal można przejść się nabrzeżem aż do latarni morskiej i nie zostać rozjechanym przez motorower. Albo siedzieć na tanich plastikowych krzesłach ustawionych na głęboko pobrużdżonych kamieniach i dostać *un plateau de fruits de mer* oraz kieliszek Muscadet, a potem jeść i sączyć wino, patrzeć, jak starcy i dzieci zarzucają wędki w mętną zieloną wodę. Jeśli zamówicie *palourdes*, surowe małże zostaną wydobyte z błota zatoki przez Mamrota i Belkota.

Udało nam się uczestniczyć w paru świętach Wniebowzięcia w obu miastach, ale te w Sauzon bardziej wbiły nam się w pamięć, ponieważ po uroczystości wszyscy mężczyźni z kantonu

są zapraszani do udziału w konkursie nurkowania. Tradycja tych zawodów sięga dziewiętnastego wieku, kiedy to nagrodą był krzyż, wrzucany przez księdza w portowe wody. Ich przejrzystość musiała się pogorszyć, ponieważ teraz chłopcy ścigają kaczkę z podciętymi lotkami. Nagrodą jest tenże ptak.

Kiedys jeden z kolegów Rory'ego i Marca, Rex, wygrał kaczkę. W wioskach wiwatowano na jego cześć – ale potem Rex spojrzal na swoją wygraną i uświadomił sobie, co się z nią stanie. Twarz mu się wykrzywiła. Na szczęście w ostatniej sekundzie przyszło ulaskawienie i kaczka zamieszkała w miejscowym gospodarstwie.

Długi świąteczny dzień kończy pokaz fajerwerków, który oświetla stłoczone domki i kręte uliczki Sauzon niczym migoczący niemy film. Zawsze lubiliśmy leżeć na zżętym polu na wzgórzu nad miastem, trzymając się z dala od tłumów, widząc wszystko jak na dłoni, a unikając korków, by dostać się do miasta. Innymi razy byliśmy zbyt leniwi, żeby w ogóle wybierać się na tę uroczystość. Stwierdziliśmy, że już za późno na błogosławieństwo, za późno na kaczkę, za późno na fajerwerki.

Jedna z najbardziej pamiętnych świątecznych nocy zdarzyła się wtedy, kiedy postanowiliśmy nie jechać, a potem wybraliśmy się na spacer pod górę, żeby popatrzeć na Perseidy. Na Belle-Île noce są ciemne i spadające gwiazdy wyglądają jak ziarna soli sypiące się z solniczki. Gdy tak szliśmy, wpatrzeni w niebo, ujrzelśmy nagle tam, gdzie skraj pola stykał się z horyzontem, migoczącą burzę wielobarwnych świateł. Usłyszeliśmy przytłumiony huk. Fajerwerki w Sauzon.

Maszerowaliśmy dalej, nie musieliśmy uważać na samochody, nie oślepiły nas żadne latarnie, ciepły asfalt promieniował ku górze przez podeszwy butów. Pod wpływem kaprysu zeszedliśmy z głównej drogi i skręciliśmy w wiejską drogę, która biegła parę mil przez pola i doliny, a potem łączyła się z krętą jednopasmową szosą, opadającą na tyły zatoki.

To z całą pewnością nie była noc na wycieczkę do Sauzon – wszystko będzie zamknięte, kiedy tam dotrzemy. Mimo to szliśmy dalej. Teraz horyzont przeszywały reflektory, gdy kolejne odjeżdżające samochody pokonywały grzbiet *vallon*. A potem zapadła ciemność. Impreza się skończyła.

Położyliśmy się na ciepłym asfalcie, żeby patrzeć na spadające gwiazdy.

Być może zdrzemnąłem się na chwilę. Nagle uświadomiłem sobie, że drogą od strony Sauzon zbliżają się jakieś światła. Gdyby to był samochód, musielibyśmy ruszać się szybko – ale im dłużej patrzyłem, tym dziwniejsze wydawały mi się te światła. Było ich co najmniej tuzin, przesuwaly się to tu, to tam, kołysząc się niczym świetlne miecze z *Gwiezdnych wojen*, raz dalekie, to znów bliskie.

Przekręciliśmy się na bok i usiedliśmy w milczeniu, obejmując kolana rękami i wpatrując się w srebrzystoszarą drogę i czarne pola po obu stronach. Słyszeliśmy śpiew. Słodkie głosy, chór a capella. To była jakaś prosta piosenka, może ludowa albo dziecięca.

Teraz mogliśmy ich dojrzeć: długi szereg dzieci, idących, wymachujących latarkami i śpiewających. Pochód zamykało dwoje dorosłych, kobieta dyrygowała chórem. Jej głos przynajmniej był

znajomy – to Sophie, matka rodziny *en bonne forme*, której ojciec z kolei, Hector, dał Rory'emu kuszę, a ich trzy córki przyprawiały naszego syna o nerwowe wiercenie. Zabrali gromadkę dzieci z wioski, zaprowadzili je piechotą na uroczystość i fajerwerki, nakarmili w Crêperie les Embruns, a teraz zaganiali swoje stadko z powrotem do domu.

Wyszli prosto na nas, nadal siedzących na asfalcie, zbyt rozleniwionych, żeby się ruszyć. Wybuchliśmy śmiechem, słysząc, jak gwałtownie nabierają powietrza na nasz widok. Oni roześmiali się z kolei, kiedy uświadomili sobie, że to my, po czym, wciąż śpiwając, przemknęli pomiędzy nami, zmierzając do domu.

Leżeliśmy jeszcze chwilę na pustej, ciepłej drodze. Wyspa prawie już spała. Gdzieś daleko jakiś samochód z jękiem wjeżdżał na wzgórze, kierowca wrzucił czwórkę i pomknął w stronę Le Palais.

Na samym czubku wyspy, na północ od Sauzon, powolny krąg stroboskopowych świateł Pointe de Poulains wzmochnił się nagle o całą kulę migoczących światełek. Patrzyliśmy przez chwilę, niepewni, co to może być. Przypominało to początek *Bliskich spotkań trzeciego stopnia*. Zupełnie jak w filmie, kula dostała mglistych skrzydeł, które zaczęły rozpościerać się po obu stronach latarni morskiej. Wylądowanie elektryczne przeszło niebo. Jasna biała smuga – prawdziwa błyskawica, która zanurzyła się w wodzie – a zaraz potem przytłumiony grzmot.

Wstaliśmy bez słowa. *Beau temps* dobiegł końca i nadchodziła burza.

ANKOU

Ziemia pod zabudowę była w cenie. Luksusowe samochody krążyły uliczkami wiosek, widać było przyciśnięte do szyby twarze, wypatrujące bezpieczeństwa działek i budynków gospodarczych. Kiedy pasażerowie raczyli wysiąść ze swoich luksusowych citroenów Pallas, często od razu przechodzili do rzeczy. Czy to jest na sprzedaż? Nie? A to? Proszę mi powiedzieć, co jest na sprzedaż. (Tak, wydaje mi się, że ta krowa jest do kupienia. Nie, nie wiem, do kogo należy).

Wycieczkowicze przyjeżdżali tłumnie. Mieli czyste radosne spojrzenia. Ale byli wszędzie! Po przyplnięciu promu nie dało się nigdzie jechać samochodem, bo na wszystkich drogach kolebało się dwustu rowerzystów, wstrzymując ruch, stwarzając zagrożenie i powodując prawdziwe wypadki. A przyplęwało do dwunastu promów dziennie.

Popularność to oczywiste przekleństwo. Jeśli chodzi o Eden, nie wystarczy go odwiedzać. Ludzie chcą mieć tam własny kąt. A kiedy wszyscy chcą się wcisnąć, wioski rozrastają się aż do granic możliwości, chociaż bezwzględne prawo wymagające domów w tradycyjnym bretońskim stylu raz jeszcze okazało się słuszne. (Najwspanialsze umysły architektonicznej generacji wciąż jeszcze nie wpadły na to, jak przemienić chatę z krytym łupkami dachem w rezydencję na pokaz). Niektórzy urzędnicy podobno ugięli się jednak. Pewnego dnia na obrzeżach Sauzon pojawił się cały szereg działek z domami jak spod sztancy. Jak do tego doszło? Nie pytajcie.

Biurokraci zcentralizowanego rządu, którzy stworzyli przepisy chroniące Belle-Île, dawno odeszli na emeryturę i wypoczywali w swoich pięknych prywatnych domach. Ich następcy byli ludźmi na wskroś nowoczesnymi. W roku 1987 wybudowali drogę na grobli prowadzącą na Île de Ré, wyspę jedynie odrobinę większą od Belle-Île, położoną pięćdziesiąt mil dalej wzdłuż wybrzeża. W latach dziewięćdziesiątych Île de Ré stała się „popularnym celem weekendowych wyjazdów paryżan”, jak określił to bezczelnie jeden z londyńskich tabloidów. W letnie dni było tam ponoć jak w zoo, liczba mieszkańców wzrastała z piętnastu tysięcy zimą do dwustu dwudziestu dwóch *en vacances*, podczas wakacji.

Wkrótce przyszła kolej na odrzutowe dofinansowanie Bretanii. Można było sobie niemal wyobrazić tych technokratów i *fctionnaires*, urzędników, siedzących w sali posiedzeń i rzucających strzałkami w mapę. A może by tak machnąć cztery szybkie superpromy na Belle-Île? Wodoloty wyciągające 60 węzłów! A może port dla superjachtów, żeby filmowcy z Cannes mogli zatrzymać się tam w drodze do Londynu?

Nie, nie – zaczekajcie! A może by tak usypać drogę na grobli na Belle-Île? Dziesięciomilowy most z Port Maria w Quiberon do Le Palais, połączony na stałym łądzie z drogą D165 i *autoroutes*, autostradami. Tak, doskonale. A te pozostałe inwestycje też są warte uwagi. Tu odśpiewajmy *Marsyliankę*.

Z tą groblą chodziło o pozyskanie głosów w wyborach prezydenckich. Prezydent François Mitterrand kilkakrotnie w ramach kampanii odwiedzał helikopterem Belle-Île, żeby zjeść na pokaz jeden gryczany placek w Crêperie Chez Renée. Musiało to korzystnie wpłynąć na wyniki głosowania, bo wtedy właśnie pojawił się plan budowy grobli. W 1995 roku Mitterrand ustąpił ze stanowiska, ale Bretania głosowała na jego następcę i rywała Jacquesa Chiraca, plan pozostał więc aktualny.

Podjudzony przez te wszystkie krajowe udoskonalenia mer Sauzon postanowił poprzeć narzucone ogólnie plany odnośnie okolicznych wiosek, w tym wybrukowanie wszystkich naszych drózek i uliczek i zamontowanie brzydkich latarni ulicznych na betonowych słupach. Latarni.

Walce przewodzili Gwened i Henry. Ale włączyli się w nią wszyscy, od Vicomte'a po Madame Morgane. Zrobiliśmy burzę mózgowi i doszliśmy do wniosku, że petycja powinna pochodzić z „wioski kwiatów”. Mieli ją podpisać wszyscy, w tym rdzenni mieszkańcy wyspy i może nawet Zawzięta Para. Gwened odwoła się do próżności mera. Weźmie ze sobą wszystkie pocztówki przedstawiające Kerbordardoué, jakie tylko można znaleźć w Le Palais. Wyłoży je przed merem. Widzi pan? Ludziom podobamy się właśnie tacy. Jesteśmy atrakcją turystyczną. A czy wiedział pan, że nasza pocztówka jest bestsellerem numer jeden?

Wygraliśmy tę rundę całkiem łatwo. Natomiast szersza walka wydawała się beznadziejna. Tymczasem katastrofa, gdy już się zdarzyła, przyszła z niespodziewanej strony. Pływający pod maltańską banderą tankowiec „Erika” rozleciał się na kawałki siedemdziesiąt pięć mil od wyspy. W miarę jak potężny wyciek ropy zbliżał się gnany szalejącym sztormem, tysiąc francuskich licealistów i studentów porzuciło swoje wakacyjne plany i przyjechało na wyspę, żeby walczyć z ropą na falach przyboju i skalach.

Mimo sztormowej pogody i straszliwego zimna rzucili się w wir walki, która ciągnęła się przez wiele tygodni, gdyż z tonącego statku wyciekały nowe ogromne plamy. Grupa młodych ludzi, których znaleźmy, zwołała się z zajęć na uniwersytecie, żeby kontynuować walkę. Nawet z daleka czuliśmy, że dla wyspy stała się ona duchowym wyzwaniem. Ci młodzi ludzie mieli serca na uwalanej ropą dłoni. Belle-Île dała im swego czasu tyle niebiańskich chwil.

Nie ma wątpliwości, że ci studenci uratowali plażę Donnant. Ale sztormy gnały ropę coraz wyżej na skały i coraz głębiej pod powierzchnię wody, do szczelin, gdzie kryły się wszystkie

przybrzeżne żyjątko.

Wakacje w następnym roku były przygnębiające. Woda, w której Rory nurkował swego czasu, cuchnęła. Skąły były oślizgłe od ropy. Wszystkie, niegdyś unoszące się na falach, wodorosty wymarły, no i oczywiście nie było ryb. Nosiliśmy na plażę butelkę po wodzie Evian, napełnioną terpentyną, żeby myć sobie nogi, a drugą trzymaliśmy przy drzwiach.

Naturalnie nastąpił gwałtowny spadek liczby turystów. Powiększające szkło zainteresowania mediów przeniosło się gdzie indziej. Wreszcie otrzymaliśmy od rządu spóźniony prezent gwiazdkowy, bo plany budowy grobli zostały odwołane.

Z czasem zaczęliśmy doceniać pozytywny aspekt wycieku ropy – przerwał szalone plany funkcjonujących jak roboty maniaków w złowieszczych szarych biurach nad Sekwaną w Paryżu. Wzruszyli ramionami i od tej pory ignorowali nas. Ale my nie zapomnieliśmy; „Erika” doprowadziła na Belle-Île do rozwoju i wzmocnienia ruchu na rzecz ochrony środowiska. Wielu mieszkańców wyspy, którzy przedtem bynajmniej nie nazwaliby się ekologami, odkryło, że to największa szansa na ochronę ich kultury. Właściwie po raz pierwszy przyjezdni i miejscowi mogli się sprzymierzyć.

Kolejna ekologiczna terapia wstrząsowa, bez której moglibyśmy się obyć, nastąpiła w roku 2003, kiedy to Europa przeżyła najdziwniejsze, najgorętsze lato od roku 1540. W Portugalii szalały pożary lasów; we Włoszech spiekota utrzymywała się przez dwa miesiące; w szwajcarskich Alpach przy rekordowych temperaturach, sięgających trzydziestu ośmiu stopni, topiły się lodowce; Dunaj omal nie wysechł. Francja została dotknięta najbardziej i najdłużej, jednak powolna inwersja nie dosięgnęła jeszcze Belle-Île przed naszym przyjazdem w sierpniu.

Z początku sądziliśmy, że zostaniemy oszczędzeni; może to po prostu *beau temps*. Ale było tak gorąco, zbyt gorąco. Przez cały dzień i przez całą noc zarówno temperatura, jak i wilgotność powietrza wzrastały. W ciągu paru dni powietrze, którym oddychaliśmy, wydawało się przegrzane, zupełnie jakbyśmy otworzyli piekarnik i nachylili się zbyt blisko. Nie chciało nam się wychodzić, nawet na plażę. A jak już się tam wybraliśmy, piasek parzył stopy. Nie było fal, a morze, nienaturalnie ciepłe, pełne było wodnych pcheł, które gryzły boleśnie i wysysały krew.

Pewnego dnia po prostu przestaliśmy gotować. Za radą Suzanne i Madame Morgane po raz pierwszy w czyjejkolwiek pamięci zamknęliśmy drewniane okiennice. Cała wioska siedziała przyczajona. Rozebrani do bielizny leżeliśmy przy zgaszonym świetle na zimnych płytkach podłogowych, czytając przy cienkich paskach palącego żółtego światła, przebijającego przez szpary w okiennicach niczym rozbłysk bomby wodorowej.

Po tygodniu powinniśmy znajdować się na skraju obłędu. Ale nasze umysły i ciała uległy samozachowawczej blokadzie. Tak właśnie powstają tysięczronicowe powieści, mówiliśmy sobie. Zawsze chciałam przejść na wyłącznie jogurtową dietę. Napełnijmy wannę zimną wodą, leżmy w niej i czytamy, aż woda się ogrzeje, a wtedy będzie kolej następnego osoby.

Noce były długie i nieznośnie gorące, ale wtedy przynajmniej nie świeciło to cholerne słońce. Zaczynaliśmy poruszać się trochę w ciemności, powoli, jak dusze zmarłych w Zaduszki. Nie było żadnych przyjęć. Żadnych odwiedzin. Życie towarzyskie zamarło.

Pewnej nocy, późno, dobrze po północy, upał osiągnął apogeum. Przebywanie w domu wydawało się niemalże niebezpieczne. Mindy powiedziała: „Nie wytrzymam tego dłużej. Idę na plażę”. Włożyliśmy kostiumy kąpielowe – nie zawracaliśmy sobie nawet głowy koszulkami czy ręcznikami – i jak zombie powlekliśmy się w dół *wallon*, przez trawiastą łąkę, wzdłuż wysokich piaskowych wzgórz, aż do przerwy w wydmach, prowadzącej na plażę Donnant. Cały dwudziestominutowy spacer odbyliśmy, ani razu nie używając latarek, chociaż noc była bezksiężycowa. W naszych oczach, przyzwyczajonych teraz do ciemności, wszystko błyszczało niczym fotograficzny negatyw.

Zeszliśmy długą piaszczystą drogą nad brzeg morza. Na skraju naszego pola widzenia poruszało się kilka ciemnych sylwetek: ktoś musiał wpaść na ten sam pomysł co my. Nie było słycać szumu fal. Ocean od ponad tygodnia był płaski i nieruchomy. Nie mogliśmy nawet dojrzeć wody, jedynie ultraczerń, w odróżnieniu od kobaltowego horyzontu i nocnego nieba. Zostawiliśmy sandały na piasku i powoli weszliśmy do wody.

Zanurzeni po szyję rozejrzeliśmy się wokoło i zobaczyliśmy, że otaczają nas dziesiątki, nie, setki pływających plażowych piłek. Dobrą chwilę zajęło nam przyjęcie do wiadomości, że to koryszące się na wodzie głowy ludzi, którzy chłodzili się tak samo jak my. Szeptem wymienialiśmy uwagi na temat tej powszechnej dziwaczności, gdy nagle ktoś w pobliżu odezwał się:

- Mindy *et* Don? Czy to wy?
- Henry? Czy Céleste jest z tobą?
- Cześć, Mindy! Cześć, Don!

Włączyły się inne głosy: ich dzieci, Rory i Devo, a potem wszędzie wokół nas rozległy się głosy niewidocznych w ciemności mieszkańców Kerbordardoué i innych wiosek. Nagle poraziło mnie niesamowite odkrycie. W mojej wypaczonej wizji byliśmy jak te cienie w Hadesie, odwiedzanym przez Odyseusza, Orfeusza czy Dantego, w towarzystwie Wergiliusza – stojące po szyję we wrzącym morzu. Mogło to sprawiać wrażenie, że dałem się ponieść wyobraźni, ale taka była rzeczywistość. Świat stanął na głowie, zupełnie jakbyśmy my, jako gatunek, byli niczym Ikar i podlecieli za blisko do słońca; a teraz topiły nam się skrzydła i już się rozpoczął nasz upadek.

Staraliśmy się z Mindy nie denerwować. Mówiłem sobie, że moje wątpliwości są zapewne powszechne w tych niespokojnych czasach wojny, terroryzmu, zmian klimatycznych i politycznego ekstremizmu. Przynajmniej gospodarka przeżywała rozkwit.

Mimo to martwiłem się: czyżby nasza idylla dobiegała końca?

Bretania może się wydawać surową krainą. Tutejsze pola pięknie złocą się jesienią, ale większość roku jest mokra, zielona i czarna. Dominuje katolicki światopogląd, silny i ponury, przypominający mi posępnych, fatalistycznych szkockich prezbiteriańskich przodków. Jesteśmy grzesznikami i umieramy, czyściec jest pewien, piekło prawdopodobne – wiesz, że Bóg zna wszystkie twoje najdrobniejsze przewinienia! Nie dajcie się zwieść bretońskim obrazom Ganguina, tym czystym formom koloru. Jego najsłynniejsza bretońska scena, wiejskie kobiety w białych koronkowych czepcach, *coiffes*, po wyjściu z kościoła przyglądające się walce Jakuba z aniołem, stanowi parabolę waszego codziennego życia i was samych, ponieważ wasza dusza jest rozdarta i zawsze ktoś, gdzieś toczy o nią walkę.

Noce w Bretanii są ciemniejsze niż gdziekolwiek indziej. Nigdy do końca nie zrozumiałem dlaczego. Jest mniej dużych miast, owszem, ale mnóstwo małych. To ten wiejski spokój, poczucie, że jest się otoczonym przez pola i wrzosowiska rozciągające się ze wszystkich stron. Najlepiej siedzieć w domu. Łatwo zrozumieć, dlaczego Bretończycy lubią siedzieć wokół paleniska i opowiadać historie o duchach. Traktują poważnie wigilię Wszystkich Świętych, nazywają to *Kala Goanv*, chociaż w celtyckim świecie bardziej znana jest nazwa *Samhain*.

Kiedy między naszym światem a zaświatami otwiera się brama, pojawiają się duchy, czyhające na żywych, którzy zakładają maski, żeby zmylić prześladowców i krążą po cmentarzu od grobu do grobu, domagając się jedzenia, które zostało przygotowane przez rodziny dla swoich zmarłych. Nawet jeśli wydaje się wam, że rozpoznajecie swojego sąsiada w tym czarnym całunie, z pobieloną kredą twarzą, lepiej nie ryzykować i dać mu kubek mleka i zimowe jabłko.

.

Prawdziwe widmo Śmierci nie daje się przekupić tak łatwo. Wszyscy słyszeliśmy te opowieści. W sąsiedniej wiosce opowiadają o urywanym, niepewnym płaczu na polach w nocy, który wywołał z chaty pewnego gospodarza; chciał sprawdzić, czy z jego krową wszystko w porządku. Wszyscy wiemy, co się z nim stało. Kiedy pies śmierci dopadnie jakiegoś biedaka i usłyszycie jego triumfalne wycie, nie wsłuchujcie się w nie zbyt długo, bo będziecie następni. *La Chienne*, która włóczy się po wrzosowiskach, mokradłach i odludnych okolicach, nie jest najlepszym przyjacielem człowieka.

La Chienne, którą czasami nazywa się po prostu silnym wiatrem, rozrywa człowiekowi gardło, gdy ten brnie przez moczary, żeby podnieść ustrzeloną kaczkę – jak *Pies Baskerville'ów*. *Bidse an t'saoghail*, tak nazywa się źródłowa bestia, ale jej groza sięga dalej. Potrafi zawrócić człowiekowi w głowie niczym perfidna dziwka. Jak choćby Stefane'owi, który zwariował i wjechał traktoorem na plażę Donnant, rozpędzając opalających się i wrzeszczące dzieci. Mimo trzydziestki na karku nigdy nie miał dziewczyny, więc zdobył się na odwagę i zapytał jakąś młodą turystkę, czy chciałaby odwiedzić jego oborę. Bo tak to się właśnie odbywało za czasów jego ojca. Dziewczyna wniosła oskarżenie.

To są oczywiście tylko opowieści. Nawet ta o Ankou, dla którego poluje jego wierna suka, *La Chienne*. Ankou sprowadza śmierć i zabiera zmarłych; oby jego czarny wóz nigdy nie zatrzymał się przed waszym domem. Jeśli tak się jednak stanie, oprzyjcie się pokusie, by odchylić koronkową firankę i wyrzucić przez okno. Bo wtedy zobaczycie, jak wchodzi po schodkach ze swoją sękatą laską. Jeśli spotkacie go podczas pracy na polach między wioskami, będzie siedział na szczycie wozu pełnego spiętrzonych ciał, tak wielu, że para chudych białych koni z trudem ciągnie wóz. Jeśli was zobaczy – a na pewno zobaczy – odmówcie modlitwę. Bo już sięga po kosę.

On nie ma twarzy. Tyle wiadomo.

„Ankou” to także pora roku. Kiedy wiele osób umiera w krótkim okresie, ludzie mówią: *War ma fe, heman zo eun Ankou drouk*. Zaiste, bezwzględny jest ten Ankou.

Należą do niego ostatnie tygodnie starego roku i pierwszy dzień nowego. Prawdopodobnie wiąże się to z prostym biologicznym faktem, że starzy i chorzy są najsłabsi w środku zimy – kiedy jest zimno, wilgotno, a domy wypełnia dym. Powietrze przesyca łupież krów i kóz, które dzielą z ludźmi kwatery, obornik dostaje się do mleka i nikt nie myje rąk. Pleśń na żytnim chlebie wywołuje halucynacje, człowiek widzi postać w czarnym całunie wyłaniającą się z cienia i umiera, wykrzykując jego imię: „Ankou! Ankou!”

W Nowy Rok stary Ankou szuka następcy. Nie jest wybredny. Zadłowi się martwo urodzonym dzieckiem. Ale jeśli nie dostanie w swoje ręce kogoś niedawno zmarłego, wtedy kogoś uśmierci. A ta osoba stanie się nowym Ankou i przez kolejnych dwanaście miesięcy będzie chodził z taczka od drzwi do drzwi.

Jeśli usłyszycie wołanie sowy, potraktujcie to jak znak. Ankou jest w wiosce i nie odejdzie z pustymi rękami. Jeśli usłyszycie nocą skrzypienie koła, bądźcie cicho. To on ze swoją *karrigell an Ankou*, taczka śmierci.

Jeśli nic innego nie działa i Ankou przyszedł po was wśród pól albo, stukocząc kosturem, zbliża się dróżką do waszych drzwi, szybko podnieście jakieś narzędzie. Nie broń: łopatę, pług. Ankou boi się tylko uczciwej pracy cierpliwych ludzi.

Historie o duchach... Co byśmy bez nich zrobili w długie zimowe wieczory?

W miarę upływu lat Ankou zbiera swoje żniwo. Uczuciowy pasterz Dédé, który przez kilka lat wiernie oświadczał się Mindy w każde wakacje, przychodzi do domu od krów, siada do kolacji i umiera. Mamy poczucie bolesnej straty; trudno wyjaśnić, ile dla nas wszystkich znaczył sam jego widok, gdy codziennie prowadził stado tam i z powrotem boczną dolinką, w wełnianej gawroszce na tej swojej kanciastej głowie. Oczywiście kupowaliśmy od niego jajka, a od wielkiego święta również kaczkę czy kurczaka. (Zawsze pozostawiał ich zabicie swojej siostrze).

Nigdy się nie ożenił. Tamta paryska poszukiwaczka złota nie wytrzymała tygodnia, a cała wieś usłyszała jej wrzaski i zobaczyła, jak dziewczyna wrzuca rzeczy do samochodu i odjeżdża w pośpiechu. Zależało jej oczywiście na ziemi. Najwyraźniej spotkała ją niemila niespodzianka.

Zaczęły też docierać do nas inne wieści – listownie, telefonicznie, a ostatnio za pośrednictwem poczty elektronicznej:

Tego lata Le Vicomte nie może przyjechać. Zapalenie płuc.

Suzanne, biedactwo... po raz pierwszy w życiu opuściła wyspę i to od razu helikopterem ratunkowym! Zabrał ją do szpitala w Vannes. Powiedziała natomiast, że podobał jej się widok z góry na wyspę. Mówiła też, że nigdy nie widziała Locmarii – za dużo czarownic! Naprawdę, tak właśnie powiedziała. Już wróciła, w dobrej formie, twierdzi, że jest zadowolona ze swego życia, teraz, gdy widziała już kraniec wyspy.

Mój drogi mąż, Francis, zawiadamiamy ze smutkiem (napisała Gwened) jest chory. Rak jelit.

Matka Théophile’a, zbyt młoda, całkiem nagle – jego ojciec jest zdruzgotany.

A potem dołączyła Ameryka.

„Chyba wyczuwam guzek” – mówi Anne.

„Donnie, mam złą wiadomość o twoim ojcu”.

„Mindy, mówi twój brat, odbierz, proszę. Próbuję się z tobą skontaktować w związku z mamą”.

„Donnie, to chyba wylew, ale twoja matka jest przytomna. Siostra zasięga porad specjalistów. Może wrócimy do tego pierwszego lekarza. Ten nowy lekarz... Druga operacja...”.

To wszystko jedynie gra na zwłokę.

.

Karrigell an Ankou – taczka śmierci; jeśli usłyszycie, że jej skrzypiące koło zatrzymuje się w nocy przed waszym domem, to oznacza, że przyszła na was pora, Ankou przyjechał po was.

.

Gwened pisze listy z Belle-Île. Jej poczucie godności i powściągliwość łagodzi nieco cios, gdy czytamy o śmierci Francisa, jej pięknego mężczyzny; Le Vicomte’a, ukochanego Yvonne, bohatera bitwy pod Dunkierką; Suzanne, o której najtrudniej jest pisać...

Jej ostatni list jest krótki:

Moi przyjaciele, to była ciężka zima; wrócił mój dawny wróg i znów choruję... Na szczęście Daniel jest tu ze mną...

Zaiste, bezwzględny jest ten Ankou.

OSTATNIA KĄPIEL WE WRZEŚNIU

Telefon komórkowy leży na końcu stołu. Nie ma kresek zasięgu. Podnoszę go do światlika i ustawiam w stronę wieży nadawczej, która znajduje się w odległości paru mil za wzgórzem; satelitarne bocianie gniazdo wystaje znad cyprysowego lasku.

- Przestań! – syczy Mindy, wcale nie żartując.
- Próbuję tylko złapać zasięg.
- Przestań wyglądać przez światlik. Jak Madame Morgane cię zobaczy...

Żadne z nas nic nie mówi o prawdopodobieństwie tego zdarzenia.

Siadam z powrotem na brzegu łóżka i znów sprawdzam komórkę. Są kreski, ale znikają na moich oczach. Jednak zdążyłem zobaczyć – żadnych wiadomości.

- Nic nie przyszło.
- Co on wyprawia? – wzdycha Mindy. – Dobra, zadzwoń do niego, albo nie, lepiej wyślij mu esemesa.
- Więc teraz mogę wystawić głowę przez *was-ist-das*? Bo tylko w ten sposób mogę uzyskać syg...

- Nie nazywaj tego *was-ist-das*? To *châssis Velux*.
- Suzanne mówiła na to *was-ist-das*. Uważała, że to zabawne.
- Nieprawda. Ona nienawidziła Niemców.
- Heinricha całkiem lubiła.
- Ale nie chciała mu sprzedać swojej stodoły.
- Oczywiście, że nie chciała. Gdzie by wtedy chodziła za potrzebą?

Wpadliśmy w rytm, pozwalając, by stary znajomy wzorzec wspomnień i opowieści wprowadził nas z powrotem w życie wioski – z jej mieszkańcami, zasadami i tajemnicami. („Do kogo należy ta betoniarka?”). To się zaczyna nieświadomie, a kiedy już uprzytomnimy sobie, co się dzieje, specjalnie przeciągamy te rozmowy, czasami godzinami.

O co chodzi z tymi Niemcami? O to, że okupanci Belle-Île nigdy wcześniej nie widzieli świetlików. *Was-ist-das?* – pytali, kiedy przetrząsali domy, szukając jajek i masła z kontrabandy. *Was-ist-das* stało się nazwą. Był to, jak sądzę, sposób na to, żeby wytknąć najeźdźcy jego głupotę, i to prosto w oczy, podczas gdy on cały czas myślał, że to przyjazny gest.

Możliwe, że to moja nadinterpretacja. Jednak pamiętając szorstkość Suzanne wobec Heinricha, który przez trzydzieści lat był jej sąsiadem z kamiennego domku obok, nie byłbym taki pewien.

Mindy zmienia pozycję na łóżku i jedna z desek trzeszczy.

– Chyba jest złamana – mówi Mindy.

Moim pierwszym zadaniem tuż po przybyciu jest sprawdzenie, czy w łóżku nie ma połamanych listewek, i ewentualnie dokonanie koniecznych napraw. Ale wczoraj zbyt późno dotarliśmy na miejsce.

– Zajmę się tym – odpowiadam, ale daję się sprowokować jej milczeniu: „Taaa, akurat”. – Jak tylko zwleczesz się z łóżka, leniwcu.

Ociągałem się już dość długo. Piszę krótkiego esemesa do Rory’ego i schodzę na dół.

•

Z chwilą, gdy zeszlśmy z promu, oszołomił nas przypływ dawnych wspomnień i wszechobecne wrześnieowe piękno Belle-Île. W którąkolwiek obróciliśmy się stronę, pojawiał się ktoś, kto nas witał albo zapraszał na drinka, na kolację, piknik na plaży. Nasi młodszy kompani z paczki surfingowej, kiedyś zupełnie zwariowani, a teraz żonaci i dzieciaci, wciągali nas w szalone przygody przez wzgląd na stare czasy. Łaziliśmy po wrzosowiskach z Yvonne, wdową po Vicomtcie, dyskutowaliśmy o sytuacji na świecie z zaprzyjaźnionymi psychiatrami, ucztowaliśmy przy stołach miejscowych i *étrangers*, cudzoziemców, i budziliśmy się w ciszy kolejnego wioskowego poranka w naszej wyłożonej sosnowym drewnem sypialni.

Czyżby ktoś pukał do drzwi? Tak, to Pierre-Louis, przewodniczący jakiegoś hiperuczonego Światowego Towarzystwa Psychoanalitycznego. Stoi w drzwiach, trzymając ręczną wiertarkę elektryczną – twierdzi, że ma coś szybkiego do załatwienia – i wchodzi na górę po schodach. Tak, przyszedł naprawić nasze znów połamane łóżko.

– Ale skąd wiedziałeś, że jest połamane?

Pierre-Louis śmieje się serdecznie i grozi mi palcem.

Jakże żałujemy, że nie ma z nami Rory’ego. Wiemy, że to by go rozbawiło.

•

Ostatnie lato było pierwszym bez Gwened Guedel, ale jej obecność czuło się wszędzie, zwłaszcza w zarośniętych ogrodach i wśród uginających się od owoców drzew, gdzie wędrowaliśmy, świadomie pogrążając się we wspomnieniach. Ten rok jest ostateczny: jej duch odszedł. Sprzedaż jej domu i ziemi odbyła się na zimno i w pośpiechu, ze stratą; dokonał jej syn Gwened, cho-

cięż ona zawsze miała nadzieję, że Daniel przejmie posiadłość i będzie kochał Kerbordardoué tak samo jak ona, tak samo jak my, nauczeni przez nią.

Żeby postawić sprawę jasno, Daniel nie miał wyboru – mieszka w Chicago, stracił pracę, podobnie jak my, i miało mu się urodzić dziecko. *Annus horribilis* 2009 nie oszczędzał nikogo, to pewne.

W pewnym sensie, który naprawdę dopiero teraz zaczynamy w pełni pojmować, Gwened wszystko przygotowała dla Daniela: dom, wioskę, nas, całą resztę obsady, kontrolując, co tylko zdołała. A potem siadła i czekała; czekała i czekała przez trzydzieści lat, aż Daniel wróci. A kiedy śmierć już się zbliżała, załatwiła wszystko, co związane z podatkami i prawem własności, żeby mógł odziedziczyć posiadłość bez żadnych obciążeń finansowych. Ale na marne, jak się zdaje. Chociaż Daniel był przy niej podczas desperackich prób leczenia i później, w hospicjum, zwyczajnie nie mógł związać swego życia z Kerbordardoué tak jak ona. Biedna Gwened. Zastawiła sidła miłości, piękna i własności, a zamiast Daniela schwytała w nie jedynie nas.

Nas, Amerykanów, których tu zwabiła, ulokowała, wyszkoliła i zmusiła do ukończenia naszego domu. Wybrała nas sobie na najbliższych sąsiadów, właśnie nas, nie kogoś innego, a więc uczyniła to miłości i przyjaźni, prawda?

Tyle że był w tym także ten bezkompromisowy perfekcjonizm – ta sama potrzeba kontroli, która prawdopodobnie odstręczyła Daniela. Bo kiedy miała umieścić przynętę w tych siódlach miłości, piękna i własności, Gwened zapewne doszła do wniosku, że potrzebuje czegoś egzotycznego. Co może być lepsze dla młodego chłopaka, który sam chciał zostać pisarzem, niż para amerykańskich pisarzy? Może to dla nas niezbyt pochlebne, ale nie mogę pozbyć się podejrzania, że byliśmy serem.

Owszem, kochała nas – wiemy o tym. Ale gdzieś w tyle głowy przez cały czas, podejrzewam, miała Plan. Wiem, że na jej miejscu kombinowałbym tak samo.

Kiedy usłyszeliśmy, że dom Gwened został wystawiony na sprzedaż, napisałem e-mail do Daniela. Znam go i lubię. Prosił go, żeby przyhamował, przeczekał kryzys gospodarczy; dobra rada, do której sami nie byliśmy w stanie się zastosować w przypadku naszego nowojorskiego mieszkania i życia. (Ostatecznie opuściliśmy je, we łzach i w niegodnym pośpiechu, zostawiając połowę mebli przy krawężniku, kiedy taksówka odjeżdżała). Chociaż żałuję, że sprzedał dom, wiem, że sami rozważaliśmy podobne rozwiązanie. Decyzje Daniela to tak naprawdę nie moja sprawa – tyle że przez te wszystkie lata spędzaliśmy wakacje po sąsiedzku z Gwened i byliśmy świadkami jej czekania.

Po prostu wydaje nam się to nie w porządku, że my tu jesteśmy, a on nie. Ale mamy jeszcze inny, bardziej osobisty i dotkliwy powód, żeby przejmować się pobudkami Daniela – bo my też mamy syna. Syna, który od trzech tygodni nie odbiera komórki, nie odpowiada na e-maile, żeby nie wiem co, nie reaguje nawet na cholerne esemesy wypisane samymi \$)#\$&#& i emotikonami, i całą tą poezją nowej generacji. Syna, który, gdyby tylko chciał się do tego przyznać, też potrzebuje tej wyspy. Syna, którego nie ma tu z nami. Znowu. Już szósty rok.

Nasze straty ciężko dotknęły Rory'ego. Trudno się dziwić, że czuje się przygnębiony. Jest jedynakiem. Mieszkając i dorastając w Nowym Jorku, nie widywał zbyt często rodziny i kuzynów. Dziadkowie przynajmniej zdawali sobie z tego sprawę i poświęcali mu dużo uwagi, kiedy był z nimi. Jego więc z ciotką Anne także była magiczna; wszyscy to widzieli. Również Gwened – jeszcze jedna czarodziejka – dawała mu wiele miłości i to nie tylko dlatego, że marzyła o własnych wnukach.

A teraz oni wszyscy odeszli, poza moją matką, która przeszła dwa wylewy. To wszystko w połączeniu ze stratą nowojorskiego domu sprawia, że Rory jest znękanym chłopcem. Właśnie skończył dwadzieścia jeden lat, a wydaje się znacznie starszy. Podobnie jak wielu studentów Uniwersytetu Stanforda podjął pierwszą pracę równoległe ze studiami. Zdobył stypendium na opłacenie trzeciego i czwartego roku studiów. Mamy poczucie winy i mówimy mu, żeby rzucił pracę i skupił się na nauce, że stać nas na to. I teoretycznie możemy, mimo że oboje straciliśmy pracę, a system gospodarczy się sypie. Ale on ma swój własny rozum. Już się nas nie słucha.

Więc przyjeżdżamy na Belle-Île sami.

Od połowy pobytu jesteśmy w wiosce zupełnie sami. *Rentrée*, początek roku szkolnego, wypadł tego lata jako wcześniej i wszyscy paryżanie wyjechali. Zostali jedynie członkowie wielopokoleniowej rodziny Madame Morgane, rozproszeni po kilku domach, dobrze ukrytych przez wysokie żywopłoty. Możemy korzystać z kilku wielkich ogrodów, ofiarujących obfitość dorodnych krwistych pomidorów, krzepkich cukinii i ogórków, żółtawozielonej *frisée*, sałaty karbowanej, fasolek szparagowych i marchewek, pietruszek, bazylii i *fenouil*, kopru. Drzewa ociekają małymi czerwonymi rajskimi jabłuszkami. Gałęzie figowców uginają się od owoców. Nawet samotna grusza Gwened przy dawnym dojo urodziła jedną doskonałą leżkę. Właściciele błagają nas, żebyśmy uwolnili ich chociaż od części warzyw i owoców.

Mamy wszystko, czego nam trzeba, ale nie tych, których potrzebujemy.

Puste drogi i długie popołudnia zachęcają do wycieczek. Nasze zardzewiałe renault padło i odeszło w niebyt, więc teraz kolebiemy się po wyboistych drogach wrzosowisk w maleńkim opalizującym twingo. Jeździmy na wycieczce, powodowani kaprysem i wspomnieniami.

Pod koniec września, ostatniego pełnego dnia naszego pobytu, jesteśmy na klifowym wybrzeżu pomiędzy Port Kerel a Pointe du Saint Marc, kiedy nagle zatrzymujemy się na skraju wymłóconych pól nad stumetrowym urwiskiem.

– Czy to nie tutaj po raz pierwszy przyszliśmy popływać razem z Gwened? – pytam. Mindy kiwa głową, mrużąc oczy i rozglądając się w obie strony po wybrzeżu.

– Yeyew? Tak się nazywała ta plaża?

- Nie, Calastren.
- To wioska, nie plaża.
- Port Guen?

Uśmiechamy się na myśl, że owszem, to podobne do Gwened pływać nago w zatoczce noszącej jej imię.

Wysiadamy i spoglądamy w dół na półksiężyc piasku otoczony ścianami z błękitnozielonych lupków. Przypominamy sobie, jak tam było ciepło i przytulnie, i że Gwened nie chciała się kąpać nigdzie indziej, chociaż na dół z trudem schodziło się po spadzistych zboczach pełnych kłujących kolcolistów, przyglądamy się długo tej plaży, ale nie schodzimy tam.

Zamiast tego zawracamy i suniemy powoli wąskimi wiejskimi drogami i stromym zjazdem pod cienistym laskiem. Parkujemy i wchodzimy do niecki pełnej bujnych gęstych paproci, które – jak okiem sięgnąć – pokrywają każdy cal ziemi. Gdzieś tam w dole, na końcu piaszczystej dróżki, wykąpiemy się po raz ostatni. Po powrocie do Stanów nie będzie czekać na nas pocztówka, jak po tamtym pierwszym pływaniu – *Les derniers baigneurs de septembre* – z krótkim jedynie nagryzmołonym dopiskiem i maleńkim podpisem: Gwened. Ale zawsze będziemy ostatnimi kąpiącymi się we wrześniu.

.

Przyjechaliśmy sami i wyjeżdżamy sami. Mamy jeszcze godzinę do odplynięcia promu, więc zostawiamy bagaże w biurze Théophile'a przy nabrzeżu i zawracamy wzdłuż basenu portowego pod zarośnięte mury obronne miasta. Jedna z żółtych granitowych wież stanowi teraz część domu spokojnej starości. Gdy wchodzimy na górę z bukietem kwiatów z wioski, kobieta, którą mijamy, mówi: „Będzie zachwycona”.

Okazuje się, że w jej domyślności nie ma nic niesamowitego: Madame Morgane jest jedyną pacjentką na drugim piętrze. Maleńka, pomarszczona i drżąca leciutko, leży w pościeli z zamkniętymi oczami i w półotwartymi ustami. Uznajemy, że to, co słyszeliśmy, jest prawdą, że nie może mówić ani zrozumieć, co się do niej mówi, i nie rozpoznaje ludzi.

Ja jestem za tym, żeby zostawić kwiaty i wyjść, ale kiedy Mindy wypowiada jej imię, Madame Morgane otwiera oczy i mruga powoli. Wpatruje się w twarz Mindy, gdy łagodnie przypominamy jej, kim jesteście. I nagle nas poznaje. „*Les Américains*”. Zgadza się, to my. Rozmawiamy o starych znajomych miejscach, o tym, jak suche było lato, jak wspaniałe ogrody.

Madame Morgane słucha. I nagle otwiera powoli usta.

– Wioska nie jest już ta sama – mówi. – Wszystko się zmieniło.

Mindy zgadza się łagodnie z jej odczuciem i dodaje, że Madame Morgane z pewnością tęskni za Suzanne. To wywołuje piękny uśmiech. Podobnie jak wzmianka o czekoladowej piłce futbolowej, którą Mindy włożyła w ręce córki Madame, gdy już mieliśmy wyjeżdżać z Kerbordardoué tunelem z drzew. Parę kawalków mieliśmy ze sobą, w plecakach. Zjemy je w pociągu, wie-

dząc, że reszta ciasta nie zostanie zjedzona przez tych, na których nam najbardziej zależało. To ofiara, jak na *Kala Goanv*.

Mindy znajduje pielęgniarkę, jedyną na dyżurze, która przynosi pusty słoik na kwiaty. Po-
kój Madame Morgane jest cały biały, nie ma telewizora ani nawet żadnego obrazka na ścia-
nach. Ale ma widok na port i na kilka starych drewnianych łódek, wyciągniętych na błotnisty
brzeg, niektóre murszejące, inne w trakcie remontu. Za nimi, po drugiej stronie rozlewiska,
rozciągają się ciemnozielone, pobrużdżone wzgórza.

Gdy już się pożegnaliśmy, stoimy przez chwilę wzruszeni na parkingu.

Po powrocie do Ameryki otrzymamy wiadomość. Ale kiedy wchodzimy po stalowym trapie
do czarnej ładowni promu *Gueurveur*, mamy już świadomość końca pewnej epoki. Teraz zostali-
śmy już tylko my i następne pokolenie, a potem jeszcze kolejne.

– Wiesz, Don, wtedy, kiedy po raz pierwszy odwiedziliście nas w Tours, i cały dom wydawał się
dérangé, postawiony na głowie? Kiedy zachowywałem się jak szaleniec?

Mindy uśmiechnęła się.

– Chodzi ci o to, kiedy wyrzuciłeś przez okno maszynę do pisania?

Daniel Guedel wydawał się zaskoczony, a jego żona zachwycona. „Naprawdę?” – mówiło jej
spojrzenie.

To było na początku zimy w Nowym Jorku. Nie widzieliśmy Daniela od śmierci jego matki.
Nie wiedzieliśmy go przez kilka lat. Ale byliśmy w kontakcie. Kibicowaliśmy jego pracy, mał-
żeństwu, narodzinom dziecka i pisarskiej karierze jego żony. Jest dla nas jak rodzina. Kiedy za-
dzwonił z informacją, że jest w Nowym Jorku, wiedzieliśmy, że to będzie spotkanie pełne
emocji. Ale nie mieliśmy pojęcia, że aż tak bardzo.

Siedzieliśmy po kolacji na kanapie w naszym mieszkaniu. Pobrzękujące na wietrze, stare
okna skrzynkowe wychodziły na nowojorski zachód słońca i malownicze rozgrywki światła
i cienia o z góry przesądzonym wyniku.

– Bardzo freudowski gest – powiedział Daniel – zważywszy na to, że chciałem być pisa-
rzem. No...

Wziął głęboki oddech, co powinno nas ostrzec, że to nie będzie zwyczajna historia.

– Tak się złożyło, że jakiś tydzień przed waszym przyjazdem matka powiedziała mi, że nie
jestem synem mego ojca.

Mindy i ja tylko patrzyliśmy na niego. Daniel kiwnął głową.

– Właśnie skończyłem szesnaście lat, widzicie. Uznała, że jestem już wystarczająco duży,
żeby poznać prawdę. Powiedziała mi, że i tak nie mogłaby dłużej żyć w kłamstwie.

– A czy on wiedział? Twój ojciec. – Chodziło mi o tego, którego znaleźmy.

Daniel pokręcił głową. Siedzieliśmy osłupiali, w bezruchu, z kieliszkami zawieszonymi w po-
lowie drogi do ust, z dłońmi zatrzymanymi nad serem, czipsami, *chèvre*, kozim serem i dipem

guacamole.

– Daniel? – Ale Mindy sama nie wiedziała, o co chce zapytać.

Uśmiechnął się.

– Przepraszam.

Nie było oczywiście za co przepraszać, ale Daniel rozumiał w pewnym sensie, jaki to dla nas szok. Sam przeżył go jako szesnastolatek. Ta idealna kobieta, która jest twoją matką, okazuje się złudzeniem.

– Ale – ciągnął nieubłaganie, jakby musiał to wszystko powiedzieć za jednym zamachem, bo inaczej straci odwagę – poprosiła, żebym nie mówił ojcu. To miała być nasza mała tajemnica. Nie mogłem w to uwierzyć. Matka i ja strasznie się kłóciliśmy. Strasznie. Wicie, jaka kontrolująca potrafiła być moja matka? Było gorzej, niż potraficie sobie wyobrazić. Prawdziwa wojna. I nagle coś takiego. Dlaczego?

– Dlaczego? – powtórzyła Mindy.

– Myślę, że nie mogła znieść mojej bliskości z ojcem.

– Och, ten biedak – westchnąłem, przypominając sobie historię, którą uraczyła nas Gwened, o tym, jak ten jej prawy, brodaty mąż sprawił sobie kochankę.

– Ale kto? – wykrzyknęła Mindy. – To znaczy, jak? Nie chcę być wścibska, ale – cholera jasna!

– Był studentem, poznała go w Budapeszcie, gdzie wyjechała na studia. Mamy jakichś maziarskich przodków; jesteśmy po części Węgrami. – Uśmiechnął się, jakby to coś wyjaśniało. – Jej rodzice we wszystkim ją kontrolowali. A przede wszystkim bez przerwy panicznie się bała, że rozczaruje ojca. Ale oczywiście już i tak go rozczarowała, bo nie była synem, którego zawsze pragnął. Tak? A kiedy wyjechała do Budapesztu, no, trochę zaszalała.

Porównanie z matką Mindy w college'u, po raz pierwszy w życiu z dala od Hawajów, nasuwało nam się chyba z Mindy równocześnie. Poczulem elektryczny prąd przepinający zespół obwodów moich wspomnień: nie, nie tędy, tędy. Po raz pierwszy w życiu z dala od dorosłych, którzy ją ukształtowali, od małości szukając ją na prawdziwe cudowne dziecko – to była Dolly. Gwened z kolei była córką cudownego dziecka – posłuszną córką, cierpiącą na brak pewności siebie i poczucie, że nie jest wystarczająco dobra. To właśnie opowiedziała nam o swoim dziadku i ojcu, profesorach uniwersyteckich, mężczyznach o poważnych czarnych wąsach.

Nie mogliśmy tego pojąć, wydawaliśmy nieartykułowane dźwięki, machaliśmy rękami, popijaliśmy wino. Kiedy już doszliśmy jako tako do siebie, czekaliśmy, nie chcieliśmy wypytywać, ale zdecydowani byliśmy wysłuchać wszystkiego, co Daniel zechce nam powiedzieć.

.

Powrót do zwykłego życia w powojennej Europie po oszałamiających obchodach Dnia Zwycięstwa stanowił rozczarowanie, delikatnie rzecz ujmując. Wszyscy błakali się w sepiowej, zakurzonej cywilizacji: szare ściany, zbombardowane domy wciąż rzucające się w oczy, marne je-

dzenie, nadal racjonowana żywność, ciągle, jak się zdawało, zimno (nikt nie mógł sobie pozwolić na ogrzewanie czy kąpiel, ponieważ instalacje wodociągowe i gazowe prawie nie funkcjonowały). Dla studentów w Budapeszcie jedynym miejscem, by się ogrzać, była oczywiście kawiarnia. Prawdziwym źródłem tej romantycznej kawiarnianej kultury, którą my, Amerykanie, tak byśmy chcieli przenieść na nasz grunt w Portland, na Brooklynie i w Peorii, była bieda.

Gwened miała grono przyjaciół. Była oszołomiona, wygłodniała i rozzuchwalona tym, że wreszcie uciekła od tamtych wspaniałych ponurych mężczyzn, którzy piorunowali ją wzrokiem z przydymionych olejnych portretów na ścianach jadalni. Pozwoliła się uwieść ekstrawaganckiemu węgierskiemu studentowi akademii muzycznej, którego geniusz już gorzał. Wszyscy wiedzieli, że Rakeł zrobi karierę i stanie się jedną z tych władczych, odzianych w pelerynę osobowości, królujących w operach i orkiestrach symfonicznych. Dla Gwened uosabiał on sztukę, bunt i wyzwolenie. Idąc do łóżka z Rakelem, znanym playboyem, w tamtych niebezpiecznych czasach sprzed pigułki, Gwened symbolicznie odmówiła grania kartami, jakie rozdał jej los. Zaryzykowała.

W ciągu paru tygodni wiedziała już, że przegrała. I wraz z tą świadomością przyszło opamiętanie, a także pojawiła się perspektywa ponurej jałowości i wiecznej dezaprobaty rodziny – ten sam miażdżący gniew, jaki wywołała matka Mindy w swoich porządnym koreańskich rodzicach.

W ciąży, bez męża i mieszkająca z rodzicami? To przepis na piekło. Gwened zaczęła snuć plany. Rozejrzała się po grupce zubożałych studentów, po raz pierwszy oceniając ich potencjał według tych samych mieszczkańskich standardów, jakie stosowaliby jej rodzice. Obniżyła poprzeczkę i dokonała wyboru. Zeszli się ze sobą jakby przypadkiem. Wspólna noc wydawała się wyłącznie jego winą, to on był niegrzecznym chłopcem. I proszę bardzo, w jakie przez to wpakował ją tarapaty...

Opanowanie Daniela było surrealne. Ale potem dowiedzieliśmy, że przestał trzymać to w tajemnicy już jakiś czas temu. Całe lata temu. Dowiedzieliśmy się dosłownie jako ostatni. Wszyscy wiedzieli? – zdumiewaliśmy się. Daniel przytaknął. Ale dlaczego my trwaliliśmy w nieświadomości? Uśmiechnął się. Ponieważ prosiła o to.

Zrozumieliśmy. To, o co prosiła Gwened – czego chciała od życia, a ostatecznie od śmierci i od wioski – to był ktoś, czyje złudzenia na jej temat miały pozostać nienaruszone, dopóki ona nie zejdzie ze sceny, z podniesioną wysoko głową. Tym kimś byliśmy my.

STARSZYNA WIOSKI

Pod koniec lata 2010 roku wracamy. Nie mieszkamy już nigdzie, no chyba że, poniekąd, w rodzinnym domu Mindy na Hawajach, który jej bracia usiłują nam sprzedać spod nóg. Mamy mniejszą stabilność finansową niż kiedykolwiek, a jednak znów ruszamy w drogę, podróżujemy z małym bagażem, ufni, że coś się wyłoni. To wciąż my.

Jeśli zostaniemy wypędzeni z Hawajów, Belle-Île stanie się naszym domem. Już rozważyliśmy przeprowadzkę tam na stałe, w przypadku gdy sytuacja pogorszy się dramatycznie. Może na to właśnie czekał ten dom. Ale naszą główną troską, w tym roku, tak jak i w każdym innym, nadal jest nasz syn. Z popiołów palącego mosty nastolatka powstał nowy Rory. Zamieszkał z dziewczyną w Nowym Jorku. I zapowiedział zuchwale, że po raz pierwszy od siedmiu lat przyjeżdża na naszą wyspę.

Gdy czekamy, czy faktycznie się pojawi, dziwimy się zmianom, jakie zaszły w naszej przyciszzonej teraz wiosce. Nie wiemy, co się stanie z domem i gospodarstwem Madame Morgane, ale jej rodzina zdecydowanie daje się zauważyć; budują nowy mur, machają na powitanie, a nawet – wielkie nieba! – wdają się z nami w pogawędkę. Nasi nowi najbliżsi sąsiedzi, miły prawnik i jego żona sędzina, uchylili ubiegłoroczną decyzję, żeby sprzedać dom i kupić coś większego. W Kerbordardoué jest po prostu zbyt przyjemnie i ich dwie córeczki mają tu tyle innych dzieci, z którymi mogą się bawić.

Bratanek, który odziedziczył ruinę Suzanne, przerabia ją na najprawdziwszy bretoński dom, co stwierdzamy z radością. Kamieniarz z wytatuowanym owczarkiem niemieckim też prawie już ukończył swoją renowację. „Po dziesięciu latach – zrzędzi – i co ja teraz ze sobą zrobię?”. Jednego nie zrobi na pewno, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, nie będzie rozmawiać z dentystą z przeciwka, który nie odezwał się do nikogo z nas, odkąd wioska odrzuciła jego plany budowy wielkiej rezydencji. (Piętnaście lat! Byłoby naprawdę szkoda, gdyby nagle miało się to zmienić).

Ale teraz dzwoni komórka. To Rory z nabrzeża, który pyta obrażonym tonem, dlaczego po niego nie wyjechaliśmy.

– Czy Kaitlin jest z tobą? – pytamy.

– Tak, i jeszcze parę osób.

Rozpoznajemy ten ton.

– To znaczy ile? – pytamy, starając się nie okazywać zaniepokojenia. W końcu nie chcemy go odstraszyć. Nawet jeśli w domu są tylko cztery łóżka.

– Dziesięć – odpowiada.

Powstrzymujemy okrzyk przerażenia. Jeśli Rory przywiózł ze sobą całą wioskę, ta wioska znajdzie miejsce, by ich ugościć – tak jak znalazła miejsce dla nas.

.

Opowiadając historię, to opowiadający ustala reguły gry, rysuje kredą linie. Pójdziemy tędy – tą ścieżką, nie tamtą.

Tak też powstała ta opowieść o nas, o naszej impulsywnej decyzji, która wydawała się idiotyczna, ale z czasem jawiła się jako coraz bardziej śmiała i romantyczna w swej nierozważności. („Ach, te dzieciaki!”). No bo czemu nie? To wszystko prawda.

Ale to nasza prawda. Są jeszcze inne prawdy. Jest prawda Suzanne i prawda Madame Morgane. Myślę, że jesteśmy na tyle dorośli, żeby dopuścić myśl, że inni ludzie mogą mieć swoją prawdę.

Ale jest jeszcze jedna prawda, ponadludzka prawda, prawda historyczna, widziana z szerszej perspektywy, którą historycy nazywają *longue durée*, długim okresem.

W tym wypadku, biorąc pod uwagę *longue durée*, należałoby spojrzeć na sprawy z punktu widzenia domu i wioski, tak jakby były one odrębnymi bohaterami tej opowieści. Bo dom to nie my, a jego miejsce jest tam, gdzie przyszedł na świat – w wiosce. Nie możemy zabrać go ze sobą, tak jak zabieramy dziecko, pamiątkę z wakacji czy opaleniznę, prawda?

Więc jaka jest opowieść wioski? Taka, że dom się rozsypywał, obracał w proch. My go kupiliśmy. Nie mieliśmy pieniędzy na radykalną przebudowę – więc nie poszliśmy tą ścieżką. Nasz cel był pragmatyczny – niezmiennianie niczego wyjdzie najtaniej. Jako że nie mieliśmy zdolności, czasu ani zamilowania, żeby samodzielnie zrobić remont, za jego wykonanie zapłaciliśmy innym, lokalnym rzemieślnikom, w większości starszym, zbliżającym się do emerytury czy wręcz już świeżo na emeryturze.

W tej opowieści nasza rola jest minimalna, jesteśmy w niej właściwie dozorcami. Przekazaliśmy pieniądze prawdziwym artystom. Liczyliśmy się z duchem miejsca, wioski, Belle-Île; i z tego jestem dumny. Nieobecni właściciele często zasługują na wzgardę.

Parę osób dało nam do zrozumienia, że pozbawiamy kogoś innego – kogoś takiego jak oni, ściśle rzecz biorąc, czyli Francuza – prawa do naszego domu i naszej wioski. Czasami przechodziliśmy do defensywy i prawie się zgadzaliśmy, choć nigdy otwarcie, z tą krytyką. Dawno

temu poprosiliśmy o *maison saine*, zdrowy dom, a Denis LeReveur zamieścił cechy takiego domu w *devis*; ale czy mieliśmy także moralny dom? Czy mieliśmy prawo tu być? Kto może to stwierdzić z całą pewnością?

W miarę upływu czasu to pytanie przestało być tak zupełnie jałowe i czysto retoryczne. Zarówno w naszej dzielnicy Chelsea na Manhattanie, jak i w starej części Hawajów, gdzie mieszkała matka Mindy, nowe pieniądze zacierają wszelkie ślady przeszłości, w tym także wywabiają ludzi, dzięki którym te miejsca były wyjątkowe, funkcjonalne, a nie tylko dekoracyjne, były czymś więcej niż tylko rejonami, gdzie globalni bogacze czy inne cwaniaki, którzy kupili dom na spółkę z innymi podobnymi sobie, spędzą co roku dokładnie dwa tygodnie. Czy my tak się znowu od nich różniliśmy? Czy nasze cztery tygodnie w roku czyniły nas dużo lepszymi?

Zadawaliśmy sobie pytanie, czy my właściwie chronimy wioskę, czy też ją niszczymy, ale nie potrafiliśmy na nie odpowiedzieć. Na Belle-Île są wyjałowione wioski, miejsca, w których cudzoziemcy masowo wykupili nieruchomości i utworzyli kolonie Niemców, Belgów, Anglików. Oczywiście w tych narodowościach samych w sobie nie ma nic złego, ale *en masse* spowodowali zachwianie równowagi. (Podobnie jak, co się rozumie samo przez się, zachwianie równowagi powoduje nadmiar Amerykanów). Człowiek przejeżdża przez te wioski i nic nie czuje. Wynajmujący są tam z powodu słońca, plaży i kielbasek, no i dlatego, że jest tanio – prawdopodobnie żałują, że nie stać ich na Prowansję.

Myślę jednak, że większość osób, które tu przyjeżdżają i kupują domy, robią to dlatego, że – Boże ucho! – poznali wyspę i zakochali się w niej do szaleństwa. W nich widzimy samych siebie, nawet jeśli pokazują na nasz świetlik i pytają: *Was-ist-das?*

Nasze obawy co do moralności naszego domu pewnie są przesadzone. Tak, konserwatyści mają łatwo: liberalne poczucie winy to piekło. Ale nie zmienimy tego, kim jesteśmy.

.

Poczucie winy z powodu tego, że nasz dom pozostaje wyłączony z obiegu przez jedenaście miesięcy w roku, udało nam się przezwyciężyć dzięki kotu Suzanne, który bez przerwy wskakiwał do nas przez okno. Ciągle go wyrzucaliśmy, aż któregoś dnia poddaliśmy się i zaprosiliśmy Grizzou na spodeczek mleczka. Zachowywał się tak, jakby był u siebie. Bo też, zrozumieliśmy nagle, faktycznie był.

Teraz wiedzieliśmy już, dlaczego Suzanne wydzierała koronkowe firanki do naszych okien. Nie dla nas – ale po to, żeby ona i Madame Morgane, przyjaciółki z dzieciństwa, mogły siedzieć w kuchni Tante Jeannie jak wtedy, kiedy były małymi dziewczynkami. Mogły stamtąd bez przeszkód wyglądać przez okno i patrzeć przez koronki na swoją własną Belle-Île i na toczące się nieśpiesznie wioskowe życie. Przez lata miały ten dom dla siebie, zrzekając się go jedynie pod koniec sierpnia, kiedy przyjeżdżaliśmy.

Ale z nas głuptasy. Myśleliśmy, że to nasz dom, a on przez cały czas był ich.

A przecież zdarzały się osoby, zarówno we Francji, jak i w Ameryce, które zarzucały nam, że go „marnujemy”. Amerykanie zwłaszcza dziwiąją się, dlaczego nie przeznaczymy go pod wynajem, żeby zarabiał na siebie niczym zwierzę juczne. Ale to by oznaczało wyposażenie go na potrzeby turystów: telewizor, telefon, Internet, zasłonki z falbankami, jasne kolory, wdzięczne lampki i malarstwo rodzajowe. A może nawet odmalowanie *salle de cuisine*, izby kuchennej.

Przede wszystkim jednak to by wymagało dokończenia remontu. Zajęło nam to dwadzieścia dziewięć lat, ale wreszcie mamy na takie przytyki przygotowaną odpowiedź:

Po co się śpieszyć?

.

A kiedy przyjdzie na nas pora, pod koniec naszej ziemskiej wędrówki, mam nadzieję, że będą tacy, którzy przystaną i pokażą palcem nasz dom. „Och, spójrzcie! Jaki piękny!”. A potem dostrzegą nas i będą wymyślać różne historie na nasz temat. Tak, to ta para zdziwaczałych starszusków, którzy spacerują uliczkami wioski, z kieszeniami pełnymi kwiatów i odnózek, i brązowymi, trzęsącymi się, pokrytymi starczymi plamami dłońmi upychają sadzonki do szczelin w murach. Widząc nasze krzywe uśmiechy i brakujące zęby, pomyślą sobie: *La femme sauvage! L'homme sauvage!*

Ale jeśli to będziecie wy, mam nadzieję, że pójdziecie dalej, udając, że nas nie poznajecie. Idźcie po prostu swoją drogą, do waszej własnej wioski, gdziekolwiek ona się znajduje, i tam doglądajcie własnych ruin, które waszym zdaniem wymagają od mądrych mieszkańców dobrotliwego zaniedbania.

Pozwólcie nam się krzątać po swojemu i ludzić się, że nasza praca kiedyś będzie ukończona. Ponieważ, oczywiście, nigdy nie będzie.

OD AUTORA

„A jeśli go zobaczycie, podnieście jakieś narzędzie, nie broń. Łopatę, pług. Ankou boi się tylko uczciwej pracy cierpliwych ludzi”.

Ja podniosłem pióro.

Mówi się, że człowiek nie wie, co myśli, dopóki tego nie zapisze, jest to z pewnością prawda, jeśli chodzi o tę książkę. Moim pierwotnym zamiarem wcale nie było przywrócenie do życia naszego dawnego Kerbordardoué. Ale kiedy zacząłem pisać, wkrótce zdałem sobie sprawę, że jeśli się nie pośpieszę, Kerbordardoué przestanie istnieć i nigdy nie skończę książki. To było dwadzieścia lat temu. To tyle, jeśli chodzi o trzymanie się terminów.

Moi przyjaciele i bliscy, którzy przeżyli fragmenty tej książki i pojawiają się tutaj: dziękuję Wam. Wiecie, że tylko pożyczyłem wasze wspomnienia. Nadal należą do Was.

Jeśli chodzi o moje własne, proszę, żebyście zechcieli łaskawie zawiesić niedowierzanie. Owszem, to możliwe, by jednocześnie mieć poczucie absurdu i tragizmu, a także – jeśli jest się nami – żartować sobie z tego; przez trzydzieści lat stało się to już głęboko ugruntowanym zwyczajem. Tak, można kochać swoją matkę, a mimo to jakimś trafem zamieszkać dwa i pół tysiąca mil od niej, wakacje zaś spędzać w miejscu oddalonym o pięć tysięcy mil, a w przypadku Mindy – o siedem i pół tysiąca.

A więc tak, twierdzę, że to wszystko zdarzyło się mniej więcej tak, jak to opowiedziałem. W przedcyfrowych czasach były takie przedmioty, które nazywały się notatnikami, i oboje z Mindy zabieraliśmy je ze sobą wszędzie. Jakimś cudem całe pudło tych notatników, a także różnych pocztówek, dokumentów, listów i zdjęć przetrwało nasze liczne przeprowadzki i nieszczęścia. Znalazły się także owe słynne „Wskazówki”. Ponadto całe dziesięciolecie temu podjęliśmy z Mindy pierwszą wspólną próbę opowiedzenia naszej historii chronologicznie. I chociaż z pewnością była ona przedwczesna, okazała się bardzo pomocna.

W tej mojej pracy nad czasem i pamięcią kilkanaście skoncentrowanych momentów stało się dla mnie świetlistych jak relikwiarze. Trzymając się własnej metodologii, jakakolwiek ona

jest, szczególnie inspirację czerpałem ze wspomnień Pêr-Jakeza Héliasa dotyczących bretońskiego życia wiejskiego, zatytułowanych *Dumny koń*. Kiedy dwadzieścia lat temu po raz pierwszy czytałem tę książkę, zachwyił mnie sposób, w jaki Hélias nasycił fizyczne opisy psychologią i głęboką tajemniczością. (Jest także film na podstawie tej książki, w reżyserii Claude'a Chabrola). Poza tym każdy, kto miał przyjemność oglądać filmy Jacquesa Tati, a zwłaszcza *Wakacje pana Hulot* i *Playtime*, rozpoznał zapożyczenia jego rytmów w scenach plażowych.

Jestem z zawodu pisarzem, nie naukowcem, więc chociaż poczyniłem wszelkie wysiłki, żeby przedstawić sprawy jak należy, nie mogę zagwarantować, że nie uznałem za fakty paru zdarzeń, które każdy szanujący się wykładowca czy profesor uniwersytecki zbyłby machnięciem ręki. Natomiast za wszelkie bardziej subtelne interpretacje zdarzeń oraz relacji międzyludzkich jestem głęboko wdzięczny mojej żonie.

Mindy zawsze jest gotowa korygować moje poglądy, mój francuski, moją wiedzę historyczną i moją wizję wydarzeń – a ja, kiedy to tylko możliwe, biorę sobie do serca jej rady. Mogła napisać tę książkę razem ze mną, odrzuciła jednak moją propozycję, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że roztrząsalibyśmy najdrobniejsze niezgodności naszych wersji wydarzeń tak długo, aż uszłoby z nich życie. Zamiast tego przepełnia więc tę książkę swoim poczuciem humoru i mądrością (a także od czasu do czasu pomrukiem irytacji na Młodego Strudla).

Wnikliwi czytelnicy zorientują się, że zmieniłem nazwę naszej wioski, jak również ukryłem pewne charakterystyczne cechy pozwalające na identyfikację naszych przyjaciół, którym nadałem też inne imiona. Nie zmieniłem natomiast nazw ani lokalizacji niczego innego.

Fakty są uparte, jak powiedział John Adams. Podobnie jak ich znawcy. Typy uniwersyteckie bywają czasem zbyt zaślepienie światłami wzdłuż ścieżki swojej kariery, żeby dostrzec życie toczące się w krzakach i wśród okolicznych pól. W tej książce, tak jak i na Belle-Île, podążałem za blaskiem świetlika na wiejskiej drodze.

MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE

Na blogu autora – DonWallaceFranceBlog.tumblr.com – można znaleźć zdjęcia i dalsze doniesienia z Belle-Île.

Fragmenty rozdziału *Sola solo* były publikowane pierwotnie, w znacznie zmienionej formie, jako szkice w niedzielnym dziale podróży „The New York Timesa”. Wszystkie zdjęcia zostały zamieszczone za zgodą Dona Wallace’a (copyright 2013).

Spośród ponad trzydziestu tytułów historycznych i faktograficznych, z których autor czerpał informacje, do najważniejszych należy pierwsza książka napisana o wyspie, *Belle-Île-en-mer* Charlesa de la Touche (1852); *Europe Between the Oceans: 9000 BC-AD 1000* (Europa między oceanami 9000 p.n.e.–1000 n.e.) (2008) i *Ancient Celts* (Starożytni Celtowie) (1997) Barry’ego Cunliffe’a; *The Divine Sarah: A Life of Sarah Bernhardt* (Boska Sarah: życie Sarah Bernhardt) Arthura Golda i Roberta Fizdale (1991); *Belle-Île-en-mer: Histoire d’une île* (Belle-Île-en-mer: historia pewnej wyspy) Louisa Garansa (1999); prace Fernanda Braudela i Normana Daviesa; a także wiele znakomych kieszonkowych publikacji ukazujących różne aspekty życia wyspy, wydanych przez *Société Historique de Belle-Île-en-mer*.

Cytaty związane z mitem Ankou pochodzą z różnych prasowych publikacji fragmentów *La légende de la mort en Basse-Bretagne* (Legendy śmierci w Dolnej Bretanii) Anatole’a Le Braza (1893), jak również *The Appointed Hour: Death, Worldview, and Social Change in Brittany* (Wyznaczona godzina: śmierć, światopogląd i zmiany społeczne w Bretanii) Ellen Badone oraz strony internetowej Culture Breizh. Jako że wszystkie te opisy Ankou, La Chienne i bretońskiego podejścia do śmierci zostały zaczerpnięte z podań ludowych, myślę, że należy w tym miejscu wymienić również Anonimowych Autorów.

Koniec

PODZIĘKOWANIA

Chociaż książka ta przywołuje życie wielu osób, zarówno żyjących, jak i zmarłych, zmieniłem ich imiona i pewne cechy charakterystyczne. Natomiast moja żona, Mindy Pennybacker, oraz nasz syn, Rory Wallace, zostali w tej opowieści bezlitośnie obnażeni. Na swoją obronę mogą powiedzieć jedynie, że sam wypadłem znacznie gorzej. I że zawdzięczam tę książkę, i znacznie więcej, Wam obojgu.

Analogicznie wykorzystuję chwile z życia moich rodziców oraz matki i rodziny Mindy, ale znowu czynię to z miłości, a także z potrzeby opowiedzenia prawdziwej, ludzkiej historii. Jestem wdzięczny rodzicom za to, że pobłogosławili moje wcześniej publikowane literackie portrety ich obojga. Sami byli śmiałymi opowiadaczami, pruderia ani poczucie przyzwoitości nigdy nie powstrzymały ich przed zdradzeniem pikantnych szczegółów i myślę, że byłiby zadowoleni z tego, że podtrzymuję tę tradycję. Moja siostra Nancy, mój brat Alex, moja nieżyjąca już siostra Anna, i moja kuzynka Marcella zawsze ogromnie wspierali moje szaleńcze i parszywe uzależnienie od pisania pamiętników.

Dziękuję Wam, moi współwypiarze i miłośnicy Belle-Île: Adrien, Aidan, Aileen, Alain, Anne, dwaj Alexandrzy, Benedict, Bridgette, Bruno, Carine, Céleste, Célia, Chantal, Coco, David, Dédé, Denis, Didier, Dominique I i II, Dorotheé, Fabrice, François, Françoise, M. Grancœur, Gwened, Gwenn, Guillaume, Henry, Hervé, Daniel, Jacques I & II, Jean, Jean-Claude, Jean-Daniel, Jean-Paul, Jos, Julien, Kaitlin, Katrine, Katherine, Leo, Leonore, Man, Marie, Martin, Mattias, Monique, Nancy, Natasha, Noel, Patrick I i II, Pierre-Louis, PJ alias French Spike, Richard, Robert, Rodolph, Sam, Sidonie, Stéphane, Stéphanie, Sylvie, Théophile, Thibault, Tom, Tomas, Valérie, Veronique, Victor, Will i Yannick.

Członkowie Ekipy Marzeń i ich następcy, stoję przed Wami z ręką na sercu. Muszę także podziękować właścicielom i kierownictwu Castel Clara, Chez Renée, Crêperie Les Embruns i Hôtel du Phare za te wszystkie wspaniałe posiłki i miłe towarzystwo.

Wielkie, bezmierne dzięki należą się mojej agentce Laurie Fox za to, że zechciała zerknąć na pierwsze szkice tej książki, a potem zaangażowała się dogłębnie w pracę nad tą skomplikowaną, obejmującą trzydzieści lat opowieścią. Stephanie Bowers, moja redaktorka z wydawnictwa Sourcebooks zasługuje na specjalną „nagrodę” za to, że to ona w końcu odkryła, w jakim porządku należy ułożyć rozdziały – było to moim zdaniem osiągnięcie na miarę odkrycia genu. Ekipa z Sourcebooks, która zajęła się oprawą graficzną mojej książki, również wspaniale się spisała. Dziękuję także Chrisowi Bauerle, dyrektorowi działu sprzedaży, za entuzjazm na wczesnym etapie prac, a także Dominique Raccah za to, że stworzyła takie kreatywne wydawnictwo.

Chciałbym wyrazić wdzięczność redaktorom działu podróży „New York Timesa”, którzy przez lata wspierali moje opowieści i wypadki do Bretanii oraz na Belle-Île w celu zbierania materiału. Dziękuję także Donnie Bulseco i Ellie McGrath, moim bratnim duszom z „SELF”; Annie Alexander z magazynu „Walking”; magazynowi „Islands”; a zwłaszcza Peterowi Janssenowi z magazynu „MotorBoating and Sailing”, który wielokrotnie pozwalał mi realizować reporterskie misje we Francji, sprowadzając mnie dziwnie blisko Belle-Île. Oby wszyscy pisarze mogli zostać obdarzeni szefem, który jest na tyle wrażliwy, że bierze pod uwagę marzenia swoich podwładnych. Sam Pan Bóg wie, że wszyscy potrzebujemy wakacji.

Pragnę uczcić pamięć mego zmarłego przyjaciela Christopha Burgarta, piosenkarza i autora piosenek z Santa Cruz, który w roku 1973, na długo zanim w ogóle usłyszałem o wyspie, która miała nadać kształt mojej przyszłości, wrócił z wakacji za granicą i zagrał nową piosenkę, którą skomponował w podróży: „Belle Isle”. Chris, po wielu latach uświadomiłem sobie, że trafiłem w sedno.

Wreszcie muszę wymienić kobietę, którą nazywam „Gwened Guedel” i której oboje z Mindy tyle zawdzięczamy. „Gwened”, od zawsze wiedziałaś, że ta książka się szykuje, i jestem przekonany, że zaaranżowałaś jej zaskakujące końcowe rewelacje. Tak długo, jak będzie żyć ta książka, jesteś w pewnym sensie nieśmiertelna, co być może było nawet Twoją intencją. Mogę powiedzieć tylko, że byłabyś szczęśliwa, gdybyś mogła zobaczyć, jak wygląda teraz wioska, którą tak kochałaś i o którą tak się zawsze troszczyłaś.

O AUTORZE

Don Wallace urodził się w Long Beach w Kalifornii, a większość życia spędził, pracując jako dziennikarz i redaktor w Nowym Jorku i Honolulu – oczywiście, jeśli akurat nie przebywał we Francji. Jest autorem czterech książek, w tym powieści *Hot Water (Gorąca woda)* oraz *One Great Game: Two Teams, Two Dreams, in the First-Ever High School Football National Championship Game (Wspaniały mecz: dwie drużyny, dwa marzenia, podczas pierwszych krajowych międzyszkolnych mistrzostw futbolowych)*. Jego eseje, artykuły i fragmenty prozy były publikowane w rozmaitych czasopismach, takich jak „Harper’s”, „The New York Times”, „SELF”, „Fast Company”, „Wine Spectator” i „Naval History”. Najświeższe doniesienia z Belle-Île-en-mer można śledzić na blogu autora: DonWallaceFranceBlog.tumblr.com.

SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja
Po otwarciu domu
Far breton
Le Grand Detour (rok zerowy)
Trzecia wyspa
Pierwszy rzut oka
Dom za granicą: cztery łatwe listy
Letnie plany
Zobaczyć i uwierzyć
Francuski styl regulacyjny
Czarna księga
Francuski impas
Podopieczni wioski
Gra w Nie
Belle-Île-en-Hudson
Kto kradnie drogę?
Kto zabija różę?
Ekipa marzeń
Rodzicielska pułapka
Sola solo
La Chienne
Beau temps
La Fontaine Wallace
Trop beau
Ankou
Ostatnia kąpiel we wrześniu
Starszyzna wioski
Od autora
Materiały źródłowe
Podziękowania
O autorze